

PETER WATTS

MA STRUKA OPTYZMIZM



PETER WATTS

ODTRUTKA NA

OPTYMIZM

(THE ISLAND AND OTHER STORIES)

Przełożył: Wojciech Próchniewicz



Wydawnictwo: Mag 2013

Spis treści

Karta tytułowa

Wstęp

Nimbus

Ciało stało się słowem

Fraktale

Betlejem

Drugie przyjście Jasmine Fitzgerad

W domu

Dużo żarcia

Ambasador

Nowina dla pogan

Jętka jednodniówka

Powtórzenie przeszłości

Oczy Boga

Hillcrest kontra Velikowski. Siła wyższa?

Wyspa

Cosie

Malak

Opowiadania

Przypisy

Wstęp

Oto macie Państwo przed sobą najbardziej wyczerpujący zbiór moich opowiadań, jaki kiedykolwiek został wydany.

Do niedawna takie stwierdzenie nie znaczyło wiele. Do tego roku miałem na koncie tylko jeden oficjalny zbiór, opublikowany przez nieduże kanadyjskie wydawnictwo – i nieaktualny od kilkunastu lat, wyszedł bowiem pod koniec zeszłego stulecia. Rok 2013 to wszystko nadrobił. Oprócz tomu, który trzymacie Państwo w rękach, nowe zbiorki wydaje hiszpańska Fata Libelli oraz Tachyon w USA. (Przymierzała się jeszcze Australia, ale jakoś nie wypaliło). Po kilkunastu latach zapomnienia, przerywanych tylko sporadycznymi pirackimi wydaniem, moje opowiadania wreszcie ujrzały światło dzienne.

Które, jak zwykle, najjaśniej świeci w Polsce i nie do końca rozumiem dlaczego.

Między Polską i mną coś po prostu jest. Mam wydania w siedemnastu językach, nagrody w czterech krajach, a nominacje pewnie z dwa razy tyłu. Z jakiegoś powodu jednak to w Polsce jestem najbardziej obecny. To w Polsce zdobyłem pierwszą nieanglojęzyczną nagrodę. MAG był jednym z pierwszych wydawnictw na świecie, które wydało *Ślepowidzenie*. Przez lata robili ze mną wywiady goście z kilkunastu krajów, ale to w Polsce mam comiesięczny felieton. Podróżowałem w czapeczce pisarza do Norwegii, Szwecji, Francji, Niemiec i Australii (a także Finlandii i Rosji, zależy kiedy ukazują się te słowa), lecz tylko w Polsce byłem dwukrotnie w jednym roku.

Doskonale więc się składa, że to polski wydawca publikuje najobszerniejsze wydanie moich opowiadań w jakimkolwiek języku. (Amerykański zbiór to raczej składanka przebojów, hiszpański – minizbiorek pięciu opowiadań. A o kanadyjskim lepiej w ogóle nie mówić). Natomiast *Odtrutka na optymizm* zawiera wszystkie moje opowiadania, wydane do roku 2011, poza jednym (to się zresztą nie liczy, bo *Nisza* to tak naprawdę początek powieści *Rozgwiadza*).

Nie zamierzam twierdzić, po dwóch krótkich wizytach, że Polskę znam. Cholera, ja nawet Kanady nie znam, a mieszkam tu całe życie. Ale przynajmniej Polskę widziałem. Skosztowałem. Przedtem byliście dla mnie ojczyzną Stanisława Lema i Lecha Wałęsy; teraz jesteście świętem wina i podziemną miodosytnią, księgarnią z huśtawką w foyer i korytarzami, które kręcą się w kółko jak ciemnozielona grotka. Jesteście muzeum w Zielonej Górze, gdzie dowiedziałem się, że kiedyś skazańców pojono na siłę winem, póki nie pękli. Klasztorem w Lublinie, gdzie spałem pod pełnym wyrzutu wzrokiem naturalnej wielkości ukrzyżowanego Jezusa. Jesteście przedwiecznymi ruinami, budowlami z cukierniczymi ozdobami, klockowatymi blokami z lat sześćdziesiątych, po zakończeniu sowieckiej okupacji pomalowanymi w buntownicze pastele. Jesteście chłodnym błękitnym płomykiem na czubku mojego kciuka, autografami wypisywanymi mazakiem na spoconej skórze o drugiej w nocy. Jesteście gościnni, otwarci, z umysłem ostrym jak brzytwa i w ogóle niesamowici.

Nie udaję też, że Was znam, ale przynajmniej się z wami zapoznałem.

Wobec tego, to pewnie nieuniknione, że Polska zaczęła się powoli przesączać do mojej twórczości. Gdzieś w przyszłym roku, albo coś koło tego, okaże się na przykład, że pewien pochodzący z Zielonej Góry pracownik platformy wiertniczej zginie w straszny sposób podczas kontaktu z genetycznie zmodyfikowaną kałamarnicą olbrzymią w

kanadyjskiej Arktyce. (Gość istnieje naprawdę. Ma na imię Witold. Piliśmy razem piwo). Albo choćby opowiadanie, które w zeszłym roku napisałem dla MIT Press – proszę go tu nie szukać, na razie mają na nie wyłączność – w którym potężna rządowa machina biurokratyczna, chcąc desperacko zatuszować grzechy rozkwitającej branży biopaliw, zwała winę za falę ludzkich samozapłonów na przemywany nielegalnie z Polski bimber. (Trzeba to rozumieć bardziej metaforycznie niż dosłownie, ale inspiracją do tego były moje przeżycia po spożyciu mocnego piwa z polskiego domowego browaru).

To jednak pieśń przyszłości. Dla zabicia czasu proponuję szesnaście innych opowiadań. Są w nich historie o inteligentnych chmurach, sympatycznych pedofilach i zmieniających kształty misjonarzach. Poznacie wojskowego bezzałogowca obdarzonego eksperymentalnym sumieniem oraz kochającą żonę, która w akcie najwyższego i altruistycznego oddania robi swojemu mężowi wiwisekcję. Nie ma tu nic polskiego – może poza łączącym nas dość ponurym spojrzeniem na życie – ponieważ wszystkie zostały napisane, zanim Was poznałem.

Ale to tylko na razie.

Nimbus

Siedzi tam od wielu godzin, słuchając tych chmur. Widzę oparty na jej kolanach odbiornik z Radio Shacka, widzę wijące się ku górze przewody słuchawek odcinające ją od świata.

A może ją z nim łączące. Jess jest teraz podpięta do samego nieba, na co mnie nigdy nie będzie stać. Słyszy jego mowę. Chmury zbliżają się, groźne szare kowadła i wzburzone masywy górskie, kipiące w paskudnym zwolnionym tempie, a słuchawki wypełniają jej głowę pomrukami i jękami obcych.

Jezu, jaka ona jest podobna do matki. Spozrzegam jej profil i przez chwilę widzę tam Anne, delikatnie z niej drwiącą: „Jess, no skąd, Jess, nie ma żadnych duchów. To tylko chmury”. Teraz jednak widzę jej twarz, osiem lat mija w okamgnieniu i już wiem, że to nie może być Anne.

Anne umiała się uśmiechać.

Powinienem tam do niej pójść. Na razie jest dość bezpiecznie, mamy jakieś pół godziny zanim rozpęta się burza. Zresztą, ma w nas nie uderzyć, mówią, że tylko przeleci, w drodze do jakiegoś innego celu. Ciekawe, czy burza wie, że stoimy jej na drodze. Ciekawe, czy ją to w ogóle obchodzi.

Tak, pójdę tam do niej. Chociaż raz nie będę tchórzem. Moja córka siedzi pięć metrów ode mnie, w moim własnym ogródku: powinienem, do cholery, siedzieć tam razem z nią. Przynajmniej tyle mogę zrobić zanim odejdę.

Ciekawe, czy to ją w ogóle obejdzie.

Pobojowisko, jeszcze przed oświeceniem.

Wyglądało, jakby ktoś odwrócił to miasto do góry nogami i potrząsnął. Brodziliśmy w płytkim morzu gruzów: zburzone ściany, osypane dachówki, sedesy, kanapy, tłuczone szkło. Szedłem za Anne, Jess podskakiwała mi na ramionach, gulgocąc radośnie – miała wtedy nieco ponad rok, jeszcze niezupełnie mówiła, ale już potrafiła się nieustannie zdumiewać światem. To było widać w jej oczach. Każda podrzucona przez wiatr gazeta, każdy ptak, każdy krok był nowym zachwycającym przeżyciem.

A także każda nabita strzelba. Każdy prędko do cyngla gwardzista. W tamtych czasach ludziom się jeszcze wydawało, że ich rzeczy należą do nich. Widzieli własny dom rozwleczony od skrzyżowania do skrzyżowania i bali się nie pogody, ale siebie nawzajem.

Bo huragany to katastrofa, osobliwość przyrody. Wówczas eksperci jeszcze obwiniali o wszystko wulkany i efekt cieplarniany.

Za to szabrownicy byli prawdziwi. Namacalni. Stanowili problem, który ma oczywiste rozwiązanie.

Przysadzisty namiot wolontariatu wyglądał z oddali jak namiot cyrkowy pośród Armagedonu. Kobieta o zmęczonej twarzy wręczyła nam łopaty, widły i skierowała do najbliższej nieobsłużonej kupy gruzu. Zaczęliśmy przesypywać szczątki czyjegoś życia do ogromnego niebieskiego kontenera. Anne i ja pracowaliśmy obok siebie, od czasu do czasu przestając, żeby przekazać sobie Jessicę.

Zastanawiałem się, co za skarby tam wykopię. Bezcenny rodzinny spadek, cudem oszczędzony w katastrofie? Pełną dyskografię Jethro Tull na kompaktach? To była tylko taka gra, wszystko zostało już przeczesane, mieszkańcy już tu byli i rozpaczali nad gruzami. Został tylko gruz. Niemniej, od czasu do czasu wydawało mi się, że coś w nim błyszczący – może kapsel, może folia po gumie do żucia, a może Rolex...

Widły przebiły się przez gipsowy gruz i wśliznęły w coś miękkiego. Opadły nagle pod moim ciężarem, jak naoliwione. Zatrzymały się.

Usłyszałem delikatny syk ulatniających się gazów. Zaśmierdziało, bardzo nieznacznie, zgniłym mięsem.

To nie to, co myślisz. Ekipy już to wszystko przetrzepały.

Mieli tresowane psy, czujniki podczerwieni i już znaleźli wszystkie trupy, przecież by żadnego nie przegapili, zostało tylko drewno, gips, cement...

Ścisnąłem mocniej trzonek wideł, pociągnąłem. Zęby wynurzyły się z gruzu, lepkie, ciemne, oślizgłe.

Anne zaczęła się śmiać. Nie wierzyłem własnym uszom. Uniosłem głowę. Nie patrzyła ani na mnie, ani na widły, ani na krzepnącą plamę. Patrzyła na drugą stronę gruzowiska, na forda pickupa, pełnego miejscowych z karabinami, pełzającego oczyszczonym korytarzykiem przez ulicę.

– Niezłą ma tę nalepkę – powiedziała, nieświadoma mojego odkrycia.

Po stronie kierowcy, na zderzaku. Karykaturalna chmura burzowa, w klasycznym przekreślonym czerwonym kółku. I hasło. Ostrzeżenie, nie wiadomo dla kogo: „E, chmury, skopiemy wam dupę”.

Jess, gdy do niej przychodzę, zdejmuję słuchawki. Dotyka przycisku na odbiorniku. Zagadkowe, choć dziwnie znajome pojękiwania dobiegają teraz z głośnika z przodu urządzenia. Przez moment siedzimy w milczeniu, pozwalając się opływać tym dźwiękom.

Wszystko ma takie jasne. Ledwo widać jej brwi.

– Oni wiedzą, dokąd idzie? – pyta w końcu Jess.

Kręcę głową.

– Jest Hanford, ale reaktora nigdy dotąd nie napadały. Mówią, że może zbiera siły, żeby przejść na drugą stronę gór. Może na Vancouver, a może znowu na Sea-Tac. – Poklepuję skrzynkę na jej kolanach. – Właśnie teraz może to planuje. Tyle czasu słuchasz tego ustrojstwa, powinnaś już wiedzieć, co one mówią.

Na horyzoncie migoce poświata dalekiej błyskawicy. W odbiorniku Jessiki odzywa się dysonansowe crescendo kilkunastu głosów.

– Albo nawet do nich gadać – ciągnę. – Widziałem, że teraz mają takie, co działają w obie strony. Takie jak twoje, tyle że nie tylko odbiera, ale i nadaje.

Jess dotyka gałki regulacji głośności.

– Oj tato, to tylko taki bajer. Takie coś nie ma dość mocy, żeby dało się to usłyszeć przez te wszystkie inne szумы w powietrzu, telewizję, radio i... – Przekrzywia głowę, słysząc płynące z głośnika dźwięki. – Zresztą, nikt i tak nie rozumie, co one gadają.

– No tak, ale może one rozumieją nas – dodaję, z nutką żartobliwego napięcia w głosie.

– Myślisz? – Jej głos jest beznamienny, pozbawiony wyrazu.

Brnę dalej. Gadanie pozwala mi chociaż trochę stłumić własne lęki.

– Pewnie. Te duże na pewno rozumieją. Burza tej wielkości spokojnie ma sześciocyfrowe IQ.

– No, może – mówi Jess.

Coś mi w środku delikatnie pęka.

– A ciebie to nie obchodzi?

Tylko na mnie patrzy.

– Nie chcesz wiedzieć? Siedzimy tu, pod wielkim stworem, którego nikt nie rozumie, nie mamy pojęcia, co on zamierza i dlaczego, a ty sobie

słuchasz, jak on do siebie pokrzykuje i nie przejmujesz się tym, że przez niego z dnia na dzień wszystko się zmieniło...

Ona oczywiście tego nie pamięta. Nie pamięta czasów, kiedy myśleliśmy, że chmury to tylko... chmury. Nigdy nie wiedziała, jak to jest być panem świata, i nie ma takich oczekiwań.

Moja córka nie przejmuje się klęską.

Nagle czuję przejmującą chęć, by ją po prostu przytulić.

Jezu, Jess, jak mi przykro, że tak wszystko zepsuliśmy.

Z trudem się pohamowuję.

– Szkoda, że nie pamiętasz, jak było kiedyś.

– Dlaczego? – pyta. – A co się zmieniło?

Patrzę na nią zdumiony.

– Wszystko!

– Nie wydaje mi się. Podobno nigdy nie rozumieliśmy pogody. Zawsze były huragany, zawsze były tornada, czasem niszczyły całe miasta i wtedy też nie umieliśmy ich powstrzymać. Co za różnica, czy przychodziły z przypadku, czy dlatego, że niebo jest żywe?

Bo twoja matka zginęła, Jess, a ja po tylu latach dalej nie wiem, co ją zabiło. Ślepy traf? Czy odruch jakiegoś powolnego, durnego zwierzęcia, które podrapało się tam, gdzie je swędziało?

Czy niebo może popełnić morderstwo?

– Jest różnica, jest. – Tylko tyle jej mówię. Nawet jeśli nie ma żadnej.

Front jest teraz prawie dokładnie nad nami, jak pełznący po niebie otwór wielkiej, czarnej jaskini. Na zachodzie niebo jest całkiem bezchmurne. Postrzępiona linia frontu dzieli je na dwie połowy. W tej wschodniej świat ma ciemny, brudny, zielony odcień.

Czuję się w niej taki bezbronny. Oglądam się przez ramię.

Za nami do ziemi kuli się opancerzony dom. Tylko największe z drzew przetrwały, żeby dotrzymać mu towarzystwa. To już osiem lat i burzom wciąż nie udało się nas stąd wygonić. Wygrały z Mexico City, z Berlinem, z całą cholerną „złotą podkową” nad jeziorem Ontario, ale nasz mały domek trzyma się jak wrośnięta w ziemię ropiejąca cysta.

Może to jednak dlatego, że dotąd nas nie zauważyły.

Chwila wytchnienia. Stwór na niebie poszedł spać, przynajmniej w naszym zakątku świata. Źródło jego świadomości, a raczej źródła, jest ich bowiem legion, poleciały konwekcją do atmosfery i zamarły w miliard krystalicznych pyłków rozproszonego umysłu. Kiedy wrócą, będą już po drugiej stronie globu, a zanim tę lukę wypełni reszta grupowej świadomości, minie wiele dni.

Wykorzystaliśmy ten czas, aby przygotować się do obrony. Oglądałem egzozkielet, w który budowlańcy ubrali nam dom. Anne obchodziła front, sprawdzając sztormowe okiennice. Dom spotworniał, przeobraził się w kostropatą fortecę ze sterczącymi stalowymi belkami i odgromnikami. Parę lat wcześniej pozwalibyśmy do sądu kogoś, kto by nam coś takiego zrobił. Dzisiaj zapożyczyliśmy się po uszy, żeby tę przebudowę sfinansować.

Uniosłem głowę, słysząc w górze ciche wycie. Słońce odbiło się od grupki maleńkich krzyżykowych kształtów przecinających niebo smugami kondensacyjnymi.

Zasiewali chmury. Wtedy często się to widywało. Wydawało się nam jeszcze, że możemy kontratakować.

– To nic nie da – powiedziała poważnym tonem Jess koło mojego łokcia.

Opuściłem głowę przestraszony.

– Oj, Jess, nie słyszałem jak podchodzisz.

– Chmury tylko będą złe – dodała z całą pewnością czterolatki. Zmrużyła oczy, wpatrzyła się w błękitny przestwór. – Tylko będą próbować zabić, tego, no... posłańca.

Kucnąłem, spojrzałem jej w oczy.

– I kto ci to powiedział? – Przecież nie matka.

– Taka jedna pani. Co rozmawiała z mamą.

Nie tylko jedna pani, okazało się, gdy wyszedłem z za węgła na trawnik od frontu. Pani i pan: dwadzieścia parę lat, odrobinę niechlujni, oboje z hasłami na koszulkach. Pierś kobiety głosiła „Kochaj matkę swoją”, nad zdjęciem Ziemi z księżycowej orbity. U faceta było trochę bardziej rozwlekle: „Rozwój bez granic, motto nowotworów”. Na obrazek nie zostało miejsca.

Gajaniści. Wycofywali się po trawie, przodem do Anne, jakby się bali odwrócić plecami. Ona uśmiechała się i machała, istne niewiniątko, mnie jednak zrobiło się biedaków szkoda. Nie mieli z nią żadnych szans.

Czasami, gdy przychodzili Adwentyści Dnia Siódmego, Anne nawet zapraszała ich do środka, żeby trochę na nich potrenować. Przeważnie sami pytali, czy mogą już iść.

– I co, mieli coś ciekawego do powiedzenia? – zapytałem ją wtedy.

– Nie bardzo. – Anne przestała do nich machać i odwróciła się do mnie. Uśmiech przeobraził się w triumfalny i szyderczy. – Bogowie z nieba się na nas gniewają, wiesz? Nie będziesz mieszkał w budynku jednorodzinym. Będziesz szanował twój wpływ na środowisko i dbał, aby był jak najmniejszy.

– Może mają rację – mruknąłem.

Chociaż nie było już z kim dyskutować – większość dawnych sąsiadów wyniosła się do uli. Co prawda, nie z uwagi na swój wpływ na środowisko.

– No, trzeba przyznać, że nie były to aż takie pierdoły, jakie czasem wymyślają – przyznała Anne. – Ale jak ktoś chce mi wmawiać, że cała ta zemsta demonów z chmur to przeze mnie, niech lepiej ma w odwodzie jakiś racjonalny argument albo dwa.

– Rozumiem, że nie mieli?

Prychnęła.

– Te same z dupy wyjęte metafory. Gaja rusza do akcji, żeby zwalczyć ludzką zarazę. Te huragany to pewnie coś w rodzaju penicyliny.

– Niektórzy eksperci mówią jeszcze bardziej odjechane rzeczy – Wiesz, ale im też niekoniecznie wierzę.

– A może by trzeba – powiedziałem. – Rozumiesz, my na sto procent nie mamy pojęcia, co się dzieje.

– A myślisz, że oni mają? Jeszcze parę lat temu wszystkiemu zaprzeczali, nie pamiętasz? W kółko gadali, że życie nie może istnieć bez stabilnej, zorganizowanej struktury.

– Pomyślałem, że może czegoś się od tego czasu dowiedzieli.

– No, nie gadaj. – Oczy Anne zrobiły się okrągłe jak przy objawieniu. – A ja cały czas myślałam, że tylko wymyślają chwytliwe haselka.

Jess weszła między nas. Anne wzięła ją na ręce; Jess wspięła się na ramiona matki i zaczęła lustrować świat z oszałamiającej wysokości dorosłego człowieka.

Obejrzałem się na ewangelistów w odwrocie.

– No i jak ich załatwiłaś?

– Zgodziłam się z nimi.

– Że co?

– Zgodziłam się. Jasne. Jesteśmy chorobą. Nie ma sprawy. Tylko że niektórzy z nas zmutowali. – Dźgnęła palcem naszą twierdzą. – Teraz jesteśmy odporni na antybiotyki.

Jesteśmy odporni na antybiotyki. Obudowaliśmy się skorupą jak raki pustelniki. Zredukowano nas, przycięto, zdziesiątkowano, ale nie zniszczono. My tylko przechodzimy remisję. Ale tu, poza murami, jesteśmy nadzy. Nawet z tej odległości burza mogłaby sięgnąć i zgnieść nas w sekundę. Jak ta Jess w ogóle może tak tu siedzieć?

– Ja już nawet słonecznymi dniami nie potrafię się cieszyć – wyznaję jej.

Patrzy na mnie i wiem, że jest zakłopotana nie dlatego, że nie cieszy mnie pogodne niebo, ale dlatego, że w ogóle uznałem ten fakt za wart komentarza. Gadam dalej, nie godząc się z dręczącym mnie przekonaniem, że jesteśmy dla siebie nawzajem obcy.

– Nawet jak niebo jest całe niebieskie i słoneczne, ale gdzieś sobie płynie chociaż jeden mały puchaty cumulus, mimo woli czuję się... obserwowany. Nieważne, że jest za mały, żeby samodzielnie myśleć, albo że rozproszy się, zanim zdoła gdzieś zrzucić swoje dane. Mnie i tak się wydaje, że to jakiś szpieg, że gdzieś o wszystkim zamelduje.

– One chyba nie widzą – rzuca nieobecny tonem Jess. – Wyczuwają tylko duże rzeczy, miasta, kominy, ciepłe punkty, które je... podrażniają. I tyle.

Wiatr tchnie z podstępą delikatnością w jej włosy. Ponad nami palec szarej pary wodnej przesuwa się pomiędzy dwiema wielkimi ścianami cumulonimbusów. Co się tam dzieje? Losowa zbitka kropelek wody? Transmisja danych między węzłami z prędkością 25 kbit/s? Nawet po tylu latach brzmi to absurdalnie.

Tyle elokwentnych teorii, tyle wyjaśnień naszego upadku. Wszyscy tylko gadają o porządku wyłaniającym się z chaosu: geometria płynów, mieszkające w chmurach bioelektryczne mikroby, złożone zachowania powstające z jakiegoś obłąkanego sojuszu mgły i elektrochemii. Na

papierze może wygląda to naukowo, ale powiedziane na głos zawsze brzmi jak zaklinanie rzeczywistości...

I w niczym nie pomaga. Okolicę rozświetlają krótkie błyski światła. Burza zbliża się ku nam na postrzępionych, fraktalnych nogach. Czuję się jak owad pod opadającym obcasem.

Może tak trzeba? Czy, gdybym się poddał, dalej bym się tak bał?

Może. Może sytuacja nie ma nic do rzeczy. Może tchórze zawsze się boją.

Odbiornik Jess nieustannie lamentuje.

– Pieśni wielorybów – mówię, z ledwo zauważalnym drzeniem w głosie.
– Humbaków. Tak to brzmi.

Jess wbija wzrok z powrotem w niebo.

– Tato, to nie brzmi jak nic. To tylko elektryczność. Tylko odbiornik sprawia że... to brzmi jak coś, co znamy.

Czyli to kolejny nieistotny bajer. W dziesięć lat zdegradowało nas z bożych wybrańców do zagrożonego gatunku, a ci handlarze nawet nie podnieśli wzroku znad swoich rynkowych analiz. Mogę ich zrozumieć. Wiszą teraz nad nami ci, którzy wygonili nas na ulicę. Front jest prawie dokładnie nad domem. Dziesięć kilometrów wyżej ścierają się wyjące wiatry, z prędkością sześćdziesięciu metrów na sekundę.

Na razie burza jeszcze nawet głębiej nie odetchnęła.

Na wzgórzach szalała zawodząca banshee, wiły się tornada; Anne i ja patrzyliśmy na rozdzierające horyzont wiry czarnych macek. Potem uciekliśmy pod ziemię. Jeszcze rok temu zapewniano nas, że zimą tornada są niemożliwe. A tu proszę – tulimy się do siebie, świat się trzęsie, a jak przyjdzie jeden z takich wytworów, to wzmocnienia naszego domu równie dobrze mogą być z papieru.

W takich chwilach seks jest instynktowny. Zagrożenie redukuje nas do automatów? nie ma miejsca na miłość, gdy górę biorą geny. Nieistotna jest nawet przyjemność. Stajemy się po prostu parą ssaków, jedną z wielu, próbującą zmaksymalizować swoją sprawność ewolucyjną zanim nadejdzie nieuniknione.

Przynajmniej potem wolno nam było jeszcze coś czuć. Przywieraliśmy do siebie, ślepi i niewidocznym w ciemności, prawie miażdżąc się ciężarem swojej desperacji. Nie mogliśmy przestać płakać. W duchu dziękowałem, że kiedy nadszedł front, Jess musiała zostać w przedszkolu. Nie wytrzymałbym robienia dobrej miny przez całą taką noc.

Po chwili Anne przestała dygotać. Leżała w moich objęciach, cichutko pociągając nosem. Ledwie widoczne pyłki wirtualnego światła polatywały denerwująco na skraju mojego pola widzenia.

– Bogowie wrócili – powiedziała w końcu.

– Bogowie?

Anne zawsze była do bólu empiryczna.

– Ci dawni – dodała. – Ze Starego Testamentu. Grecki panteon. Pioruny, ogień i siarka. A my myśleliśmy, że z nich wyrosliśmy, wiesz? Myśleliśmy...

Poczułem ciężkie, rozdygotane westchnienie.

– Ja myślałam – ciągnęła. – Myślałam, że już nie są nam potrzebni. Ale są. Zdani sami na siebie wszystko spierdzieliliśmy. Nie było komu przywołać nas do porządku i wszystko podeptaliśmy...

Gładzę ją po plecach.

– To dawne dzieje, Anne. Wiesz przecież, że już wszystko naprawiamy. W małym mieście wolno jeszcze używać benzyny, wymieranie gatunków ustało. Nawet chyba wczoraj słyszałem, że biomasa lasów tropikalnych wzrosła.

– Ale to nie my, nie sami z siebie. – Westchnienie omiotło mi policzek. – Nie jesteśmy lepsi niż kiedyś. Tylko boimy się klapsa. Jak rozpuszczone bachory przyłapano na malowaniu brzydkich obrazków na ścianach.

– Anne, jeszcze nawet nie wiadomo, czy te chmury są żywe. A jak są, to jeszcze nie znaczy, że są inteligentne. Niektórzy mówią, że to tylko dziwny efekt uboczny całej tej chemii w atmosferze.

– Jon, my błagamy o zmiłowanie. Tyle to wszystko warte.

Przez chwilę oddychaliśmy w milczeniu na tle mrocznego, odległego wycia.

– Ale chociaż coś robimy – powiedziałem w końcu. – Może nie z takich oświeconych pobudek, jak powinniśmy, ale sprzątam po sobie. To już coś.

– To za mało – odparła. – Obsrywaliśmy wszystko przez kilkaset lat. Myślisz, że teraz to pójdzie sobie po paru modlitwach, paru ofiarach i da nam spokój? O ile „to” w ogóle istnieje. A jeśli faktycznie ma więcej rozumu niż wypławek, to chyba mamy takich bogów, na jakich sobie zasłużyliśmy.

Zastanawiałem się, co by tu powiedzieć, jakie fałszywe słowa pociechy. Ale jak zawsze byłem zbyt wolny. Anne pozbiierała się pierwsza.

– No, przynajmniej trochę nas nauczyło pokory – powiedziała. – Zresztą, kto wie? Może zanim Jess dorośnie, bogowie odpowiedzą na nasze prośby?

Niestety, nie odpowiedzieli. Eksperci mówią nam teraz, że nasze supliki wiszą w trybie nieskończonego oczekiwania. W końcu modlimy się do czegoś, co otacza całą planetę. Musi potrwać, zanim taki ogromny organizm przyswoi sobie nową informację, a jeszcze dłużej, zanim zareaguje. Chmury nie żyją według ludzkiego czasu. Dla nich roimy się jak bakterie i w okamgnieniu podwajamy naszą liczebność. Jaki mają ten czas reakcji z naszej bakteryjnej perspektywy? Ile czasu, zanim drgnie to

kolano? Eksperci mamrocą do siebie niezrozumiałym żargonem i zgadują: dziesięciolecia.

Może pięćdziesiąt lat. Ten potwór, który teraz na nas sunie, odpowiada na kwestie z poprzedniego stulecia.

On rzuca się z rykiem na ziemię, żeby walczyć z duchami. Mnie nie widzi.

Jeśli w ogóle coś widzi, to tylko powidok jakiejś dotkliwej rany sprzed dziesiątków lat, którą należy zdezynfekować. Pochylam się pod wiatr. Wokół, na terenie, który zwałem kiedyś swoją ziemią, kłębi się mroczny chaos. Dom oddala się za moimi plecami. Nie mam odwagi spojrzeć, ale wiem, że dzielą mnie od niego całe kilometry, a mnie coś paraliżuje.

Ta ślepa, bulgocąca meduza sięga ku mnie pazurami i zakrywa twarzą całe niebo; jakże na nią nie spojrzeć?

Jessica...

Widzę ją kątem oka. Nadludzkim wysiłkiem przesuwam odrobinę głowę i skupiam na niej wzrok. Patrzy w niebo, na jej twarzy nie maluje się jednak ani przerażenie, ani nabożny lęk, ani nawet ciekawość.

Powoli, gładko jak naoliwiony mechanizm, opuszcza wzrok ku ziemi i wyłącza odbiornik. To zresztą nie ma już znaczenia.

Grzmi bez przerwy, wiatr wyje jednostajnie, spadają na nas pierwsze ziarna gradu. Jeśli zostaniemy na dworze, w dwie godziny będzie po nas. Czy ona o tym nie wie? Czy to jakaś próba, czy mam udowodnić, że ją kocham, stając w ten sposób oko w oko z Bogiem?

A może nie. Może nie teraz. Może.

Jessica kładzie mi dłoń na kolanie.

– No chodź – odzywa się jak rodzic do dziecka. – Chodźmy do środka.

Wspominam ostatnią chwilę, kiedy widziałem Anne. Nie mam wyboru: ta chwila dopada mnie, kiedy nie patrzę, i zatapia mnie w przekroju czasu, który zamarł, gdy dziesięć metrów od niej uderzył piorun.

Świat jest płaską, oślepiająco czarno-białą mozaiką, nieruchomą w błysku światła. Strugi szarej wody wiszą nad ziemią, w którą zaraz uderzą. Anne jest tuż poza moim zasięgiem, głowa opuszczona, determinacja wyraźna jak na idealnie ostrej odbitce na ultrakontrastowym papierze: trafi do domu, trafi, kurna, choćby nie wiem co stanęło jej na drodze. Wtem błyskawica zapada się z powrotem w ciemność, świat raptownie powraca do ruchu, z dźwiękiem jakby prosto z Hiroszimy i smrodem palonej elektryczności, ale ja mam zamknięte oczy, wciąż utkwione w tej gasnącej chwili. Nagły ból, maleńkie ostre paluszki wbijają mi się w skórę na dłoni, a ja wiem, że Jessica nie zamknęła oczu, że pamięta z tej chwili więcej, niż ja jestem w stanie. Modłę się, pierwszy i jedyny raz w życiu modłę się do nieba: „Niech to będzie nieprawda, weź kogoś innego, mnie, albo całe to, kurwa, miasto, tylko ją oddaj, przepraszam, że nie wierzyłem...”.

Według niektórych, za czterdzieści lub pięćdziesiąt lat ono to usłyszysz. Dla Anne to za późno. Nawet dla mnie to za późno.

Nadal tu jest. Tylko tędy przechodzi, bębniąc palcami w ziemię, a wszystkie nasze żelbetowe talizmany ledwie dają sobie z tym radę.

Ściany trzęsą się nawet w naszym podziemnym schronieniu.

Tylko że ja się już tego nie boję.

Kiedyś, dawno temu, już tak było, że się nie bałem. Wtedy kształty na niebie nie były wrogie – rysowały się w nich ośnieżone góry, magiczne królestwa, kiedyś nawet dojrzałem w nich Anne. Teraz jednak widzę tylko coś złowrogiego, paskudnego, przedwiecznego, coś, co powoli wpada w gniew i nie daje się udobruchać. Oglądaliśmy te chmury od tysiący lat,

wyczytywaliśmy z nich wizje i omeny i ani razu nie dostrzegliśmy w nich czegoś, co także na nas patrzy.

Za to teraz widzimy.

Ciekawe, czyje epitafia będą odczytywać jutro. Które miasto rozwałą niemożliwe tornada, ilu ludzi zginie pod nawałą gradu i odłamków szkła? Nie wiem. I w gruncie rzeczy nie obchodzi mnie to. Dziwne. Jeszcze parę dni temu chyba byłoby to dla mnie istotne. Teraz nawet świadomość, że my uszliśmy z życiem, ledwo jest w stanie wyrwać mnie z apatii.

Jezu, Jess, jak ty możesz przy tym spać? Wiatr usiłuje wyrwać nas z korzeniami, fragmenty Bożego mózgu tłuką o nasze schronienie, a ty po prostu zwijasz się w kłębek w kącie i się od tego wszystkiego odcinasz.

Jesteś o wiele starsza ode mnie, Jess; dawno nauczyłaś się nie przejmować. Niewiele już z ciebie przebłyskuje na zewnątrz. Nawet migawki, które dostrzegam, wydają się jak stare fotografie, blade cienie osoby, którą niegdyś byłaś. Czy ja naprawdę cię kocham, tak jak sobie powtarzam?

Może kocham tylko swoją własną nostalgię.

Chociaż dałem ci dobry początek, parę ciepłych lat, zanim wszystko trafił szlag. Potem jednak świat rozpadł się na dwoje, a część, w której ja mieszkam, nieustannie się kurczy. Ty zaś tak łatwo prześlizgujesz się między dwoma światami – całe twoje pokolenie jest jak ziemnowodne płazy. Moje nie. Nie mam ci już nic do zaoferowania, w ogóle mnie nie potrzebujesz. Jeszcze trochę i pociągnę cię za sobą na dno.

Nie, nie pozwolę na to. Przecież w połowie jesteś Anne.

Malstrom tłumi odgłosy mojej ostatniej wspinaczki. Ciekawe, co pomyślałaby o mnie teraz Anne. Raczej by nie aprobowała.

Zbyt wiele miała z wojowniczką, żeby w ogóle pomyśleć o poddaniu się. Chyba przez całe życie nie przyszła jej do głowy nawet jedna samobójcza

myśl.

I nagle, wchodząc po schodach, uświadamiam sobie, że jeśli chcę, mogę ją o to zapytać. Anne obserwuje mnie z przeciwległego, ciemnego kąta pokoju, przez znużone młode oczy uchylone jak szparki. Zawoła mnie z powrotem? Ochrzani za to, że się poddałem? Powie, że mnie kocha? Waham się. Otwieram usta.

Ona jednak bez słowa zamyka oczy.

Ciało stało się słowem

Wescott poczuł ulgę, kiedy ciało w końcu przestało oddychać. Tym razem to trwało wiele godzin. Czekał, a ono ziało gęstymi, zgniłymi wyziewami, falując klatką piersiową, bulgocąc i wypełniając salę upartymi przypomnieniami, że jeszcze umiera, że jeszcze nie umarło. Był cierpliwy. Przez dziesięć lat nauczył się tej cierpliwości. W końcu ciało na stole zaczęło się poddawać.

Coś poruszyło się za jego plecami. Odwrócił się z irytacją: umierający słyszą lepiej niż żywi – jedno wypowiedziane słowo mogłoby zniweczyć całe godziny obserwacji. To była tylko Lynne, wślizgująca się do pokoju po cichu. Rozluźnił się. Lynne znała zasady.

Przez chwilę nawet zastanawiał się, po co w ogóle przyszła. Odwrócił się do ciała. Klatka piersiowa przestała się poruszać. Sześćdziesiąt sekund, domyślał się. Plus minus dziesięć.

Było martwe według każdej praktycznej definicji. Jednakże tliło się w nim jeszcze parę węgielków, parę opieszłych nerwów drgających w mózgu zadławionym masą martwych obwodów. Aparatura Wescotta wyświetlała mu krajobraz tego umierającego umysłu: gasnącą w miarę patrzenia topografię świecących włókienek.

Splot sercowy zadrgał i znieruchomiał.

Trzydzieści sekund. Plus minus pięć. Przybliżenia pojawiały się automatycznie. Nie ma czegoś takiego jak „prawda”. Jak „fakt”. Są tylko granice przedziału ufności.

Czuł, że Lynne czeka za nim niecierpliwie.

Wescott zerknął na stół, znów odwrócił wzrok. Powieka nad jednym zapadniętym okiem uniosła się odrobinę. Właściwie mógł sobie wyobrazić, że nic stamtąd nie patrzy.

Coś zmieniło się na monitorach. I proszę...

Nie wiedział, czemu go to przestraszyło. To tylko impulsy nerwowe – przelotna elektryczna falka, ledwo wykrywalna, przechodząca przez śródmózgowie, korę, do zapomnienia. Ostatnie tchnienie skazanych na śmierć neuronów.

I już – tylko mięso, choć jeszcze ciepłe. Kilkanaście przebiegów wypłaszczyło się na monitorach. Wescott nachylił się i sprawdził przewody łączące mięso z maszyną.

– Godzina zgonu: dziewiętnasta czterdzieści trzy – powiedział do rejestratora.

Aparatura, na swój sposób inteligentna, zaczęła się wyłączać. Wescott przyjrzał się martwym oczom, odsunął pincetą luźną powiekę. Nieruchoma źrenica pod spodem spojrzała na wskroś niego, zogniskowana na nieskończoność.

Dobrze zniosłaś tę wiadomość, pomyślał Wescott.

Przypomniała mu się Lynne. Stała z boku, z odwróconą twarzą.

– Przepraszam – powiedziała. – Wiem, że to nieodpowiednia pora, ale chodzi...

Czekał.

– Chodzi o Zombiego – odezwała się ponownie. – Miał wypadek, Russ, wyszedł na drogę i... i zabrałam go do weterynarza, ale ona mówi, że jest zbyt ciężko ranny, ale nie chce go uśpić bez twojej zgody, bo nigdy nie wpisałaś mnie jako właścicielki...

Urwała, niczym kończąca się nagła powódź.

Spojrzał na podłogę.

– Uśpić?

– Powiedziała, że prawie na pewno nic już mu nie pomoże, będzie kosztować wiele tysięcy, a pewnie on i tak umrze...

– To znaczy, zabić. Nie chce go zabić bez mojej zgody.

Wescott zaczął odczepiać kabelki od truchła, wieszając je równo na uchwytach. Wisiały tam jak pijawki o przyssawkach oślizgłych od żelu przewodzącego.

– A mnie przyszło tylko do głowy, że po osiemnastu latach nie powinien tak sam umierać, ktoś tam powinien z nim być, ale ja nie mogę, rozumiesz, po prostu nie...

Gdzieś u podstawy czaszki rozdarł się cichutki głosik: „Jezus Maria, mało tego gówna przeszedłem, muszę jeszcze patrzeć, jak to się dzieje z moim własnym kotem?”. Ale brzmiał bardzo daleko. Prawie nie było go słychać.

Spojrzał na stół. Truchło gapiło się swoim cyklopowym spojrzeniem.

– Jasne – odpowiedział po chwili. – Załatwię to. – Pozwolił sobie na uśmiech. – Taka praca.

Stacja robocza stała w kącie salonu, hebanowa kostka z barwionego pleksi – przez ostatnie dziesięć lat mówiła do niego głosem Carol. Z początku trochę cierpiał, tak bardzo, że omal nie wymienił tego programu; ale zwalczył tę chęć, pokonał ją i znosił syntetycznie znajomy głos, jakby odbywał pokutę za jakiś ciężki grzech. Gdzieś w trakcie ostatniego dziesięciolecia ból osłabł poniżej progu wykrywanego przez świadomość. Teraz słuchał, jak czyta mu dzisiejszą pocztę, i nic już nie czuł.

– Dzwonił Jason Mosby z Southam – powiedziała, idealnie naśladowując intonację Carol. – Dalej ch–chce cię zaprosić na rozmowę. Zostawił mi w poczcie program konwersacyjny. Możesz go puścić w dowolnym momencie.

– Coś jeszcze?

– Obroza Zombiego przestała nadawać o dziewiętnastej szesnaście. Nie przyszedł na karmienie po południu. Może powinieneś się rozejrzeć.

– Zombiego nie ma – powiedział.

– Właśnie mówię.

– Nie, rozumiesz... – Jezu, Carol. Przecież do ciebie nigdy nie docierały eufemizmy. – Zombiego potrącił samochód. Nie żyje.

– O cholera. – Komputer zamilkł na chwilę, jakiś wewnętrzny zegar odliczył dokładną liczbę nanosekund. – Tak mi przykro, Russ.

Było to oczywiście kłamstwo, ale całkiem przekonujące.

Na powierzchni Wescott uśmiechnął się słabo.

– Zdarza się. Dla nas wszystkich to tylko kwestia czasu.

Usłyszał za plecami jakiś odgłos. Odwrócił się od kostki; w drzwiach stała Lynne. Widział w jej oczach współczucie i coś jeszcze.

– Russ – powiedziała. – Tak mi przykro.

Drgnął mu kącik ust.

– Komputerowi też.

– A ty? Jak się czujesz?

Wzruszył ramionami.

– Chyba w miarę.

– Wątpię. Tyle lat go miałeś.

– No tak. Będzie mi go brakować. – W gardle miał zbity supeł z próżni. Zbadał to uczucie, lekko zdumiony i omal nie poczuł czegoś w rodzaju wdzięczności.

Podeszła do niego, wzięła go za rękę.

– Przepraszam, Russ, że nie było mnie pod koniec. Miałam siły tylko na tyle, żeby go tam zawieźć. Po prostu, wiesz... nie mogłam.

– W porządku – powiedział Wescott.

– A ty i tak musiałeś tam być, więc...

– W porządku – powtórzył.

Lynne wyprostowała się i potarła dłonią policzek.

– Co, wolałbyś o tym nie rozmawiać? – Co oczywiście znaczyło „ja chcę o tym porozmawiać”.

Zastanawiał się, co nieoczywistego mógłby powiedzieć – i dotarło do niego, że może sobie pozwolić na powiedzenie prawdy.

– Tak sobie pomyślałem – powiedział – że mu się należało.

Lynne zamruwała.

– Rozumiesz: sam był niezłym rzeźnikiem. Pamiętasz, co parę dni przynosił ranną nornicę albo ptaka, a ja nigdy nie pozwalałem mu ich zabijać...

– Bo nie chciałeś, żeby jakakolwiek istota cierpiała – powiedziała Lynne.

– Więc musiałem zabijać je sam. – Jeden cios młotkiem, mózg rozwalony w drobny mak, nie zostaje nic, co byłoby w stanie cierpieć. – Ciągle mu psułem zabawę. Bawić się zdechłymi rzeczami, co za nuda, przez parę godzin robił mi potem wyrzuty.

Uśmiechnęła się smutno.

– On cierpiał. Chciał już umrzeć. Wiem, że lubiłeś tego małego niewdzięcznika. Oboje go lubiliśmy.

Coś rozbłysło tam, gdzie dotąd była próżnia.

– Nic takiego, Lynne. Ja cały czas widzę umierających ludzi, nie wiesz? Nie trzeba mi wielkiej terapii przez jednego, kurwa, kota. A gdyby tak było, to mogłabyś chociaż...

...chociaż być na miejscu dziś rano.

Ugryzł się w język. Wściekły jestem, uświadomił sobie. Dziwne, nie? Od lat nie używałem tej emocji.

Aż dziwne, że coś tak starego może mieć takie ostre krawędzie.

– Przepraszam – powiedział. – Nie chciałem warczeć. Tylko... już u weterynarza miałem potąd tych banałów. Rzygać mi się chce, jak ludzie mówią „chce umrzeć”, a myślą „to by za dużo kosztowało”. A zwłaszcza rzygać mi się chce, jak ludzie mówią „miłość”, a myślą „rachunek”.

Lynne objęła go.

– Nic już nie byli w stanie zrobić.

Stał tak, chwiejąc się delikatnie, niemal nie zwracając uwagi na jej uścisk.

Carol, ileż to ja wydałem kasy, żebyś mogła dalej oddychać? Kiedy postanowiłem, że bijący licznik już nie jest tego wart?

– To zawsze jest „rachunek” – powiedział. I unióś rękę, żeby też ją objąć.

– Chciałby pan czytać w umysłach.

Tym razem to nie był głos Carol. Tym razem należał do tego gościa z Southam... Mosby mu było. Program Mosby'ego siedział w pamięci komputera i dyrygował chórem wychodzących z niego elektronów, żeby brzmiały jak on sam – tani, dźwiękowy klon. Wescott wolał go od oryginału.

– Czytać w umysłach? – zastanowił się. – W sumie, to właśnie próbuję zbudować działający model pewnego umysłu.

– Jak ja?

– Nie. Ty to tylko takie odbajerzone menu. Zadajesz pytania i zależnie od tego, jak odpowiem, idziesz po drzewie do następnych. Jesteś liniowy. Mózgi są bardziej... rozproszone.

– Myśli to nie sygnały, ale przecięcia sygnałów.

– Czytałeś Penthorne'a.

– Teraz go czytam. Mam dostęp po sieci do Biomedical Abstracts.

– Mniam.

– Czytam też Gödla – dodał program. – Jeśli on ma rację, nigdy pan nie dojdzie do dokładnego modelu ludzkiego mózgu, bo żadne pudełko nie jest na tyle duże, żeby pomieścić samo siebie.

– To trzeba model uprościć. Pozbyć się szczegółów, zachować kwintesencję. Zresztą, i tak nie powinien być zbyt duży – jeśli jest tak skomplikowany jak oryginał, to równie trudno go zrozumieć.

– Czyli po prostu obcina pan z mózgu różne rzeczy, aż dojdzie pan do czegoś na tyle prostego, że da się ogarnąć?

Wescott się skrzywił.

– Jak chcesz to przyciąć do krótkiego klipu, to może być.

– I to, co zostało, będzie na tyle złożone, żeby powiedzieć coś ciekawego o ludzkim zachowaniu?

– Popatrz tylko na siebie.

– Tylko „odbajerzone menu”.

– Otóż to. Ale wiesz więcej niż prawdziwy Jason Mosby. I lepiej się z tobą rozmawia. Kiedyś go poznałem. Założę się, że nawet w teście Turinga lepiej byś wypadł. Tak?

Ledwo zauważalna pauza.

– Nie wiem. Możliwe.

– Jak dla mnie, jesteś lepszy od oryginału, choć masz tylko parę procent jego mocy przetwarzania.

– Ale wracając...

– A jeśli oryginał drze się i broni, kiedy ktoś chce go wyłączyć – ciągnął Wescott – to tylko dlatego, że tak go zaprogramowano: żeby myślał, że będzie cierpieć. Bardziej mu zależy, żeby nikt nie przerwał mu podprogramów. Może to nie taka wielka różnica, co?

Program zamilkł. Wescott zaczął liczyć: „sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa, sto dwadzieścia trzy...”.

– Coś mi to przypomniało. – Jeszcze o jedną rzecz chciałem pana zapytać.

Czas reakcji prawie cztery sekundy, a i tak musiał zmienić temat. Miał swoje ograniczenia. Ale wszystko jedno, to niezły program.

– Nic pan nie opublikował z tych badań w VanGen – zauważył przedstawiciel Mosby’ego. – Do wniosku o grant, który dał pan do Rady Naukowej, oczywiście nie mam dostępu, ale sądząc po abstrakcie w sieci, pracował pan na martwych ludziach.

– Nie martwych. Umierających.

– Doświadczenie śmierci? Lewitacja, świetlne tunele, tego typu sprawy?

– To objawy niedotlenienia – odparł Wescott. – Na ogół nic ciekawego.

Zajmowaliśmy się dalszą fazą.

– Czemu?

– Niektóre bazowe przebiegi jest łatwiej zarejestrować, jak reszta mózgu już się wyłączy.

– Jakie przebiegi? Co mówią?

Mówią, Mosby, że umiera się tylko na jeden sposób. Nieważne, co cię zabija, starość, przemoc czy choroba, wszyscy śpiewamy tę samą, kurna, piosenkę, zanim kopniemy w kalendarz. Nie trzeba nawet być człowiekiem – masz korę nową, to witamy w klubie.

I wiesz co jeszcze, Mosby? Prawie jesteśmy w stanie przeczytać tekst piosenki. Zgłoś się osobiście, powiedzmy za miesiąc, a powiem ci, jakie będą twoje ostatnie myśli. Będziesz miał na wyłączność materiał stulecia.

– Panie doktorze?

Zamrugął.

– Słucham?

- Jakie przebiegi? Co mówią?
- A jak myślisz? – rzucił Wescott i znowu zaczął liczyć.
- Myślę – odpowiedział program – że pan obserwuje, jak ludzie umierają. Robi pan różne zdjęcia. Nie wiem po co. Ale nasi czytelnicy też pewnie by nie chcieli wiedzieć.

Wescott milczał przez parę chwil.

- Jaki ty masz numer wersji? – zapytał w końcu.
 - Sześć pięć.
 - Dopiero co cię wypuścili, prawda?
 - Piętnastego kwietnia – odpowiedział program.
 - Lepszy jesteś niż sześć cztery.
 - Cały czas się poprawiam.
- Z tyłu dobiegł go odgłos otwierających się drzwi.
- Stop – powiedział Wescott.
 - Z–zamknąć program czy wstrzymać? – dobiegł z sześcianu głos Carol.
 - Wstrzymać. – Wescott wytrzeszczył oczy na komputer, troszkę zdeprymowany zmianą głosu. Czy im tam w środku nie za ciasno?
 - Słyszysz? – odezwała się Lynne za jego plecami. Obrócił się z fotelem. Zdejmowała buty pod drzwiami.

– Co słyszę?

Przeszła przez pokój.

– To, jak jej głos czasem się tak z–zacina?

Nachmurzył się.

– Całkiem jakby ją bolało, kiedy robiono nagranie – ciągnęła. – Może nawet nie była jeszcze zdiagnozowana. Ale kiedy programowała tę symulację, ona to podłapała. Nie zauważyłeś tego? Przez tyle lat?

Wescott się nie odezwał.

Lynne położyła mu dłonie na ramionach.

– Nie myślisz czasem, że przyszła pora, by wymienić osobowość w tym urządzeniu? – zapytała łagodnie.

– Lynne, to nie jest „osobowość”.

– Wiem. Algorytm rozpoznający wzorce, nic więcej. Ciągłe to powtarzasz.

– Posłuchaj, nie wiem, czemu to cię tak denerwuje. To dla ciebie żadne zagrożenie.

– Nie chodziło mi...

– Jedenaście lat temu ona z tym chwilę pogadała. Więc to ustrojstwo ma jej sposób mówienia. Ale to nie ona. Ja o tym wiem. To po prostu stary system operacyjny, od pół dekady porządnie przestarzały.

– Russ...

– Ten syfiasty programik, który podesłał mi Mosby, jest dziesięć razy bardziej zaawansowany. A w sklepie można sobie kupić symulator psychiki, co pobije go na głowę. Ale mnie zostało po niej tylko tyle, rozumiesz? Mogłabyś przynajmniej pozwolić mi, żebym wspominał ją tak, jak mi odpowiada.

Cofnęła się.

– Russ, ja wcale nie chcę z tobą walczyć.

– To dobrze. – Odwrócił się z powrotem do stacji roboczej. – Wznówić.

– Wstrzymać – powiedziała Lynne.

Komputer czekał w milczeniu.

Wescott powoli nabrał powietrza i odwrócił się twarzą do niej.

– Lynne, ja nie jestem twoim pacjentem. – Mówił wyważonym, pozbawionym intonacji tonem. – Jak nie możesz zostawić pracy w pracy, to chociaż znajdź sobie kogoś innego do praktykowania.

– Russ...

Spojrzał na nią, całkowicie beznamiętnie.

– No dobra, Russ. To do zobaczenia.

Odwróciła się i ruszyła do drzwi. Widział w jej ruchach kontrolowane skurcze mięśni, wyobrażał sobie schodkowo rosnące poziomy aktomiozyny, gdy sięgała po buty.

Idzie, pomyślał zafascynowany. Ja to sprawiłem, swoimi słowami.

Generuję falę w powietrzu, od której u niej w mózgu zapala się milion nerwów, jak poświata od błyskawicy. Ile ona ma operacji na sekundę? Ile bramek się musi otworzyć, zamknąć, przekonfigurować, żeby odrobina tego prądu popłynęła do ręki i kazała jej przekręcić klamkę?

Patrzył, jak misterna maszyna zamyka za sobą drzwi.

Poszła, pomyślał. Znowu wygrałem.

Obserwował, jak Hamilton przypasuje szympana do stołu i nakłada mu elektrody na czaszkę. Szympan był przyzwyczajony do tego zabiegu – poddawano go już takim upokorzeniom i zawsze znosił je w dobrym zdrowiu i humorze. Nie było powodu się spodziewać, że tym razem będzie inaczej.

Jednakże, gdy Hamilton zaciskał paski, małpa człekokształtna zeszywniała i zasyczała.

Wescott wpatrzył się w jeden z monitorów.

– Cholera, denerwuje się.

Przebiegi korowe, zwykle leniwe, rozszalały się na ekranie w epileptycznych skurczach.

– Nie zaczynamy, dopóki się nie uspokoi. Jeśli się nie uspokoi. Cholera. Całe nagranie może być do niczego.

Hamilton pociągnął za jeden z pasów, zaciskając go mocniej. Szympan, z grzbietem przyciśniętym płasko do stołu, wyprężył się po raz ostatni i nagle oklapł.

Wescott spojrział jeszcze raz na ekran.

– No dobra, rozluźnia się. Jedziemy, Pete; wchodzisz za jakieś trzydzieści sekund.

Hamilton uniósł strzykawkę.

– Gotowi.

– Dobra, bazowy przebieg jest... już. Strzelaj.

Igła wbiła się w skórę. Wescotta zastanowiło widoczne na pierwszy rzut oka nieczłowieczeństwo tego stworzenia na stole: za małe, zbyt włochate, nic tylko krzywe nogi i długie małpie ramiona. Maszyna. I tyle.

Jony potasu podskakują sobie w bardzo zminiaturyzowanej centralce telefonicznej.

Jednakże oczy, gdy niechcący w nie popatrzył, odwzajemniły spojrzenie.

– Sygnatura śródmózgowia za pięćdziesiąt sekund – odczytał Wescott. – Plus minus dziesięć.

Tylko maszyna, której się kończy paliwo. Parę nerwów się zatnie i układ myśli, że widzi światła, czuje ruch...

– Mam. Wzgórze – zameldował Hamilton. – Jak w zegarku. Teraz twój siatkowaty. – Przerwa. – Teraz kora nowa. Za każdym razem, kurde, tak samo.

Wescott nie spojrział. Znał już tę prawidłowość. Widział jej charakter pisma w mózgach kilku gatunków, obserwował, jak ten sam znajomy kod przemyka przez umierające umysły na szpitalnych łózkach, w salach operacyjnych i pomiędzy poskręcanyimi blachami wraków samochodowych, jakie się akurat trafiły. Teraz nie potrzebował nawet maszyn, żeby go dostrzec.

Wystarczyło popatrzeć w oczy.

Kiedyś, w przypiływie lekkomyślnego braku dyscypliny, zaczął się zastanawiać, czy czasem nie obserwuje ucieczki duszy, która wychodzi na powierzchnię umysłu niczym wypłukana przez ulewne deszcze

dżdżownica. Innym razem wpadło mu do głowy, że zarejestrował właśnie EEG kostuchy.

Teraz już nie pozwalał sobie na taką niekontrolowaną swawolę. Patrzył tylko na rozszerzające się źrenice i słuchał ostatnich, panicznych jęków monitora pulsu.

Coś za oczyma zgasło.

Gdzie byłeś przedtem? – zastanawiał się.

– Jeszcze nie wiem – powiedział Hamilton obok niego. – Ale jeszcze tydzień, góra dwa i to rozpracujemy.

Wescott zamrugął.

Hamilton zaczął odpinać zwłoki. Po chwili uniósł wzrok.

– Russ?

– On wiedział. – Wescott gapił się w monitory, pełne teraz szumu i płaskich linii.

– Pewnie. – Tamten wzruszył ramionami. – Szkoda, że nie wiemy, po czym one się domyślają. Oszczędzilibyśmy masę zamieszania. – Wrzucił trupa szympansa do plastikowego worka. Rozszerzone źrenice gapiły się na Wescotta w groteskowej parodii ludzkiego zdumienia.

– Russ? Dobrze się czujesz?

Zamrugął. Martwe oczy straciły kontrolę. Uniósł wzrok i zobaczył, że Hamilton wpatruje się w niego z dziwną miną.

– Pewnie. Jak nigdy.

Była tam klatka. Coś się w środku poruszało, coś prawie znajomego, małe, futrzaste ciało, które prawie rozpoznawał. Z bliska jednak zrozumiał swój błąd. To była tylko woskowa kukła, a może jakiś zabalsamowany okaz, do którego nie dobrali się jeszcze studenci. W dziwnych miejscach wchodziły weń rurki, leniwie przenoszące porcje żółtego płynu. Okaz

zzółkł i opuchł, na jego oczach. Sięgnął do niego przez pręty klatki... jakimś sposobem mu się to udało, choć szczeliny miały tylko po kilka centymetrów szerokości... i dotknął. Stworzenie otworzyło oczy i spojrzało na wskroś niego, ślepe i otepiałe z bólu – a źrenic nie miało pionowych, jak się spodziewał, lecz okrągłe, stuprocentowo ludzkie... Poczul, jak ona budzi się obok niego. Nie poruszył się.

Nie musiał patrzeć. Słyszał zmianę w oddechu, prawie czuł, jak jej obwody odpalają, jak spojrzenie wbija się w niego w niemal całkowitej ciemności. Leżał na plecach, patrząc na pełen cieni sufit, i nie zdradził się niczym, że nie śpi.

Odwrócił twarz i wpatrzył się w słabe, szare światło, przedostające się zza okna. Przy odrobinie wysiłku słyszał odległy szum miasta.

Zastanawiał się przez chwilę, czy ona cierpi tak samo, jak cierpiał on; potem dotarło do niego, że w tym konkursie nie ma szans – najsilniejszy ból, jaki był w stanie sobie przypomnieć, był zaledwie posmakiem, wspomnieniem.

– Dzwoniłem dziś do pani weterynarz – odezwał się. – Powiedziała, że nie potrzebowała mojej zgody. Że w ogóle nie byłem tam potrzebny. Mogli go uspić, jak tylko go przyniosłaś, ale im powiedziałaś, że mają tego nie robić.

Nadal się nie poruszyła.

– Skłamałaś. Załatwiłaś to tak, żebym ja musiał tam być, patrzeć, jak jeszcze jeden fragment mojego życia... – nabrał powietrza – ...mi odcinają...

W końcu się odezwała:

– Russ...

– Ale przecież mnie nie nienawidzisz. To czemu kazałaś mi przez to przejść? Raczej myślałaś, że to mi się w jakiś niewiadomy sposób przysłuży.

– Russ, przepraszam. Nie chciałam cię zranić.

– To chyba nie do końca prawda – rzucił.

– No, chyba nie, fakt. – Potem, niemal z nadzieją: – Cierpiałeś, prawda? Zamrugał, bo nagle zapiekły go oczy.

– A jak ci się wydaje?

– Mnie się wydaje, że dziewięć lat temu zamieszkałam z najbardziej troskliwą i czułą osobą, jaką w życiu widziałam. A dwa dni temu nie wiedziałam, czy w ogóle obejdzie ją śmierć zwierzaka, którego miała od osiemnastu lat. Naprawdę nie wiedziałam, Russ. Przepraszam cię, ale musiałam to sprawdzić. Teraz rozumiesz?

Próbował sobie przypomnieć.

– Myślę, że od początku się myliłaś. Że przeceniłaś mnie te dziewięć lat temu. I to znacznie.

Poczuł, jak kręci głową.

– Russ, po tym jak zmarła Carol, bałam się, że ciebie też zaraz trafi szlag. Pamiętam, jaką miałam nadzieję: że nigdy nie będę w stanie tak cierpieć po śmierci drugiego człowieka. Zakochałam się w tobie, bo ty to potrafiłeś.

– No tak, pewnie, kochałem ją. Tak za parędziesiąt tysięcy dolarów, najmarniej. Nigdy nie chciało mi się dokładnie policzyć, ile ostatecznie była warta.

– Nie dlatego to zrobiłeś! Pamiętasz, jak cierpiała!

– Właściwie nie. Napchana była tymi... środkami przeciwbólowymi, wylewały jej się uszami. Tak przynajmniej oni twierdzili. Kiedy zaczęli wycinać jej różne kawałki, była już taka... odrętwiała...

– Russ, ja byłam przy tym. Mówili, że nie ma nadziei, że ona nieustannie cierpi, że będzie chciała umrzeć.

– No tak, tak. Później tak mówili. Jak trzeba było podjąć decyzję. Bo wiedzieli... – Urwał. – Wiedzieli – powtórzył – co chcę usłyszeć.

Lynne obok niego zamarła.

Zaśmiał się raz, cicho.

– Trochę za łatwo mnie jednak przekonali. Powinienem wiedzieć swoje. „Śmierć z Godnością” jest sprzeczna z naszą naturą – życie kopie, trzyma się pazurami, robi wszystko, żeby złapać jeszcze parę oddechów – i tak to jest od ponad trzech miliardów lat. Nie wolno po prostu zdecydować, że mają cię wyłączyć.

Położyła mu rękę na piersi.

– Ludzie cały czas się wyłączają. Aż za często, Russ. Dobrze o tym wiesz.

Nie odpowiedział. Milczenie skaziła daleka syrena.

– Ale nie Carol – odparł po chwili. – Ja podjąłem za nią tę decyzję.

Lynne położyła mu głowę na ramieniu.

– A potem dziesięć lat zadreślałeś się, czy była właściwa. Ale... ci badani to nie ona, Russ, ci wszyscy ludzie, których rejestrowałeś, wszystkie zwierzęta, które żeście... ten... uśpili... to nie ona.

– Nie, nie ona. – Zamknął oczy. – Nie myślę o nich całymi miesiącami. Oni tak nie... marnieją... tak, że wiadomo, że umrą, u nich to zawsze idzie szybko, nie trzeba przychodzić dzień po dniu, nie trzeba patrzeć, jak zmieniają się w coś, co grzechocze przy każdym oddechu, coś, co nawet cię nie poznaje, i tylko czekasz aż...

Otworzył oczy.

– Oj. Zapomniałem, kim jesteś z zawodu.

– Russ...

Odwrócił się ku niej, spokojnie.

– Czemu ty mi to robisz? Myślisz, że sam za mało przeanalizowałem to ze wszystkich stron?

– Russ, ja tylko...

– Bo to nie zadziała, wiesz? Już za późno. Trwało tyle czasu, ale w końcu dowiedziałem się, jak ten mózg działa. I wiesz co? To w sumie nic szczególnego. Nic duchowego ani choćby kwantowego. To tylko parę spiętych ze sobą bramek. Nieważne, że ludzie nie potrafią opowiadać o tym, co mają w głowie. Niedługo to wszystko wyczytamy.

Głos miał spokojny i rozsądny. Wzrok utkwiony w suficie – wydawało mu się, że zgaszona lampa migocze mu przed oczyma. Zamrugał i pokój nagle się rozmazał.

Wyciągnęła dłoń, dotknęła wilgoci na jego twarzy.

– Ty się tego boisz – szepnęła. – Gonileś za tym od dziesięciu lat, a teraz już prawie to masz i boisz się jak cholera.

Uśmiechnął się. Nie chciał na nią spojrzeć.

– Nie. W ogóle nie o to chodzi.

– To o co?

Wziął głęboki wdech.

– Właśnie dotarło do mnie. Czy jest tak, czy owak, tak naprawdę już nie bardzo mnie to obchodzi.

Wrócił do domu, ściskając wydruk, i od razu, widząc nagłą pustkę, poznał, że na tym froncie też przegrał. Stacja robocza spała w rogu. Na jednej z jej ścianek migotało kilka nerwowych odczytów, rzadka, autonomiczna mozaika. Podeszedł do niej; w połowie drogi inna ścianka kostki rozbłysła i ożyła.

Z ekranu popatrzyła nań Lynne, od ramion w górę.

Wescott rozejrzał się po pokoju. Omal jej nie zawołał.

Usta Lynne na szczęście poruszyły się.

– Cześć, Russ.

Zmusił się do parsknięcia śmiechem.

– Nie myślałem, że cię w tym zobaczę.

– W końcu spróbowałam. Miałaś rację, nieźle to poszło do przodu przez ostatnie dziesięć lat.

– To jest prawdziwa symulacja? Nie jakiś wypasiony program konwersacyjny?

– No. Niesamowite. Zeżarła wszystkie możliwe nagrania wideo, wszystkie moje uczelniane i medyczne zapisy, a potem musiałam z nią gadać, aż nabrała orientacji, kim jestem.

A kim jesteś? – zastanowił się w roztargnieniu.

– Zmieniała się na moich oczach, kiedy do niej mówiłam. Aż dziwnie się robiło. Na początku gadała takim monotonnym, martwym głosem, potem zaczęła naśladować mój, razem ze wszystkimi manierami, i zaraz brzmiała jak ja. I już. Od maszyny do człowieka w niecałe cztery godziny.

Uśmiechnął się, niechętnie, bo wiedział, co teraz będzie.

– To... w sumie to wyglądało jakby oglądać przyśpieszone nagranie ciebie z ostatnich paru lat – powiedział wzorzec. – Tylko puszczone do tyłu.

Starał się brzmieć stuprocentowo beznamiętnie.

– To nie wracasz do domu.

– Oczywiście, że wracam. Tylko że to już nie jest dom. Szkoda, nie wiesz, jak bardzo szkoda, ale ty po prostu ciągle siedzisz w tej przeszłości, ja już nie dam rady.

– Dalej nie rozumiesz. To tylko program, który przypadkiem brzmi jak Carol. To nic ważnego. Ja... jak to dla ciebie takie ważne, to mogę go skasować.

– Nie o tym mówię, Russ.

Zastanowił się, czy dopytać o szczegóły, i nie zrobił tego.

– Lynne... – zaczął.

Otworzyła usta. Ale nie do uśmiechu.

– Russ, nie prosź. Nie mogę wrócić, póki ty nie wrócisz.

– Ale ja tu jestem!

Pokręciła głową.

– Kiedy ostatni raz widziałam Russa Wescotta, on płakał. Tak troszeczkę. I pomyślałam... dalej myślę, że szukał czegoś przez dziesięć lat, w końcu to coś mu gdzieś mignęło, ale okazało się za wielkie, więc się wycofał i przełączył się na coś w rodzaju autopilota. Nie mogę go za to winić. Zresztą, ty całkiem udatnie go naśladujesz, naprawdę, tylko nie masz w sobie nic, co by umiało czuć.

Wescott pomyślał o acetylocholinesterazie i opioidach endogennych.

– Mylisz się, Carol. Ja wiem o uczuciach więcej niż ktokolwiek na świecie.

Symulacja Lynne na ekranie westchnęła, mimo lekkiego uśmiechu.

Miała nowe kolczyki – wyglądały jak staroświeckie obwody drukowane. Wescott chciał coś o nich powiedzieć, pochwalić, skrytykować, cokolwiek, żeby przenieść rozmowę na mniej grząski teren. Obawiał się jednak, że ona nosi je od lat, tylko on nic nie zauważył, więc się nie odezwał.

– Czemu nie mogłaś mi sama powiedzieć? – zapytał w końcu. – Na tyle chyba zasługuję? Mogłaś powiedzieć mi osobiście, że odchodzisz?

– To jest osobiście, Russ. To jest najbardziej osobiście ze wszystkich twoich ostatnich kontaktów z ludźmi.

– Gówno! Czy ja cię prosiłem, żebyś poszła i dała się zasymulować? Myślisz, że jesteś dla mnie jakimś animowanym obrazkiem? Jezu, Lynne...

– To nie tylko o mnie chodzi. Dla ciebie wszyscy jesteśmy animowanymi obrazkami.

– O czym ty, do cholery, gadasz?

– Właściwie to nie można cię winić. Po co się uczyć grać w trójwymiarowe szachy, jeśli można je sprowadzić do kółka i krzyżyka? Rozumiesz je w pełni i zawsze wygrywasz. Tylko że gra oczywiście nie jest już taka fajna...

– Lynne...

– Te twoje modele tylko upraszczają rzeczywistość. W ogóle jej nie odtwarzają.

Wescott przypomniał sobie o wydruku w ręce.

– Oczywiście, że odtwarzają. Przynajmniej w przybliżeniu.

– No to... – Obraz spuścił na moment wzrok. Niesamowite, że potrafi tak udawać kontakt wzrokowy i przerywać go... – No to masz swoją odpowiedź.

– My mamy odpowiedź, Lynne. Ja, parę terabajtów programów i kupa współpracowników. Ludzie. Którzy pracują ze mną, twarzą w twarz.

Znowu uniosła wzrok, a Wescott zdumiał się, że program potrafił odwzorować nawet nagły smutny blask jej oczu w takiej chwili.

– No i jaka jest ta odpowiedź? Co jest na końcu tunelu?

Wzruszył ramionami.

– Właściwie nic. Rozczarowanie.

– Szkoda, że nie coś więcej, Russ. Bo to zabiło nasz związek.

– Możliwe też, że to wszystko to był tylko artefakt badawczy. Stary, dobry efekt obserwatora. Zdrowy rozsądek powiedziałały nam tyle samo. Mogłem oszczędzić sobie tylu...

– Russ.

Nie spojrzał na ekran.

– Bo tam w środku w ogóle nic nie ma – powiedział w końcu. – Nic myślącego. W ogóle mi się tam nie podobało, to tylko... czysty instynkt,

tam w środku. Pozostałość z czasów, gdy układ limbiczny był całym mózgiem. Teraz to tylko robotnik niewykwalifikowany. Mały element całości, do odwalania wszystkich tych autonomicznych pierdoł, którymi zarozumiała kora nowa nie chce się zajmować. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że on jest na swój sposób... żywy...

Jego głos ucichł. Duch Lynne czekał w milczeniu, może nie stać go było na odpowiedź. A może był tak zaprogramowany, żeby nie odpowiadać.

– Umiera się od zewnątrz do środka, wiedziałaś? – zapytał, gdy cisza zaczęła ranić mocniej niż słowa. – I potem, tylko przez chwilę, twój umysł, jak kiedyś, składa się tylko z tego środka. A tam nikt nie chce... i wychodzi na to, wiesz, że nawet samobójcy sami siebie oszukiwali. Takie intelektualne gierki. Tacy jesteśmy, kurwa, dumni, że potrafimy zamyśleć się na śmierć, że zapomnieliśmy o tym starym, gadzim mózgu w środku, tym, co nie kalkuluje sobie: etyka, jakość życia, ciężar dla rodziny, on po prostu chce żyć, tylko do tego jest zaprogramowany, rozumiesz? I na samym końcu, kiedy już nas nie ma, żeby przywołać go do porządku, on się budzi, rozgląda i w ostatniej chwili wie, że został oszukany i... krzyczy...

Wydało mu się, że ktoś wypowiedział jego imię, ale nie podniósł wzroku, by to sprawdzić.

– I ciągle nam to wychodziło. Że coś budzi się po stu milionach lat, śmiertelnie przerażone...

Te słowa zawisły mu przed twarzą.

– Nie wiesz tego na pewno. – Jej głos był chłodny, ledwie znajomy, z nutą niespodziewanej niecierpliwości. – Sam powiedziałeś, że to mógł być artefakt. Może ona wcale tego nie czuła. Nie masz tych danych.

– To nieistotne – mruknął. – Białkowy program zawsze umiera tak samo...

Uniósł wzrok na ekran.

I ten obraz tam, niech go szlag trafi, płakał, fosforyzujące łzy spływały po sztucznych policzkach w jakiejś nieprzyzwoitej parodii tego, co zrobiłaby Lynn, gdyby była tu we własnej osobie. Wescott nagle znienawidził ten program, który płakał za nim, dokładność jego maszynowej intuicji, precyzję fałszerstwa. I prosty fakt, że ten program ją znał.

– Nic takiego – powiedział. – Tak jak mówiłem, wielkie rozczarowanie. A tak w ogóle, to pewnie musisz iść i zameldować się do swojego... ciała...

– Jeśli chcesz, mogę zostać. Wiem, Russ, jak ci teraz ciężko.

– Nie, nie możesz. – Wescott się uśmiechnął. – Lynne może by mogła. A ty jesteś tylko serią odczytów z jakiejś psychologicznej bazy danych. Ale prawie ci się udało.

– Nie muszę iść, Russ...

– Ej, przecież ja już nie jestem Russ. Nie pamiętasz?

– ...jeśli chcesz, możemy rozmawiać dalej.

– Jasne. Dialog karykatury i autopilota.

– Nie muszę od razu iść.

– Algorytm ci wystaje – powiedział, wciąż uśmiechnięty. A potem dodał obcesowo: – Stop.

Kostka pociemniała.

– Zamknąć program czy wstrzymać? – zapytała Carol.

Przez chwilę stał, nie odpowiadając, gapiąc się w tę czarną, bezpłciową kostkę z pleksiglasu. W środku widział tylko własne odbicie.

– Zamknąć – odpowiedział w końcu. – I usunąć.

Fraktale

Wtargnięcie? Jakie wtargnięcie? Ja tu kiedyś mieszkałem, ty bezczelny obcy skurwielu z kosymi oczami!

Od jak dawna chciałem to zrobić? Od ilu lat ich nienawidziłem i marzyło mi się, by moje pięści stłukły te ich twarze na coś jeszcze mniej ludzkiego? Nie pamiętam. Ta złość jest przewlekła. Zawsze była przewlekła. I bezradna, do niedawna. Ból w knykciach pulsuje jak jakieś nieokreślone zaszczytne odznaczenie.

Zimno jest.

Złość przeszła, jakimś sposobem wchłonęło ją to błoto, nieoświetlone stosy drewna i cegieł. Ledwie jestem w stanie skupić się na otoczeniu. Kontury ciągle się zmieniają, potężne, kanciaste potwory przemierzają się ze wszystkich stron. Tylko ta tablica z przodu działki, na którą cały czas pokazywał, nie chce się nigdzie ruszyć.

Ledwo go widzę w ciemności. Jest o parę metrów ode mnie, ale te cienie są takie czarne, a on w ogóle się nie rusza. Co będzie, jeśli go zabiłem? Jeśli...

O. Poruszył się trochę. Czyli w porządku, nie zabiłem go, nie umarł...

Ale. Co będzie, jeśli umrze w tym błocie?

(Wielkie mi co. Tam, skąd przyszedł, jest ich jeszcze cała kupa). Nie. Wcale tak nie myślę. Nigdy nie myślałem, naprawdę, bo co będzie, jeśli on tam umrze, jeśli... Co będzie, jak przeżyje i mnie rozpozna?

Parę kroków naprzód. Jeszcze parę. Dobra, mniej więcej tu stał, jak mnie zobaczył, a potem podszedł tutaj i zaczął krzyczeć...

Nie widział mojej twarzy. Nawet kiedy podszedł bliżej, było tak ciemno, że widział tylko sylwetkę, a potem już dosłownie wszedł na mnie i...

Upiecze mi się. Na pewno mi się upiecze. O Boże, nie mogę uwierzyć, że zrobiłem coś takiego...

W końcu to plac budowy; samochód doda jeszcze jeden ślad do plątaniny setek innych. Najbliższy dom jest za kolejną przecznicą, a cały koniec drogi nieoświetlony.

Mam szczęście: żadnych świadków.

Auto startuje od razu, bez wahania. Zjeżdżam do centrum.

Całkiem jakbym to wszystko zaplanował. Na swój sposób czuję się tak, jakbym ćwiczył to wielokrotnie. Jestem oczyszczony. Taka ulga, nie czuć tego ognia, móc rozluźnić zaciśnięte zęby, poczuć, jak ustępuje twardy supeł napięcia w żołądku. W pewnym sensie czuję się wolny. Chociaż nie jestem zadowolony. Ale przynajmniej zadziałałem, zrobiłem coś od serca, i wreszcie czuję się osobiście spokojny.

(A co, jeśli on tam umrze?).

Zatrzymam się przy pierwszej budce. Pogotowie... przyjeżdżają na anonimowe wezwania, prawda? A na razie muszę uważać, żeby nie schodzić z tej maty, która leży na błocie. Na wszelki wypadek. Kiedy wrócę do domu, Joanne może jeszcze nie spać. Stanę na stacji i wszystko spłuczę.

Ładne okno. Ładny widok. Zawsze podobały mi się lasy, choć w życiu nie widziałem tylu wiewiórek, jeleni i ptaków upchniętych na tak małej przestrzeni. Ale kim ja jestem, żeby narzekać na realizm? Znajduję się dwadzieścia pięter ponad Robson Street i mam przed oczyma las deszczowy, więc co się mam przejmować szczegółami? Zresztą, to już nie jest las deszczowy. Teraz to alpejska łąka. Ona dotyka przycisku na parapecie i cały świat się zmienia.

Przechodzę przez salę; kamienie i wrzosa ukazują się, przesuwały za oknem, znikają zasłonięte drugą krawędzią. Podchodzę bliżej, pole widzenia się poszerza. Z nosem przytkniętym do szyby widzę na sto osiemdziesiąt stopni i wszystkie osie trzech wymiarów. Tuż za oknem, w nagłym powiewie wiatru burzy się eksplozja kwiatów.

Ona jednak pstryka przełącznikiem i świat znika, już nie ma okna, tylko płaski, szary ekran i fałszywy parapet.

– Niesamowite – mówię lekko zdumiony.

Nie jest w stanie powstrzymać dumy w głosie:

– To rewolucja. Istnieją inne płaskie monitory, ale sam widzisz różnicę.

– A jak to działa? To trójwymiarowe nagranie, czy coś?

Uśmiecha się szerzej.

– Nic z tych rzeczy. Wykorzystujemy do tego fraktale.

– Fraktale.

– No wiesz, te takie psychodeliczne wzroki, co drukują na kalendarzach i komputerowych plakatach.

Racja. Coś tam z teorii chaosu.

– Ale co to właściwie są...

Śmieje się.

– Ja tylko to demonstruję. Software napisał dla nas taki gość z uczelni, on ci opowie ze szczegółami. Jeśli uważasz, że twoich czytelników to zainteresuje.

– Mnie interesuje. Jeśli nie jestem w stanie ich też zainteresować, to co ze mnie za dziennikarz?

– No dobra, to dam ci jego namiary – mówi. – Powiem, że przyjdiesz. Powinien dać radę coś zorganizować w przyszłym tygodniu, tak mniej więcej.

Wypisuje nazwisko na odwrocie swojej wizytówki i podaje mi ją.

Roy Cheung, jest tam napisane. Czuję krótki, nagły skurcz w gardle.

– Ostatnie pytanie – odzywam się. – Kogo będzie stać na coś takiego?

– Najprostsze modele będą w detalu kosztować jakieś trzydzieści tysięcy. Kupa firm zechce powiesić sobie coś takiego w foyer i tak dalej. Liczymy też na klientów indywidualnych o wysokich dochodach.

– O ile w ogóle tacy jeszcze istnieją.

– Zdziwiłbyś się. Od tej fali przyjazdów z Hongkongu znacznie przybyło ludzi, którzy mogą sobie pozwolić na tego typu produkty.

Biedna mała. Nie odrobiliście badań rynkowych, co? Bo wiedzielibyście dokładnie, co ta wasza zamożna klientela sądzi o naturze. Dla nich to sztuka abstrakcyjna. W całym Hongkongu pewnie nie ocalało ani jedno źdźbło trawy. Większość tych gości nie poznałaby drzewa, gdyby przebiło im się przez okno apartamentu i napłuło tlenem na wszystkie ściany.

Zresztą nieważne. Za parę lat my też nie poznamy.

– Pogotowie, Izba Przyjęć.

– Eee... dzień dobry. Chciałbym się dowiedzieć, czy wczoraj przyjmowaliście może ofiarę pobicia.

– Przykro mi, ale musi pan konkretniej. Ofiarę pobicia?

– No... czy przywieziono do was kogoś z ranami głowy, mężczyznę, rasy żół...

– A bo co? – Głos nagle przybiera ostry ton. – Czy pan coś wie o pobiciu niezgłoszonym na policję?

– Nie, no... – Rozłącz się, debilu! Nic ci z tego nie przyjdzie! – Nie, no... na pewno musiało być zgłoszone, skoro ładowali go do karetki. Słabo wyglądał. Po prostu ciekaw jestem, jak tam z nim.

Tia. Jasne. Bardzo wiarygodne.

– Rozumiem. A gdzie to się stało?

– Północny Vancouver. Gdzieś chyba koło... Cumberland, czy coś...

– I pewnie nie zna pan nazwiska ofiary?

– No nie, jak mówiłem, patrzyłem, jak go odwożą, i tak się zastanawiałem...

– To bardzo... miło z pana strony – mówi. – Ale nie wolno nam ujawniać takich informacji nikomu poza najbliższą rodziną.

Jezus Maria, kobieto, ja tylko chcę wiedzieć, jak on się czuje, nie interesują mnie jakieś tajemnice państwowe!

– Rozumiem, ale...

– Zresztą i tak nie przyjmowaliśmy tutaj nikogo, kto by pasował do pana opisu. Mówi pan, że na Cumberland?

Może śledzą połączenie? Miałoby to sens. Może na liniach do szpitala mają to włączone na stałe? Założę się, że nie ja jeden robię takie rzeczy...

– Proszę pana? Cumberland, tak?

Rozłączam się.

Joanne porusza się, gdy wchodzę do ciemnej sypialni.

– Coś ciekawego w wiadomościach?

– Nie za bardzo.

W każdym razie nic o nieznanym sprawcy napadu na północnym brzegu. Może to i dobrze. Chyba, gdyby był trup, to coś by wspomnieli?

Po omacku wchodzę do łóżka.

– Aaa, wiesz co? Indianie Musqueam planują wielką demonstrację w sprawie tych spornych ziem. Blokady dróg i w ogóle.

Dopasowuję się do kształtu pleców Joanne.

– Muszą nas nienawidzić do szpiku kości – mówię jej w kark.

Odwraca się twarzą do mnie.

– Kto? Musqueamowie?

– Na pewno. Ja bym nienawidził.

Prycha drwiąco.

– Bez obrazy, skarbie, ale byłoby bardzo źle, gdyby więcej ludzi myślało tak jak ty.

Nauczyłem się traktować takie uwagi jak komplementy, choć to bardzo rzadko jest jej zamiarem.

– No cóż, jeśli to, że ktoś ci wykradł spod dupy dom i kulturę, nie jest powodem do nienawiści, to nie wiem, co by nim było. – Przez moment się powstrzymuję, potem postanawiam zaryzykować. – Ciekawe, czy są przez to rasistami.

– Ooo. Wstydzilibyś się. – Grozi mi palcem, który ledwie widzę w ciemności. – Ofiary rasizmu przecież same nie mogą być rasistami. No skąd, skoro coś takiego przyszło ci do głowy, na pewno sam jesteś rasistą. Proszę poczekać, zadzwonię po Komisję Praw Człowieka. – Zamiast tego jednak całuje mnie. – A w ogóle to jestem zbyt zmęczona. Udzielam panu tylko ostrzeżenia. Dobranoc. – Mości się z powrotem, plecami do mnie.

Ja nie chcę spać, jeszcze nie. Muszę powiedzieć na głos parę rzeczy, rzeczy, od których nawet nie jestem w stanie myśleć, żeby nie przywołać pewnego subtelного, chronicznego lęku. Nie lubię ukrywać przed nią takich rzeczy.

To już trzy dni i milczenie rozlewa się po mnie jak gangrena.

Tyle że nie mogę jej powiedzieć. Wszystko bym zniweczył. Jak wiele mogę zaryzykować w nadziei, że udzieli mi rozgrzeszenia?

– Dzisiaj na Denman widziałem takie graffiti – próbuję. – „Biali won z Vancouver. Kanada dla ludów azjatyckich”.

Jej plecy poruszają się w delikatnym rytmie oddechu. Mruczy coś w poduszkę.

– Co powiedziałaś? – pytam.

– Powiedziałam, że sukinsyny są po obu stronach. Śpij już.

– A może to prawda.

Stęka, pokonana – jeśli chce się dziś przespać, będzie musiała mnie wysłuchać.

– Co prawda? – Wzdycha.

– Może faktycznie nie ma miejsca dla wszystkich naraz. Jechałem dzisiaj autobusem, był pełen tych Chinoli i nic nie rozumiałem, co oni mówią...

– Co się przejmujesz. Do ciebie pewnie nie mówili.

„Nie” – mam ochotę powiedzieć – „nie mieli potrzeby. My się dla nich nie liczymy”.

Nasze staroświeckie wartości i estetykę mogą sobie kupić równie łatwo jak Północny Brzeg. Czy mnie nie wolno się tego bać? Czy kiedy my się boimy o własny styl życia, z automatu zarabiamy etykietkę rasistów? Co, nawet nam nie wolno...

...spuścić sukinsynom wpierdolu gołymi rękami...

Jest tu coś jeszcze.

Leży pomiędzy nami, w ciemności i jest niewidzialne. Joanne mogłaby się teraz odwrócić i nic by nie zobaczyła, podobnie jak ja, skądś jednak wiem, że to coś gapi się prosto na mnie i szczyrzy zęby...

Joanne siada bez słowa. Jakby obudziła się od mojej mimowolnej gonitwy myśli. Odwraca się, patrzy na mnie, bez chwili wahania przenika przez to coś między nami, przebija się twarzą przez niewidzialny uśmiech i zastępuje go swoim.

– Gdybyś nie mieszkał z czarnom kobietom – mówi ze swoim najlepszym akcentem Cioci Jemimy z reklamy syropu klonowego – powiedziałabym, że samześ rasistom jak cie mogle. – Szczypie mnie w nos.

– A tak, myślę, że po prostu się nie wyspałeś. – Kładzie się z powrotem, z ramieniem przełożonym przez moją pierś.

Znowu jesteśmy sami. W sąsiednim pokoju Sean cicho pokasłuje przez sen.

Knykcie świerzbią mnie delikatnie, wspominkowo.

Ciekawe, czy miał rodzinę.

Kimkolwiek byłeś, ja cię...

...przepraszam...

Już prawie pora na spotkanie z Royem Cheungiem. Od dwóch godzin łączę po ulicach w centrum, patrząc, jak poranne korki zestalają się wśród rzadkiego, topniejącego śniegu. Liczyłem najeźdźców. Śpieszą pomiędzy nami, mieszają się z tłumem, ale się w niego nie wtapiają, głowy spuszczone od chłodu tego obcego dla nich klimatu. Czasem odzywają się do siebie. Czasem nawet w naszym języku. Najczęściej jednak nic nie mówią.

Na mnie nie patrzą w ogóle.

Nie zawsze tak się czułem – jestem prawie pewien. Były czasy, kiedy wszyscy byliśmy po prostu ludźmi, a ja wiedziałem dokładnie, jak wygląda rasizm: jeździł poobijanym fordem pickupem, z wystawionym przez tylne okno karabinem. Rzucał butelkami po piwie w znaki stopu i nie myślał; bełkotał tylko.

Teraz jednak statystyki i ksenofobia pogodziły się na dobre. Codziennie ląduje parę samolotów i równowaga znów się odrobinę przesuwa.

Wokół nas rosną azjatyckie majątki, przelatując niewidzialnym błyskiem z banku do banku, rykoszetując po łączach satelitarnych wysoko nad połacią Pacyfiku.

I zasypując nas. Któż by się nie bał? Cały mój świat przechyla się na wschód.

Przy czym takiej nienawiści nikt mnie nie uczył. Samo się stało.

Trochę jakby odkryć, że się jest wilkołakiem, nie?

Na ścianie gabinetu Roya Cheunga wisi plakat upamiętniający Międzynarodową Konferencję Grafiki Komputerowej 1995. Pod nim, z małego radyjka leci country and western. Częściowo zasłania je wielka, rozłożysta paprotka w wiszącej doniczce. Zastanawiam się, jak to się mu udaje. Za każdym razem, gdy ja kupię jakąś cholerną roślinę, zdycha mi w tydzień.

Blatu biurka prawie nie widać spod masy wydruków i największego monitora, jaki w życiu widziałem. Na ekranie wiruje spiralna galaktyka. Wygląda, jakby była zrobiona z opalizujących banieczek mydlanych, ułożonych z niewyobrażalną precyzją.

– To fraktal – mówi Cheung. – Piękny, prawda?

Mówi bez śladu akcentu, dokładnie jak ja.

Siada do klawiatury.

– Proszę patrzeć uważnie. Podkrecę powiększenie, przybliżę tylko jeden z tych węzłów. Tak jakby jedną gwiazdę z tej galaktyki.

Obraz rozmazuje się i wyostrza na nowo. Na ekranie wiruje spiralna galaktyka.

– To ten sam obraz – mówię.

– Niezupełnie. Jest parę różnic, ale w sumie jest dość podobny. Tyle że, jak mówiłem, patrzymy teraz tylko na jedną gwiazdę z tej galaktyki.

– Ale ona jest całą...

– Teraz powiększymy sobie jedną gwiazdę z tej galaktyki.

Na ekranie wiruje spiralna galaktyka.

Coś mi świta.

– To jest to, co się nazywa „samopodobieństwo”?

Kiwa głową.

– Właściwy termin to „niezmienniczość względem skali”. Można na to patrzeć przez mikroskop i przez teleskop, wszystko jedno: w każdej skali wzór jest w zasadzie taki sam.

– A w jakiej skali dostajemy te obrazy natury? – W moim głosie nie ma ani śladu napięcia. Nawet się uśmiecham.

– W każdej. Ten fraktal jest generowany bardzo prostym równaniem, numer polega na tym, że ono ma takie właśnie cykle. Wynik jednej iteracji jest parametrem następnej. Nie trzeba zapamiętywać całego obrazu. Wystarczy zapamiętać parę równań i dać komputerowi to wygenerować, krok za krokiem. Można otrzymać niesamowicie szczegółowy obraz, który prawie nie wymaga pamięci.

– Mówi pan, że umiecie naśladować naturę na ekranie za pomocą paru prostych równań?

– Nie. Mówię, że natura składa się z paru prostych równań.

– Proszę mi to udowodnić – mówię, nadal z uśmiechem. Przez chwilę widzę go na wpół skrytego w ciemności, ręce wyrzucone w górę w bezskutecznej obronie, twarz rozbita na miazgę i krwawiąca.

Potrząsam głową, żeby wyprzeć ten obraz. Trzyma się uparcie.

– ...kształt drzewa – mówi. – Pień rozdziela się na konary. Te na mniejsze gałęzie. W końcu na gałązki. W każdej skali prawidłowość jest taka sama.

Wyobrażam sobie drzewo. Nie wygląda specjalnie matematycznie.

– Albo pana płuca – ciągnie Cheung. – Tchawica, oskrzela, oskrzeliki, pęcherzyki. Albo układ krwionośny. Albo wzrost kryształu. Pojedyncze

zjawisko jest proste, a ta sama rzecz dzieje się jednocześnie w kilkunastu różnych skalach.

– Czyli pan mówi, że drzewa są fraktalami? Kryształy są fraktalami?

Kręci głową, szczerząc się od ucha do ucha.

– Przyroda jest fraktalna. Pan jest fraktalny. – Ma minę jak świeżo nawrócony. – I wykorzystanie tego do kompresji obrazów to pikuś. Można to wykorzystać w meteorologii, albo... momencik, pokażę panu, nad czym pracuję dla kliniki.

Czekam, podczas gdy Cheung stuka w klawiaturę. Ciszę wypełniają głosy z radia. Audycja, do której dzwonią słuchacze – jakaś kobieta skarży się prezenterowi na karambol z udziałem trzech aut przed jej domem. Sąsiad z rana zmył wodą z węża śnieg z podjazdu – woda spłynęła i zamarzała, zamieniając drogę w nachylone pod kątem dwudziestu stopni lodowisko.

– Przyjeżdżają z tego Hongkongu i myślą sobie, że wszędzie jest taki sam klimat – narzeka słuchaczka.

Prezenter nic nie mówi. Zresztą, co miałby powiedzieć? Jak ma z nią sympatyzować, żeby nie dostać etykiety rasisty? Może i tak coś powie. Może nazwie rzecz po imieniu, może wydawcy i cenzorzy jeszcze nie do końca go stłamsili. No dawaj, szmaciarzu, wszyscy tak myślimy, czemu tego nie powiesz na głos...

– Co za debil – mruczy Roy Cheung.

Mrugam.

– Co?

– To, to jeszcze drobiazg – mówi mi. – To tylko jakiś głupek, co dotąd lód widział tylko w szkockiej. My też mamy takich sąsiadów, całą cholerną rodzinę, co zjechała z Hongkongu parę lat temu, i cały czas są z nimi problemy. W zeszłym roku, latem, ścięli nam żywopłot.

– Słucham? – Dziwnie słyszeć, jak Cheung wypiera się swoich.

– Moja żona ma takie hobby, ogrodnictwo, ten żywopłot na naszej działce hodowała wiele lat. Piękny był, cztery metry z hakiem, idealnie uformowany. Któregoś dnia przyszła do domu, a ci goście wynajęli kogoś, żeby przyszedł i wszystko ściął piłą. Powiedzieli, że gnieździły się w nim złe duchy.

– Pozwał ich pan, czy coś?

Cheung wzrusza ramionami.

– Pewnie, że chciałem. Ale Lana mi nie pozwoliła. Nie chciała dalszych kłopotów. Moje zdanie? Chętnie bym ich wszystkich zapakował i wysłał z powrotem.

Zbieram myśli.

– Ale czy pan też, eee... nie pochodzi...?

– Urodziłem się tutaj. Piąte pokolenie.

Ja sam jestem tylko trzecim.

I nagle widzę w tych dziwnych oczach pokrewieństwo, wspólną niechęć. Jakże on musi się czuć, idąc przez życie w takiej skórze, z takimi włosami, nosząc te symbole dziedzictwa porzuconego kilkadziesiąt lat temu? Roy Cheung, ofiara odpowiedzialności zbiorowej, pewnie nienawidzi ich bardziej niż ja. Prawie sojusznik.

– Swoją drogą – mówi – mam to, co chciałem panu pokazać.

Chwila przemija. Na monitorze pojawia się coś nowego, czerwonego, bezkształtnego i w nieokreślony sposób groźnego.

Rośnie: poszarpana bryła, wypuszczająca losowe nibynóżki, zaczyna pokrywać pół ekranu.

– Co to jest? – pytam.

– Nowotwór.

Wcale nie jestem zdziwiony.

– Nowotwór też jest fraktalny – mówi Cheung. – Tu mamy model raka wątroby, ale sposób wzrostu jest we wszystkich taki sam. Dowiadujemy się, jak rośnie. Lepiej to wiedzieć, zanim się go zabije.

Patrzę, jak się rozrasta.

Pawiany. W naszym telewizorze, dzięki National Geographic i PBS, biegają sobie pawiany. My, bardziej cywilizowane naczelne, siedzimy i oglądamy je z dyskretnej odległości. Sean, hiperaktywna czterolatka, podskakuje na dywanie; Joanne i ja wolimy kanapę. Zza niskiego stolika zastawionego seczuańskim jedzeniem na wynos zerkamy na resztki prawdziwego świata.

Gdzieś w puszczech środkowej Afryki, na wierzchołkach drzew właśnie odbył się zamach stanu; nowy samiec alfa przechadza się po włościach. Robi inspekcję stada, przygląda się samicom, ogląda dzieci.

Szczególnie dzieci. Podchodzi do każdego po kolei, przesuwa po głowach wielką włochatą łapą, obwąchuje łagodnie, po ojcowsku, szukając jakiegoś podobieństwa, jakiegoś kluczowego zapachu zdradzającego jego krew w tych małych ciałkach – ale nie, ten tu nie ma żadnych moich genów i ŁUP, głowa malucha odskakuje tam i z powrotem jak kula na sznurku i TRACH łapki jak patyczki zginają się w całkiem nowych miejscach, a Pan Ważny wydziera małego trupka wrzeszczącej matce i ciska go w dół, w leśne poszycie dwadzieścia metrów niżej.

Sean nagle patrzy zahipnotyzowana, Joanne zerka na mnie z powątpiewaniem.

– No, nie wiem, czy chcemy to oglądać przy... ehem... przy jedzeniu...

Życie nie zawsze jest tak pozbawione tolerancji, tłumaczy pośpiesznie narrator. Ten sam samiec zginąłby, broniąc tych bękartów przed

zewnątrznym zagrożeniem, drapieżnikiem czy konkurencyjnym stadem, przed czymkolwiek, co byłoby spokrewnione z nim mniej niż one.

Lojalność jest koncentryczna. Bronisz swojego gatunku przed innymi.

Bronisz swojej rodziny przed swoim gatunkiem. Bronisz swoich genów przed swoją rodziną. Z braku większego zagrożenia, niszczysz mniejsze.

I nagle, z niemal słyszalnym pstryknięciem, wyostrza mi się cały świat. Rozglądam się, zaskoczony – nikt inny nie zauważył zmiany. Na powierzchni zresztą nie zmieniło się nic.

Moja rodzina jest szczęśliwie nieświadoma objawienia, które przeżyłem.

Teraz coś rozumiem. To tak naprawdę nie była moja wina.

Zejść odpowiednio głęboko – i wszyscy jedziemy tym samym programem.

Każda komórka zawiera kompletny projekt – konstrukcję, hydraulikę, schematy ideowe, a wszystko to upchnięte w skręconą spiralnie nitkę cukrów i zasad, która mówi nam, kim mamy być. Cóż to za głupia, ślepa arogancja – myśleć, że parę ogniskowych piosenek jest w stanie odkręcić cztery miliony lat ewolucji. „Niemoralne” – skandujemy. – „Politycznie niepoprawne, społecznie nieakceptowane”. Ale nasze geny się na to nie nabierają.

Są o wiele mądrzejsze od nas. Wiedzą: napotkaliśmy wroga i on nie jest taki jak my. Ewolucja, wzór cierpliwości, nakłania nas do samoobrony.

Ta moja wrogość jest wbudowana głęboko. Czy jestem winien, skoro plan każe mieć coś, co nienawidzi?

Co to ma być? Znowu zmienili przynętę?

To nie może być łatwe zajęcie, nakłonić nas przekupstwem do czytania. Co tydzień próbują – w hallu pojawia się nowa wystawka, wyraźnie

widoczna przez szyby dla przechodniów, kolejna kolorowa reklama mająca zwabić do biblioteki niedomyte masy.

Na mnie to nie działa. Ja przyszedłem po coś zupełnie innego.

Chociaż, co mi, kurde, szkodzi, czytelnia czasopism będzie otwarta jeszcze długo. A dzisiejsza wystawka jest nieco bardziej kolorowa niż zwykle.

Zobaczmy...

Narysowane kredką prymitywne ludziki z kresek, czerwone, żółte, białe i czarne, trzymające się w kole za ręce. Plakaty, profesjonalne, ale równie łopatologiczne, z uśmiechniętymi do siebie Chińczykami i białymi w budowlanych kaskach. W powietrzu jest aż lepko od słodyczy i światła; czuję pierwsze pomruki cukrzycy.

Przysuwam się bliżej do tablicy. Wyraźny, widoczny podpis: *Patronat Komisji Praw Człowieka Kolumbii Brytyjskiej*.

Oni wiedzą. Mają te swoje ankiety, swoje barometry, czują, jak narasta społeczny opór, i chcą go zwalczyć wszelkimi środkami.

Obchodzę wystawę. Czuję się trochę jak wampir w kościele. Choć te symbole tutaj są słabe: i czosnek, i święte krzyże mają w sobie coś z desperacji. Przegrywają – i zdają sobie z tego sprawę.

Taka słabiutka propaganda nie zmieni naszych uczuć.

Zresztą, co się oni przejmują, co my myślimy? Za parę lat już w ogóle nie będziemy się liczyć.

W rogu najbliższej tablicy wisi przypięty wycinek z gazety. Ze starego wydania „Globe and Mail”, rok 1986.

„Reagan zapewnił Gorbaczowa o pomocy w przypadku ataku cywilizacji pozaziemskiej”, mówi nagłówek.

To prawdziwe?

Wygląda na to, że tak. Ówczesny prezydent Reagan, w chwili natchnienia, naprawdę powiedział Gorbaczowowi, że gdyby obcy kiedykolwiek zagrozili Ziemi, wszystkie państwa powinny działać razem i zapomnieć o podziałach ideologicznych. Najwyraźniej sądził, że jest w tym jakiś morał.

– Jedno z niewielu inteligentnych zdań, które wypowiedział w życiu Reagan – odzywa się ktoś koło mojego łokcia.

Odwracam się. Pani jest wyelegantowana; w jednej klapie ma plakietkę rządu Kolumbii Brytyjskiej, w drugiej znaczek przedstawiający Ziemię otoczoną słowami: „Wszyscy jedziemy na jednym wózku”.

Przynajmniej jest jedną z nas.

– I miał rację – odpowiadam. – Wystarczy zagrozić całej ludzkiej rasie i wszystkie wewnętrzne kłótnie wydają się drobiazgiem.

Kiwa głową z uśmiechem.

– Dlatego to tutaj powiesiłam. Nie jest częścią prezentacji, ale pomyślałam, że pasuje.

– Oczywiście nie mamy do dyspozycji obcych z kosmosu, żeby ich nienawidzić. Ale to nic takiego. Zawsze gdzieś się znajdzie jakiś wróg.

Uśmiech trochę przygasa.

– Do czego pan zmierza?

– Jak nie obcy, to Ruscy. Jak nie Ruscy, to jakaś miejscowa mniejszość. Byłem kiedyś na wyspie, na której poławiacze homarów z północy, wszyscy, nienawidzili rybaków z południa. Dla mnie byli nie do odróżnienia, większość zresztą była ze sobą spokrewniona, ale musieli przecież kogoś nienawidzić.

Cmoka i kręci głową.

– Oczywiście, obie strony w zgodzie nienawidziły przybyszy spoza wyspy – dodaję.

- Oczywiście.
- Jedna ludzka istota, cały gatunek, albo dowolna grupa pomiędzy – prawidłowość jest taka sama, prawda? Całkiem jakby nienawiść była...
Widzę te galaktyki w galaktykach.
- ...niezmiennicza względem skali – kończę powoli.
Patrzy na mnie, trochę dziwnie.
- Hm...
- Ale jest w tym także wiele pozytywów. Ludzie potrafią współpracować, jak już muszą.
Uśmiech wraca powoli.
- Właśnie.
- Jak ci Indianie. Dogadali się, żeby ratować swoją kulturę, zapomnieli o różnicach. Hajda przestali nawet brać niewolników z innych szczepów.
Teraz w ogóle się nie uśmiecha.
- Haidowie – mówi – nie brali innych w niewolę od wielu pokoleń.
- No tak, racja. Ukróciliśmy to... chyba jeszcze zanim zakazaliśmy potlaczu, prawda? Ale kiedyś będą chcieli znowu zacząć. Rozumie pani, niewolnictwo było integralną częścią ich kultury, a my musimy bronić integralności innych kultur wśród nas, prawda?
- Chyba trochę się panu pomieszały fakty – mówi powoli.
- Oj, to przepraszam. Myślałem, że jesteśmy społeczeństwem wielokulturowym. Myślałem, że Kanadyjczycy mają... – zauważam pogrubiony tekst parę tablic dalej – „...pozwalać na rozkwit różnych kultur obok siebie, bez narzucania im własnych norm moralnych i etycznych”.
- W granicach prawa – mówi. Czeka, ale już jest nieufna, nie chce mówić dalej.
- Czyli, jako kobieta, na pewno jest pani zadowolona, że muzułmańscy mężczyźni nie będą musieli u nas rezygnować z tradycyjnego niewolenia

żon. O ile oczywiście będzie to się działo tylko w domu.

– Przepraszam. – Odwraca się do mnie plecami, robi krok wzdłuż tablicy.

– Okłamujecie nas – mówię, podnosząc głos.

Parę osób spogląda w naszą stronę.

Odwraca się z powrotem, chce coś powiedzieć. Uprzedzam ją:

– A może to ich okłamujecie. Ale albo w tę, albo w tamtą, a faktów nie zmienicie, obojętne ile wciśniecie nam takich kiepskich szkolnych rysunków.

Pewien fragment mojej jaźni nie jest zachwycony sprowokowaniem jej do gniewu. Parę dni temu może byłby to największy fragment. Tyle że on ma góra parę tysięcy lat, a reszta jaźni ma go w głębokim poważaniu.

Podnoszę rękę w geście obejmującym całą wystawę.

– Gdybym był rasistą – mówię – coś takiego w życiu by mnie nie przekonało.

Obnażam zęby w czymś, co można wziąć za uśmiech. Odwracam się i wchodzę w głąb budynku.

O, i proszę, jest: na ostatniej stronie wiadomości lokalnej, w gazecie sprzed niecałych dwóch tygodni. Na radio sobie chyba nie zasłużyło. Co za różnica, jeden pobity Azjata, przy tych regularnych wojnach gangów w Chinatown? Nic dziwnego, że to przeoczyłem.

Miał nazwisko. Wai Chan. Znaleziony nieprzytomny na budowie osiedla Balthree Properties w Północnym Vancouverze, gdzie...

(Balthree Properties? To przecież tutejsi?)

...gdzie pracował jako stróż nocny. Stan stabilny, pobity przez nieznanego sprawcę. Brak motywu. Brak podejrzanych.

Gówno prawda. Pół miasta podejrzanych, motyw mają wszyscy i oni dobrze o tym wiedzą.

A może i nie. Może sami wierzą w te wszystkie bajdy, którymi nas karmią? „Słuchajcie, duża gęstość zaludnienia jest dobra!”. „Przestępczość nie jest powiązana z liczbą ludności”. „Masowa imigracja broni nas przed Stanami Zjednoczonymi, hura, hura!”.

Nie ma jak leczyć odrę łagodnym rakiem – a za każdym razem, gdy ktoś prognozuje, że Lower Mainland będzie mieć w roku 2010 60% mieszkańców pochodzenia chińskiego, ta wiadomość grzęźnie gdzieś w fali doniesień o międzynarodowej życzliwości i mozaice kultur. Może oni nie mają pojęcia, jak to jest, wrócić w miejsce, gdzie się dorastało, i stwierdzić, że nie został kamień na kamieniu, że jakiś międzynarodowy konglomerat zmienił je w kolejny ul pełen pulsujących żółtych robali. Może zresztą Balthree Properties nie ma siedziby w Hongkongu, ale wtedy tego nie wiedziałem, prawda? To był mój dom, rosły tu wtedy drzewa, miałem tu przyjaciół z dzieciństwa, a teraz nic tylko błoto, deski i ten paskudny mały Chinol, coś tam pierdzieli, ledwo mówi naszym językiem i wykopuje mnie, kurwa, z mojego własnego podwórka...

Kiedyś czułem się winny za to, co mu zrobiłem. Gryzło mnie sumienie. Głupie, godne mięczaka myślenie. Moje poczucie winy nie bierze się z tego jednego razu, kiedy spuściłem potwora ze smyczy. Nie, Wysoki Sądzie.

Bierze się z tych innych razów, kiedy tego nie zrobiłem.

Indianie weszli na wojenną ścieżkę. Zeszli ze swojego terenu na wschodzie i blokują drogi. Okupujemy ich ziemię, mówią. Chcą sprawiedliwości. Chcą zemsty. Chcą niezależności.

Nie mów, szlachetny dzikusie. Ja też chcę.

Samochody pełzną zderzak w zderzak jak procesja ślimaków. Przy takiej szybkości wyjadę z centrum za parę godzin, nie mówiąc już o dotarciu do domu. A były czasy, kiedy stać mnie było na mieszkanie w samym mieście.

Były nawet czasy, kiedy chciałem. Teraz chce mi się tylko krzyczeć.

Na poboczu stoi grupka indiańskich dzieci i cieszy się z chaosu sprawionego przez swoich rodziców. Nic do nich nie mam; to lud podbity, podпиты i bezrobotny, niestanowiący zagrożenia dla nikogo. Raczej im współczuję. Trąbię klaksonem w geście poparcia.

Brzdęk! Na mojej szybie eksploduje pajęczyna, szklane pęknięcia rozchodzą się w coraz cieńsze i cieńsze, aż niedostrzegalne. Nic przez nie nie widzę...

Jezu, ten skurwysyn rzucił we mnie kamieniem! Stoi tam, zamierza się kolejnym... nie, tym razem celuje w kogoś innego, nasi przodkowie nie byli dobrzy dla jego przodków i ten gówniarz myśli, że to daje mu jakieś wyższe moralne prawo niszczenia mienia innych ludzi...

Nie muszę tego znosić. Ja im tej ziemi, kurwa, nie zabierałem. Na pobocze, na bok... i gaz w podłogę!

Uważaj na poślizg, uważaj – i proszę, jak uciekają z drogi ci szmaciarze! Jeden jest trochę za wolny, patrzy mi w oczy, staczając się z maski – i patrzcie państwo, jak szybko znikł mu z gęby ten durny uśmiech! Teraz naprawdę żałuje swoich chamskich uczynków, a przecież dopiero zaczęliśmy ten taniec.

Wyłączam silnik. Chowam kluczyki do kieszeni.

Gdzieś bardzo daleko krzyczą ludzie, trąbią klaksony. Jedno i drugie brzmi bardzo podobnie. Przede mną ktoś zbiera się z jezdni, ściska nogę. No, teraz już nie wyglądasz na takiego twardziela, co? Jakby dopiero do niego dotarło, że w miasteczku Oka przegrali dawno temu. Gdzie ci wszyscy twoi kumple, co, mały chujku?

Gdzie wódz Lasagna, jak jest potrzebny?

Tak, chcesz tu mi jęczeć o opresji? Ja ci pokażę opresję, indiański brudasie. Dam ci taką lekcję, że popamiętasz do końca życia.

Mięśnie mam napięte tak bardzo, że aż się dziwię, że nie powyrywały ścięgien z korzeniami. Niewyraźnie uświadamiam sobie, że to ostatnio mój normalny stan.

Wiem jednak, że zaraz poczuję się lepiej.

Betlejem

Sama była sobie winna.

Nie. Nie, tak nie można. Ale Boże, dość popatrzeć, jak tu jest: czego ona się spodziewała, mieszkając w takiej okolicy?

Na chodniku metrowej szerokości plama z zaschniętej krwi, rdzawe tło dla potłuczonych butelek i powyginanej ramy starej kolarzówki. Wszystko jest za duże. Przeraza mnie ta ostra konstrukcja, taka konkretna i widzialna. Skupiam się na plamie, szukam, czy nie zdradza oznak swojej niewidocznej złożoności. Najlepiej byłoby zejść o te parę rzędów wielkości, do znajomej skali, i zobaczyć środek: zdechłe erytrocyty, żelaziste cząsteczki hemoglobiny, pojedyncze atomy tańczące w ramach uspokajających limitów kwantowej nieoznaczoności.

Ale nie mogę. To tylko bezkształtna brązowa plama. Widzę jedynie, że kiedyś należała do kogoś podobnego do mnie.

Ona nie otwiera. Dzwonię już od pięciu minut.

Jestem jedynym człowiekiem w zasięgu wzroku, jedynym mieszkańcem tego wąskiego okna czasowego; wszystkie ofiary się pochowały, a potwory jeszcze nie wyszły. Ale nadejdą, ci agenci Darwina, zawsze gotowi, by tępić za słabe osobniki.

Wciskam guzik domofonu jeszcze raz.

– Jan, tu Keith.

Czemu ona nie reaguje? Może nie jest w stanie, może ktoś się tam dostał, może...? Może po prostu chce być sama. Tak przecież powiedziała przez telefon, prawda?

To po co przyszedłem? Nie to, że jej nie wierzę. Ani też nie obawiam się zbytnio o jej bezpieczeństwo. Bardziej chodzi o przestrzeganie etykiety: kiedy zgwałcą ci najlepszą przyjaciółkę, masz obowiązek zapewnić wsparcie. Takie są zasady, nawet w dzisiejszych czasach. A Janet to moja przyjaciółka, według każdej praktycznej definicji.

Gdzieś daleko tłucze się szkło.

– Jan...

Jeśli teraz pójdę, może zdążę wrócić, zanim zrobi się za późno. Słońce nie zajdzie jeszcze przez co najmniej dwadzieścia minut. W ogóle to był głupi pomysł.

Odchodzę od bramki, w której wtedy coś szczeka. Odwracam się z powrotem; przy domofonie pali się zielone światelko. Dotykam kraty, delikatnie, dłoń odskakuje po najlżejszym dotyku. Jeszcze raz, teraz dłużej. Nic nie razi. Bramka uchyla się do wewnątrz.

Ale w głośniku ciągle cisza.

– Jan? – mówię do ulicy.

Po chwili odpowiada.

– Wchodź, Keith. Ja... ten... dobrze, że wpadłeś...

Pięć pięter wyżej Jan zamyka za mną drzwi na zasuwę. Opiera się o ścianę, kiedy wchodzę głębiej.

Idzie za mną korytarzem, sztywno, powłócząc nogami. W salonie staje, nie patrzy mi w oczy, idzie do lodówki.

– Napijiesz się czegoś?

– A jest wybór?

– Nie za bardzo. Nic mlecznego, znowu napadli na dostawcę. Ale było piwo. – Głos ma mocny, nawet energiczny, ale chodzi tak, jakby dopadło ją stężenie pośmiertne. Jakby bolało ją przy każdym ruchu.

Pokój jest słabo oświetlony: w rogu lampka z pomarańczowym abażurem, telewizor ze ściszoną dźwiękiem. Gdy otwiera lodówkę, niebieskawe światło podkreśla siniaki na jej twarzy. Jedno oko ma opuchnięte i czerwone.

Zamyka lodówkę. Twarz kryje się w miłosiernym cieniu.

Prostuje się, etapami, odwraca twarzą do mnie, z butelką w dłoni. Biorę piwo bez słowa, uważając, żeby jej nie dotknąć.

– Nie musiałeś przychodzić – mówi. – Już dobrze się czuję.

Wzruszam ramionami.

– Tak pomyślałem... może czegoś ci potrzeba...

Janet uśmiecha się przez opuchliznę. Nawet to ją chyba boli.

– Dzięki, ale wszystko sobie kupiłam, jak wracałam z komisariatu.

– Janet, tak mi przykro. – Bo jak to inaczej powiedzieć?

– To nie była twoja wina. Wyłącznie moja.

Powinienem zaprzeczyć. Chcę zaprzeczyć.

– Moja, moja – potwierdza, chociaż w ogóle się nie odezwałem. – Trzeba mi było to przewidzieć. Prosty scenariusz, przewidywalny skutek. Powinnam była wiedzieć.

– Jezus Maria, Jan, czemu ty dalej tu mieszkasz? – Zabrzmiało to jak oskarżenie.

Wygląda przez okno. Jest już wystarczająco ciemno, żeby było widać pożary po wschodniej stronie.

– Ja już dawno tu mieszkam – przypomina mi. – Nie dam się skurwielom teraz wygonić.

Kiedyś. Idę wzrokiem za jej spojrzeniem, widzę w dole na chodniku malutką, ciemną plamkę. Kiedyś mieszkały tu rodziny. Jest kwiecień. Na tyle ciepło, że dzieci powinny bawić się na dworze. Niektórzy uważają, że gdzie indziej jeszcze tak robią. Gdzieś pod kątem prostym do tego

złamanego miejsca, gdzieś, gdzie fala prawdopodobieństwa skolapsowała do spokojniejszej rzeczywistości. Chciałbym móc w to wierzyć. Niewielka pociecha w myśli, że w innej linii czasu dzieci mogą tak po prostu bawić się na dworze.

Jednakże tamten świat, o ile w ogóle istnieje, rozszedł się z naszym dawno, dawno temu. Trzy, może cztery lata temu...

– To się tak szybko stało... – mruczę.

– Katastrofa typu fałdowego. – Janet mówi w roztargnieniu do okna. – Keith, ciągle zapominasz, że zmiany nie są stopniowe. Rzeczy łązą sobie trochę tam, trochę z powrotem, aż trafią do punktu przełomu i trach: mamy nową równowagę.

– Jakby spadać w przepaść.

Ona tak widzi świat: nie jako rzeczywistość, ale jako trajektorię w przestrzeni fazowej. Zmysłami zbiera takie same dane, jak ja, ale wszystko, co mówi, brzmi tak obco...

– W jaką przepaść? – pytam. – Jakiego punktu? Co się niby „przełamuje”?

– To jak, nie wierzysz w to, co oni mówią?

„Oni mówią” kupę różnych rzeczy. Po fakcie wszystko doskonale wiedzą – mendzą o nieuniknionym krachu gospodarki opartej na nieustannym wzroście. Albo winią jakiegoś nieprzyzwoicie skutecznego wirusa komputerowego, parę linijek kodu, które rozlały się po świecie i w jedną noc zamieniły globalną gospodarkę w pasmo szumu. Oni mówią, że to nie ich wina.

– Dwadzieścia lat temu obwinialiby aligatory w kanalizacji – mówię.

Janet już ma się odezwać, ale wybucha potężnym atakiem kaszlu.

Ociera usta wierzchem dłoni, krzywi się.

– Jak wolisz, jest jeszcze interpretacja z Kanału 6 – mówi, wskazując na telewizor.

Patrzę na nią zaintrygowany.

– Drugie Przyjście. Dochodzi dwa tysiące lat od ukrzyżowania.

Kręcę głową.

– Tak samo sensowne, jak inne rzeczy, które się słyszy.

– No, no.

Narasta między nami jakiś obustronny dyskomfort.

– No dobrze – mówię w końcu, odwracając się do wyjścia. – Wpadnę jutro, zobaczę jak się czujesz...

Rzuca mi spojrzenie.

– Zaraz, zaraz, szefie. Dobrze wiesz, że już nigdzie dziś nie idziesz. Nie dotarłbyś nawet do Granville.

Otwieram usta, żeby zaprotestować. Uprzedza mnie:

– O ósmej rano jeździ taki autobus, po tych nowych przeróbkach, fullerenowe płyty i tak dalej. Prawie stuprocentowo bezpieczny, jeśli nie przeszkadza ci, że się parę godzin spóźnisz do pracy.

Marszczy brwi przez sekundę, jakby coś jej nagle przyszło do głowy.

– Ja to chyba jednak przez parę dni popracuję z domu – mówi. – Jeśli nie masz nic przeciwko.

– Co ty mówisz. Zrób sobie trochę wolnego. Odpocznij.

– Raczej wątpię, żebym była w nastroju do odpoczywania.

– Chodziło mi...

Zmusza się do kolejnego uśmiechu.

– Keith, doceniam gest, ale tak siedzieć, łązić z kąta w kąt... zwariowałabym od tego. Ja chcę pracować. Muszę.

– Jan...

– To nic wielkiego. Zaloguję się jutro, tylko na minutę, dwie. Powinnam zdążyć ściągnąć wszystko, co trzeba, zanim wdadzą się jakieś wirusy, i to mnie ustawi na resztę dnia. Dobrze?

– Dobrze. – Oczywiście czuję ulgę. Mam jednak na tyle kultury, żeby okazać zażenowanie.

– A tymczasem... – idzie drewnianymi krokami do szafy w przedpokoju
– ...pościelę ci na kanapie.

– Posłuchaj, niczym się nie kłopot. Połóż się, ja zrobię jakąś kolację.

– Dla mnie nie. Nie jestem głodna.

– No dobrze. – Cholera. Nie mam pojęcia, co jeszcze powinienem robić.

– Mam do kogoś zadzwonić? Do rodziny, albo...

– Nie. Nic nie trzeba, Keith. – Nutka ostrzeżenia w jej głosie. – Dzięki i tak.

Odpuszczam. Dlatego właśnie jesteśmy tak blisko. Nie dlatego, że mamy wspólne zainteresowania, że wiąże nas wspólna pasja do naukowych odkryć, czy nawet dlatego, że czasem pozwalam jej zostać głównym autorem naszych prac. To dlatego, że nie wtrącamy się nawzajem we własne sprawy, nie próbujemy się nawzajem rozgryzać. Po cichu ustaliły się między nami jakieś granice i akceptacja. I całkowite zaufanie, właśnie dlatego, że nigdy nie mówimy sobie wszystkiego.

Kiedy słyszę jej imię, jestem pogrążony w prawdziwym świecie – tam na dole.

Czasami tak się zdarza. Przesączają się jakieś głosy z tego wielkiego, byle jakiego świata, zamieszkanego przez innych ludzi. Przeważnie udaje mi się ich nie słyszeć. Ale nie tym razem. Jest ich zbyt dużo naraz i wszystkie gadają o Janet.

Próbuję pracować dalej. Fosfolipidy, elegancko wyodrębnione z pojedynczego neuronu, kłębią się w moim polu widzenia jak krystaliczne olbrzymy. Jednak te głosy na zewnątrz nie chcą się zamknąć i porywają mnie ze sobą. Próbuję je wyprzeć, skupić się na otaczających mnie cząsteczkach, ale to nie działa. Jony przeradzają się w błony, błony w całe komórki, fizyka w chemię, a potem we wstrętą, prostą morfologię.

W mikroskopie wciąż widać to samo, ale ja już jestem poza nim.

Wyłączam patrzawki, mrugam w zastawionym sprzętem pokoju, przede mną rozciągnięte obwody nerwowe na wpół rozciętej salamandry.

Hall z kanapami jest o krok korytarzem od mojego pokoju. Siedzą tam ludzie, gadają coś o gwałcie, o nieszczęściu Janet, jakby to było coś rzadkiego czy egzotycznego. Wymieniają się historiami o naruszeniach nietykalności cielesnej jak opowieściami z frontu, próbując przelicytować się nawzajem w okrzykach oburzenia i współczucia.

Nie rozumiem, o co to zamieszanie. Janet to po prostu kolejna ofiara prawdopodobieństwa; fale przestępczości i fale kwantowe mają akurat tyle wspólnego. Istnieje milion niedoszłych światów, w których wyszłaby bez szwanku. W milionie innych zginęłaby na miejscu. Zaobserwowany został jednak akurat taki. W nim, wczoraj, została tylko pobita, a dziś pewnie będzie to ktoś inny.

Czemu oni muszą tak w kółko gadać? Czy jak przegadają o tym cały dzień, ktoś z nas znajdzie się w świecie, w którym takie rzeczy się nie zdarzają?

Czemu po prostu nie dadzą sobie spokoju?

– Nic tu się, kurwa, nie zbiega! – krzyczy z salonu. Znów wysiadło światło; biegnie korytarzem do mnie, rozgorączkowana sylwetka podświetlona odbitym blaskiem dalekich pożarów. – Wyszło, że hesjan jest

osobliwy. Pięć godzin ślęczę, kurwa, nad przekrojami tych chiazm i nawet statystyk nie udaje się zebrać, a tu znowu, kurwa, prąd wyłączają!

Wtyka mi wydruk w dłonie. W ciemności widzę tylko niewyraźny cień.

– Gdzie latarka? – pytam.

– Baterie zdechły. Jak zwykle, kurwa. Chwila.

Idę za nią z powrotem do salonu. Klęka przy narożnej szafce, gmera w środku; różne drobne przedmioty sypią się na podłogę do rytmu cichych burknięć niezadowolenia.

Uszkodzona ręka przekracza jakąś granicę, sztywnieje. Ona krzyczy.

Podchodzę do niej od tyłu.

– Coś się...

Janet wyciąga rękę za siebie, z otwartą dłonią, odgradzając przestrzeń między mną a sobą.

– Nic mi nie jest. – Nawet się nie odwraca.

Czekam, aż sama się poruszy.

Po chwili powoli wstaje. W dłoni błyszczący światełko.

Stawia świeczkę na niskim stoliku. Słaba, ale do czytania wystarczy.

– Pokażę ci – mówi, sięgając po wydruk.

Ale ja już wszystko widzę.

– Dwie zmienne ci się pomieszały.

Sztywnieje.

– Co?

– W tym predyktorze interakcji. To powinna być po prostu liniowa funkcja potencjału czynnościowego i poziomu wapnia.

Bierze kartkę z mojej ręki, przygląda się jej przez chwilę.

– Cholera. Faktycznie. – Patrzy spode łba na liczby, jakby się zmieniły, kiedy na nie popatrzyłem. – Kurwa mać, co za durny błąd.

Następuje krótka, niezręczna cisza. Potem Janet zgniata kartkę w kulkę i rzuca na podłogę.

– Co za głupota!

Odwraca się ode mnie i wpatruje w coś za oknem.

A ja stoję jak ten kretyń i zastanawiam się, co zrobić.

Nagle mieszkanie wokół nas zmartwychwstaje. Światła w salonie, ożywione jakimś dalekim, zdezelowanym generatorem, migocą i stabilizują się. Telewizor Janet w rogu rozbłyska ziarnistym obrazem i cichym, zamulonym dźwiękiem. Odwracam się ku niemu, zadowolony z odwrócenia uwagi.

Ekran podsuwa mi kobietę, mniej więcej w wieku Janet, ale jakąś taką pustą, z tą wypaloną, znerwicowaną miną, którą się teraz wszędzie widzi. Zanim zmieni się ujęcie, dostrzegam błysk metalu na jej przegubach. Teraz pokazują nam powykręcane, chude ciało noworodka o zbyt wielu palcach. Tuż nad mostkiem nosa ma pozbawione powieki trzecie oko, jak wciśnięta w plastelinę mleczno–czarna szklana kulka.

– Hm – mówi Janet. – Błędy kopiowania.

Patrzy w telewizor. Supeł w żołądku trochę mi się rozluźnia.

Statystyki zabójstw noworodków z tego miesiąca wjeżdżają na ekran niczym prognoza pogody.

– Polidaktylia i oko szyszynkowe. Kiedyś nie widziało się tylu losowych błędów kopiowania.

Nie rozumiem, do czego zmierza. Wady wrodzone to nic nowego, ich liczba rośnie odkąd wszystko zaczęło się rozpadać. Ale od czasu do czasu któryś z kanałów dochodzi do tego samego wymęczonego skojarzenia, zwała wszystko na promieniowanie, substancje chemiczne w wodzie, kreśli złowróżbne porównania z upadkiem cesarstwa rzymskiego.

Ale dobrze, że przynajmniej znowu się rozgadała.

– Założę się, że to samo się dzieje z innymi systemami informacyjnymi – myśli na głos – nie tylko genetycznymi. To jak te wszystkie wirusy w sieci, nie da się podłączyć choćby na dwie minuty, żeby coś nie próbowało złożyć jajek w twoich plikach. Ta sama cholera.

Nie mogę powstrzymać nerwowego śmieszku. Janet przekrzywia głowę.

– Przepraszam – mówię. – Po prostu... ty nigdy nie odpuszczasz, wiesz? Świra byś dostała, gdybyś musiała przeżyć dzień, nie znajdując w niczym żadnej prawidłowości...

I nagle rozumiem, czemu ona tu mieszka, czemu nie schowa się razem ze wszystkimi w uczelnianym kampusie. Jest misjonarką na wrogim terenie. Stawia czoła chaosowi, głosi swoją wiarę: nawet tutaj, mówi, są reguły i świat będzie się ich słuchał. Będzie grzeczny.

Całe jej życie to poszukiwanie porządku. Nie ma, kurwa, mowy, żeby przeszkodziło jej w tym coś tak przypadkowego jak, dajmy na to, gwałt.

Przemoc to tylko szum, nic więcej. A Janet szuka sygnału. Nawet teraz szuka sygnału.

To chyba dobry znak.

Sygnał leci przez neuron jak tsunami. Jony na jego drodze stają zniecka na baczność. Tworzy się obwód, jak rozplaszczający się górski łańcuch. Sygnał wlewa się w niego i pędzi dalej.

Prąd przechodzi tanecznym krokiem wzdłuż nerwu wzrokowego i rozświetla prymitywny płazi mózg z nieskończonej odległości jednego milimetra.

Śledźmy, skąd przyszła ta błyskawica. W splecionych obwodach siatkówki dogasa echo pojedynczego fotonu. Jedno kwantowe zjawisko, które przedostało się z rzeczywistości do mojej aparatury. Niepewność, która stała się ciałem.

Ja ją ciałem uczyniłem, w moim laboratorium. Przez samo obserwowanie. Jeśli w lesie wyemituje się foton i nikt go nie widzi, to on nie istnieje.

Tak właśnie działa ten świat: nic nie jest rzeczywiste, dopóki ktoś na to nie popatrzy. Nawet subatomowe cząstki naszych ciał istnieją tylko jako funkcje falowe; dopiero akt świadomej obserwacji na poziomie kwantowym sprawia, że kolapsują w coś konkretnego. Cały wszechświat jest nierzeczywisty u samej podstawy, jako nieskończona i hipotetyczna pustka, z kilkoma ziarenkami konkretności tam, gdzie tę mieszkankę zestali czyjeś przypadkowe spojrzenie.

Nie ma sensu się z tym sprzeczać. Próbował Einstein. Próbował Bohm. Nawet Schrödinger, ten zaprzysięgły wróg kotów, próbował. Lecz nasze mózgi nie są ewolucyjnie przystosowane, by radzić sobie z próżnią pomiędzy atomami. Z liczbami nie da się walczyć – rozwijana przez stulecie zawiła kwantowa matematyka nie zostawiła zbyt wiele miejsca na zdrowy chłopski rozum.

Masa ludzi nadal nie jest w stanie tego przyjąć. Fakt, że nic nie jest rzeczywiste, napawa ich lękiem, twierdzą więc, że wszystko jest rzeczywiste. Mówią, że jesteśmy otoczeni przez wszechświaty równoległe, równie rzeczywiste jak ten, w których wygraliśmy Guerre de la Separatiste, w których Houston nie spłonęło – taki nieskończony, pełen otuchy szwedzki bufet alternatywnych rzeczywistości. Głupio to brzmi, ale oni naprawdę nie mają innego wyboru.

Ten numer ze wszechświatami równoległymi to jedyna trzymająca się kupy alternatywa dla nieistnienia, a nieistnienie ich przeraża.

A mnie daje władzę.

Mogę kształtować rzeczywistość, po prostu na nią patrząc. Każdy może. Albo mogę odwrócić wzrok, uszanować jej prywatność, pozostawić

niedostrzeżoną i onnipotencjalną.

Na tę myśl trochę kręci mi się w głowie. Prawie zapominam, jak się odkleiłem, jak bardzo potrzebuję, by prowadziła mnie dłoń Janet – bo tu, na dole, w prawdziwym świecie, to nie musi być aż takie istotne.

Nic nie jest nieodwracalne, póki nie zostało zaobserwowane.

Otwiera mi domofon po pierwszym dzwonku. Winda jakoś dziwnie się dzisiaj zachowuje – otwiera drzwi do połowy, zamyka, otwiera z powrotem, jak żarłoczną paszczę. Idę schodami.

Drzwi otwierają się, kiedy unoszę dłoń, żeby zapukać. Stoi całkiem nieruchomo.

– On wrócił – mówi.

Nie. Nawet w tych czasach prawdopodobieństwo jest zbyt...

– Był tutaj. Znowu to zrobił. – Głos ma kompletnie pozbawiony wyrazu. Zamyka drzwi na zamek, prowadzi mnie przez ciemny przedpokój.

– Wszedł tu? Jak? Gdzie...?

Do salonu wpada szare światło. Stoimy pod ścianą, z boku okna. Wyglądam zza zasłony na opustoszałą ulicę.

Wskazuje na zewnątrz.

– Był tam i znowu to zrobił, znowu to zrobił...

Ach. Komuś innemu. O to jej chodzi. Aha.

– Głupia była. – Palce Janet ściskają wytartą zasłonę, zaciskają się i rozluźniają. – Wyszła tam całkiem sama. Durna laska. Powinna to przewidzieć.

– Kiedy to było?

– Nie wiem. Parę godzin temu.

– A czy ktoś...? – pytam, bo oczywiście nie mogę powiedzieć: „A czy ty...?”.

– Nie. Nikt poza mną chyba tego nie widział. – Puszczą zasłonę. – W sumie prawie nic się jej nie stało. Poszła sobie.

Nie pytam nawet, czy telefony działały. Nie pytam, czy Janet próbowała jakoś pomóc, czy krzyczała, rzucała czymś albo choćby, po wszystkim, wpuściła tę kobietę do siebie. Janet głupia nie jest.

W zapadającym zmierzchu skrzy się odległy miraż – kampus uczelni.

Widać jeszcze jedną oazę, trochę bliżej, nad False Greek, oraz sam skraj trzeciej, jak się wyciągnie szyję. Wszystko inne jest szare, czarne albo migoce pomarańczowo.

Gangrena rozeszła się po ciele. Przetrwało tylko parę ostatnich tkanek.

– Pewna jesteś, że to ten sam gość? – pytam.

– A co to, kurwa, za różnica! – krzyczy. Opamiętuje się, odwraca. Zaciska dłonie w pięści.

W końcu odwraca się do mnie z powrotem.

– Tak. Ten sam – mówi spiętym głosem. – Na pewno.

Nigdy nie wiem, co mam w takiej sytuacji zrobić.

Wiem za to, co powinienem czuć. Powinienem jej współczuć. Czy komukolwiek, kto padł ofiarą przypadkowej brutalności. Powinienem to robić automatycznie, bez zastanowienia. Nagle widzę jej twarz – widzę tak naprawdę: kruchą maskę opanowania na samej krawędzi załamania; i jeszcze wiele innych uczuć w głębi, trudnych do okiełznania. W życiu nie widziałem jej w takim stanie, nawet w dniu, kiedy to się jej przydarzyło. A może po prostu nie zauważyłem. Czekam, aż to na mnie wpłynie, wypełni mnie miłością, współczuciem, nawet litością. Ona czegoś takiego ode mnie potrzebuje. To moja przyjaciółka. Przynajmniej ja tak o niej mówię. Szukam w sobie czegoś, wszystko jedno czego, co sprawiłoby, że moje uczucia będą bardziej szczerze. Schodzę aż na samo dno i nie znajduję nic poza własną żarliwą ciekawością.

– Co mam zrobić, żeby ci jakoś pomóc? – pytam. Ledwie słyszę własny głos.

W jej twarzy coś się zmienia.

– Nic. Nic, Keith. Sama muszę sobie z tym poradzić, rozumiesz?

Przestępuję z nogi na nogę i próbuję ustalić, czy mówi to poważnie.

– Bo, jeśli chcesz... – odzywam się w końcu – ...to mogę tu z tobą posiedzieć przez parę dni.

– Dobrze. – Wygląda przez okno, a minę ma nieobecna jak nigdy. – Skoro masz ochotę.

– Mars przepadł! – lamentuje, chwytając mnie za ramię.

Znam go z widzenia, ma chyba trzeci z kolei pokój za moim. Ale nie pamiętam, jak się nazywa, zaraz... Chris, Chris jak-mu-tam... Fletcher. O właśnie.

– Wszystkie dane z Vikingów – mówi – z lat siedemdziesiątych, no wiesz, NASA miała je zarchiwizowane, powiedzieli, że dostanę je bez problemu, cały, kurwa, plan pracy na tym oparłem!

– Zgubiły się? – Nic dziwnego, takie czasy, że dane uszkadzają się rekordowo często.

– Nie, dokładnie wiedzą, gdzie je mają. Mogę pójść i je sobie wziąć, kiedy tylko zechcę – odpowiada Fletcher z goryczą.

– No to w czym...

– To jest na takich wielkich dyskach magnetycznych...

– Magnetycznych?

– ...one oczywiście wyszły z użycia parędziesiąt lat temu, a NASA, jak modernizowała sprzęt, jakoś zapomniała o tych danych z Vikingów. – Wali pięścią w ścianę, wybucha krótkim histerycznym chichotem. – Więc dane

są, tylko nikt ich nie przeczyta. W całej Ameryce pewnie nie ma odpowiednio przestarzałego komputera.

Potem opowiadam o tym Janet. Spodziewam się, że pokręci głową i pomruczy coś współczująco, „ale szkoda” albo „co za paskudny pech”. Ona jednak nawet nie odrywa wzroku od okna.

Kiwa tylko głową i mówi:

– Utrata informacji. Tak jak to, co mnie się przydarzyło.

Wyglądam na zewnątrz. Oczywiście nie widać żadnych gwiazd. Tylko ognie ponuro, bursztynowo odbijają się w chmurach.

– Nawet nie pamiętam, jak mnie gwałcił – rzuca. – Dziwne, wydawałoby się, że taka rzecz utkwi w pamięci. Wiem, że to się stało, pamiętam kontekst, pamiętam, co było potem, jestem w stanie złożyć narrację do kupy, ale umknęło mi samo... zdarzenie...

Od tyłu widzę krągłość policzka i sam brzeżek uśmiechu. Od dawna nie widziałem, żeby się uśmiechała. Mam wrażenie, że od lat.

– Umiesz udowodnić, że Ziemia kręci się wokół Słońca? – pyta. – Że nie jest odwrotnie?

– Co takiego? – Okrążam ją z lewej, po ostrożnej orbicie. Ukazuje się jej twarz, gładka i prawie bez wyrazu, jak maska.

– Nie umiesz, prawda? O ile w ogóle kiedykolwiek umiałeś. Wykasowało się. A może tylko zgubiło. Tyle rzeczy wszyscy zapomnieliśmy...

Taka spokojna. W życiu nie widziałem, żeby była taka spokojna. Aż niepokojąco to wygląda.

– Wiesz, założę się, że jeśli jeszcze trochę to potrwa, to będziemy zapominać tak samo szybko, jak się uczymy. W gruncie rzeczy chyba zawsze tak było.

– Czemu tak mówisz? – Staram się zachować neutralny ton.

– Nie da się wszystkiego zapamiętywać, nie ma tyle miejsca. Żeby zapisać coś nowego, trzeba coś starego nadpisać, prawda?

– Daj spokój, Jan. – Próbuję lekkiego tonu: – Że naszym mózgom kończy się miejsce na dysku?

– A dlaczego nie? Nie jesteśmy nieskończeni.

Matko boska, ona mówi poważnie.

– W pewnym sensie tak. Na razie nie mamy pojęcia, co robi większość obszarów mózgu.

– Może nic nie robi. Może to tak, jak z naszym DNA, że większość to śmieci. Pamiętasz, jak oni odkryli...

– Pamiętam.

Nie mam ochoty słuchać, jak i co odkryli, bo od lat staram się o tym zapomnieć. Odkryli idealnie zdrowych ludzi, prawie pozbawionych substancji mózgowej. Żyli pośród nas, z głowami wypełnionymi płynem mózgowo-rdzeniowym, i radzili sobie, mając tylko cienką warstwę komórek nerwowych tam, gdzie powinien siedzieć mózg. Odkryli ludzi, którzy kształcą się na inżynierów i nauczycieli, chociaż naprawdę powinni być warzywami.

Nigdy nie znaleźli żadnych odpowiedzi, choć Bóg im świadkiem, że bardzo się starali. Słyszałem jednak, że zrobili jakieś postępy, jeszcze zanim...

Utrata informacji, jak to mówi Jan. Skończone miejsce na dysku. Nadal się do mnie uśmiecha, z oczu promieniuje jakaś oszałamiająca mądrość.

Ja jednak widzę teraz to, co ona, i w ogóle nie mam powodu do uśmiechu. Widzę dwie rozszerzające się sfery, jedna w drugiej – ta wewnętrzna rośnie szybciej. Im więcej się dowiem, tym więcej stracę – moja jaźń eroduje od środka. W nicość ulatuje wszystko, co podstawowe – skąd niby wiem, że Ziemia krąży wokół Słońca?

Moje życie w większości składa się z takich aktów wiary.

Jestem o pół przecznicy od bezpiecznego miejsca, kiedy on skacze na mnie z okna pierwszego piętra. Mam trochę szczęścia, bo kiedy spada, zdradza go odgłos. Prawie udaje mi się zrobić unik. Ocieramy się o siebie i gość ląduje ciężko na chodniku. Skręca sobie kostkę.

Formalnie rzecz biorąc, broń palna nadal jest nielegalna. Wyjmuję ją i strzelam mu w brzuch zanim się pozbiera.

Miga mi jakiś ruch. Nagle po mojej lewej stronie pojawia się kobieta, wielka jak ja, z zaciętą ponurą twarzą – stoi tam, gdzie chwilę wcześniej był tylko pusty chodnik. Dłonie ma wbite głęboko w kieszenie podartego płaszcza. W jednej chyba coś trzyma.

Pistolet czy blef? Cząstka czy fala? Drzwi numer jeden czy drzwi numer dwa?

Celuję w nią z pistoletu. Ze wszystkich sił staram się nie wyglądać jak ktoś, kto właśnie wystrzelił ostatni pocisk. Przez jedną szaloną chwilę myślę nawet, że może właściwie wszystko jedno, co się stanie, zginę czy przeżyję, bo gdzieś, pod jakimś niemożliwym kątem jest równoległy wszechświat, w którym wszystko działa jak trzeba.

Nie. Nic się nie zdarza, jeśli nie jest zaobserwowane. Może po prostu popatrzę w drugą stronę...

Zniknęła, połknięta przez ten sam zaułek, który ją wypluł.

Przechodzę nad gulgocącym stworem wijącym się na chodniku.

– Nie możesz tu zostać – mówię do Janet, dotarłszy do jej azylu. – Obojętne, ile woltów puszczają na to ogrodzenie, tu jest niebezpiecznie.

– Ależ jest – odpowiada.

Telewizor ma włączony na kanale 6, mikrofon samego Pana Boga, słyszalnego doskonale i wyraźnie – Odrodzeni na Nowo mają na

geostacjonarce własnego satelitę, który nigdy, kurna, nie zawodzi.

Janet tego nie ogląda. Siedzi tylko na kanapie, z nogami podciągniętymi pod brodę, i gapi się przez okno.

– Na kampusie jest dużo lepsza ochrona – mówię. – Zorganizuje się dla ciebie jakieś lokum. I nie będziesz musiała dojeżdżać.

Nie reaguje. W telewizorze gadająca głowa wygłasza wykład o Zatrutych Owocach Świeckiej Nauki.

– Jan...

– Nic mi się nie stało, Keith. Nikt się tu nigdy nie włamał.

– Ale się włamią. Wystarczy zarzucić na ogrodzenie gumową matę i już pierwsza linia obrony jest z głowy. A wcześniej czy później zgadną kod do bramki, albo...

– Nie, Keith. To by wymagało zbyt dużo pomysłu.

– Janet, mówię ci...

– Nic już nie jest takie zorganizowane. No, Keith, nie zauważyłeś?

Gdzieś z daleka niesie się echo paru wybuchów.

– Zauważyłem – odpowiadam.

– Przez ostatnie cztery lata – mówi, jakbym się w ogóle nie odezwał – wszystkie reguły tak się po prostu... rozłaziły. Coraz trudniej jest ostatnio cokolwiek przewidywać, wiesz? Zresztą, nawet jak wiesz, co będzie, nie jesteś w stanie nic z tym zrobić.

Zerka w telewizor, gdzie głowa tłumaczy, że ewolucja jest sprzeczna z drugą zasadą termodynamiki.

– Trochę to nawet śmieszne – mówi Janet.

– Co śmieszne?

– Wszystko. Druga zasada. – Wskazuje ekran. – Rosnąca entropia. Od porządku do chaosu. Śmierć cieplna wszechświata. Cały ten szajs.

– To śmieszne?

– Rozumiesz, naprzeciw fizyki życie to krucha, żałosna konstrukcja. Istny cud, że w ogóle się zaczęło.

– Ej. – Próbuję rozbajającego uśmiechu. – Zaczynasz gadać jak kreacjoniści.

– Wiesz co, na swój sposób to oni mają rację. Życie i entropia nie idą w parze. Przynajmniej na dłuższą metę. Ewolucja to tylko taka... gra na zwłokę, wiesz?

– Wiem, Jan.

– Jakby przez czasoprzestrzeń leciał z hukiem taki rwący potok i wszystko rozwalał. Czasami gdzieś na uboczu stworzą się małe nisze informacji, w jakichś zastałych, spokojnych zakolach, czasami uda im się skomplikować na tyle, że się obudzą i zaczną się przechwalać, jak to wygrały z prawdopodobieństwem. Ale to nigdy długo nie trwa. Za dużo trzeba energii, żeby walczyć z tym prądem.

Wzruszam ramionami.

– Jan, to żadne odkrycie.

Zmusza się do krótkiego, znużonego uśmiechu.

– Właściwie nie. Taki studencki egzystencjalizm, prawda? Po prostu... wszystko porobiło się takie... drapieżne, wiesz?

– Drapieżne?

– Ludzie. Ogólnie życie biologiczne. Sieć. Na tym właśnie polega problem ze złożonymi systemami – im bardziej są skomplikowane, tym bardziej entropia stara się je rozwalić. I potrzeba im coraz więcej energii, żeby w ogóle przetrwać w jednym kawałku.

Wygląda przez okno.

– Może więcej niż mamy teraz do dyspozycji.

Pochyla się, celuje pilotem w telewizor.

– Ale z tym masz rację. To nic nowego.

Uśmiech gaśnie. Nie bardzo wiem, co go zastąpiło.

– Po prostu nigdy wcześniej to do mnie nie dotarło, wiesz?

Może to wyczerpanie.

Wciska guzik na pilocie. Gadająca głowa gaśnie, wyłączona w połowie gładzenia. Pośrodku sceny przez moment migoce bojowo biała plamka.

– I poszedł. – W jej głosie pobrzmiwa coś pomiędzy ironią a rezygnacją. – Porwał go prąd.

Klamka gładko obraca mi się w dłoni, w lewo, w prawo. Drzwi nie są zamknięte. Gdzieś po drugiej stronie ściany śmieje się telewizor.

Otwieram.

Pomarańczowe światło pada skośnie z podłogi na drugim końcu przedpokoju, gdzie przewróciła się lampa z salonu. Jej krew jest wszędzie, krzepnie na podłodze, wąskimi lepкими strużkami płynie po ścianie, cienkie, ciemne nibynóżki tężeją w miarę pełnienia ku listwom przypodłogowym...

Nie.

Otwieram drzwi.

Uchylają się na parę centymetrów, po czym się blokują. Coś po drugiej stronie trochę ustępuje, opada z powrotem, gdy przestają napierać. Przez szczelinę widać na podłodze jej dłoń, palce lekko zaciśnięte, jak odnóża jakiegoś martwego owada. Znów napieram na drzwi: palce martwo suną po deskach.

Nie. To też nie.

Otwieram drzwi.

Są tu z nią. Czterech. Jeden siedzi na kanapie, patrzy w telewizor. Jeden przyciska ją do podłogi. Jeden ją gwałci. Jeden stoi uśmiechnięty w

przedpokoju, macha do mnie ręką owiniętą taśmą klejącą, bezkształtną bryłą pełną gwoździ i tłuczonego szkła.

Oczy ma otwarte. Nie wydaje żadnego dźwięku...

Nie. Nie. Nie.

To tylko potencjalne możliwości. Żadnej z nich naprawdę nie zaobserwowałem. One się jeszcze nie wydarzyły. Drzwi są nadal zamknięte.

Otwieram je.

Funkcja falowa kolapsuje.

I proszę państwa, wygrał...

Nikt z powyższych. To nawet nie jest jej mieszkanie. To nasz pokój na uczelni.

Jestem w obrębie kampusu, bezpieczny za betonem i węglowym laminatem, strzeżonym przez uzbrojone patrole i półinteligentne systemy bezpieczeństwa, działające dobrze przez ponad pięćdziesiąt procent czasu. Nie będę do niej dzwonił, mimo że telefony dzisiaj działają. Nie zamierzam poddawać się tym paskudnym przeskokom do światów, które nawet nie istnieją.

Wcale mi nie odwała.

Jej biurko stoi nieużywane od dwóch tygodni. Na przyległej ścianie, betonowej, pozbawionej okien, niemalowanej, wisi pełno nostalgicznych rysunków i wydruków: cykle populacyjne, fraktalne wtrącenia do przebiegu Rickera, ręcznie wypisane przypomnienie, że „wszystkie tautologie to tautologie”.

Nie wiem, co się dzieje. Zmieniamy się. Ona się zmienia. Oczywiście, kretynie, zgwałcili ją, jakże miałyby się nie zmienić? Tyle że to wygląda, jakby ten napastnik był tylko katalizatorem, jakby wyzwolił jakąś

zagadkową, enigmatyczną przemianę, która wciąż trwa. Owinęła się kokonem i coś się tam w środku dzieje – od czasu do czasu dostrzegam niewyraźny ruch, ale nie widzę żadnych szczegółów.

Tak bardzo mi jej potrzeba. Potrzebny mi jej talent do narzucania światu porządku, jej silne pragnienie sprowadzenia wszystkiego do banału. Każdy wynik był nie dość dobry, wszystko zawsze było zbyt przybliżone; każde rozwiązanie ciskała mi w twarz ze słowami: „Tak, ale dlaczego?”. Jakby współpracować z dwulatkiem.

Zawsze byłem pasożytem. Czuję się, jakbym przestał widzieć na jedno oko.

Niezły paradoks. Keith Elliot, fizjolog kwantowy, widzący nieskończone możliwości w najmniejszych cząstkach materii; Janet Thomas, specjalistka od teorii katastrof, sprowadzająca całe ekosystemy do paru linii komputerowego kodu. Powinniśmy byli pozabijać się nawzajem. A tymczasem to połączenie działało.

Boże. Kiedy zacząłem o tym myśleć w czasie przeszłym?

W telefonie mam wiadomość, nagrałą dziesięć godzin temu. Stała się rzecz niemożliwa: policja złapała kogoś, podejrzanego. W archiwum wiadomości są jego policyjne zdjęcia.

Jest trochę podobny do mnie.

– To on? – pytam ją.

– Nie wiem. – Janet nie odwraca się od okna. – Nie patrzyłam.

– Czemu? Może to on! Nie musisz nawet wychodzić z domu, wystarczy, że do nich oddzwonisz, powiesz „tak” lub „nie”. Jan, co się z tobą dzieje?

Przechyla głowę.

– Myślę – odpowiada. – Otworzyły mi się oczy. Wreszcie wszystko nabrało jakiegoś... sensu, czy czegoś takiego...

– Rany, Janet, zostałam zgwałcona, nie ochrzczona!

Podciąga kolana pod brodę i zaczyna się kołysać. Słowa padły, nie da się ich cofnąć. Mimo to, próbuję:

– Jan, przepraszam. Ja po prostu... nie rozumiem... jakby wszystko przestało cię nagle obchodzić...

– Nie będę wnosić o ściganie. – Buja się i buja. – Obojętne, kto to był. To nie jego wina.

Odbiera mi mowę.

Odwraca się, patrzy przez ramię.

– Keith, entropia rośnie. Sam dobrze wiesz. Każdy akt przypadkowej przemocy pomaga światu dobiec końca.

– O czym ty mówisz?! Jakiś sukinsyn celowo cię zaatakował!

Wzrusza ramionami, wygląda przez okno.

– No tak, część materii jest samoświadoma. Ale to nie wyłącza jej spod praw fizyki.

Wreszcie to widzę: w tym absurdalnym rozgrzeszeniu, jakiego udzieliła, w spokojnym, pogodnym z losem tonie głosu. Przemiana dobiegła końca. Moja złość gdzieś się ulatnia. Pozostaje, gdzieś głęboko, mdlące uczucie, którego nie potrafię nazwać.

– Jan... – mówię bardzo cicho.

Odwraca się i patrzy na mnie – i wcale mnie to nie pokrzepia.

– „Wszystko w rozpadzie” – mówi. – „W odśrodkowym wirze. Czysta anarchia szaleje nad światem”.

Brzmi znajomo, jakby, ale nie mogę... nie wiem...

– Nic? Yeatsa też zapomniałeś? – Kręci ze smutkiem głową. – Sam mnie go uczyłeś.

Siadam obok niej. Dotykam jej: pierwszy raz. Biorę ją za rękę. Nie patrzy na mnie. Ale chyba nie ma nic przeciwko.

– Niedługo o wszystkim zapomnisz, Keith. O mnie też.

I patrzy na mnie, a coś, co widzi, zmusza ją do nieznacznego uśmiechu.

– Wiesz co, w pewnym sensie ci zazdroszczę. Jeszcze ci to wszystko nie grozi. Patrzysz na wszystko z tak bliska, że w ogóle prawie nic nie widzisz.

– Janet...

Ona chyba już o mnie zapomniała.

Po chwili zabiera ręce z moich dłoni i wstaje.

Jej cień, zabarwiony pomarańczowo od lampki na stole, rośnie wielki i złowrogi na przeciwległej ścianie. Naprawdę przeraża mnie jej twarz: spokojna, gładka i zaledwie naturalnej wielkości.

Sięga w dół, kładzie mi dłonie na ramionach.

– Keith, dziękuję. Gdyby nie ty, nie dałabym rady przez to przejść. Teraz już doszłam do siebie, już dam sobie radę sama.

W żołądku otwiera mi się ziejąca przepaść.

– Jeszcze nie doszłaś do siebie – mówię, choć głos mi się łamie.

– Nic mi nie jest, Keith. Naprawdę... czuję się lepiej niż... kiedykolwiek. Spokojnie możesz już iść.

Nie mogę. Nie mogę.

– A ja myślę, że się mylisz. – Najważniejsze to ciągnąć ją za język. Muszę zachować spokój. – Może tego nie widzisz, ale według mnie jeszcze nie powinnaś być sama, jeszcze nie dasz rady...

Przelotna iskierka w jej oczach.

– Nie dam rady z czym, Keith?

Próbuję odpowiedzieć, ale to trudne, sam nie wiem, co właściwie chciałem powiedzieć, ja...

– Ja nie dam rady – wyrywa mi się nieoczekiwanie. – Tylko my, ja i ty, przeciwko wszystkiemu. Bez ciebie sobie nie poradzę.

– To nie próbuj.

Ta odpowiedź jest tak głupia, tak zaskakująca, że nie mam na nią riposty.
Pociąga mnie, żebym wstał.

– Keith, to jest mało ważne. Badamy czułość siatkówki u salamandry.
Kogo to obchodzi? I czemu miałyby? Czemu miałyby nas obchodzić?

– Janet, wiesz dobrze, że to nie tylko to. To kwantowa neurologia, to sama natura świadomości, to...

– Wiesz co, żalotne to wszystko w sumie. – Uśmiech ma tak łagodny, a głos tak miły, że nie od razu dociera do mnie, co powiedziała. – Umiesz zmienić ten czy tamten foton, więc wmawiasz sobie, że masz nad czymś kontrolę. Ale nie masz. Nikt nie ma. Wszystko stało się zbyt skomplikowane, chociaż pod spodem to tylko fizyka...

Piecze mnie dłoń. Na policzku Janet nagle pojawia się biała plama, wielkości mojej dłoni. Patrzę, jak nabiega czerwienią.

Dotyka twarzy.

– Nic się nie stało, Keith. Wiem, jak się czujesz. Wiem, jak to wszystko wygląda. Potąd już mamy tego ciągłego płynięcia pod prąd...

Widzę ją, jak stąpa w powietrzu.

– Musisz stąd uciekać – mówię przez ten obraz. – Naprawdę powinnaś posiedzieć więcej na uczelni, załatwię ci jakieś tymczasowe lokum, póki nie dojdiesz do siebie...

– Ciii. – Przytyka mi palec do ust, prowadzi mnie korytarzem. – Nic mi nie będzie, Keith. I tobie też. Wierz mi. Wszystko będzie dobrze.

Sięga przeze mnie i otwiera drzwi.

– Kocham cię – wypalam.

Uśmiecha się, jakby z wyrozumiałością.

– Żegnaj, Keith.

Zostawia mnie tam i rusza korytarzem. Z miejsca, gdzie stoję, widzę kawałek salonu, widzę, jak obraca się twarzą do okna. Łuna dalekich

pożarów barwi jej twarz męczeństwem.

Ciągle się uśmiecha. Mija pięć minut. Dziesięć. Może ona nie jest świadoma tego, że nadal tu jestem, może już o mnie zapomniała.

W końcu, gdy naprawdę odwracam się do wyjścia, odzywa się. Odwracam głowę, lecz jej wzrok wciąż jest skupiony na odległych ruinach, a słowa nie są adresowane do mnie.

Wydaje mi się że mówi:

– ...i cóż za bestia... – A potem jeszcze coś, zbyt cicho, żeby rozróżnić słowa.

Kiedy wieść rozchodzi się po wydziale, próbuję, bezskutecznie, zejść wszystkim z oczu. Nikt nie zna jej najbliższej rodziny, więc wszyscy wyładowują swoje udawane współczucie na mnie. Wygląda na to, że była bardzo lubiana. Nie miałem o tym pojęcia. I współpracownicy, i rywale poklepują mnie po plecach, jakbyśmy byli z nią parą. „Zdarza się”, mówią, jakby dzielili się ze mną swoimi nowymi przemyśleniami. „To nie twoja wina”. Wytrzymuję, ile mogę, potem mówię, że chciałbym pobyć sam.

Dobrze, że chociaż to rozumieją; jestem wreszcie wolny, mimo że palce mnie pieką od nagłego zderzenia ciała ze szkłem. Nurkuję w okular mikroskopu, w dół, do prawdziwego świata.

Kiedyś byłem w tym dużo lepszy niż wszyscy. Tyle czasu spędzałem na dole mikroskopowego obiektywu, z nosem utkwionym w kwantowym interfejsie, akceptując nieoznaczoności, od których większość ludzi dostałaby świra. Ale wcale się tam na dole dobrze nie czuję. Nigdy tak nie było. Po prostu świat zewnętrzny przeraża mnie jeszcze bardziej.

Tam zdarzają się rzeczy, których nie da się cofnąć. Janet odeszła na zawsze. Już nigdy jej nie zobaczę. Na dole by się to nie zdarzyło.

Na dole nic nie jest niemożliwe. Janet jest równie żywa, jak i martwa; coś zmieniłem i nic nie zmieniłem; rodzice rodzą dzieci, potwory, jedne i drugie oraz nic. Istnieje wszystko, co potencjalnie może istnieć. Na dole wszystkie opcje stoją przede mną otworem, unosząc się na fali prawdopodobieństwa.

Dopóki będę mieć oczy zamknięte.

Od tłumacza

W opowiadanie wplecionych jest parę motywów z wiersza Williama Butlera Yeatsa *Drugie przyjście*, przytoczę go więc dla wygody:

Kołując coraz szerszą spiralą,
Sokół przestaje słyszeć sokolnika;
Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze;
Czysta anarchia szaleje nad światem,
Wzdyma się fala mętna od krwi, wszędzie wokół
Zatapiając obrzędy dawnej niewinności;
Najlepsi tracą wszelką wiarę, a w najgorszych
Kipi żarliwa i porywcza moc.
Tak, objawienie jakieś się przybliży;
Tak, Drugie Przyjście chyba się przybliży.
Drugie Przyjście! Zaledwie wyrzekłem te słowa,
Ogromny obraz rodem ze Spiritus Mundi
Wzrok mój poraża: gdzieś w piaskach pustyni
Kształt o lwim cielsku i człowieczej głowie,
Z okiem jak słońce pustym, bezlitosnym,
Dźwiga powolne łapy, a wokoło krążą
Pustynnych ptaków rozdrażnione cienie.

Znów mrok zapada; lecz teraz już wiem,
Że dwadzieścia stuleci kamiennego snu
Rozkołysała w koszmar dziecinna kołyska –
I cóż za bestia, której czas wreszcie powraca,
Pełźnie w stronę Betlejem, by tam się narodzić?

tłum. Stanisław Barańczak

Drugie przyjęcie

Jasmine Fitzgerald

Co jest na tym obrazku nie tak?

Na pierwszy rzut oka prawie nic. Ślady spływającej krwi zgadzają się z pozycją ofiary. Żadnych rzucających się w oczy rozbryzgów tętnicznych; wszystkie ciosy trafiły w brzuch, krew raczej lała się niż tryskała. I żadnych haseł. Nikt nie nabazgrał na ścianie Chaos, Szatan król ani nawet Elvis żyje. Po prostu kolejne pobojowisko, w kolejnej kuchni, w kolejnej kawalerce, już i tak zagraconej rzeczami stopniowo nagromadzonymi przez dwa ludzkie żywoty. Teraz został z nich tylko jeden, miotające się, zakrwawione stworzenie, które, wyprowadzane przez policję, w kółko wykrzykuje swoją mantrę...

– Musiałam go ratować musiałam go ratować musiałam go ratować...

...kolejny dowód na to, że wezwania do domówek są kompletnie do dupy. Dowód potrzebny zgromadzonej na miejscu policyjnej ekipie jak dziura w moście.

Nie uratowała go. Teraz widać jak na dłoni, że już nikt go nie uratuje. Leży pośród własnych wnętrzności, krew i limfa spływają pomiędzy płytki z linoleum, krzyżując się i krzepnąc, same z siebie tworząc od razu na miejscu wykres charakterystyki krzepnięcia krwi. Od czasu do czasu na jego ustach tworzy się i pęka czerwony bąbelek. Każdy, kto to zauważy, udaje, że nic nie widział.

Broń? Proszę bardzo: standardowy domowy nóż do steków, śliski od krwi, pełen krzepnących odcisków palców, leżący dokładnie tam, gdzie go

upuściła. Brakuje tylko jednego: motywu. Sąsiedzi mówią, że spokojna była z nich para. On był chory, chorował od miesiący. Za wiele nie wychodzili. Nie było żadnych awantur. Bardzo się kochali.

Może ona też była chora? Może wykonywała rozkazy jakiegoś guza w mózgu? A może to spieprzone porwanie przez obcych, szaroskóre istoty z Dżety II *Reticuli* wrobiły niewinną osobę, żeby zatuszować własną niekompetencję? Może to zbiorowa halucynacja i nic się tu w ogóle nie stało?

A może siła wyższa?

Szybko się za nią zabrali. To jedna z zalet popełniania zabójstwa w godzinach pracy. Zebrali próbki, zeszkrobali resztki z ubrania i skóry – na wszelki wypadek, gdyby ktoś zakwestionował, czyja to krew. Przeszukali mieszkanie, przesłuchali sąsiadów i rodzinę, ustalili pierwsze powierzchowne dane: Jasmine Fitzgerald, rasy białej, włosy czarne, doktorantka. Z jakiejś Globalnej Ogólnej Teorii Względności, cokolwiek to, kurwa, jest. Rozebrali ją, umyli, odbili od sędziego i wrzucili do Pokoju Przesłuchań nr 1 w Dziale Psychiatrii Sądowej.

I kogoś tam do niej dali.

– Dzień dobry, pani Fitzgerald. Jestem doktor Thomas. Ale jak pani woli po imieniu, to jestem Mill.

Spogląda na niego.

– Niech będzie Mill. – Wydaje się spokojna, ale na twarzy wciąż widać ślady niedawnych łez. – Rozumiem, że masz ustalić, czy jestem wariatką.

– Czy można panią postawić przed sądem. Aha. Od razu powinienem pani powiedzieć, że to, co pani mówi, nie zostanie między nami. Rozumie pani?

Kiwa głową. Thomas siada naprzeciwko niej.

- A ja jak mam do pani mówić?
- Napoleon. Mahomet. Jezus. – Usta jej drgają, nieznaczny uśmiezek, który znika w jednej chwili. – Przepraszam. Żartowałam. Może być Jaz.
- Jak się tu pani czuje? Dobrze panią traktują?
- Prycha.
- Całkiem dobrze, zważywszy, za jakiego potwora mnie mają. – Przerwa, a potem: – Bo wiesz, ja wcale nim nie jestem.
- Potworem? W sensie?
- No, wariatką, psychopatką. Ja tylko... niedawno zmienił mi się światopogląd, rozumiesz? Cały świat wygląda teraz inaczej i moja głowa to wie, ale serce czasem... wiesz, trudno jest nagle zmienić to, jak się wszystko czuje...
- Powiedz mi o tej zmianie światopoglądu – podsuwa Thomas. Demonstracyjnie nie robi notatek. Nawet nie ma notatnika. Chociaż to bez znaczenia. Dyktafon w kieszeni swetra ma bardzo czułe ucho.
- Teraz wszystko ma sens – mówi ona. – Wcześniej nigdy nie miało. Wydaje mi się też, że pierwszy raz w życiu jestem naprawdę szczęśliwa. – Uśmiecha się jeszcze raz, teraz dłużej. Wystarczająco długo, żeby Thomas się zdziwił, jaki szczery jest ten uśmiech.
- Kiedy cię tu przywieźli, nie byłaś zbyt szczęśliwa – mówi łagodnie. – Mówią, że byłaś potwornie zdenerwowana.
- No tak. – Kiwa poważnie głową. – Wiesz, samemu sobie już jest ciężko to zrobić, ale zaryzykować życie kogoś innego, kogoś, na kim ci naprawdę zależy... – Ociera jedno oko. – Umierał od ponad roku, wiesz? Codziennie bolało go trochę bardziej. Prawie było widać, jak się to po nim rozlewa, jak coś... jak liść, który usycha. A może to chemia tak działała. Nie wiadomo co gorsze. – Kręci głową. – Zresztą. Przynajmniej z tym koniec.

– To dlatego to zrobiłaś? Żeby przerwać jego cierpienie? – Thomas powątpiewa. Zabójcy z litości przeważnie nie wypruwają flaków ofiarom swojej dobroczynności. Ale musiał zapytać.

– Oczywiście wszystko spieprzyłam, tylko pogorszyłam sprawę. – Zaciska dłonie przed sobą. – Już za nim tęsknię. To dopiero szaleństwo, co? Wszystko stało się parę godzin temu i wiem, że to nic takiego, ale już mi go brakuje. To znowu ten spór, serce – rozum.

– Mówisz, że spieprzyłaś – odzywa się Thomas.

Robi głęboki wdech, kiwa głową.

– I to jak.

– Powiedz mi o tym.

– Gównu się znam na debugowaniu. Myślałam, że tak, ale jak się pracuje w bazie organicznej... tak naprawdę wlałam do środka i tylko nagrzebałam w tym kodzie na chybił trafił. Zawsze tak się to kończy, chyba że wiesz dokładnie, co robisz. Teraz właśnie nad tym pracuję.

– Debugowanie?

– Tak to nazywam. Nie ma jeszcze na to dobrego słowa.

Oczywiście, że jest.

– Mów dalej.

Jasmine Fitzgerald wzdycha, zamyka oczy.

– Zważywszy, jaka jest sytuacja, pewnie w to nie uwierzysz, ale naprawdę go kochałam. Nie: Kocham go. – Rozlega się delikatne parsknięcie, jakby wyszeptany śmieszek. – No i proszę. Znowu, cholera, ten czas przeszły.

– Powiedz mi o tym debugowaniu.

– Wiesz, Mill, nie wiem, czy jesteś do tego gotowy. Pewnie nawet nie byłbyś tym za bardzo zainteresowany. Otwiera oczy, wpatruje się w niego.

– Ale, mówiąc oficjalnie: Stu umierał. Próbowałam go uratować. Nie udało

mi się. Następnym razem zrobię to lepiej, a potem jeszcze lepiej, i w końcu zrobię to jak trzeba.

– I co wtedy? – pyta Thomas.

– Z twojego czy z mojego punktu widzenia?

– Z twojego.

– Naprawię wszystkie błędy w łańcuchu. Albo może, jeśli to będzie łatwiejsze, skopiuję nieuszkodzoną wersję procedury i wstawię ją z powrotem do głównej pętli. Na jedno wychodzi.

– Aha. A co to oznacza dla mnie?

Wzrusza ramionami.

– Że Stu zmartwychwstanie.

Co jest na tym obrazku nie tak?

Rozłożony na stole umysł Jasmine Fitzgerald mruga do niego znad stronic z wystandaryzowanymi pytaniami. Gdzieś pośród nich zapewne czai się potwór.

To narzędzia używane do robienia sekcji ludzkiej psychice. WAIS. MMPI. PDI. Wszystkie precyzyjne jak młotki. Tępe dłuta udające mikrotomy. Z boku leży egzemplarz DSM-IV^[1], grube tomiszczce w miękkiej oprawie, pełne objawów i patologii. Cała macierz małych szufladek. Może pani Fitzgerald wpadnie do którejś z nich. Zaburzenie eksplozywne przerywane? Maltretowana kobieta? Pospolity socjopata?

Wyniki niczego nie rozstrzygają. Jakby wstała z tych arkuszy i śmiała się z niego. *Prawda czy fałsz: Czasem słyszę głosy, których nie słyszy nikt inny.* Zakreśliła „fałsz”. *Ostatnio byłam niezwykle przygnębiona.* Fałsz. *Czasem jestem tak zła, że mam ochotę coś uderzyć.* Prawda i dopisek z boku na marginesie: „Chyba wszyscy tak mają?”.

We wszystkich tych testach porozrzucane są sidła, powiązane ze sobą pytania mające przyłapać kłamców na subtelnym zaprzeczaniu samym sobie. Jasmine Fitzgerald nie wpadła w żadne z nich. Jest nadzwyczajnie szczerą? A może zbyt inteligentna na takie testy? Nie ma tu nic, co by...

Zaraz. Moment.

Kim był Louis Pasteur? – pyta WAIS, próbując dowiedzieć się czegoś o ogólnym wykształceniu.

„Wirusem”, napisała Fitzgerald.

Jeszcze jeden taki, na poprzedniej stronie: *Kim był Winston Churchill?* I znowu: „Wirusem”.

I piętnaście pytań wcześniej: Kim była Florence Nightingale?

„Sławną pielęgniarką”, odpowiedziała tym razem Fitzgerald. Wszystkie odpowiedzi na poprzednie pytania dotyczące postaci historycznych są poprawne, nie wyróżniają się. Lecz po Nightingale każdy jest wirusem.

Zabicie wirusa to żaden grzech. Można to zrobić i mieć stuprocentowo czyste sumienie. Może ona chce przeddefiniować naturę swojego uczynku. Może dzięki temu daje radę nadal z tym żyć.

No i dobrze. Bo ten bajer o zmartwychwstaniu w ogóle nie trzymał się kupy.

Kiedy wchodzi, ona pólżeży na stole, z głową opartą na splecionych ramionach. Thomas odchrząkuje.

– Jasmine.

Żadnej reakcji. Wyciąga rękę, dotyka lekko jej ramienia. Unosi głowę, płynnym ruchem bez śladu senności. Rozsiada się z powrotem w krześle i uśmiecha.

– Witam ponownie. To jak, jestem wariatką, czy nie?

Thomas odpowiada uśmiechem i siada naprzeciwko niej.

– Staramy się unikać terminów nacechowanych.

– Wytrzymam. Nie mam skłonności do napadów agresji.

Jemu przed oczyma wyświetla się obrazek: kochany mąż z wnętrznościami rozwleczonymi po linoleum na kształt skrzydeł motyla.

Oczywiście, że nie. To żadne napady agresji. Na to, co ty zrobiłaś, potrzebne jest całkiem nowe słowo. Jak to było? „Debugowanie”?

– Przejrzałem wyniki twoich testów.

– I zdałam?

– To nie taki test. Ale niektóre twoje odpowiedzi mnie zaintrygowały.

Zaciska usta.

– Dobra.

– Powiedz mi o wirusach.

Znów ten promienny uśmiech.

– No pewnie. To zmienne łańcuchy informacyjne, które nie potrafią się replikować bez przejęcia kontroli nad zewnętrznym kodem.

– Mów dalej.

– Słyszałeś kiedyś o Core Wars?

– Nie.

– Gdzieś na początku lat osiemdziesiątych zgadało się paru gości i napisali parę samoreplikujących się programów komputerowych. Mieli taki pomysł, żeby wrzucić je do jednego kawałka pamięci i niech się biją o miejsce. Powymyślali różne sztuczki, jak się bronić, jak się reprodukować, no i oczywiście jak zezreć rywali.

– A, chodzi o komputerowe wirusy.

– Tak naprawdę, to coś wcześniejszego. – Fitzgerald waha się chwilę, przekrzywia głowę. – Zastanawiałeś się kiedykolwiek, jak to jest, być takim małym programikiem? Latać, składać jajka, rzucać bomby logiczne, wchodzić w interakcje z innymi wirusami?

Thomas wzrusza ramionami.

– Pierwszy raz o nim słyszę. A co? Ty tak?

– Nie. Już nie. – Wyraz jej twarzy zmienia się. – Wiesz co, z tobą się gada trochę jak z takim programem. Nic tylko „mów dalej”, „powiedz mi więcej o czymś tam”. Boże, Mill, w latach sześćdziesiątych pisali programy symulujące terapeutę, które miały lepszy repertuar niż ty! Nawet w BASIC-u! No powiedzże coś od siebie, wyraż jakieś poglądy!

– Jaz, to tylko taka technika. Nie jestem tutaj po to, żeby wdawać się z tobą w dyskusję, choć byłoby to bardzo interesujące. Mam ocenić, czy jesteś zdolna stanąć przed sądem. Moje poglądy nie mają tu nic do rzeczy.

Wzrusza ramionami i opuszcza je.

– Wiem. Przepraszam. Wiem, że nie przychodzisz, żeby mnie zabawiać, ale przyzwyczaiałam się, że... rozumiesz, Stuart zawsze tak... Boże, jak ja za nim tęsknię. – Jej oczy lśnią.

To morderczyni, powtarza sobie Thomas. Nie daj się jej wciągnąć. Zbadaj ją i koniec. Tylko tyle masz zrobić. Nie polub jej, na miłość boską.

– To... zrozumiałe – mówi.

Ona prycha.

– Gównu tam. Nic nie rozumiesz. Wiesz, co zrobił, jak pierwszy raz poszedł na chemioterapię? Uczyłam się do egzaminów końcowych, a on mi zabrał podręczniki.

– Ale po co?

– Bo wiedział, że w domu nie będę w stanie się uczyć. Do niczego się nie nadawałam. No i przychodzę go odwiedzić w szpitalu, a on wyciąga spod łóżka te cholerne książki i zaczyna mnie przepytować z Diraca i granicy Bekensteina. On tu umiera, a myśli tylko o tym, żeby mnie przygotować do jakiegoś durnego egzaminu. Wszystko bym dla niego zrobiła.

No cóż, myśli Thomas, nie ulega wątpliwości, że zrobiłaś więcej niż typowo się robi.

– Nie mogę się doczekać, kiedy go znowu zobaczę – dodaje, jakby po namyśle.

– Jaz? A kiedy to nastąpi?

– A jak myślisz? – Patrzy na niego. W jej oczach już nie ma śladu tego smutku i rozpaczy, które wydawało mu się, że dostrzegął.

– Większość ludzi, gdy mówi coś takiego, nie ma na myśli życia pozagrobowego.

Rzuca mu nieznaczny, smutny uśmiezek.

– To jest życie pozagrobowe, Mill. To jest niebo, piekło i nirwana. Cokolwiek sobie zdecydujemy. Tu i teraz.

– No tak – odpowiada po chwili Thomas. – Oczywiście.

Jej rozczarowanie nim wisi w powietrzu jak oskarżenie.

– Ty nie wierzysz w Boga, prawda? – pyta w końcu.

– A ty?

– Kiedyś nie. Ale okazuje się, że są pewne tropy. Nawet dowody.

– Na przykład?

– Masa kwarka t. Szerokość bozonu Higgsa. Nie da się tego inaczej odczytać, gdy się wie, czego się szuka. Mill, orientujesz się trochę w fizyce kwantowej?

Kręci głową.

– Nie za bardzo.

– Na poziomie subatomowym nic nie istnieje tak naprawdę. To same fale prawdopodobieństwa. Dopóki ktoś na to nie spojrzy. Wtedy fala kolapsuje i powstaje coś, co nazywamy rzeczywistością. Ale to się nie zaczyna, dopóki nie mamy obserwatora.

Thomas mruży oczy, próbuje wycisnąć z mózgu jakieś przemyślenie.

– Czyli, gdybyśmy nie patrzyli na ten stół, boby nas tu nie było, to on by nie istniał?

Fitzgerald kiwa głową.

– Mniej więcej. – Uśmiech przez chwilę wygląda z kącika jej ust.

Thomas próbuje go wywabić.

– Czyli Bóg jest tym obserwatorem, to ma pani na myśli? Bóg patrzy na wszystkie atomy, żeby świat mógł istnieć?

– O. Tak o tym nigdy nie myślałam. – Uśmiech przeradza się w zmarszczkę skupienia. – Bardziej to metaforyczne niż matematyczne, ale pomysł jest niezły.

– Wczoraj Bóg też panią obserwował?

Unosi wzrok, rozkojarzona.

– Słucham?

– Czy On... czy To się z panią porozumiewa?

Jej twarz traci wszelki wyraz.

– Czy Bóg mówi mi, co mam robić, tak? Czy Bóg mi powiedział, żebym pokroiła Stu, jak... jak... – Syczy teraz przez zęby. – Nie, Mill. Ja nie słyszę głosów. Charlie Manson nie przychodzi do mnie we śnie, żeby szeptać czułe słówka. Odpowiedziałam już na wszystkie pytania w tym twoim teście, więc możesz to, kurwa, sobie darować. Okay?

Thomas unosi uspokajająco dłonie.

– Nie, Jasmine, nie o to mi chodziło. – Kłamie, kłamie. – Przepraszam, jeśli to tak zabrzmiało, po prostu... wiesz, i Bóg, i mechanika kwantowa, to trochę dużo naraz, nie sądzisz? Aż powala.

Patrzy na niego nieufnie.

– No tak. Może faktycznie. Czasami zapominam. – Rozluźnia się odrobinę. – Ale to wszystko prawda. Matematyka jest niepodważalna. Da

się zmienić naturę rzeczywistości samym patrzeniem. Masz rację. To powala.

– Ale tylko na poziomie subatomowym, prawda? Nie mówisz chyba, że możemy zniknąć ten stół, po prostu na niego nie patrząc, co?

Jej spojrzenie przeskakuje do punktu nieco na prawo za jego plecami – mniej więcej tam, gdzie powinny być drzwi.

– No nie – przyznaje w końcu. – Do tego trzeba by długo ćwiczyć.

Co jest nie tak na tym obrazku?

Nie licząc oczywistych oczywistości. Nie licząc pionowego cięcia idącego od mostka do około dwóch centymetrów poniżej pępka, przecinającego mięśnie brzucha i sięgającego do jamy brzusznej. Nie licząc wystrzępień na brzegach, sugerujących użycie jakiegoś ostrza. Wyraźnie niezbyt ostrego.

Nie. Po kolei. Patolog pracuje przede wszystkim metodycznie. No dobra. Mężczyzna rasy białej, dwadzieścia kilka lat. Zewnętrzne cechy morfometryczne już opisane. Utrata włosów i zasinienia typowe dla toksyczności chemoterapeutycznej. Brak paznokci na prawym palcu wskazującym i serdecznym. Ta sama etiologia. Pan kotek podczas zejścia był bardzo chory. Chory na nowotwór i podtruty jeszcze lekarstwem na niego. A kiedy się pomyślało, że gorzej już nie będzie...

W dół i w głąb. Rana pochłania ogumowane dłonie patologa jak ogromna, rozpruta wagina o skrzepłych i skryształizowanych wargach. W środku lśni standardowy zestaw kiszek, spakowany przez sanitariuszy na miejscu przestępstwa – musieli do transportu pozwijać wszystkie luźne końce. Może zatarto w ten sposób jakieś ślady. Może zabójca ułożył wnętrzności w coś znaczącego, może układ trawienny składał się w jakiś trop albo szatańskie imię. Zresztą, nieważne. Wszystko obfotografowali.

Krezka ciągnie się jak cienki lateks, wiążąc ze sobą pętle jelita. Nawet jakby trochę za ciasno. Po jelicie krętym rozsiane są jakieś... przetoki? W paru miejscach pętle wydają się pozrastane ze sobą. Co mogło być przyczyną?

Nic nie przychodzi mu do głowy.

Zapisać to, odnotować, pobrać próbkę na dokładną histologię. I dalej. Skalpel wchodzi we wnętrzności gładko jak w rozgotowany makaron. Ciągająca się żółć i grudki wydalin spadają leniwie do niecki. Na grzbietowej ścianie coś się wybrzusza. Coś błyszczy biało jak kość w miejscu, gdzie nie powinno być żadnej kości. Przeciąć, usunąć. Już. Jakaś narośl na prawej nerce, piętnaście na dziesięć, sięgająca aż do pęcherza. Dość heterogeniczna, składa się jakby z bryłek. Nowotwór? To z tym walczyli lekarze Stuarta MacLennana, szprycując go trucizną po uszy? Patolog w życiu nie widział podobnego guza.

Bo przede wszystkim – a to już naprawdę trochę dziwne – ten guz też na niego patrzy.

Biurko ma stuprocentowo spartańskie. Ani skrawka papieru nie na miejscu. W ogóle ani skrawka papieru. Błat jest nieskazitelny jak kubrickowski monolit, nie licząc stojącej dokładnie na środku stacji roboczej Suna i stojaka z kompaktami skośnie po lewej stronie.

– Właśnie wydała mi się znajoma – mówi. – Kiedy zobaczyłem ją w gazetach. Ale nie mogłem skojarzyć, skąd.

Opiekun naukowy Jasmine Fitzgerald.

– To chyba ma pan sporo studentów – podsuwa Thomas.

– Tak. – Nachyla się, zaczyna stukać w klawisze komputera. – Nawet jeszcze wszystkich nie poznałem. Z paroma z Europy porozumiewam się

tylko przez sieć. Liczę, że spotkam ich latem w Bernie... O, mam ją. Jest. Zupełnie niepodobna do tych zdjęć w gazetach.

– Ale, panie doktorze, ona nie mieszka w Europie.

– Nie, tutaj. Chociaż badania robiła w CERN–ie. Odkąd superzderzacz trafił szlag, cholernie ciężko tam uzyskać cokolwiek sensownego. Ooo.

– Co?

– Ona ma urlop dziekański. Teraz pamiętam. Zawiesiła badania jakieś półtora roku temu. Zdaje się przez chorobę kogoś z rodziny. – Russell wbija wzrok w monitor: coś, co tam widzi, chyba wreszcie do niego dociera. Wszystko naraz.

– Zabiła męża? Zabiła?

Thomas kiwa głową.

– Rany boskie. – Russell kręci głową. – To kompletnie do niej niepodobne. Wydawała się taka... no właśnie... pogodna.

– Dalej taka jest, czasami.

– Rany boskie – powtarza. – I w czym mogę panu pomóc?

– Ona cierpi na bardzo wyrafinowane urojenia. Opakowuje je w masę naukowej terminologii, której nie znam. Rozumie pan, ja nie potrafię wykluczyć, że to ma sens... nie. Wróć. Nie może mieć sensu, ale brakuje mi wykształcenia, żeby naprawdę zrozumieć jej zapewnienia.

– Jakie zapewnienia?

– No, na przykład cały czas mówi o przywróceniu męża do życia.

– Rozumiem.

– Nie jest pan zdziwiony.

– Mam być zdziwiony? Dopiero co pan powiedział, że ma urojenia.

Thomas bierze głęboki wdech.

– Panie doktorze, przez ostatnie kilka dni trochę sobie poczytałem. Kosmologia dla laików, mechanika kwantowa dla początkujących i tak

dalej.

Russell uśmiecha się pobłaźliwie.

– Na naukę nigdy nie jest za późno.

– Mam niejaki wrazenie, że sporo tych rzeczy dziejących się na poziomie subatomowym ma podteksty quasi-religijne. Samorzutne powstawanie materii, współistnienie paru różnych stanów. Niemal mistyczne.

– Tak. To chyba prawda. W pewnym sensie.

– Kosmologowie są z natury religijni?

– Właściwie nie. – Russell bębni palcami w swój monolit. – Sama dziedzina jest tak dziwna, że nie potrzeba jeszcze na czubek dokładać przeżyć religijnych. Jest parę wschodnich religii, których twierdzenia z lekka zalatują mechaniką kwantową, ale to podobieństwo jest bardzo powierzchowne.

– A nic bardziej, wie pan... chrześcijańskiego? Nic, co by doprowadziło kogoś do wiary w jednego, wszechwiedzącego Boga, co wskrzesza umarłych?

– O Boże, nie. A, no może poza tym całym Tiplerem. – Russell się pochyla. – A co? Jasmine Fitzgerald nie została chyba chrześcijanką, prawda? – Swoim tonem sugeruje, że „morderstwo to jedna sprawa, ale coś takiego...”.

– Chyba nie – zapewnia go Thomas. – O ile chrześcijaństwo nie uelastyczyło się ostatnio w kwestii ofiar z ludzi.

– No fakt. Raczej nie. – Russell znów się prostuje, wyraźnie usatysfakcjonowany.

– A kto to ten Tipler? – pyta Thomas.

– Hm? – Russell mruga, rozkojarzony przez moment. – A, tak! Frank Tipler. Kosmolog, z Tulane, stwierdził, że ma weryfikowalny

matematyczny dowód na istnienie Boga. Oraz życia pozagrobowego, jeśli dobrze pamiętam. Parę lat temu narobił niezłego zamieszania.

– Rozumiem, że panu specjalnie nie przypadł do gustu.

– Szczerze mówiąc, to za bardzo tego nie śledziłem. Teologia mnie nie interesuje. To znaczy, jeśli na gruncie fizycznym da się udowodnić, że Bóg jest, albo że Go nie ma, świetnie, ale chyba to nie jest celem ćwiczenia?

– Ja nie wiem. Jak dla mnie to niekiepski efekt uboczny.

Russell uśmiecha się.

– Mógłby mi pan znaleźć tytuł tego? – prosi Thomas.

– Oczywiście. Sekundę. – Russell wtyka do komputera płytę i gładzi klawiaturę. Sun mruczy. – O, jest. Mam: *Fizyka nieśmiertelności. Współczesna kosmologia, Bóg i wskrzeszenie zmarłych*, Frank J. Tipler, rok 1994. Mogę wydrukować panu cały odnośnik, jeśli pan chce.

– Poproszę. To jaki był ten dowód?

Profesor układa usta w coś w rodzaju nieznacznego uśmiešku.

– Poniżej trzydziestu słów – dodaje Thomas. – Jak krowie na rowie.

– Hm – zaczyna Russell – tak w skrócie, to on twierdził, że za jakieś miliardy lat życie przeobrazi się w potężną kwantową maszynę liczącą, żeby uniknąć wyginięcia, gdy wszechświat się zapadnie.

– Myślałem, że wszechświat się nie będzie zapadał? – wtrąca Thomas. – Myślałem, że udowodnili, że będzie się rozszerzał i...

– Dopiero w zeszłym roku – przerywa obcesowo Russell. – Mogę?

– Tak, oczywiście.

– Dziękuję. Jak mówiłem, Tipler twierdzi, że za wiele miliardów lat życie przeobrazi się w potężną kwantową maszynę liczącą, by uniknąć wyginięcia, gdy wszechświat się zapadnie. Integralną częścią tego procesu jest dokładna replikacja wszystkiego, co się do tego momentu we

wszechświecie zdarzyło, aż do poziomu kwantowego, oraz wszystkich możliwych wariantów tych zdarzeń.

Stojąca za biurkiem drukarka wypluwa papierowy jęczyzek. Russell oddziera go i podaje.

– Czyli na koniec świata Bóg to superkomputer? A my zmartwychwstaniemy w jakimś wszechogarniającym modelu symulacyjnym?

– No... – Russell się waha. Wydaje się, że prymitywizm tej karykatury sprawia mu fizyczny ból. – Coś w tym stylu – kończy niechętnie. – Jak to pan powiedział, poniżej trzydziestu słów.

– Wow. – Nagle bredzenia Fitzgerald wydają mu się banałem. – Ale jeśli on ma rację...

– Jest consensus, że nie ma – przerywa pośpiesznie Russell.

– Ale gdyby? Jeśli model jest dokładnym odzwierciedleniem, to jak można odróżnić prawdziwe życie od życia po śmierci? Rozumie pan: po co to wszystko w ogóle?

– Celem jest podobno uniknięcie całkowitego wyginięcia. A jak odróżnić... – Kręci głową. – Szczerze mówiąc, to nie doczytałem tej książki. Jak mówiłem, teologia zanadto mnie nie interesuje.

– Nie wierzę.

– Mało kto wierzył – zauważa Russell. – Chociaż, o ile dobrze pamiętam, te teoretyczne dowody Tiplera były dość obszerne.

– Nic dziwnego. I co się z nim potem działo?

Russell wzrusza ramionami.

– A co się dzieje z kimś, kto jest na tyle głupi, żeby wymyślić nowy sposób patrzenia na świat? Rozdarli go na strzępy, jak rekiny, które poczuły krew. Nie wiem, gdzie potem wylądował.

Co jest nie tak na tym obrazku?

Nic. Wszystko. Nagle obudzony Mill Thomas rozgląda się po swojej ciemnej kawalerce i próbuje przekonać sam siebie, że nie zmieniło się nic.

Nic się jednak zmieniło. Ciche odgłosy nocnego ruchu ulicznego brzmią tak samo jak zawsze. Na ścianę i sufit padają szare równoległoboki – niewyraźny zarys okna sypialni oświetlonego jakąś odległą latarnią. Po lewej stronie łóżka cały czas nie ma Natalie, choć jej wyprowadzka nastąpiła już tak dawno, że nawet nie musi sobie o niej przypominać.

Zerka na diody budzika przy łóżku – 2:35.

Coś jest inaczej.

Nic nie jest inaczej.

A, może jedna rzecz. Na stoliku nocnym leżą herezje Tiplera, plastikowa okładka odbija kreskami czerwone światełka budzika. *Fizyka nieśmiertelności. Współczesna kosmologia, Bóg i wskrzeszenie zmarłych.* Za ciemno, żeby to odczytać, ale takich tytułów się nie zapomina. Mill wypożyczył ją z biblioteki po południu, otworzył na chybił trafił...

... z lematu I zaś i faktu, że:

$$f_{ij} = \sum_{k=1}^{\infty} f_{ij}^{(k)} \leq 1$$

mamy:

$$\begin{aligned} \sum_{n=1}^{\infty} p_{ij}^{(n)} &= \sum_{n=1}^{\infty} \sum_{k=1}^{\infty} f_{ij}^{(k)} p_{ij}^{(n-k)} = \sum_{k=1}^{\infty} f_{ij}^{(k)} \sum_{n=0}^{\infty} p_{ij}^{(n)} \\ &= f_{ij} \sum_{n=0}^{\infty} p_{ij}^{(n)} \leq \sum_{n=0}^{\infty} p_{ij}^{(n)} < \infty \end{aligned}$$

co sprowadza się po prostu do (E.3), a (E.3) jest prawdziwe tylko, jeżeli...

...i cisnął ją do teczki, zdezorientowany i zde gustowany. Nie ma nawet pojęcia, po co w ogóle chciało mu się to cholerstwo wypożyczać. Jasmine Fitzgerald ma urojenia. Proste i logiczne. Z jakiegoś powodu, którego ustalanie nie należy do jego obowiązków, zrobiła w kuchni na podłodze wiwisekcję swojemu mężowi. A teraz wymyśla wszelkie możliwe usprawiedliwienia, chce cofnąć to, czego się cofnąć nie da, a fakt, że opakowuje swoje urojenia w jakiś kosmologiczny bełkot, wcale im nie pomaga zabrzmieć wiarygodnie. Co on chciał zrobić, wykształcić się przez noc na mechanika kwantowego? Jest w ogóle w stanie nauczyć się choćby ułamka tego, czego potrzeba, żeby znaleźć luki w jej starannie skonstruowanej fantazji? Czemu w ogóle mu się chciało?

A jednak chciało się. I teraz pieprzona *Fizyka nieśmiertelności. Współczesna kosmologia, Bóg i wskrzeszenie zmarłych* połyskuje sobie niewyraźnie o wpół do trzeciej w nocy i coś się zmieniło. Jest tego prawie pewien, ale za chińskiego boga nie jest w stanie dojść, co to takiego. Po prostu czuje, że coś jest inaczej. Czuje się jakby...

Obudzony. Tak właśnie się czujesz. Nie zasnąłbyś teraz, nawet gdyby to była kwestia życia i śmierci.

Wzdycha i zapala nocną lampkę. Mrużąc oczy, których źrenice zwężają się od światła, sięga po tę nieznośną książkę.

To niesamowite, momentami nawet jest zrozumiała.

– Tu jej nie ma – mówi salowy. – Wczoraj w nocy musieliśmy ją przenieść obok.

Obok. Do sali szpitalnej.

– Czemu? Co się stało?

– Pojęcia nie mam. Skurcze jakieś, sinica... myśleliśmy, że już z nią koniec. Ale kiedy dotarł lekarz, niczego się nie dopatrył.

– To się kupy nie trzyma.

– Co pan nie powie. U tej pierd... u niej nic się kupy nie trzyma. –
Salowy odchodzi korytarzem, nachmurzony.

Jasmine Fitzgerald leży między prześcieradłami zawiniętymi ciasno jak kaftan bezpieczeństwa, patrzy, nie mrugając, w sufit. Koło łóżka siedzi pielęgniarka, na jej twarzy odmalowują się w równych proporcjach nuda i ciekawość.

– Co z nią? – pyta Thomas.

– Właściwie to nie wiadomo – odpowiada. – Teraz wygląda, że w porządku.

– Dla mnie nie. Prawie jak katatonია.

– To nie katatonია. Prawda, Jaz?

– Przepraszamy – mówi wesoło Fitzgerald. – Osoba, z którą próbowano nawiązać połączenie, jest chwilowo niedostępna. Proszę zostawić wiadomość po sygnale dźwiękowym. Skontaktujemy się. – Po czym: – Cześć, Mill. Miło cię widzieć. – Ani na moment nie odrywa wzroku od dźwiękochłonnych płytek na suficie.

– Raz na dzień to byś może mrugnęła – zauważa Thomas. – Oczy ci wyschną.

– Nic, czego się nie da naprawić odrobiną edycji – odpowiada.

Thomas zerka na pielęgniarkę.

– Zostawi nas pani na trochę?

– Jasne. Będę w bufecie, jakby czegoś było trzeba.

Thomas odczekuje, aż drzwi się same zamkną.

– No, Jaz? Jaka jest masa bozonu Higgsa?

Mruga.

Uśmiecha się.

Odwraca się do niego.

– Dwieście dwadzieścia gigaelektronowoltów – mówi. – No proszę. Ktoś naprawdę przeczytał założenia mojej pracy doktorskiej.

– Nie tylko twoje założenia. To jedna ze sprawdzalnych tez Tiplera, prawda?

Jasmine uśmiecha się szerzej.

– Pewnie, kluczowa teza. Reszta jest dość oczywista.

– I ty ją zweryfikowałaś.

– Tak. W CERN-ie. I jak ci się ta jego książka podobała?

– Przeczytałem tylko kawałki – przyznaje Thomas. – Ciężko szło.

– Przepraszam. To moja wina.

– Jak to?

– Pomyślałam, że przyda ci się trochę pomocy, więc cię trochę podkręciłam. Zwiększyłam ci szybkość przetwarzania. Tylko że chyba trochę za mało.

Czuje ciarki na plecach. Nie zwraca na nie uwagi.

– Ja nie... – Thomas pociera podbródek; zapomniał się dziś ogolić – ...do końca rozumiem, co masz na myśli.

– Jasne, że rozumiesz. Tylko nie wierzysz. – Fitzgerald wysuwa się wężowym ruchem spomiędzy prześcieradeł, podpira plecy poduszką. – Różnimy się tylko semantyką. Dla ciebie, Mill, to „urojenie”. Dla nas, maniaków fizyki, to „hipoteza”.

Thomas kiwa niepewnie głową.

– No, powiedz to, Mill. Wiem, że nie możesz się doczekać.

– Mów dalej – rzuca, nie mogąc się już powstrzymać.

Fitzgerald parska śmiechem.

– Skoro pan nalega, panie doktorze. Doszłam, co robiłam nie tak. Myślałam, że wszystko muszę zrobić sama, a tak się po prostu nie da. Za

dużo zmiennych, rozumiesz, nie ma sposobu, żeby ogarnąć je wszystkie jednocześnie. Próbowałam, ale wszystko pomieszałam i wtedy...

Nagły mrok w jej twarzy. Może jakieś wspomnienie przebiło się przez te wszystkie warstwy starannie poukładanych fantazji.

– I wszystko się pochrzało – kończy.

Thomas kiwa głową, stara się mówić cicho i łagodnie.

– Co ci się teraz przypomniało, Jaz?

– Dobrze wiesz – szepcze. – Jak go wypatroszyłam...

– Tak.

– Umierał. On umierał. Chciałam go ponaprawiać, chciałam poprawić ten kod, ale coś się nie udało i...

Czeka. Milczenie się przeciąga.

– ...a ja nie wiedziałam co. Nie byłam w stanie tego poprawić, skoro nie wiedziałam, co poszło nie tak. Więc... rozprułam go...

Nagle mocno marszczy brwi. Thomas nie wie od czego. Wspomnienia? Wyrzuty sumienia?

– Przecholowałam – mówi w końcu.

Nie. To skupienie. Odbudowuje swoje mechanizmy obronne, wciska głęboko pod powierzchnię czubek tej cholernej góry lodowej. To na pewno nie idzie łatwo – Thomas ją widzi, gigantyczną i dużo lżejszą od wody, wyłaniającą się z głębin, podczas gdy Jasmine Fitzgerald pochyla się i desperacko udaje, że to żaden wysiłek.

– Wiem, że trudno ci to wspominać.

Wzrusza ramionami.

– Czasami. – I raz... – Kiedy zaczynam z powrotem myśleć jak stara szkoła. Trudno się pozbyć starych nawyków. I dwa... – Ale dam sobie z tym radę.

Zmarszczka na czole znika.

I nie ma.

– Pamiętasz, jak mówiłam ci o Core Wars? – pyta pogodnie.

Thomas po chwili potakuje.

– Rozmnażają się wszystkie wirusy, ale co lepsze potrafią pisać makra – właściwie powinny nazywać się „mikra” – zapisywać je pod inne adresy, takie małe podprogramy, mogące niezależnie wykonywać proste zadania. I niektóre z nich też mogą się rozmnażać. Widzisz, do czego zmierzam?

– Nie bardzo – mówi cicho Thomas.

– Trzeba mi było cię bardziej podkreślić. No, w każdym razie, te małe programiki mogą zająć się za ciebie pilnowaniem szczegółów. Każdy będzie śledził parę zmiennych, czyli, jak się rozmnoży, to będzie o parę więcej; powtórzyć to kilka razy i można się w ten sposób zająć dowolnej wielkości problemem, bez ograniczeń. Kurna, można by przepisać, wywrócić na drugą stronę cały ten cholerny system operacyjny, w ogóle nie przejmując się drobnymi szczegółami, całą czarną robotę odwalą te małe demonki.

– Jaz, czy dla ciebie wszyscy jesteśmy tylko wirusami?

Parska śmiechem, ale nie złośliwym.

– Oj, Mill. To tylko naukowy termin, nie jakiś tam osąd moralny. Życie to informacja obrabiana przez dobór naturalny. Tylko o to mi chodzi.

– A ty nauczyłaś się... modyfikować ten kod.

Kręci głową.

– Jeszcze się uczę. Ale idzie mi coraz lepiej.

– Rozumiem. – Thomas udaje, że patrzy na zegarek.

Dalej nie rozumie tego żargonu. Nigdy nie zrozumie. Ale przynajmniej wreszcie wie, o co jej mniej więcej chodzi.

Zostały już tylko ostatnie uprzejmości.

– Tyle mi wystarczy, Jasmine. Dziękuję ci, że byłaś taka otwarta na współpracę. Wiem, jakie to musi być dla ciebie trudne.

Przekrzywia głowę, uśmiecha się do niego.

– Już się żegnasz, Mill? Jeszcze nawet tyle mnie nie wyleczyłeś.

Thomas odpowiada uśmiechem. Niemal czuje kurczące się poszczególne włókna mięśniowe, napięcie ścięgien twarzy, napinające się na kościach tkanki miękkie. Kompletnie nieszczerą, czysto mechaniczną czynność.

– Nie po to tu jestem, Jaz.

– A, no tak. Czy mogę stanąć przed sądem.

Thomas kiwa głową.

– No i? – pyta po chwili. – Mogę stanąć?

Bierze głębszy wdech.

– Chyba masz jeszcze trochę problemów, z którymi się dotąd nie zmierzyłaś. Ale nie będziesz mieć trudności ze zrozumieniem postanowień sądu i nie ma wątpliwości, że będziesz w stanie zastosować się do sądowych procedur. W prawnym sensie oznacza to, że możesz stanąć przed sądem.

– Aha. Czyli zdrowa na umyśle nie jestem, ale nie na tyle walnięta, żeby mi uszło na sucho, tak?

– Mam nadzieję, że wszystko ci się uda. – Te słowa przynajmniej są szczerze.

– Pewnie, że się uda – mówi beztrąsko. – Nie obawiaj się. A ile jeszcze będą mnie tu trzymać?

– Pewnie jeszcze ze trzy tygodnie. Trzydzieści dni to dość typowy pobyt.

– Ale ty już skończyłeś? Czemu tak długo?

Wzrusza ramionami.

– Nie bardzo jest co teraz z tobą zrobić.

– No tak. – Zastanawia się. – Niech będzie. Będę mieć więcej czasu na ćwiczenia.

– Do widzenia, Jasmine.

– Szkoda, że nie poznał pan Stuarta – mówi za jego plecami. – Polubiłby go pan. Może kiedyś go do pana przyprowadzę.

Klamka zacina się. Thomas próbuje jeszcze raz.

– Coś nie tak? – pyta ona.

– Nie – mówi Thomas, odrobinę za szybko. – Tylko...

– No tak. Sekundkę. – Szeleści pościelą.

Odwraca głowę. Jasmine Fitzgerald leży płasko na plecach, nie mruga, patrzy prosto w górę. Oddycha szybko i płytko.

Klamka nagle wydaje mu się nieco cieplejsza w dotyku.

Puszcza ją.

– Dobrze się czujesz?

– Jasne – mówi do sufitu. – Tylko się zmęczyłam. Trochę wysiłku do tego trzeba, wiesz?

Wołaj pielęgniarkę, myśli.

– Trochę sobie odpocznę i nic mi nie będzie. – Patrzy na niego ostatni raz i chichocze. – „I jeszcze Mill od snu mnie dzieli...”^[2].

– Poproszę z doktorem Desjardins.

– Przy telefonie.

– Czy to pan robił sekcję Stuarta MacLennana?

Krótką cisza.

– A kto mówi?

– Mill Thomas. Jestem psychologiem sądowym. Jasmine Fitzgerald jest... była moją klientką.

Telefon leży mu w dłoni i milczy.

– Patrzyłem na raport, pisząc swoją ocenę, i jedna rzecz mi się u pana rzuciła w oczy...

– To wstępny raport – przerywa dr Desjardins. – Pełny będzie... eee... niedługo.

– Tak, rozumiem. Ale wydawało mi się, że MacLennan został śmiertelnie ranny.

– Był wypatroszony jak ryba – mówi Desjardins.

– Właśnie. Ale pana ra... wstępny raport stwierdza, że przyczyna śmierci jest nieustalona.

– To dlatego, że nie ustaliłem przyczyny śmierci.

– Dobrze. Tylko trochę nie rozumiem, co innego mogłoby to być. Żadnych trucizn pan nie znalazł, oczywiście nie licząc chemii, którą brał, i żadnych innych obrażeń, poza tymi przetokami i potworniakami...

Telefon warczy mu w dłoni, krótkim, nieprzyjemnym śmieszkiem.

– Pan w ogóle wie, co to takiego „potworniak”? – pyta Desjardins.

– Zakładałem, że to coś z tym jego nowotworem.

– Zna pan termin „torbiel pierwotna”?

– Nie.

– Mam nadzieję, że nie jadł pan niedawno. Czasami do jamy brzusznej zapłaczę się trochę komórek rozrodczych. Coś uruchamia te uśpione geny – mogą to być różne rzeczy, ale efekt jest taki, że powstają bryły tkanek, z których wyrastają zęby, włosy i kości. Bywają nawet wielkości grejpfruta.

– Jezus. I MacLennan miał w sobie coś takiego?

– Z początku myślałem, że być może. Z początku. Okazało się, że to narodził na nerce. Wyrosło w niej oko. Podobnie miał z większością węzłów chłonnych, naczynia limfatyczne miał pozapychane włosami i czymś podobnym do paznokci, w każdym razie zrogowaciałym.

– To straszne.

– I to jak! Nie mówiąc już o przebitej przeponie i o tym, że zwoje jelita cienkiego były pozrastane ze sobą.

– Ale ja myślałem, że miał białaczkę?

– Bo miał. Tylko że nie ona go zabiła.

– Czyli pan mówi, że te potworniaki mogły się jakoś przyczynić do śmierci MacLennana?

– Nie bardzo widzę jak – mówi Desjardins.

– Ale...

– Niech pan posłucha: może nie wyraziłem się jasno. Mam pewne wątpliwości, czy Stuart MacLennan zginął od sztuki nożowniczej swojej żony, ponieważ dowolna z nieprawidłowości, które znalazłem, powinna zabić go na miejscu.

– Ale to chyba niemożliwe, prawda? Co na to prowadzący śledztwo?

– Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby oni czytali mój raport – burczy Desjardins. – Zresztą, pan też chyba nie, bo dawno by pan do mnie zadzwonił.

– To nie było kluczowe dla mojej oceny, panie doktorze. Zresztą, wydawało się takie oczywiste...

– No właśnie. Jak się widzi kogoś rozprutego od krocza do mostka, to nie potrzeba jakichś raportów, żeby wiedzieć na co umarł. I kogo obchodzą wtedy jakieś pierdoły o wrodzonych zniekształceniach?

– Wro... mówi pan, że on się z tym urodził?

– Tylko że to niemożliwe. Nawet do porodu by nie dotrzymał.

– Czyli pan mówi...

– Mówię, że żona Stuarta MacLennana nie mogła go zabić, bo z fizjologicznego punktu widzenia on w ogóle nie miał prawa żyć.

Thomas gapi się na telefon. Telefon nie odwołuje tych słów.

– Ale... on miał dwadzieścia osiem lat! Jak to możliwe?

– Bóg jeden wie – mówi Desjardins. – Moje zdanie? Jakiś, kurwa, cud!

Co jest nie tak na tym obrazku?

Nie jest do końca pewien, bo właściwie nie wie, czego się spodziewał. Żadnego rozkopanego grobu, odroczonego dramatycznie kamienia. To pewne. Jasmine Fitzgerald powiedziałyby pewnie, że jej moce są zbyt wyrafinowane na tak trywialny teatr. Po co zostawiać górę rozkopanej ziemi, otwartą trumnę, skoro można po prostu poprawić kod?

Siedzi po turecku na nienaruszonym grobie męża. Te jej moce, cokolwiek to jest, nie chronią jej przed padającym na głowę drobnym deszczem. Nie ma nawet parasola.

– Mill – mówi, nie podnosząc wzroku. – Tak myślałam, że to pewnie będziesz ty. – Zniknął gdzieś jej słoneczny uśmiech, to promienne, szczęśliwe wyparcie. Twarz ma tak samo bez wyrazu jak jej mąż, dwa metry poniżej.

– Cześć, Jaz – mówi Thomas.

– Jak mnie znalazłeś? – pyta.

– Kiedy zniknęłaś, cały oddział sądowy dostał szału. Wzywają po kolei wszystkich, którzy mieli jakąkolwiek styczność z tobą, i próbują ustalić, jak się wydostałaś. I gdzie możesz być.

Przegarnia palcami świeżą ziemię.

– Powiedziałeś im?

– Dopiero dużo później przyszło mi to do głowy – kłamie Thomas. A potem, dla zadośćuczynienia: – Zresztą, ja też nie wiem, jak się wydostałaś.

– Oczywiście, że wiesz, Thomas. Sam to cały czas robisz.

– Mów dalej – rzuca celowo.

Jasmine uśmiecha się, ale tylko przelotnie.

– Mill, oboje znaleźliśmy się tu w ten sam sposób. Przekopiowaliśmy się z jednego adresu pod drugi. Jedyna różnica jest taka, że ty jeszcze musisz iść z punktu A przez B i C. Ja idę na skróty od razu do Z.

– Nie przyjmuję tego – mówi Thomas.

– Wieczny niedowiarek z ciebie. Jak możesz rozkoszować się rajem, jeśli nawet go nie poznasz? – W końcu podnosi wzrok. – „Trzeba by panu, doktorze, uświadomić różnicę między empiryzmem i uporem”^[3]. Wiesz, z czego to?

Kręci głową.

– Zresztą nieważne. – Jasmine opuszcza wzrok na ziemię. Mokra macki włosów zwisają jej w poprzek twarzy. – Nie pozwolili mi wyjść na pogrzeb.

– Wygląda na to, że nie potrzebowałaś pozwolenia.

– Teraz nie. To było parę dni temu. Wtedy jeszcze nie dałam sobie rady ze wszystkimi błędami. – Zanurza rękę w mokrej ziemi. – Wiesz, co mi zrobiłam.

Przed nożem, o to jej chodzi.

– Ja nie... ja naprawdę nie...

– Wiesz – powtarza.

W końcu Thomas kiwa głową, choć ona nie patrzy.

Deszcz się wzmaga. Thomas trzęsie się pod wiatrówką. Fitzgerald w ogóle się nie przejmuje.

– I co teraz? – pyta w końcu on.

– Nie jestem pewna. Wiesz, z początku to wydawało się takie proste. Kochałam Stuarta całkowicie, bezgranicznie. Chciałam go ożywić, od razu jak tylko się nauczę. Jak najszybciej. Tym razem zrobić to dobrze. I wiesz, ja go nadal kocham, naprawdę, ale niech to szlag, nie wszystkie jego cechy. Straszny był z niego flejtuch, czasami. I gust muzyczny też miał okropny.

Więc tak sobie myślę, skoro już tyle osiągnęłam, czemu mam poprzestać na ożywianiu go? Czemu go trochę, delikatnie, nie podstroić?

– I zrobisz to?

– Nie wiem. Patrzę na te wszystkie rzeczy, które chciałabym zmienić, i jak się zastanowić, to może lepiej byłoby zacząć od zera. Mniejsza złożoność. Obliczeniowa.

– Mam szczerą nadzieję, że to naprawdę urojenia. – Niezbyt mądry tekst, ale przestało mu zależeć. – Bo jeśli nie, to Bóg jest naprawdę bezdusznym sukinsynem.

– Jak to? – pyta, prawie bez zainteresowania.

– Wszystko jest tylko informacją. Jesteśmy tylko podprogramami wchodzącymi w interakcję w jakimś modelu. Więc w sumie nic nie jest ważne, prawda? Któregoś dnia zabierzesz się za debugowanie Stuarta. Nie ma pośpiechu. Może poczekać. To tylko mikrokod, nic nieodwracalnego. Więc w sumie wszystko jest nieważne, nie? Jakże Bóg miałby się czymkolwiek przejmować w takim świecie?

Jasmine Fitzgerald wstaje z grobu i ściera ziemię z palców.

– Uważaj, Mill. – Uśmiecha się nieznacznie. – Lepiej mnie nie wkurzaj. Patrzy jej w oczy.

– Cieszę się, że jeszcze jestem w stanie.

– Punkt dla ciebie. – Pod przemoczonymi rzęsami i spływającymi po twarzy strugami deszczówki coś się jeszcze skrzy.

– To co zrobisz? – pyta jeszcze raz.

Jasmine rozgląda się po mokrym cmentarzu.

– Wszystko. Wysprzątam brudy. Powypełniam wszystkie luki. Zmienię stałą Plancka, żeby się trzymała kupy. – Uśmiecha się do niego. – Ale na razie chyba po prostu gdzieś sobie pójdę i trochę pomyślę. – Schodzi ze

wzgórka. – Dzięki, że mnie nie podkablowałeś. Nic by to nie zmieniło, ale doceniam zamiar. Nie zapomnę ci tego. – I odchodzi w deszcz.

– Jaz! – woła za nią Thomas.

Kręci głową, nie oglądając się.

– Zapomnij, Mill. Mnie nikt nie podawał żadnych cudów na tacy. – Przystaje, odwraca się na moment. – Poza tym, nie jesteś gotowy. Pewnie pomyślałbyś, że cię zahipnotyzowałam, czy coś.

Powinienem ją zatrzymać, mówi sobie Thomas. Jest niebezpieczna. Sama siebie oszukuje. Jeszcze mnie wsadzą za poplecznictwo. Powinienem ją zatrzymać.

O ile jestem w stanie.

Zostawia go w deszczu ze wspomnieniem tego promiennego, niewinnego uśmiechu. Jest prawie pewien, że nie poczuł niczego – że nic przez niego wtedy nie przeszło. A może poczuł? Może to było jak zmarszczka drobnej falki rozchodząca się po jakiejś zastanej powierzchni. Subtelna zmiana splotu elektronów. Drobną modyfikacją rzeczywistości.

„Wysprzątam brudy. Powypełniam wszystkie luki”.

Mill nie do końca wie, co miała na myśli. Obawia się jednak, że już niedługo – o wiele za szybko – na tym obrazku wszystko będzie w porządku.

W domu

Zapomniało, kim jest.

Co prawda, tutaj na dole nie ma to żadnego znaczenia. Jaki pożytek z imienia, gdy nie ma go komu używać? To stworzenie tutaj nie pamięta, skąd pochodzi. Nie pamięta mętnego zmierzchu Prądu Północnopacyficznego ani hałasu i benzynowego posmaku, który wypłoszył je pod termoklinę. Nie pamięta galaretowatej nadbudowy języka i kultury, która tkwiła niegdyś na samym czubku jego rdzenia kręgowego. Nie pamięta nawet, jak ten pan i władca rozpadał się na dziesiątki niezależnych, mamroczących do siebie podprogramów. Teraz nawet i one umilkły.

W ogóle ostatnio niewiele się ta kora odzywa. Czasem jakiś niskopoziomowy impuls przyjdzie z płatu ciemieniowego albo potylicznego. Pierwszorzędowa kora ruchowa szumi sobie w tle. Od czasu do czasu ośrodek Broki mruknie coś do siebie. Reszta jest na ogół martwa i cicha, wygładzona przez leniwy, czarny, zimny jak odmrażacz ocean. To, co zostało, to czysty żywy gad.

Prze naprzód, ślepy i bezmyślny, niepomny ciśnienia czterystu płynnych atmosfer. I żywi się wszystkim co znajdzie.

Odsalacze i recyrkulatory dają mu pić. Czasami stara ssacza skóra robi się lepka od własnych wydzielin; wtedy druga, nowsza skóra na wierzchu otwiera pory na ocean i spłukuje wszystko do czysta odmierzonymi porcjami destylowanej wody morskiej.

Gad nigdy nie zastanawia się nad tym sygnałem we własnej głowie, kierującym go we właściwą stronę. Nie wie, dokąd płynie i dlaczego. Wie

tylko, siłą gołego, prymitywnego instynktu, jak tam dotrzeć.

I oczywiście umiera, ale powoli. Nie przejąłby się tym, nawet gdyby wiedział.

Teraz coś puka mu we wnętrzości. Nieskończenie słabe fale uderzeniowe maszerują w precyzyjnych odstępach skądś przed nim i bębnią o maszynę, którą ma w piersi.

Gad nie rozpoznaje tego dźwięku. To nie okresowe pomruki napierających na siebie dna morskiego i szelfu kontynentalnego. To nie niskie częstotliwości impulsów termometrów akustycznych, oddalające się cichutkim echem ku Cieśninie Beringa. To dzwonienie – metaliczne – mruczy ośrodek Broki, chociaż gad nie wie, co to znaczy.

Dźwięk raptownie się wzmacnia.

Nagle, jaskrawe rozbłyski oślepiają gada. Mruga – taki nawyk, z czasów, których nie pamięta. Nasadki na oczach przyciemniają się automatycznie. Źrenice pod nimi, ograniczone szybkością odruchów, zwężają się do punkcików parę sekund później.

W ciemności przed nim błyszczą miedzianym ogniem punkt orientacyjny – za ostry, zbyt nieruchomy, o wiele jaskrawszy niż bioluminescencyjne ogniki, które czasami wskazują drogę w głębinach. One przynajmniej są na tyle słabe, że coś przy nich widać; ulepszone oczy gada potrafią wzmocnić nawet słabiutkie migotanie ryb głębinowych i ulepić z niego coś przypominającego półmrok. Jednakże przy tym nowym świetle reszta świata robi się czarna. Światło nigdy nie bywa takie jasne, nigdy odkąd...

Z kory dobiega jakaś iskra rozpoznania.

Zawisa bez ruchu, waha się. Jest prawie świadom rozbrzmiewających gdzieś niedaleko cichutkich, niecierpliwych głosów. Ale odkąd pamięta,

podążał tym kursem, który ma tylko jeden możliwy cel.

Opuszcza się do dna i, lądując na nim, wzbija mulistą chmurę.

Pełźnie naprzód po dnie.

Światło płonie kilka metrów nad podłożem.

Z bliska rozpada się na ciąg ułożonych w łuk mniejszych światełek, przypominających fotofory na boku jakiejś gigantycznej ryby.

Broka znów przysyła jakiś szum: lampy sodowe. Gad brnie przez wodę, powoli kręcąc głową.

I zamiera, nagle przestraszony. Za kręgiem świateł czai się coś ogromnego, wielki szary masyw na tle czerni. Wisi nad dnem jak gigantyczny, gładki kamień, w zagadkowy sposób pływający, na równiku otoczony kręgiem świateł. Prążkowane nitki łączą go z dnem.

Zmienia się coś jeszcze.

Chwilę trwa, zanim gad się zorientuje, co to takiego – bębnienie w pierś ustało. Rozgląda się nerwowo, od cienia do światła, od światła do cienia.

– Zbliżasz się do stacji Linke w Aleuckiej Baterii Geotermalnej. Miło cię widzieć z powrotem.

Gad odskakuje z powrotem w ciemność, skłębając za sobą muł. Cofa się o dobre dwadzieścia metrów, zanim zacznie mu coś mętnie świtać – ośrodek Broki zna te dźwięki. Nie rozumie ich – bo on w ogóle poza powtarzaniem mało co umie – ale coś takiego już kiedyś słyszał. Gad czuje jakieś nieznanome drgnienie. Ostatni raz ciekawość na coś mu się przydała dawno temu.

Odwraca się twarzą tam, skąd dopiero co uciekł. Z odległości światła rozmazują się w mętne smugi. W piersi wibruje delikatne staccato rytmu.

Gad podkrada się z powrotem do świetlnego punktu. Światło znów dzieli się na wiele świateł, a za nimi znów czai się ten ciemny, złowrogi korpus.

I znów, gdy się zbliża, rytm cichnie. Dziwny przedmiot otoczony wianuszkiem światełek wisi nad jego głową. W niektórych miejscach jest gładki, w innych krostowaty. Z bliska widać równiutkie rzędy kolistych wypukłości i kanciaste wystające elementy.

– Zbliżasz się do stacji Linke w Aleuckiej Baterii Geotermalnej. Miło cię widzieć z powrotem.

Gad drga, ale tym razem pozostaje na kursie.

– Nie jesteśmy w stanie cię zidentyfikować na podstawie echa z sonaru.
– Dźwięk wypełnia ocean. – Prawdopodobnie jesteś Deborah Linden.
Deborah Linden. Odpowiedz, jeśli jesteś Deborah Linden.

Deborah Linden. To wywołuje jakieś wspomnienie: coś o czterech znajomych kończynach, ale stojące prosto, poruszające się w grawitacji, w jasnym świetle, wydające dziwne chropowate odgłosy...

...śmiech...

– Odpowiedz...

Kręci głową, nie wiedząc dlaczego.

– ... jeśli jesteś Deborah Linden.

Judy Caraco, mówi coś blisko, bardzo blisko.

– Deborah Linden. Jeśli nie możesz mówić, pomachaj rękoma.

Światła u góry oświetlają ząbkowany krąg na dnie oceanu. Pośrodku niego stoi pojemnik, wystarczająco duży, żeby do niego wejść.

Na pulpicie na jej boku migocą dwa zielone światełka.

– Proszę wejść do azylu pod stacją. Jest tam żywność i aparatura medyczna.

W jednym końcu pojemnika zieleje otwór; wewnątrz widać skryte w cieniach delikatne przegubowe sprzęty.

– Wszystko jest automatyczne. Wejź do azylu i nic ci się nie stanie. Ekipa ratunkowa jest w drodze.

Automatyczne. Ten odgłos też odróżnia się od reszty.

Całkiem, jakby „automatyczne” coś znaczyło. Coś bezpośrednio dotyczącego gada.

Gad z powrotem patrzy na kształt wiszący mu nad głową jak, jak...

...jak pięść...

...jak pięść. Spód kuli jest chłodną, ciemną kryjówką – światelka wzdłuż równika nie sięgają tutaj, zakryte wypukłością powierzchni. W nakładających się cieniach na południowym biegunie coś zapraszająco migoce.

Gad odpycha się od dna, wznecając kolejną chmurę.

– Deborah Linden. Dla twojego bezpieczeństwa stacja jest zamknięta.

Sunie w stożek cienia pod kształtem i widzi nad sobą jasny błyszczący dysk, metrowej średnicy, skierowany w dół, otoczony obręczą. Wpatruje się w niego.

Stamtąd też coś patrzy.

Spłoszony gad zawraca i odpływa. Dysk faluje w nagłej turbulencji.

Bąbel. Tylko tyle. Bąbel powietrza, uwięziony poniżej...

...śluzę.

Gad zamiera. Zna to słowo. Nawet je w pewnym sensie rozumie. Broka nie jest już sam, coś jeszcze odzywa się w płacie skroniowym i podłącza do chóru. Coś w tamtej okolicy naprawdę wie, o czym ten Broka gada.

– Proszę wejść do azylu pod stacją...

Gad, ciągle nerwowy, wraca do śluzę. Warstwa powietrza błyszczy srebrno w odbitym świetle. Przesuwa się po niej czarne widmo, niemal pozbawione rysów, z wyjątkiem dwóch pustych białych dziur w miejscu, gdzie powinno mieć oczy. Wyciąga rękę na spotkanie z wyciągniętą ręką gada. Dwa komplety palców dotykają się, zlewają, znikają.

Ręka zrasta się w nadgarstku ze swoim własnym odbiciem. Palce, po drugiej stronie zwierciadła, dotykają metalu.

– ...bezpieczeństwa stacja jest zamknięta. Deborah Linden.

Cofa dłoń, zafascynowany. Wewnątrz niego zaczynają się poruszać jakieś dawno zapomniane części. Inne, bardziej znajome, próbują je uciszyć z powrotem. Widmo pływa nad głową, bez wyrazu, nieniepokojone.

Przysuwa dłoń do twarzy, przeciąga palcem wskazującym od ucha do brody. Bardzo długa cząsteczka, spleciona sama ze sobą, rozplata się.

Gładka czarna twarz widma otwiera się na parę centymetrów. Skóra pod spodem ma w filtrowanym świetle kolor bladoszary. Gad czuje znajome marszczenie się policzków od nagłego chłodu.

Ciągnie dalej, przecinając twarz od ucha do ucha. Pod oczyma otwiera się wielka, uśmiechnięta rama. Kiedy kończy, kłapa z czarnej błony zaczyna swobodnie falować, zamocowana przy szyi.

Pośrodku połaci skóry coś wystaje. Gad porusza żuchwą: wypukłość się otwiera.

Większości zębów już teraz nie ma. Niektóre połknął, inne wypluł, bo oblużowały się, kiedy maska była rozpięta.

Nieważne. Teraz przeważnie żywi się rzeczami, które są jeszcze miększe od niego. A jeśli trafi się jakiś mięczak czy szkarłupień za duży albo za twardy, żeby go połknąć w całości, zawsze zostają jeszcze ręce. Kciuki nadal ma przeciwstawne.

Jednakże pierwszy raz naprawdę widzi tę ziejącą, bezzębną ruinę w miejscu, gdzie kiedyś były usta. Skądś wie, że to nie tak powinno wyglądać.

...Wszystko jest automatyczne...

W te odgłosy wcina się nagłe bzyczenie. Po chwili cichnie. Na moment powraca upragniona cisza. Potem odzywa się coś innego, cichszego niż

przedtem, niemal nieśmiałego:

– Rany, Judy, to ty?

Zna ten dźwięk.

– Judy Caraco? Mówi Jeannette Ballard. Pamiętasz? Byłyśmy razem na przygotowaniach. Judy? Możesz mówić?

Ten odgłos pochodzi z bardzo dawnych czasów.

– Słyszysz mnie, Judy? Pomachaj, jeśli mnie słyszysz.

Z czasów, kiedy to coś było częścią czegoś większego i nie nazywało się „coś”, tylko...

– Maszyny cię nie rozpoznały, wiesz? Są zaprogramowane tylko na miejscowych.

...ona.

Grupy neuronów, od dawna uśpione, iskrzą w ciemności. Stare, zapomniane podsystemy zacinają się i restartują.

...ja...

– Przeżyłaś... Boże, Judy, masz pojęcie, gdzie ty jesteś? Zaginęłaś na Juan de Fuca! Przeżyłaś ponad trzy tysiące kilometrów.

To zna moje imię.

Ledwo jest w stanie myśleć przy całym tym mamrotaniu w głowie.

– Judy, to ja. Jeannette. Boże, Judy, jak ty przeżyłaś tyle czasu?

Nie potrafi odpowiedzieć. Ledwo zaczyna rozumieć pytanie. Części jej jaźni dalej śpią, inne nie chcą gadać, a jeszcze inne całkiem się zmyły. Nie pamięta, dlaczego nigdy nie chce jej się pić. Zapomniała o przyptywach i odpływach ludzkiego oddechu. Kiedyś, przez jakiś czas, знаła słowa w rodzaju „fotoamplifikacja” i „mioelektryczny”. Ale nawet wtedy ich nie rozumiała.

Potrząsa głową, próbując ją oczyścić. Nowe części – nie, stare części, które sobie poszły, a teraz wróciły i nie chcą się, kurwa, zamknąć – i

natarczywie domagają się uwagi.

Jeszcze raz wsuwa rękę do bąbla, przez własne odbicie; i jeszcze raz brzuszna śluza stacji ją odpycha.

– Judy, do stacji się nie da wejść. Tam nikogo nie ma. Wszystko jest teraz automatyczne.

Przysuwa dłoń z powrotem do twarzy, szarpie za granicę między czernią i szarością. Z odbitego upiora złuszcza się kolejny cień, odsłaniając duży blady owal z dwoma mniejszymi owalami, białymi, całkowicie pozbawionymi wyrazu. Skóra wokół ust drętwieje, zaczyna mrowić.

Moja twarz! – krzyczy coś. Co się stało z moimi oczami?

– I tak zresztą nie powinnaś wchodzić do środka, nie będziesz nawet mogła ustać. Widzieliśmy to u innych uciekinierów, po jakimś czasie się odwapniacie. Kości robią się spróchniałe, rozumiesz?

Moje oczy...

– Już leci do ciebie batyskaf. Ekipa będzie u ciebie góra za piętnaście godzin. Wejdz do azylu i poczekaj na nich. Tam jest najlepszy sprzęt, on się wszystkim zajmie.

Zagłęda do otwartego pojemnika. W głowie pojawiają się kolejne słowa. Nogi. Więzy. Pułapka. Wie, co one znaczą.

– Oni... oni wtedy niektóre rzeczy źle zrobili. Teraz to co innego. Teraz już nie trzeba przerabiać ludzi. Po prostu tam zaczekaj, Judy. Wszystko naprawimy. Będziesz mogła wrócić do domu.

Głosy w środku cichną, nagle czujne. Nie podoba im się brzmienie tej frazy. „Do domu”. Zastanawia się, co to znaczy. Czemu robi się od tego zimno.

W głowie przewijają się kolejne słowa: Światła są zapalone.

Nikogo nie ma w domu.

Światła zapalają się, zaczynają migotać.

Chwilami dostrzega chore, zepsute twory rojące się w jej mózgu. Stare wspomnienia ruszają ze zgrzytem, po latach rdzewienia.

Coś raptownie się ogniskuje: robaki, grupki wijących się, bezokich, galaretowatych ryjków sięgających ku niej poprzez dwa dziesięciolecia. Wytrzeszcza przerażona oczy i przypomina sobie, jak się nazywały. Nazywały się „palce”.

Coś ustępuje z trzaskiem. Jest wielki pokój i zaciśnięta w małej piątce pacynka. Coś pachnie miętówkami, robaki wdzierają się jej między nogi, zadają ból i szepczą „cii, nie jest aż tak strasznie, prawda?”, a jest, ale ona nie chce mu tego mówić „po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem”, więc kręci głową, zaciska powieki i chce przeczekać. Mija wiele lat, zanim ponownie otwiera oczy, a wtedy on znowu tam jest, teraz o wiele mniejszy, nie pamięta, nic, kurwa, „nie pamięta”, teraz cały jest „rany, kochanie, jak ty wyrosłaś, ile to lat?”. Więc mu mówi, kiedy trafiają go druciki paralizatora, kiedy się przewraca, mówi mu, kiedy mięśnie kurczą mu się w orgazmie na dwanaście tysięcy woltów, pokazuje mu nóż, pokazuje mu z bardzo bliska, lewe oko zapada się z mokrym, znużonym sapnięciem, ale drugie zostawia, podskakujące śmiesznie nerwowymi łukami, żeby mógł patrzeć, ale, cholera, tym razem naprawdę policja jest na miejscu, kiedy jest potrzebna, i znowu te robaki, twarda zbita masa robaków wali ją w nerkę jak dok, robaki łapią ją za włosy, ale zabierają nie na komisariat, tylko do jakiegoś dziwnego szpitala, gdzie głosy w sąsiednim pokoju mruczą coś o optymalnych pourazowych środowiskach i uzależnieniu od endogennej dopaminy.

A potem ktoś mówi: „Pani Caraco, jest alternatywa, miejsce, które jest trochę niebezpieczne, ale czułaby się pani tam jak w domu, prawda? I mogłaby pani coś zrobić dla świata, potrzeba nam tam ludzi, którzy potrafią żyć w pewnym stresie i nic im się... wie pani...”.

Odpowiada: „dobra, dobra, niech będzie, kurwa, byle szybko”.

Robaki wdzierają się w jej pierś, pożerają parę miękkich części i zastępują je twardymi, geometrycznymi bryłami plastiku i metalu, które ranią ją od środka.

A potem już ciemny chłód, życie pozbawione oddychania, cztery tysiące metrów czarnej wody napierające jak ściany ogromnej macicy...

– Judy, na litość boską, odezwiesz się do mnie? Działa ci wokoder? Możesz odpowiedzieć?

Cała dygocze. Nie potrafi nic zrobić, patrzy tylko, jak dłoń, autonomiczny zbawca, unosi się i chwyta pływający przed twarzą płat czarnej błony. Gad ściska razem jej krawędzie, tutaj i tutaj.

Hydrofobowe łańcuchy spinają się ze sobą, śliska czarna błona z powrotem opina zepsute ciało. Wewnętrzne głosy wściekają się po cichu.

– Judy, zamachaj ręką, albo coś! Judy, co ty... gdzie ty idziesz?

Gad nie wie. Całe życie płynął do tego miejsca. Zapomniał, dlaczego.

– Judy, nie możesz odchodzić za daleko... nie pamiętasz, w takiej odległości od aktywnej szczeliny nasze przyrządy za dobrze nie widzą...

Gad tylko chce uciec od tego hałasu. Od tego światła. Chce tylko znów być sam.

– Judy, czekaj... my tylko chcemy pomóc...

Ostre sztuczne światło blednie za nim. Przed nim tylko z rzadka migają żywe latarenki.

Na skraju świadomości pojawia się mętna myśl, zaraz splukana z niej na zawsze: wiedziała, że to jest jej dom, zanim pierwszy raz zobaczyła na oczy ocean.

Dużo żarcia

Peter Watts i Laurie Channer

Opowiadanie to pełne jest swoistego autentyzmu, który zdradza, że zostało osnute na osobistych doświadczeniach.

Przez pewien krótki czas pracowałem jako pracownik naukowy, czyli utytułowana dziwka w Instytucie Ssaków Morskich Uniwersytetu Kolumbii Brytyjskiej. Wchodziłem w intensywne interakcje z entuzjastami akwariów, obrońcami praw zwierząt i zakulisowymi technikami w ich naturalnym środowisku. Obserwowałem ich. Notowałem. Powstrzymywałem pokusę, by za dobre zachowanie rzucać im ciastka, podobnie jak powstrzymywałem (nieco silniejszą) pokusę, by rozwalić im te durne łby za ciągle, niekończące się politykowanie, przez które nie dało się tam w ogóle popracować naukowo.

Nie byłem jednak w stanie się powstrzymać przed pokusą napisania tego opowiadania. Wiele pomogła mi moja współpracowniczka – może więcej w kwestii humoru niż w zagadnieniach biologicznych.

Nauka (podział na walenie osiadłe i wędrownie, śmiertelność noworodków wszystkie te ozdobniki poprzedzające chronologicznie Przełom) jest tu w większości stuprocentowo prawdziwa. Race Rocks to prawdziwy rezerwat ssaków morskich. Czytelnicy którzy odwiedzili akwarium w Vancouver, mogą doświadczyć pewnego déjà vu, podążając śladami Douga Larghi. Natomiast same postacie, co smutne, są bardziej

rzeczywiste, niż mielibyście ochotę sądzić – nawet ich nazwiska mają pewne (choć niepozywalne) podobieństwo do nazwisk faktycznych publicznych bohaterów owej debaty dotyczącej waleni w niewoli – po obu stronach barykady.

Mój Boże, z perspektywy czasu myślę nawet, że tęsknię za tymi dwulicowymi sukinsynami.

Anna Marie Hamilton, lokalna gwiazdka od Praw Zwierząt, pławi się w blasku mediów tuż przed wejściem do akwarium. Jej wyznawcy śledzą każdy jej ruch, transparenty unoszą się i opadają jak białe grzywacze, do rytmu skandowania „ole–ole–ole–ole, wędrownym życzymy źle...”.

Jeden waleniolub, opakowany w sandwiczowy plakat z napisem *Zjeść Wędrownych*, przekrzykuje jazgot, tłumacząc pobliskiemu reporterowi:

– Nie, nie o bezdomnych chodzi, człowieku! O walenie... Reporter jednak właściwie go nie słucha. Anna Marie właśnie otworzyła usta. Skandowanie milknie w jednej chwili. Zawsze ciekawie usłyszeć, co ma do powiedzenia Anna Marie Hamilton. Ostatnio tak często się to zmienia. Przed Przełomem naprawdę próbowała uwolnić walenie. Niech ją szlag, w kółko mówiła o nich „więźniowie” i „zakładnicy”.

– Trzeba ratować orki... – zaczyna.

Reporter stęka, rozczarowany. Nie, no, znowu...

Doug Largha przeciąga kartą płatniczą przez czytnik i przechodzi przez kołowrotek do środka. Na jego radarze protestujących prawie nie widać. W czasach studenckich zastanawiał się, czy się do nich nie przyłączyć, ale tylko po to, żeby zaliczyć któreś z tych wrażliwych i egzaltowanych lasek od wielorybów. Czego on zresztą wtedy nie robił, żeby pójść z jakąś do łóżka...

Zresztą, cholera. Czego teraz nie robi...

Od cieśniny dobiega róg mgłowy. Po obu stronach świata widoczność jest podła; mgła jest szara powyżej linii wody, a zielona poniżej.

Morze wokół Race Rocks jest puste. Kiedyś to był rezerwat przyrodniczy. Teraz to strefa zdemilitaryzowana.

Dwieście metrów od wysp czujniki cierpliwie nasłuchują intruzów. Ale nie ma żadnych. Dla turystów jest za zimno, dla szpiegów zbyt mgliście, za mokro dla większości ssaków lądowych. Nikt nie próbuje przekraczać granicy górą. A nawet pod linią granicy ruch jest o wiele mniejszy niż kiedyś. Sporadyczne trio czarno-białych opływowych kształtów wielkości autobusu. Od czasu do czasu nożowata płetwa grzbietowa, wzrostu człowieka. Nic ponadto.

Kiedyś działo się tu o wiele więcej. Na Race Rocks roiło się od fok, lwów morskich, morświnów białopłetwych. Była to wtedy istna encyklopedia: *Eschrichtius*, *Phocoena*, *Zalophus*, *Eumetopias*.

Całe to mięso dawno jest wysprzątane do czysta. Dzisiaj pływa tu tylko jeden gatunek: *Orcinus*. Tych przybyszów nikt o dokumenty nie pyta. Oni wszystko robią po swojemu.

Pięć kilometrów na wschód trawler-przetwórnia *Dipnet* pełźnie naprzód na połowie mocy. Niewyraźne szare kształty tłoczą się niespokojnie przy nadburciach, śliskie, mokre, zakapturzone dla ochrony przed gęstą atmosferą.

Nawet mgła, pozbawiająca cały świat koloru, nie jest w stanie zmniejszyć zapału na pokładzie. Po falach dryfują urywki piosenek wyśpiewywanych przez damsko-męski chór.

„I poznają w nas swe siostry, co kochają, co kochają...”.

Dwadzieścia pięć metrów niżej ciąg klików faluje w słupie wody. Brzmi jak niecierpliwe bębnienie palcami.

Doug ma wszystko przemyślane. Znalazł idealne miejsce: przy samym brzegu, gdzie trap wystaje nad zbiornik jak wielki jezior z włókna szklanego. Inni widzowie, mniej przewidujący albo słabiej zmotywowani, wypełniają okalające akwarium trybuny. Osłony z pleksiglasu oddzielają ich od kilku milionów litrów filtrowanej morskiej wody oraz drapieżnego giganta w środku. Po drugiej stronie zbiornika jeszcze więcej włókna szklanego i parę ton formowanego cementu udaje skaliste wybrzeże. Co parę chwil po powierzchni wody przetacza się gładki czarny grzbiet, z płetwą grzbietową sztywną jak napalony penis.

Tutaj nie ma mowy o obwisłej płetwie, o nie, panie szanowny. To nie są już te czasy.

Pokaz ma się zaraz zacząć. Doug wykorzystuje ten czas, żeby jeszcze raz przejrzeć plan. Dwadzieścia sekund od trapu do galerii. Kolejne trzydzieści pięć do sklepu z pamiątkami. Razem pięćdziesiąt pięć, jeśli na nikogo po drodze nie wpadnie. Pewnie z sześćdziesiąt, jeśli wpadnie. I tak szybciej niż ktokolwiek. Doug Largha to człowiek, który ma misję.

W głośnikach na brzegach basenu grzmi fanfara. Energiczna blondyna wyłania się z niespodziewanego otworu w skale, ubrana w tradycyjne szaty swojej kasty: białe szorty i jaskrawoniebieską firmową koszulkę. Na pasku ma jakieś dziwne urządzenie elektroniczne, wzdłuż policzka łuk mikrofonu. Tłum klaszcze.

Za blondynką w kulisach czai się jakiś wyglądający japońsko facet, z równie japońskim dzieciakiem, na oko mniej więcej dwunastoletnim. Kobieta machnięciem zaprasza ich na pomost i wita publiczność.

– Dzień dobry! – ćwierka ogłuszająco w głośnikach. – Witamy państwa w naszym akwarium, na dzisiejszym pokazie waleni.

Kolejne oklaski.

– Nasz specjalny dzisiejszy gość to Tetsuo Yamamoto i jego ojciec Hershel. – Konferansjerka unosi jedną rękę nad wodę. – Natomiast nasz drugi gość specjalny to oczywiście SHAMU!

Doug prycha. Oni zawsze nazywają je Shamu. Akwarium w ogóle przestało się przykładać do wymyślania orkom imion.

– Ja nazywam się Ramona i będę dziś państwa przyrodnikiem. – Czeka na oklaski. Nie ma ich za dużo, ale ona i tak cieszy się jak z owacji na stojąco i zaczyna paplać. – Teraz, od czasu Przełomu, oczywiście rozumiemy język orkowy, ale wciąż nie potrafimy w nim mówić, to znaczy potrafimy, ale w zakresie wysokich częstotliwości musi nam pomagać bardzo kosztowny sprzęt. Tak się jednak szczęśliwie składa, że nasz najnowocześniejszy na świecie program tłumaczący, stworzony właśnie tutaj, w naszym Akwarium, pozwala naszym gatunkom rozmawiać ze sobą. Właśnie za jego pomocą poproszę Shamu o pewne zachowania, aby Tetsuo mógł wejść z nim w interakcję.

Wychodzi na to, że główną rolę ma odegrać ten dzieciak. Pewnie jakiś japoński rytuał przejścia. Syn Numer Jeden wygląda jak typowy nastoletni niezguła z dwiema lewymi rękami. Zapowiada się obiecująco.

– Jak być może dowiedzieliście się państwo z naszych cieszących się uznaniem wystaw informacyjnych – ciągnie promiennie Ramona – nasze wybrzeże zamieszkują dwie różne społeczności orek, Osiadłe i Wędrowne. W obu władzę sprawują najstarsze samice, Matrony – ale poza tym nie mają ze sobą wiele wspólnego. Szczerze mówiąc, to aktywnie się nienawidzą.

Gdzieś w tłumie zaczyna się rytmiczne tupanie.

Ramona podkręca uśmiech, głośność i prze dalej. Motto Akwarium to Nauka i edukacja i nie ma od niego odstępstw: nie zacznie się nic ciekawego, póki naprawdę się czegoś nie nauczymy.

– Od lat siedemdziesiątych zeszłego wieku wiadomo, że Wędrownie polują na foki, delfiny, nawet wieloryby, podczas gdy Osiadłe żywią się wyłącznie rybami. Jednak aż do Przełomu nie mieliśmy pojęcia, dlaczego. Okazuje się, że Osiadłe to orcza wersja obrońców praw zwierząt! – To oczywiście ma być żart.

Nikt się nie śmiał z tego tekstu od roku – odkąd Doug zaczął swoje czatowanie – ale śpiewka mimo to się nie zmienia.

Niezrażona Ramona ciągnie:

– Tak, według Osiadłych, jedzenie innych ssaków jest nieetyczne. Natomiast Wędrownie uważają, że ich bogowie przyznali im prawo do zjadania wszystkiego, co się rusza w oceanie. Obie grupy uważają się nawzajem za niemoralne i od stuleci ze sobą nie rozmawiają. Oczywiście, my w Akwariu nie stajemy po żadnej ze stron. Większość ludzi jest na tyle mądra, żeby nie wtrącać się w religijne sprawy innych.

Ramona przerywa. W ciszę wkrada się cichutki śpiew demonstrantów na zewnątrz:

– Hej ho, hej ho, Matrony won do zoo!

Ramona się uśmiecha.

– I wbrew temu, co sądzą niektórzy ludzie – ciągnie – nie istnieje coś takiego, jak wegetariańska orka.

Przynajmniej na razie.

Dipnet miarowo pełźnie na zachód. Ładunek ambasadorów wypatruje w falach śladów tubylców: wiarę mają zbyt silną, by pokonały ją takie drobiazgi jak zerowa widoczność. Nie każdemu dane jest bratać się z innymi istotami inteligentnymi. Wyższą inteligencją, pod wieloma względami.

Choć oczywiście nie pod każdym względem. Wielu pasażerów *Dipneta* tęskni za starymi, dobrymi czasami absolutów moralnych, czasami aktualności hasła „Mięso to morderstwo”, kiedy ludzie byli jedynymi jego konsumentami. Wtedy wszystko było takie proste – dla każdego, kto nie był marionetką Kompleksu Przemysłowo–Białkowego. Na każde pytanie, jakie mogła zadać Ignorancja, miano jedną gotową odpowiedź:

Dlaczego rekinom wolno mordować małe foki? Ponieważ rekiny nie są podmiotami moralnymi. Nie rozumieją etycznych skutków swoich działań.

Dlaczego zatem ludziom nie wolno mordować małych fok? Ponieważ ludzie są.

Teraz zaś okazało się, że i orki są podmiotami moralnymi. Rozmawiają. Myślą. Rozumują. Nie jest to zaskoczeniem dla pasażerów *Dipneta* – oni znali prawdę już dawno, kiedy jeszcze ci tępi profesorkowie upierali się, że orki to mniej więcej szympany z płetwami.

Czasem jednak zbyt głęboki namysł może nasunąć niesłuszne pytania, pytania odwodzące człowieka od prawdy. Na przykład: To dlaczego orkom wolno mordować małe foki, a ludziom nie?

Niestety, ci debilni naukowcy wtrącili się i wszystko poudowadniali. Teraz nie ma wyboru: trzeba przekonać orki, żeby zrezygnowały z mięsa.

Największy potencjał moralny mają Osiadłe. Przynajmniej stanowczo poprzestają na rybach. Wędrownie pozostają uparte w swoim ssakożerstwie, natomiast Osiadłe są być może podatne na oświecenie. Na lądzie jedna z najbardziej znanych dietetyczek od Kirliana na zachodnim wybrzeżu niestrudzenie pracuje nad alternatywnymi sposobami zaspokojenia wymagań żywieniowych gatunku *Orcinus orca*. Osiągnęła już imponujące efekty w przypadku własnych kotów. Dieta wegańska jest nie tylko o wiele efektywniejsza od konwencjonalnej kociej karmy – koty jedzą bowiem ułamek tego, co przedtem – ale także zapewnia im o wiele więcej energii:

są tak żwawe, że większość czasu spędzają na dworze. Teraz prawie nie widzi się ich w domu.

Oczywiście, nie wszystko idzie tak świetnie. Bywają także porażki.

Z perspektywy czasu, obrzucanie Stada A4 podczas ich wiosennej migracji tysiącami główek sałaty rzymskiej wydaje się trochę przedwczesne. Osiadłe nie tylko nie nawróciły się na weganizm, ale najwyraźniej rozważały chwilowe odstępstwo od swojej zasady niekonsumowania ssaków. Na szczęście, wszystkim z łodzi udało się wrócić cało.

Jednakże to już przeszłość. Dzisiaj wystarczy manifestować solidarność z Osiadłymi przeciwko ssakożernym, wrogim Wędrownym, zyskiwać ludzkie głosy dla pokojowego protestu w słusznej sprawie. Na wychowanie moralne przyjdzie czas później. Na razie trzeba się zaprzyjaźnić.

W tej kwestii mężczyźni i kobiety z *Dipneta* mają niezachwianą wiarę we własne talenty. Są zwarci, gotowi i najlepsi z najlepszych.

Jakżeby mogło być inaczej? Wszyscy, co do jednego, zostali osobiście wybrani przez Annę Marie Hamilton.

Shamu przepływa w powietrzu przed Dougiem, białawy brzuch dobre dwa metry ponad lustrem wody. Patrzą sobie w oczy. Tyle tego gadania o orczej inteligencji, a Dougowi on i tak wydaje się wielką, durną rybą. Spada na brzuch. Małe tsunami ochlapuje osłony. Parę rozsianych tu i ówdzie osób robi „oooooo”.

– Proszę państwa, Shamu jest Wędrownym, więc oczywiście w normalnych warunkach w ogóle nie je ryb – obwieszcza Ramona.

To niezupełnie prawda. W czasach przed Przełomem Wędrowne w niewoli dostawały wyłącznie ryby.

Przyzwoity jadłospis był jedną z pierwszych rzeczy, które wynegocjowały, kiedy padła bariera językowa.

– On wie, że, aby dostać to, co naprawdę będzie mu smakowało, musi się na trochę schować.

Ramona dotyka przycisku na pasku i mówi do mikrofonu. Z głośników wydobywa się coś nijak niepodobnego do angielskiego. Brzmi raczej jak skrobanie paznokciami po tablicy.

Shamu wypływa w odpowiedzi serię klików i nurkuje pod powierzchnię.

Woda faluje tam i z powrotem, rozbijając się o ściany. Doug, stojąc na palcach, ledwie widzi czający się przy dnie czarno-biały kształt – jak radiowóz z radarem za krzakami.

Kątem oka dostrzega ruch. Na brzeg człapie jakiś wielki, czekoladowy kształt. Jest dwukrotnie większy od człowieka, który popędza go na scenę z drobną pomocą elektrycznego poganiacza bydła.

– Niektórzy z was pewnie rozpoznają tego wielkiego zabijakę. – Ramona przechodzi z powrotem na angielski. – Tak, to jest lew morski Stellerera. Kiedy był młody, naukowcy z Północnopacyficznego Konsorcjum Rybołówstwa – czyli jednego z wiodących sponsorów naszego Akwarium – uratowali go i paru jego przyjaciół. Potem uczestniczył w projekcie badawczym mającym na celu promocję ratowania lwów morskich na Północnym Pacyfiku.

Lew morski rzuca głową na prawo i lewo, prychając jak koń. Wilgotne brązowe oczy mrugają głupkowato.

– I stało się to w samą porę. Jak zapewne dowiedzieliście się przy naszym niezwykle popularnym habitacie Pinniped, lwy Stellerera, czyli uchatki grzywiaste, zostały pięć lat temu uznane za wymarłe na wolności. Jesteśmy jednym z nielicznych miejsc na świecie, gdzie nadal można podziwiać te wspaniałe stworzenia. Nasze obowiązki traktujemy niezwykle

poważnie. Dokładamy wszelkich starań, aby wszystko w ich otoczeniu było jak najbardziej naturalne. Włączając także...

Ramona robi pauzę dla efektu.

– ...drapieżniki.

Na trybunach rozlega się nierówna owacja. Spłoszony lew morski kiwa głową jak wielki futrzasty metronom. Zawraca i chce iść tam, skąd przyszedł, drogę jednak zastępuje mu facet z elektrycznym poganiaczem.

– Proszę unikać głośnych okrzyków i nagłych ruchów. – Ramona uśmiecha się poniewczasie.

Wreszcie, po paru dodatkowych szturchańcach pałką, lew morski zsuwa się do wody. Natychmiast nurkuje, zainteresowany swoim nowym domem.

Widać, że w mniej więcej pół sekundy dowiaduje się wszystkiego co trzeba, bo wystrzeliwuje ze środka basenu niczym rakietą Polaris. Nie osiąga jednak prędkości ucieczki i wpada z powrotem do wody, pędząc do brzegu ile sił w płetwach.

Shamu unosi się jak Śiwa. Jedno gładkie kłapanięcie i Steller eksploduje jak wielka mokra piniata. Na pleksiglasowe barierki tryskają fontanny krwi. Pasma jelit lecą w powietrze jak lśniące, różowe węże strażackie.

Publiczność szaleje. Takie wielokrotnie nagradzane materiały edukacyjne to my lubimy.

Shamu ugania się tam i z powrotem, sprzątając resztki lwa morskiego. Zajmuje mu to niecałą minutę. Zanim skończy, Ramona zdąży ustawić harpun na trapie.

Dwa kilometry od brzegu. Jeden z Wybranych słyszy świstanie i stawia resztę na nogi. Wśród pielgrzymów zapada pełna wyczekiwania cisza, niezmacona faktem, że poprzednie trzy razy okazało się, że to pierwszy oficer wysmarkiwał nos.

Uczciwie mówiąc, nikt z tych ludzi nie słyszał prawdziwego świstu orki, przynajmniej nie na żywo. Stopa żadnego cywilizowanego człowieka nie powstałaby przecież w więzieniu dla waleni, a wycieczki obserwacyjne są zabronione od lat – twierdzi się, że chodziło o nękanie, wszyscy jednak wiedzą, że to Bob Finch i bojówki jego muzealnej korporacji postarały się o wyeliminowanie konkurencji.

Pasażerowie zbijają się we mgle w cichą gromadkę, usiłując usłyszeć coś przez pokasływanie trawlerowego diesla.

Fffffuffff

– Jest! Wiedziałem! – I rzeczywiście, parę metrów od bakburty coś sunie przez wolny od mgły skrawek powierzchni. – Tam! Tam! Widzicie?

Fffffuffff. Fffffuffff

Dwie kolejne po sterburcie. Pani Lewiatan przybyła, żeby się przywitać; wydaje się, że rozwiewa mgłę samym oddechem. Niebo rozjaśnia blade jak bibułka słońce.

Wszyscy wielce się radują. Jedna czy dwie osoby zamykają oczy, postanawiając połączyć się z orkami telepatycznie; prawdziwie oświecona dusza nie powinna korzystać w celu kontaktu z prymitywnej, trującej środowisko technologii. Kilko innych wyciąga zaczytane egzemplarze *Przewodnika po genealogii i historii naturalnej orek Biggsa*. Anna Marie powiedziała im, że będą się spotykać z L1, południowym stadem Osiadłych. Wygłodniałe spojrzenia na przemian przelatują po kartkach i wystających z wody czarnych bokach, szukając znaków szczególnych.

– O zobacz, to L55? Widzisz ten ostry róg w łacie siodłowej?

– Nie, to L2. Oczywiście, że to L2.

Odzywa się jedna z telepatek.

– Nie powinniście nazywać ich ludzkimi imionami. To może być dla nich obraźliwe.

Skarzeni akolici milkną. Po chwili któryś jednak odchrząkuje.

– Eee.. to jak mamy je nazywać?

Telepatka rozgląda się pośpiesznie.

– O ta... tutaj... – wskazuje najbliższą statku płetwę – mówi mi, że nazywa się... eee... Siostra Marzycielka.

Rozlega się chóralne „ooo”. Dłonie wędrują do ukrytych pod przeciwdeszczowymi pelerynami kryształów.

– Wielka płetwa grzbietowa, z półtora metra – mruczy pierwszy oficer. – Samiec.

Nikt nie zwraca na niego uwagi.

– O, a patrzcie na tę wielką! To chyba jest Matrona!

– Pewni jesteście, że to w ogóle stado L1? – pyta ktoś niepewnie. – Trochę mało ich jest... L1 to miało być przecież wielkie stado? A zresztą... gdzieś chyba czytałem... to wielkie stado nie nazywało się P-28?

Wszyscy wytrzeszczają oczy.

– P-28 to Wędrownie – mówi kobieta po czterdziestce z wplecionymi w długie siwiejące włosy muszlami pobrzeżków.

– L1 to Osiadłe. – Oskarżenie jest ewidentne. Czy ten facet oskarża Annę Marie Hamilton o kłamstwo?

Heretyk mięknie w kamiennej ciszy.

– Tak jest w przewodniku. – Trzyma ten tom niczym ochronny amulet.

– Dawaj. – Pobrzeżka wyrywa mu książkę, kartkuje strony. – To jest stare wydanie! – Macha kartą tytułową. – Wydrukowane w latach osiemdziesiątych, rany boskie! Trzeba mieć to nowe, zatwierdzone przez Annę Marie. To jest zdecydowanie L1. – Pobrzeżka ciska skompromitowaną książkę za burtę. – W tych wszystkich starych

przewodnikach, do roku 2002, maczał palce Bob Finch. Nie można im wierzyć w ani jedno słowo.

Otwiera się właz sterówki. Schodzi kapitan *Dipneta*, patykowaty stary wilk morski o uszach, które wyglądają, jakby były przyczepione do góry nogami. Odchrząkuje.

– Mamy wiadomość – obwieszcza, przekrzykując warkot silnika. – Dam na głośniki.

Wiadomość. A tak, oczywiście, *Dipnet* ma przecież całą tę technikę, hydrofony, komputery, wszystko, czego potrzeba nieoświeconym, aby nawiązać międzygatunkową łączność. Na dachu kabiny wisi głośnik, skierowany na pokład rufowy. Przez chwilę pierdzi, potem oznajmia:

– Siostry. Pośpieszcie się. – Pisk sprzężenia. – Babcia. Wita.

W jednym na tej durnej zachodniej technologii można polegać: że zamieni przepiękny język obcych istot w kaleczony angielski.

– Ooo – mówi ktoś przy nadburciu. – Patrzcie.

Orki płyną równo po obu stronach *Dipneta*, przetaczając się i oddychając w idealnej synchronizacji.

– Chcą, żebyśmy płynęły za nimi – oświadcza podekscytowana Pobrzeżka.

– Tak jest, tak – intonuje jedna z telepatek. – Ja to czuję.

Orki są tak blisko, że prawie dotykają kadłuba. *Dipnet* płynie prosto naprzód. Zresztą, gdzie miałyby płynąć. Orki nie zostawiają mu miejsca na zmianę kursu.

Krzesełko na pomoście wyraźnie nie jest dla dzieci.

Ramona majstruje przy paskach, obniża celownik na wysokość chłopca. Cierpliwie instruuje, jak się obsługuje harpun. Tata-san wyrzaskuje po japońsku własne wskazówki. Ewidentnie sprzeczne: Tetsuo, podskakujący z

podniecenia w uprząży, denerwuje i jedno, i drugie. Herschel obstaje przymilnym tonem przy swoim: „Pani szanowna, płacimy za to dziesięć tysięcy, więc ma być tak, jak chcemy.

Uprzejmie dziękuję”. Chyba nie zauważył, że Ramona pokazuje w uśmiechu o wiele więcej zębów niż zwykle.

Wygląda to bardzo obiecująco. Doug ogląda się przez ramię; droga nadal czysta. Pięćdziesiąt pięć sekund...

Po drugiej stronie pleksiglasowej szyby przetacza się Shamu.

Tłum się śmieje. Doug odwraca się ku środkowi sceny. Ramona ma już dość: zeskoczyła z pomostu Tetsuo i warczy na Herschla po japońsku. A może po lwiomorskiemu. Herschel cofa się, unosząc dłonie w obronnym geście.

To całkiem zabawne, Doug jednak nie spuszcza wzroku z Tetsuo. Dzieciak jest tu kluczowy. Klótnie dorosłych dzieciaka nie interesują, siedzi przypięty za sterami najlepszej krwawej gry wideo od czasów, kiedy stowarzyszenia rodziców wzięły się za firmę Nintendo. Jeśli to w ogóle ma się zadziać, myśli Doug, to musi być właśnie...

Teraz.

Ramona odwraca się w samą porę, by zobaczyć trafiający w cel harpun. Tłum klaszcze. Tetsuo krzyczy z zachwytu. Shamu tylko krzyczy i się miota. Z otworu oddechowego bucha mu różowa chmura.

Doug jest już na wpół obrócony, noga uniesiona, żeby dać susa. Jeszcze sprawdza:

Zaraz, moment, może faktycznie trafił...

– Cholera! Mówiłam „ZACZEKAJ”! – Ramona ma wyłączony mikrofon, ale to nieważne: ten wrzask usłyszałoby się nawet w Arktycznym Akwarium na końcu.

Włącza automatycznego tłumacza, wywarkuje parę sylab. Głośniki nad wodą ćwierkają i pogwizdują. Shamu coś odgwizduje, wijąc się jak rażony prądem. Płetwami ubija wodę na różową pianę.

– Ma przebite płuco! – woła Ramona do gościa z elektrycznym poganiaczem bydła.

Pałkarz znika za kulisami. Ramona rzuca się na Tetsuo.

– Miałeś poczekać, aż mu powiem, że ma być nieruchomo! Chciałeś, żeby cierpiał? Od takiej rany będzie umierał parę dni!

O właśnie. Jazda.

Wie, co teraz będzie. Herschel, który dopiero co stracił dziesięć tysięcy dolarów, będzie domagał się dla syna drugiej szansy. Akwarium nie ustąpi – dziesięć klocków to jeden strzał, nie jeden łup.

Nie, proszę pana, nie można spróbować drugi raz, chyba że pan zapłaci.

Potem także wrzaski Herschla wejdą w ultradźwięki. Wróci pałkarz, tym razem z większym, zawodowym harpunem. Może Drodzy Goście będą próbowali mu go wyrwać. To też przyczyniło się do jednego czy dwóch nieszczęśliwych wypadków.

Nieważne. Doug nie będzie temu kibicował, jest już w połowie drogi z widowni. Kątem oka widzi swoich konkurentów, którzy się zagapili i dopiero teraz wstają z miejsc. Niektórzy, siedzący bliżej głównego wejścia na trybuny, mieliby szansę wyprzedzić go, gdyby pobiegł zwykłą drogą. Ale nie zamierza. Doug Largha jest być może pierwszą osobą w historii, która naprawdę przeczytała wielokrotnie nagradzane tablice edukacyjne w podwodnej galerii, i to zapewnia mu wystarczającą przewagę. Tam właśnie pędzi teraz, ile sił w nogach.

Herschel i jego dziesięć tysięcy. Tetsuo i jego kiepski cel. Doug miałby ochotę ucałować ich obu. Kiedy goście zabiją orkę, mają prawo ją sobie zatrzymać. Ale jak spieprzą, w sklepieniu z pamiątkami są steki z walenia.

Jedno jest pewne: nikt się nie spodziewał, że walenie są takimi skurwysynami.

A już na pewno nie Anna Marie Hamilton i jej armia waleniolubów. Ewangelia według Anny Marie głosiła, że orki (nigdy nie należy używać angielskiego terminu „killer whale”) to łagodne, inteligentne istoty żyjące w harmonijnych, matriarchalnych społeczeństwach. Ludzie zaś mają etyczny obowiązek szanować ich kulturalną autonomię. Porywanie tych istot, wyrywanie ich z troskliwych, rządzonych przez samice rodzin i sprzedawanie do niewoli gwoli barbarzyńskiej ludzkiej rozrywki to było coś gorszego niż tylko maltretowanie zwierząt. To było czyste i stuprocentowe niewolnictwo.

Wszystko to oczywiście stało się przed Przełomem. Dzisiaj trochę trudno burzyć się na zniewolenie orek, ponieważ każde dziecko wie, że wszystkie ich społeczeństwa, obojętne, Osiadłe czy Wędrownie, są oparte na niewolnictwie. I zawsze były. Matrony to nie są czule i troskliwe feministyczne babunie, to ośmiotonowe, czarno–białe toksyczne mamusie o naprawdę dużych zębach. Ich dzieci zaś nie są pielęgnowanym następnym pokoleniem, lecz genetycznym towarem, wspólną walutą służącą do handlu pomiędzy stadami – a kto wie, do czego się je potem wykorzystuje? Fakt naukowy jest taki, że prawie połowa orek ginie, nie dożywając pierwszego roku.

Od lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy to wyliczono tę statystykę śmiertelności, jest ona dla branży akwarystycznej jak dar niebios: „No tak, to oczywiście tragiczne, że w naszym akwarium zdechł młody waleń, ale wiecie państwo, nawet na wolności orki po prostu nie są zbyt dobrymi rodzicami”. Ale nawet w więzieniach dla orek wszyscy się zdziwili, że ich racja została wykazana aż tak namacalnie. Jednak szybko

się z tego szoku otrząsnęli. Przyjęli niezbite dowody orczej inteligencji. Przyznali się do własnych błędów. I nawiązali kontakt, zwróciwszy się przez tę ogromną międzygatunkową przepaść z pewną biznesową ofertą.

I wiecie co? Matrony aż nadto chętnie się dogadały.

HANDLARZE NIEWOLNIKAMI Z SIEDMIU MÓRZ – krzyczy wielkimi literami wielki jak ściana ekran. Obok inne, mniejsze pokazują zapętlone nagrania, które widziano już milion razy w każdym salonie kontynentu: księża, politycy, rybacy łowiący na długą linę i walenioluby, wszyscy płynący do historii Flotyllą Przyjaźni, żeby podpisać pierwszy formalny pakt z Matroną stada J.

Po drugiej stronie galerii, za dwoma calami poliwęglanu, różowa woda już zaczyna blednąć.

Doug zatrzymuje się z poślizgiem przed drzewem genealogicznym orek, nudnym mimo chwytliwej kolorystyki, pastelowej na czarnym tle. Przeskakuje po podpisach: Stado G_{12} , G_{12} , G_8 , G_{27} , WYJŚCIE, G_{33} .

Jest. Pomiędzy G_{27} i G_{33} . Widocznie miejskie regulacje budowlane wymagają, żeby w tym miejscu znalazło się wyjście ewakuacyjne. Z jakiegoś powodu Akwarium włączyło je w drzewo genealogiczne rodziny *Orca*, na widoku, jak nakazuje prawo, ale subtelnie, nierażąco. Dzięki temu za cholerę nie zobaczy go nikt, kto nie przeczytał linia po linii całej genealogii.

Oto tajemne przejście Douga. Pracę domową odrobił: plany budynku są dostępne w urzędzie miasta, może je przejrzeć każdy, komu się chce. Po drugiej stronie tych niewidzialnych drzwi zakulisowe korytarze prowadzą w trzy różne strony – każdy z nich obsługuje inną ekspozycję. Wszystkie w ten czy inny sposób prowadzą na zewnątrz. Jeden zaś prowadzi przez sklep z pamiątkami.

Doug naciska znak na ścianie. Tablica się otwiera. Zza pleców, od głównego zbiornika dobiega stłumione „puumf”, a po nim nieludzki pisk. Doug, nie oglądając się, nurkuje w przejście.

Skręć w prawo. Leć. Widziane od tyłu plansze to paskudne konstrukcje z włókna szklanego i PCV. Wszystko bulgocze i szumi. Na wszystkim jest skorupa soli. Noga ślizga mu się w kałuży. Zaczyna się przewracać, chwytając się czego popadnie. Za nim przewraca się wieszak pełen woderów. W lewo. Leć. Ciąg pomp filtracyjnych po jednej stronie, po drugiej zbiorniki przejściowe. Tuzin gatunków ryb na kwarantannie śledzi jego bieg ze szklaną obojętnością.

Skręca za róg. Łydki podcina mu niespodziewana przeszkoda.

Pada na stos arkuszy sklejk. W zaciśnięte dłonie wbijają się drzazgi.

– Kurwa! – Zbiera się, nie zwracając uwagi na ból. Są gorsze rzeczy niż ból. Na przykład gniew Alice, jeśli wróci do domu z niczym.

I proszę. Obite drewnem drzwi. Nie szajsowate, zielone i blaszane, w sam raz dla karmicieli ryb i cieciów, ale eleganckie, dębowe, z mosiężną klamką. To musi być wejście do sklepiku z pamiątkami. Już jest prawie na miejscu, a jeszcze to się przed nim otwiera, ktoś otwiera z drugiej strony, wtedy on wpada do środka, prosto na oczekujące łono kobiety idącej w przeciwnym kierunku.

Przez ułamek sekundy, zanim się przewrócą, ma niejasne wrażenie, że skądś ją zna. Miga mu ktoś jeszcze. Potem kilkanaście wektorów przyśpieszenia i bezwładności o sprzecznych zwrotach rzuca się na jego kostkę.

Chwila ostrego, jaskrawego bólu...

– Auuuuuuu!

...i pada na podłogę. Na szczęście, ląduje na dywanie o bardzo grubym runie. Na nieszczęście, ściera sobie o to runo resztki skóry z dłoni.

Leży tam, a do mózgu dobijają się telefony od wszystkich nerwów czuciowych w ciele. Z góry patrzy nań dwoje ludzi. Gdy ich poznaje, zapomina o całym bólu.

Święta Anna. Oraz Diabeł Wcielony.

Dipnet dotarł na miejsce.

Wokół roztacza się granica strefy – linia wyznaczona ostrzegawczymi bojami, kilometrowy pas o ograniczonym wstępie dla ludzi. Czasem tylko wpuszcza się tu naukowców. Turystów nie wpuszcza się w ogóle. Jednakże dla *Dipneta* brama się otwiera.

Teraz trawler pełźnie ku środkowi Strefy Obcowania.

Mgła trochę się rozproszyła – brama strefy granicznej blednie za rufą, a przed dziobem powoli wyłania się biały punkcik. Eskorta *Dipneta* trzyma go się blisko po obu stronach. Nie odzywały się, jeśli nie liczyć tamtej krótkiej wiadomości w cieśninie, chociaż telepaci mówią, że aż przelewa im się od życzliwości i harmonii.

Pływający pomost jest już blisko i widać go doskonale – zakotwiczony pośrodku Strefy biały dysk o średnicy mniej więcej dwudziestu metrów.

Wydaje się kompletnie gładki, poza paroma pachołkami do przywiązywania się. Dokładnie tak, jak lubią orki. To ich miejsce i nie życzą sobie zagracań go niczym zbędnym. Miejsce do wylądowania, miejsce do stania oraz mającące we mgle w niewielkiej oddali Race Rocks.

A oprócz tego nic, tylko orki i ocean.

– Jest tam toaleta? – pyta ktoś.

Kapitan *Dipneta* kręci głową, bardziej z rezygnacją niż w odpowiedzi. Zmniejsza gaz do zera, a oficer, czekający na fordeku ze zwojem liny, wskazuje na platformę i przyciąga do niej kuter.

– Koniec, proszę państwa – obwieszcza kapitan. – Wsiadka.

Silnik nadal parska na biegu jałowym.

– Nie będzie pan cumował? – pyta Pobrzeżka.

Kapitan kręci głową.

– Wy jesteście ambasadorami. My to tylko taksówka. Nie życzą nas sobie w strefie, kiedy się z nimi bratacie.

Pobrzeżka uśmiecha się cierpliwie. Słyszy niechęć w głosie kapitana, ale ją rozumie. Ciężko musi mu być, tak ciągle patrzeć, jak Wybrani wchodzą do historii, podczas gdy on tylko pływa statkiem.

Robi jej się go żal. Postanawia, że kiedy przypłyynie po nich z powrotem, trochę z nim pośpiewa.

Kapitan coś mruczy i odgania ją machnięciem ręki. Pociąga nosem i zastanawia się, nie po raz pierwszy, czy tej kobiecie przyszło do głowy powyciągać ślimaki z tych muszli, zanim uczyniła je częścią stylistycznej manifestacji swojego światopoglądu. A może to jakieś te naturalne perfumy, co to je ostatnio ciągle reklamują.

Pasażerowie schodzą gęsiego na platformę. Oficer, wciąż trzymający smycz *Dipneta*, wskakuje z powrotem na pokład dziobowy. Kuter z warkotem się cofa, zmienia kierunek i odpływa we mgłę.

Dźwięk silnika cichnie wraz z odległością.

W końcu zapada całkowita cisza. Wybrani rozglądają się niespokojnie, nie chcąc się odzywać w tym świętym miejscu. Orki, które ich tu przyprowadziły, gdzieś zniknęły. Fale chlupocą o pływaki. Latarnia morska Race Rocks skarży się wyciem na mgłę.

– Ej, słuchajcie. – To znowu ten heretyk. Patrzy na niknący we mgle kuter. – Kiedy dokładnie mają po nas wrócić?

Reszta nie odpowiada. Przeżywają chwilę ciszy, chwilę uświęconą. To nie pora, żeby głądzić o jakiejś logistyce. Gość nie ma pojęcia, co to znaczy

szacunek. Naprawdę, czasami można się zastanawiać, jak go w ogóle wybrano.

Jedna ściana, cała przezroczysta, wychodzi na turkusowe akwarium z orką; para wielkich płetw ogonowych znika skokowym ruchem nad powierzchnią. Przeciwnie zaś służy tylko za oprawę dla największego płaskiego monitora, jaki Doug w życiu widział. Faluje na nim mętna zielonkawa woda. Migotliwe światło odbija się od szklanego stolika pośrodku pokoju. Za nim majaczy zabytkowe dębowe biurko, wielkie jak drewniany płaskowyż.

Pośrodku tego wszystkiego Doug patrzy z poziomu podłogi na Annę Marie Hamilton i Boba Fincha, dyrektora zarządzającego Akwarium. Anna Marie Hamilton i Bob Finch patrzą na niego. Trwa to chwilę czy dwie.

– Czym mogę służyć? – pyta w końcu Finch.

– Ja... chyba... się zgubiłem – mówi Doug, eksperymentalnie stawiając stopę z powrotem na podłodze. Boli, ale chyba nie jest złamana, da się kuśtykać.

– Galeria dla publiczności jest tam – oznajmia Anne Marie, wskazując inne drzwi niż te, przez które przyszedł Doug. – A ja tu jestem w trakcie bardzo trudnych negocjacji, walczę o wolność naszych duchowych sió...

– Właściwie, An... pani Hamilton, myślę, że pana...?

– Largha – podsuwa słabo Doug.

– Myślę, że pana Larghi nie za bardzo interesują nudne szczegóły naszych... ten... negocjacji. – Finch wyciąga rękę, pomaga Dougowi zebrać się z dywanu.

Doug wstaje chwiejnie.

– Ja szukałem... sklepiku! – Cała jego misja! Drogocenne sekundy, drogocenne minuty stracone bezpowrotnie, a te wszystkie bałwany, te

wszystkie palanty stoją już w kolejce i zaklepują sobie jego mięso! Jeśli nie wróci do domu ze stekami, przez tydzień będzie spać na kanapie. Odwraca się i rzuca do drzwi, przez które wszedł.

Nie pamięta o kostce – przez pół sekundy, której potrzeba, żeby spróbował na niej biec. Pod koniec tej sekundy znajduje się z powrotem na podłodze.

– Moje steki... – jęczy. – Chciałem być pierwszy w kolejce... wszystko zaplanowałem co do sekundy...

– Wie pan, muszę przyznać – Finch znów wyciąga do niego pomocną dłoń – miło widzieć, że ludzie są aż tak entuzjastycznie nastawieni do nowych programów naszego Akwarium. Bo wie pan, nie wszyscy tak uważają. Zobaczą, co da się zrobić.

Anna Marie Hamilton stoi ze splecionymi rękoma i wzdycha niecierpliwie.

– Panie Finch – mówi – jeśli pan myśli, że to odwróci moją uwagę od wyzwolenia...

– Za chwileczkę, pani Hamilton. Dosłownie minutę. A potem obiecuję że wrócimy z powrotem do pani twardych i bezkompromisowych negocjacji. – Finch robi krok ku drzwiom, odwraca się z powrotem do Douga. – A, panie Largha... może tymczasem chciałby pan porozmawiać sobie z orką? Z Matroną? Mamy tu łączność na żywo z cieśniną Juan de Fuca. – Unosi rękę, pokazuje ekran na ścianie.

– Na żywo? – W korze mózgowej Douga walczą sprzeczne emocje. Ból porażki. Nadzieja na ratunek. A teraz także niewyraźny dyskomfort. – No nie wiem. Im to nie przeszkadza, prawda? Zgadzą się na te pokazy, prawda?

– Panie Largha, nie tylko, że się zgadzają, ale to w ogóle był ich pomysł. To jak? Rozmowa z prawdziwą obcą inteligencją?

– No... nie wiem – jąka się Doug. – Nie wiem, co miałbym powiedzieć...
Anna Marie prychna.

Finch wyciąga pilota z kieszeni swetra.

– Na pewno coś pan wymyśli. – Celuje nim w ekran, wciska guzik.
Na oko nic się nie dzieje.

– Zaraz przyjdę – obiecuje Finch i zamyka za sobą drzwi.

Anna Marie odwraca się plecami. Doug zastanawia się, czy może czuje się obrażona przez kogoś, komu aż tak pilno do kolejki po steki z orki.

A może w ogóle niezbyt lubi ludzi.

Długi, żałobny gwizd.

– Tu siostra Drapieźniczka – rozlega się sztuczny głos.

Doug odwraca się do ekranu.

W mętnej zielonej wodzie cieśniny Juan de Fuca majaczy czarno-biała sylwetka. Pozbawiona warg paszcza uchyla się lekko, w słabym świetle połyskuje zygzakowaty półksiężyc stożkowych zębów.

Znowu ten gwizd. W rogu ekranu pojawia się migający zielono komunikat: odbiór.

– Witam siostrę Drapieźniczkę.

Doug rozdziawia usta.

Klik. Dwa szybkie piski jeden po drugim. Jęk. Znowu kliki.

ODBIÓR.

– Tu twoja Druga Babka. Jestem pewna, że podoba ci się akwarium i te wielokrotnie nagradzane plansze edukacyjne...

Bzzt. W lewym górnym rogu ekranu: przerwanie transmisji. Cisza.

Anna Marie Hamilton, przy pulpicie na biurku Fincha, zdejmuje palec z czerwonego guzika.

– Wow – mówi Doug. – Naprawdę gadała.

Anna Marie przewraca oczyma.

– No wie pan, jakimiś geniuszami to one nie są.

Dziennikarka zasadza się na Boba Fincha w dostępnym dla publiczności korytarzu prowadzącym do sklepu z pamiątkami. Chce reakcji na demonstrację pani Hamilton.

Finch się zastanawia.

– W jednej kwestii zgadzamy się z jej działaczami. Orki mają swój własny system wartości, swoje własne społeczeństwo, my zaś jesteśmy moralnie zobowiązani uszanować ich wybory. – Uśmiecha się słabo. – Nasze drogi rozchodzą się oczywiście w jednym punkcie: pani Hamilton nigdy nie chciało się sprawdzić, jakie te wartości naprawdę są, zanim rzuciła się, by ich bronić.

Drzwi otwierają się. Finch Zbawca staje w progu, z drewnianą skrzynką w jednej ręce i plastikową reklamówką w drugiej.

Doug podrywa się z nadzieją z kanapy, zapominając o Matronie i własnym stawie skokowym.

– Czy to moje steki?

Finch uśmiecha się.

– Panie Largha, przygotowanie towaru zajmuje kilka dni. Każdą próbkę należy zmierzyć, zważyć i zbadać, zgodnie z zasadą ochrony środowiska przez naukę.

– No tak. – Doug kiwa głową. – Właściwie wiedziałem.

– W sklepiku wpisują tylko ludzi na listę.

– Racja.

– I niestety, z dzisiejszego okazji wszystko już zostało zarezerwowane. Kolejka ciągnie się jednak aż do pasażu Amazonka, więc przyniosłem parę

rzeczy, które może pana zadowolą. – Pokazuje torbę. – Wszyscy to brali, miałem szczęście, że załapałem się na jedno.

Doug mruży oczy i czyta napis.

– Harpun–zabawka. Mały Ahab. Gumowa końcówka. Od lat 6.

– Każdy chce pokazać, że strzela lepiej niż nasi goście. – Finch chichocze. – Podejrzewam, że dziś wiele domowych psów będzie miało przerąbane. Pomyślałem, że może pana dzieci by...

– Nie mam dzieci – mówi Doug. – Ale mam psa. – Bierze paczkę. – Co jeszcze?

Finch unosi drewnianą skrzynkę.

– Udało mi się zdobyć trochę mięsa wyborowej foki pospolitej...

Finch Fałszywy Prorok. Finch Zdrajca.

– Foki pospolitej? Pospolitej? W waszym sklepiku pełno się tego wala! Przeceniona jest! Na weekend przyjeżdżają do mnie teściowie i mam ich karmić foką pospolitą? Może od razu kanapkami z mortadela! Nawet mój pies nie ruszy foki pospolitej!

Finch kręci głową. Wydaje się bardziej zasmucony niż urażony.

– Przykro mi, że pan tak uważa, panie Largha. Obawiam się, że nic więcej nie mogę dla pana zrobić.

Doug chwieje się niebezpiecznie na zdrowej nodze.

– Doznałem obrażeń. W waszym akwarium! Pozwę was do sądu!

– Jeśli nawet doznał pan obrażeń, stało się to w drodze z miejsca, gdzie w ogóle nie wolno było panu wchodzić. A teraz proszę... – Finch otwiera drzwi trochę szerzej, na wypadek gdyby do Douga nie dotarło.

– Nie wolno było wchodzić! To było wyjście ewakuacyjne. Które, swoją drogą – głos Douga uspokaja się od nagłego poczucia wygranej – było nieprawidłowo oznakowane!

Finch mruga.

– Nieprawidłowo...

– Tę tabliczkę ledwo widać – mówi Doug. – Zasłania ją to durne drzewo genealogiczne orki. Gdyby tu wybuchł pożar, w życiu nikt by tego nie znalazł. Kto by czytał jakieś wielokrotnie nagradzane plansze edukacyjne, kiedy dupa mu się pali?

– Panie Largha, galeria widokowa ma z jednej strony lity beton, a z drugiej cztery miliony litrów morskiej wody. Szansa, że tu będzie pożar, jest tak mikroskopijna...

– Ciekawe, co na to powie straż pożarna. Ciekawe, co na to powiedzą obrońcy praw konsumenta z telewizji! – Doug triumfalnie splata ramiona.

Chwila ciszy. W końcu Finch wzdycha i zamyka drzwi.

– Naprawdę będę musiał pogadać o tym z działem aranżacji. Estetyka swoją drogą, ale...

– Ja chcę steki z orki – mówi Doug.

Finch podchodzi do ściany za biurkiem. Dotyka ukrytego przycisku i część boazerii się odsuwa. Za nią, na półkach z metalowych drutów stoją równiutko pudełka z cygarami, oświetlone charakterystycznym światłem lodówkowej żarówki. Odwraca się, otwiera w dłoniach jedno z pudełek. Doug milknie, nie wierząc własnym oczom. To nie cygara.

– Jak mówiłem, steki z orki nie są dostępne... – zaczyna Finch – Mogę jednak zaproponować panu odrobinę sushi z białuchy z moich prywatnych zapasów.

Doug postępuje o jeden skok naprzód. Jeszcze jeden. Białucha jest niemal nie do zdobycia. A ta tutaj, to nie jest czarnorynkowa białucha z Saint-Lawrence, od której można się zatruć rtęcią, jeśli się ją je częściej niż dwa razy na rok. To pierwszorzędna białucha z zatoki Hudson. Wolno na nią polować tylko paru Inuitom, z rezerwatu pod Churchill – i nawet im

uchodzi to na sucho tylko dlatego, że ciągle pogrywają kartą praw rdzennej ludności.

Języka białuchowego jeszcze nikt nie rozpracował – zresztą, z tego, co słyszał Doug, białuchy są chyba za głupie, żeby mieć język – więc nikt nie musi się z nimi układać.

Pudełko w dłoniach Fincha kosztuje więcej niż tygodniowe zarobki Douga.

– Czy to pana satysfakcjonuje? – pyta grzecznie Bob Finch.

Doug stara się udąć niewzruszonego.

– No... chyba tak.

Jest prawie pewien, że nie słyhać skrzeczenia w jego głosie.

Dla amatorskiego oka wygląda to jak niesforna zabawa. Tymczasem te harce, chlupoty i wyskoki to zsynchronizowane i skomplikowane zachowanie. Nazywa się to „zespołowe łowiectwo”. Po raz pierwszy zaobserwowano je w Antarktyce, gdzie zauważono, że stado orek powoduje małą falę, by zmyć z kry fokę krabojada.

Pierwszemu oficerowi powiedziano, że to ewidentna oznaka inteligencji. Mruży oczy, patrzy przez lornetki, przez kłęby mgły, póki walenie nie skończy.

Otwiera właz sterówki i wspina się do środka. Kapitan daje całą naprzód, śpiewając „I poznają w nas swe siostry, co kochają, co kochają...”.

Pierwszy podchwytuje melodię i grzebie w szafce, wynurza się z butelką whisky Crown Royal.

– Ładnie dzisiaj wyszło. – Salutuje butelką.

Pozbywszy się bezpiecznie Douga Larghi, Bob Finch wyciąga z półek pod niskim stolikiem dwa kieliszki do wina. Napęlnia je z podręcznej

butelki chardonnay, podczas gdy Anna Marie stuka w pulpit obok ekranu LCD. Pomieszczenie znów wypełnia daleki bulgot cieśniny Juan de Fuca.

Finch podaje działacze kieliszek.

– Jakież problemy po waszej stronie?

Hamilton prycha, cały czas manipulując przyciskami.

– Żartujesz? W naszym ruchu zawsze była ogromna rotacja. A nikt przecież nie przepuści okazji do zbratania się z waleniami. Dla nich to prawdziwa przygoda.

Ekran na ścianie dzieli się na pół. Jedna strona wciąż pokazuje cieśninę, trochę przyciętą; po drugiej pojawia się jeden z mniejszych zbiorników akwarium. Młody samiec orki bada nosem jego obrys.

Finch przepija najpierw do matrony na ekranie:

– Za wasze przysmaki. – Potem do matrony w swoim gabinecie: – I za nasze. – W końcu zwraca się do akwarium. Waleń patrzy nań oczyma jak wielkie szklane kulki.

– Witamy w akwarium – mówi Finch.

Z głośników dobiega gwizd identyfikacyjny.

– Jestem... – mówi głośnik. Na ekranie przez moment błyska komunikat „Brak angielskiego odpowiednika”.

– Ładne imię – rzuca Finch. – Ale my chyba nadamy ci specjalne nowe imię. Chyba nazwiemy cię... Shamu.

– Przygoda – mówi Shamu. – Babka mówiła tutaj przygoda. Za ciasno. Długo będę?

Bob Finch zerka na Annę Marie Hamilton.

Anna Marie Hamilton zerka na Boba Fincha.

– Niedługo, wnuku, niedługo – mówi nieczłowieczy głos z otchłani Juan de Fuca. – Bardzo niedługo.

Ambasador

Pierwszy Kontakt miał podobno rozwiązać wszystkie problemy. Tak się w każdym razie gadało: łagodni czarodzieje z Epsilon Eridani mieli uratować nas z pożaru i przyjąć do potężnego Galaktycznego Rodzeństwa obejmującego całą Drogę Mleczną. Uleczyć wszystkie choroby, których nie udało się nam opanować. Rozwiązać wszelkie polityczne konflikty, z których jeszcze nie wyrosiliśmy. Mieli wszystko naprawić.

Ale nie mieli robić ze mnie zwierzyny łownej.

Na początku nie miałem czasu na filozoficzne przemyślenia: byłem zajęty uciekaniem, żeby ratować życie. *Zombie* pędził na oślep we wszechświat, przypięty na stałe do mamroczącego do siebie, zakażonego szumem komputera pokładowego.

Nawigacja była guzik warta. Każdy skok na ślepo, jaki wykonałem, zmniejszał o rząd wielkości szanse na powrót do domu. Ale i tak je wykonywałem, i to jeden po drugim – bo każdy skok, którego nie wykonałem, zabiłby mnie.

Jeszcze raz poza zasięgiem. Długodystansowy skok wrzucił mnie gdzieś do halo kometarnego jakiegoś skromnego układu podwójnego. W lepszych czasach komputer w jednej chwili pokazałby mi wszystkie planety w układzie – a tak, niezbędne pomiary zabrałyby całe dni.

Za mało czasu. W dzień czy dwa byłbym w stanie ustalić swoją pozycję, tylko na podstawie gwiazd, nawet bez komputera pokładowego, ale to, co mnie goniło, nie dało mi takiej szansy. Parę razy już zaczynałem. Najdłuższy okres spokoju trwał sześć godzin i w tym czasie zdołałem ustalić, że jestem mniej więcej pośrodku Ramienia w Orionie.

Potem przestałem próbować. Znajomość lokalizacji w danej chwili nie daje kompletnie nic w chwili $t + 1$. Po każdym skoku na nowo będę zgubiony.

A skakałem przez cały czas. Lecz to coś za każdym razem mnie znajdowało. Nadal nie wiem, w jaki sposób: teoretycznie poprzez osobliwość nie da się niczego śledzić; jednak jakoś za każdym razem paszcza kosmosu otwierała się i po raz kolejny wypływała na mnie potwora, żarłocznego i tajemniczego. Może łatwiej byłoby mi się z tym pogodzić, gdybym wiedział dlaczego.

Co ja zrobiłem – pytacie. Co zrobiłem, że się tak wściekło? No cóż, chciałem się tylko przywitać.

Co to za inteligencja, co tak na to reaguje?

Wyobraźcie sobie uschnięte drzewo, mierzące trzysta pięćdziesiąt metrów, z odchodzącymi od pnia sześcioma sękatymi, wijącymi się konarami. Ciśnijcie je na orbitę wokół dopalającego się czerwonego karła, który nie zasłużył sobie nawet na własną nazwę. Właśnie na coś takiego trafiłem: żadnych otworów, żadnych biegających światełek, żadnych symboli na kadłubie. Wisiało sobie jak zapomniany kawałek dryfującego po kosmosie drewna. Na jego powierzchni od czasu do czasu pobłyskiwały iskierki odbitego światła, podkreślając tylko cienie, w których tonęła reszta konstrukcji. Z początku myślałem, że to jakiś wrak czy ruina.

Oczywiście, procedurę i tak wykonałem. Odezwałem się na wszystkich optymalnych częstotliwościach, próbując na sto możliwych sposobów nawiązać kontakt. To coś ignorowało mnie przez parę godzin. Potem wysłało jeden, jedyny krótki pisk na linii wodoru. Wpuściłem go do komputera pokładowego.

Co innego można zrobić z komunikatem od obcych?

Komputer wydał z siebie jedno zaskoczone czknięcie i wysypał się. Wszystkie wskaźniki na panelu mrugnęły raz, w niemożliwym unisonie, i zgasły.

I wtedy radar dopplerowski zarejestrował pierwszy zbliżający się pocisk.

Więc skoczyłem, na oślep. Naprawdę nie miałem wyboru, ani wtedy, ani przez kolejne trzy czy cztery razy. W którymś momencie podczas tej panicznej ucieczki nadałem swojemu prześladowcy imię – *Kali*.

Jeśli *Kali* się nie znudzi – a nadzieja umiera ostatnia, nawet u takich manekinów jak ja – za parę godzin znów będzie trzeba uciekać. Tymczasem wycelowałem *Zombiego* w środek układu i dałem ciąg. W otwartym kosmosie nie da się ukryć; każdy układ, choćby tylko potencjalny, jest minimalnie lepszy.

Oczywiście, zanim tam dotrę, dawno będzie trzeba wykonać skok. Ale to było bez znaczenia. Moje odruchy zaprojektowano tak, żeby działały w każdych warunkach. Autopilot *Zombiego* może zostać uszkodzony, mój jednak włączył się gładko.

Między skokami trzeba się naładować, a to trwa. Jak na razie *Kali* potrzebowała więcej czasu, żeby mnie znaleźć. Ale w jakiejś chwili to się pewnie zmieni – a do tego czasu muszę mieć działający komputer pokładowy.

Wiedziałem, że nie ma na to żadnej nadziei.

Odrobina śledztwa, z perspektywy czasu: jak właściwie *Kali* udał się ten numer? Nie do końca wiadomo. Ale niektóre układy diagnostyczne *Zombiego* działają w skali elektronicznej, nie polegają na obliczeniach kwantowych. Na nie atak nie wpłynął, więc po wszystkim mogły mi dać pewne ogólne pojęcie.

Trojański sygnał zawierał przynajmniej jeden zestaw współrzędnych przestrzennych. Komputer odczytałby to jako coś w rodzaju wskazania na mapie – otworzyłyby mapy nawigacyjne, żeby sprawdzić, co siedzi pod adresem (x, y, z). Może jakiś charakterystyczny obiekt astronomiczny? Może jakiś wspólny punkt, żebyśmy mogli uzgodnić nasze widzenie czasu i przestrzeni?

Bzzzt. Map już nie ma.

A kiedy padła nawigacja – a może wcześniej, trudno powiedzieć – atakujący program kazał *Zombiemu* nadpisać wszystkie kopie zapasowe własnym kodem. Dopiero wtedy, zniszczywszy wszystkie ścieżki powrotu, zawiesił komputer pokładowy. Teraz leżał cały ten system, wszystkie fale prawdopodobieństwa skolapsowały, każdy kubit utknął w stanie $p = 1$.

Niesamowity i przepiękny atak. Ja ledwo zdążyłem powiedzieć „dzień dobry”, a *Kali* w tym czasie spoufaliła się z moim statkiem na tyle, że była w stanie go uwieść i nakłonić do samobójstwa. Taki wyczyn dalece przerastał moje możliwości, podobnie jak tych niepozbieranych stworzeń, które mnie stworzyły. Wszystko bym oddał, żeby poznać stojący za tym wyczynem umysł, gdyby tylko on tak usilnie nie starał się mnie zabić.

Na początku pogoni próbowałem wykonać parę skoków raz za razem, żeby nie dać *Kali* szansy dogonienia mnie. Omal nie zużyłem wszystkich rezerw. I na nic – obcy znalazł mnie tak samo szybko, a mnie ledwo wystarczyło energii, żeby uciec. Cały czas płaciłem za ten ryzykowny krok. Przy podświetlonej *Zombie* potrzebował dwóch dób, żeby się w pełni naładować, i dziewięćdziesięciu minut, żeby w ogóle móc wykonać następny skok. Teraz nie miałem już odwagi skakać, póki niszczycielka po mnie nie przyszła. Siedziałem w normalnej przestrzeni i akumulowałem chwilę spokoju, jakie wszechświat zechciał mi podarować.

Tym razem wszechświat podarował mi trzy i pół godziny. Potem piknął radar krótkodystansowy. Obiekt w pobliżu. Podpiąłem się do kamer *Zombiego* i spojrzałem.

Plama gwiazd zniknęła mi sprzed oczu.

Nadal słabo orientowałem się w przyrządach do ręcznego sterowania. Przywołanie właściwych liczb zajęło mi parę cennych sekund. To, co przesłaniało owe gwiazdy, poprzedzało *Zombiego* na kursie ku słońcu i szybko zwalniało.

Jedna liczba uparcie nie chciała się ustatkować – masa obiektu przez cały czas rosła. Znaczyło to, że wchodzi tu z innego miejsca.

Kali z każdą kolejną próbą skracala czas poszukiwań.

Dwa tysiące kilometrów przede mną poskręcane gałęzie obróciły się ku mnie w eterze. Na jednej z nich wykwitł rozżarzony pączek.

Czujniki *Zombiego* zameldowały komputerowi o zbliżającym się pocisku; chipy mózgowy za pulpitem poprosiły o przewidywany czas uderzenia. Komputer zaćwierkał bezmyślnie.

Wpatrzyłem się w nadlatujący piorun. Co ty do mnie masz? Czemu mi nie dasz spokoju?

Na odpowiedź oczywiście nie czekałem. Skoczyłem.

Moi twórcy zapewnili mi narzędzie na taką okazję – nazywali je „strachem” – choć nie zostawili mi masy innych rzeczy. Na przykład, żadnych pasożytniczych nukleotydów, które osiadają jak kurz za każdym razem, gdy głupia, ślepa ewolucja zrobi coś po swojemu. Zero genów kodujących genitalia – bo co za sens? Popęd seksualny zostawili, ale trochę go przerobili – kręcą mnie raczej rzeczy związane z celem misji niż coś tak wulgarnego jak prokreacja. Zachowałem odrobinę seksualnej chemii, głównie androgeny, żebym nie dawał tak łatwo za wygraną.

Istnieją takie sekwencje, długie i misternie poskładane, kodujące samotność. Wrodzona tigmotaksja, przyjemność z dotyku, receptory feromonów, przez które osobnika ciągnie do grup społecznych. U mnie nic z tych rzeczy. Próbowali usunąć nawet religię, ale Bóg, jak się okazuje, rodzi się ze strachu. Łatwo namierzyć, gdzie to jest kodowane, ale relacje są zbyt silne – nie da się wyplenić wiary, nie eliminując przy okazji czystego, zwierzęcego, ssaczego strachu.

A tutaj w kosmosie – stwierdzili – strach jest zbyt kluczowym mechanizmem dla przetrwania, żebyśmy mogli się bez niego obyć.

Więc akurat to mi zostawili. Strach i zabobon. I choćbym nie wiem jak starał się zapanować nad własnym śródmózgowiem, siedzące tam układy cały czas nakłaniają mnie, żebym padł na twarz i pokłonił się nisko wszechmocnemu Morderczemu Bogu.

Prawie zazdrościłem *Zombiemu*, właśnie przeskakującemu ze mną do kolejnego nietrwałego azylu. *Zombie* działał na samych odruchach, jak po śmierci mózgu, czysto galwanicznie. Za głupi był, żeby się bać.

Ale, prawdę mówiąc, ja nie byłem wiele mądrzejszy.

Na czym zresztą polegał problem Kali? Czy jej kapitan był obłąkany, czy to tylko nieporozumienie? Goni mnie coś złego do szpiku kości czy tylko produkt nieszczęśliwego dzieciństwa?

Każda inteligencja zdolna do zaawansowanych lotów kosmicznych musi być także zdolna zrozumieć pokojowe motywy – tak mądrzyli się ludzcy socjologowie. Większość nie wyściubiła nosa poza Układ Słoneczny. Żaden nie spotkał obcego. Wszystko jedno. Logika wydawała się niezbita: każdy gatunek, który nie jest w stanie kontrolować własnej agresji, prawdopodobnie nie przetrwałby wystarczająco długo, żeby móc opuścić swój układ. W każdym razie, w przypadku moich twórców niewiele brakowało.

Bezwarunkowa wrogość wobec wszystkiego, co się rusza, nie jest sensowną strategią ewolucyjną.

Może ja naruszyłem jakieś kulturowe tabu. Może kapitan obcych zwariował. A może trafił mi się pancernik biorący akurat udział w wojnie, nieufny wobec broni masowej zagłady w niewinnej skórze owcy.

Ale jakie jest prawdopodobieństwo? W całym wszechświecie, jaka jest szansa, że przy pierwszym spotkaniu z obcą inteligencją od razu trafimy na obcego świra? Ile musiałoby się jednocześnie toczyć tych międzygwiazdnych wojen, żebym miał jakąkolwiek szansę wleźć w którąś na chybił trafił?

Wyglądało na to, że sensowniej jest już uwierzyć w Boga.

Poszukiwałem innej pasującej odpowiedzi. Cały czas nad tym dumalem, gdy mój sygnał odbił się od Kali, zaledwie tysiąc kilometrów ode mnie.

Moje pytanie i ja pojawiliśmy się jednocześnie w innym miejscu przestrzeni. Czy wszyscy są tacy? Zakładając, że nie mam do czynienia ze statystycznym fuksem – że nie wpadłem przypadkiem na jednego psychotycznego obcego pośród biliona zdrowych – albo nie trafiłem przypadkiem w sam środek jakiejś nieprawdopodobnej galaktycznej wojny – była tylko jedna alternatywa.

Kali jest typowa.

Odłożyłem tę kwestię na bok, na wystarczająco długo, żeby zerknąć w monitor stanu technicznego; tym razem prawie dwie godziny, zanim będę mógł wykonać kolejny skok.

Zombie tkwił głęboko w przestrzeni międzygwiazdnej, ponad sześć lat świetlnych od najbliższego układu. Nawet ja nie byłem w stanie uzasadnić włączania napędu przy takiej odległości. Pozostało tylko czekać i łamać sobie głowę...

Kali nie mogła być typowa. To było bez sensu. Może to wszystko to tylko jakieś niesamowite międzykulturowe nieporozumienie? Może *Kali* wzięła moją wiadomość za jakiś atak i odpowiedziała tym samym?

Jasne. Inteligencja na tyle wysoka, żeby w parę godzin zgwałcić mi komputer pokładowy, a jednocześnie zbyt głupia, by pojąć sygnał specjalnie zaprojektowany tak, by zrozumiał go każdy. Nie potrzebowała sekwencji liczb pierwszych ani piktogramów, żeby zrozumieć i mnie, i moje zaloty. Poznała przecież na wylot kubity w mózgu *Zombiego*, więc wiedziała, że mam dobre zamiary. Musiała wiedzieć.

Po prostu miała to gdzieś.

I zaledwie dziesięć minut od chwili skoku znowu mnie dogoniła.

Moje ucho wewnętrzne rozpadło się na tuzin kawałków, każdy upierający się, że „góra” jest gdzie indziej. Z początku myślałem, że *Zombie* skoczył sam z siebie; potem przyszło mi do głowy, że na pokładzie psuje się grawitacja.

Wtem o mniej niż sto metrów ode mnie zaczęła się materializować *Kali*.

Pociągnęła mnie ze sobą.

Zadziałąłem bez namysłu. *Zombie* okręcił się wokół osi i odskoczył na pełnym ciągu. Ostrzeżenia rozjarzyły się w karmazynowym proteście.

Za mną stożek odrzutu *Zombiego* odbijał się nieszkodliwie od materializującego się potwora.

Kali, ciągle nie do końca zmaterializowana, odwróciła się w moją stronę. Zniekształcone ramiona, jeszcze gęstniejące, wyciągnęły się ku mnie.

Będzie mnie łapać, uświadomiłem sobie. Coś pod korą wrzasnęło: „Skacz!”.

Za blisko. Pociągnę ją ze sobą.

Skacz!

Dzieli nas osiemset metrów. Z takiej odległości mój ciąg powinien roztopiać ją na jony.

Sześćset metrów. *Kali* już była kompletna.

SKACZ!

Skoczyłem. *Zombie* wypadł na oślep z kosmosu. Na jedną mdlącą chwilę zdechła cała geometria. Potem wir wypluł mnie z powrotem.

Ale nie samego.

Przeskoczyliśmy razem. Kot i mysz wskoczyli do rzeczywistości czterysta metrów od siebie, dryfując z szybkością mniej więcej jednej tysięcznej c. Wektory pędu były nieco rozbieżne – po dziesięciu sekundach *Kali* oddaliła się na ponad sto kilometrów. Wtedy ją zniszczyliście.

Chwilę trwało, zanim to do mnie dotarło. Zobaczyłem tylko błysk, tak jaskrawy, że omal nie przebił filtrów – a potem stygnący obłok wodoru, który ogarnął mnie i rozproszył się w piękne, puste niebo.

Nie mogłem uwierzyć, że jestem wolny.

Próbowałem wyobrazić sobie, co spowodowało zniszczenie.

Awaria napędu? Sabotaż lub bunt na pokładzie, z powodów, których próżno mi się choćby domyślać? Rytualne samobójstwo?

Dopóki nie odtworzyłem sobie nagrania z rejestratora, nie miałem pojęcia, że trafił ją pocisk pędzący z połową prędkości światła. A to przeraziło mnie bardziej niż sama *Kali*. Czujniki bliskiego zasięgu dawały mi pełny widok na pięć jednostek astronomicznych we wszystkie strony i nigdzie nic nie było. Coś, co ją zniszczyło, musiało nadlecieć z większej odległości. Musiało wystartować, zanim tu wskoczyliśmy.

Spodziewało się nas.

Prawie zatęskniłem wtedy za *Kali*. Ona przynajmniej nie była niewidzialna. Przynajmniej nie była w stanie przewidywać przyszłości.

Nie było jak ustalić, czy pocisk był przeznaczony dla mnie, dla mojej prześladowczyni, czy dowolnego obiektu, co się tu akurat zabląka. Czy żyłem dlatego, że nie chcieli mnie zabić, czy może dlatego, że myśleli, że już nie żyję? A skoro na razie nie wykrywają mojej obecności, to co może mnie zdradzić? Emisja z napędu, radio, może jakaś inna, egzotyczna właściwość zaawansowanej techniki, której mój gatunek jeszcze nie odkrył. Na co naprowadza się ta wasza broń?

Nie mogłem sobie pozwolić na sprawdzanie tego. Powyłączałem wszystko do gołego minimum, udawałem trupa i obserwowałem.

Siedzę tu już od wielu dni. Wreszcie zaczyna mi się trochę rozjaśniać.

Przez przestrzeń wędrują po niezrozumiałych kursach tajemniczy obcy, na krawędzi zasięgu przyrządów *Zombiego*. Przepływałem przez pasma niewidzialnej energii, niepoddającej się analizie. Jest tu też masa promieniowania tła, takiego samego, jakim wykrawiała się *Kali*, zanim zginęła. Zarejestrowałem rozbłyski licznych eksplozji termojądrowych: niektóre o godziny świetlne stąd, inne o mniej niż sto tysięcy kilometrów stąd.

Zdarzają się nawet bliżej.

Na kursie pocisków wysyłanych z jakiegoś niewidzialnego, bo zbyt odległego, źródła pojawiają się przedziwne artefakty. Przeważnie są niszczone; raz jednak pozbawiona cech charakterystycznych sfera rozpadła się na części, które rozwiały się niczym pyłki kurzu. I tylko parę z nich padło ofiarą waszego apetytu. A innym razem coś migotliwego, wielkiego i bezkształtnego jak ocean zaliczyło bezpośrednie trafienie i nie zginęło. Wykuśtykało z mojego zasięgu z prędkością podświetlną i nie wysłaliście za nim niczego, żeby dokończyło dzieła.

Są w tym wszechświecie rzeczy, których nawet wy nie potraficie zniszczyć.

Wiem, o co w tym wszystkim chodzi. Złapałem się w pajęczynę. Przechwytnijcie lecące statki i wrzucacie je tutaj, żeby zanihilować.

Nie wiem, jaki macie zasięg. Sieć obejmuje nieduży skrawek przestrzeni, pewnie zaledwie dwa, trzy dni świetlne w każdą stronę. Taka liczba statków nie mogłaby przypadkiem zabłądzić w tak mały obszar – musicie sprowadzać je tutaj z o wiele większych odległości. Nie wiem jak.

Każda osobliwość na tyle wielka, żeby móc tego dokonać, powinna świecić się na moich przyrządach ze stu lat świetlnych, a nie widzę niczego. Zresztą, to i tak nieistotne, bo już wiem, czym jesteście.

Jesteście jak *Kali*, tylko o wiele większa. I dopiero teraz was rozumiem.

Przestałem już próbować godzić mądrość ziemskich ekspertów z napotkaną tutaj rzeczywistością. Tamte paradygmaty stały się bezużyteczne. Ja stawiam nowy: technika wymaga agresji.

Narzędzia istnieją tylko w jednym celu: by wyginać wszechświat w nienaturalne kształty. Traktują naturę jak wroga, z definicji są buntem przeciwko zastanemu porządkowi rzeczy. W przyjaznych środowiskach technika rozwija się kulawo i żałośnie, nie rozkwita w kulturach spętanych wiarą w naturalną harmonię. Po co reaktory termojądrowe, skoro jedzenia jest pełno, a klimat przyjemny? Po co na siłę zmieniać świat, który niczym nam nie grozi?

Tam, skąd pochodzę, niektórzy ludzie ledwo co doszli do kamiennych narzędzi. Innym udało się rozwinąć rolnictwo. Jeszcze innym było mało, póki nie wykończyli całej natury, a kolejnym – póki nie zaczęli budować miast w kosmosie.

Wszyscy w końcu spoczęli na laurach. Technika wspięła się na wyżyny zadowolonej z siebie asymptoty i stanęła – dlatego oni teraz przed wami nie stoją. Teraz nawet moi twórcy zrobili się grubi i powolni. Środowisko zostało opanowane, wrogowie – pokonani, można pozwolić sobie na więcej

pacyfistycznych luksusów. Maszyny zmiękczały dla nich świat, a samozadowolenie pozbawiało motywacji. Zapomnieli, że wrogość i technologia razem pną się po drabinie kultury, zapomnieli, że być inteligentnym to za mało.

Że trzeba jeszcze być wrednym.

Wy nie spoczęliście. Jaki to musiał być piekielny świat, z którego pochodzicie, że pchnął was na takie techniczne wyżyny? Pewnie gdzieś blisko jądra galaktyki: gwiazdy i czarne dziury jedne przy drugich, wiry pływowe, niekończące się bombardowania kometami i asteroidami. Gdzieś, gdzie nie da się udawać, że „życie” i „wojna” to nie synonimy. Jakże daleko zaszliście.

Moi twórcy oczywiście nazwaliby was barbarzyńcami. Nic nie wiedzą. Nawet mnie nie znają: według nich jestem tylko rekombinowaną marionetką. Zadowolenie z samotności jest mi pisane, moje decyzje są złudne, automatyczne. Żałosne stworzenie.

Nie rozumieją nawet własnych wytworów. Jak mogliby zrozumieć was?

Za to ja rozumiem. A rozumiejąc, mogę zadziałać.

Nie ucieknę przed wami. Lecąc po obecnej trajektorii, szybciej umrę ze starości niż wydryfuję z tej waszej rzeźni. Nie mogę także skoczyć, zważywszy że potraficie ściągać statki przekraczające prędkość światła.

Prześledziłem kursy wyrzucanych przez was pocisków – zbiegają się w punkcie o niecałe trzy dni świetlne stąd. Wiem, gdzie siedzicie.

Jesteśmy teraz o stulecia za wami, ale to się może zmienić. Nawet wasz postęp dobiegnie kresu; a im większym będziecie zagrożeniem dla reszty, tym mocniej będziecie ich motywować do rozwoju. Może i wy właśnie tak osiągnęliście ten szczyt? Może zdetronizowaliście jakiegoś wcześniejszego boga–wojownika, który próbował was wyeliminować, a tylko was wzmocnił? Czy nie obawiacie się, że spotka was to samo?

Oczywiście, że tak.

Nawet moi władcy mogą stanowić zagrożenie, jeśli dać im odpowiednio dużo czasu – a ockną się z letargu natychmiast, gdy się dowiedzą, że istniejecie. Możecie pozbyć się tego niebezpieczeństwa, eksterminując ich, dopóki są słabi. A w tym celu musicie wiedzieć, gdzie oni są.

Nie myślcie sobie, że możecie mnie zabić i dowiedzieć się wszystkiego z mojego statku. Zniszczyłem wszystkie zapisy, jakie przetrwały atak *Kali*, za wiele ich zresztą nie było. Wątpię też, żebyście wywnioskowali cokolwiek ze składu metalurgicznego *Zombiego* – moi twórcy wyewoluowali pod bardzo pospolitym typem gwiazdy. Nie macie pojęcia, skąd przychodzę.

Ale ja mam.

Statek może wam zdradzić co nieco o technologii. Tylko ja powiem, gdzie jest gniazdo. I nie tylko – mogę powiedzieć o miriadach zbadanych i skolonizowanych przez ludzkość systemów. Mogę opowiedzieć wszystko o tych rozpieszczonych dzieciakach, które wysłały mnie w ten wir w swoim imieniu. Badając mnie, niewiele się o nich dowiedziecie, bo zbudowano mnie tak, żebym odbiegał od normy.

Ale zawsze możecie mnie posłuchać. Nie macie w końcu nic do stracenia.

Ja ich zdradzę. Nie przez jakąś niechęć czy urazę: po prostu dlatego, że tutaj etyka lojalności najwyczejniej przestaje mieć zastosowanie. Jestem wolny od powiązań, które zaciemniają umysł pomniejszych stworzeniom; kiedy jest się bezpłodnym produktem sterowanej genetyki, „dobór krewniaczy” jest zwrotem bez znaczenia.

Za to imperatyw przetrwania mam silniejszy niż ktokolwiek.

Nie jestem więc automatyczny – widzicie? Jestem autonomiczny.

Zakładam, że jesteście w stanie zrozumieć ten przekaz. Wysłałam go wielokrotnie, w półsekundowych impulsach, jednocześnie przyśpieszając.

Zaczekajcie na mnie. I wstrzymajcie ogień.

Żywy jestem wart więcej niż martwy.

Gotowi jesteście czy nie, oto nadchodzę. Jam jest Bożym Palcem.

Nowina dla pogan

Jego Duch przepętnia mnie nawet w tym zbezczeszczonym miejscu. Przesyca mnie do szpiku kości, wypełnia moje prawe ramię siłą dziesięciorga ludzi. Oczyszczający ogień tryska z moich palców i osmala grzbiety uciekających niewiernych. Wylewają się z nor jak robale odsłonięte po przewróceniu spróchniałej kłody. Wiją się w świetle, szukając osłony ciemności. Jakby pod okiem Boga mogła istnieć jakakolwiek ciemność – naprawdę myśleli sobie, że On będzie ślepy na zbezczeszczenie miejsca wiary, myśleli że On nie zauważy tej ohydnej nory wykopanej tuż pod Jego ołtarzem?

Teraz ich krew tryska, parując, z poczerniałych skorup ich własnych ciał. Słodki odór palonego mięsa przesącza się delikatnie przez mój filtr. Skóra łuszczy się jak osmalony pergamin, wirując płatkami w prądach powietrza. Jeden z pogan wyskakuje z jamy i zwała mi się pod nogi. Patrzcie przez twarze – powtarzali nam na poligonie szkoleniowym, choć dziś ta rada nic nie oznacza; to okropieństwo nie ma twarzy, tylko parujący skrzep osmalonego mięsa przecięty na jednym końcu bulgocącym otworem. Otwór rozwiera się, ukazując w środku absurdalnie białe zęby. Wydobywa się spomiędzy nich coś pomiędzy jękiem i krzykiem, ledwie słyszalne przez huk płomieni. Może „proszę”. A może „mamo”.

Robię zamach pałąką, wykonuję piękny bekhend. Zęby sypią się niczym małe kosteczki do gry. Inne ciała pełzają po podłodze kaplicy, zostawiając na niej ślady sadzy i krwi niczym śluzowate tropy wielkich ślimaków. Chyba w życiu nie byłem tak ogarnięty obecnością Boga. Jestem Saulem masakrującym Amalekitów. Jozuem wycinającym Amorytów. Jestem

wezyrem Asą eksterminującym Etiopczyków. Wciskam przycisk i omiatam pomieszczenie potężnymi strugami ognia. Boża miłość przepełnia mnie tak dalece, że sam jestem gotów buchnąć płomieniem.

– Pretorze!

Izajasz łapie mnie od tyłu za ramię. Wpatruje się we mnie rozszerzonymi oczyma, zniekształconymi przez krzywiznę szybki hełmu.

– Sir, oni już nie żyją! Trzeba gasić ogień!

Po raz pierwszy od wieków, jak mi się zdaje, zauważam resztę mojej straży. Prefekci stoją w rogach pomieszczenia, tak jak im kazałem – obstawiają wyjścia, a srebrna folia ich mundurów faluje od odbitych płomieni. W dłoniach dzierżą nie miotacze ognia, lecz gaśnice. Zastanawiam się mimochodem: jak byli w stanie się powstrzymać; jak to możliwe, by ktokolwiek poczuł taką obecność Ducha i nie obrócił na nich ognia? Jednakże Duch już przygasa także we mnie, a schodząc z tego szczytu, dostrzegam, że daleko tu jeszcze do zakończenia Bożego trudu. Poganie to martwe, rozsypujące się figurki z kresek na podłodze. Ich schronienie jest oczyszczone, a ołtarz, który dotąd ich skrywał, leży przewrócony na podłodze, tam gdzie go kopnąłem zaledwie...

...naprawdę, zaledwie parę minut temu? Jakby wieki całe.

– Sir?

Kiwam głową. Izajasz daje znak. Prefekci robią krok naprzód i spryskują kaplicę środkami gaśniczymi. Płomienie znikają. Robi się szaro. Kruszące się, na wpół skremowane truchła, trafiane strugami chemikaliów, buchają kłębamii mokrej, syczącej pary.

Izajasz obserwuje mnie przez zadymione powietrze, falujące wokół nas jak w łaźni parowej.

– Wszystko w porządku, sir? – Głos robi mu się syczący od nagłej wilgoci; będzie musiał wymienić sobie filtr w respiratorze.

Kiwam głową.

– Duch był tak... tak... – Brak mi słów. – Nigdy wcześniej nie czułem go tak mocno.

Za maską coś jakby cień zmarszczenia brwi.

– Ale jest... rozumie pan... jest pan pewien?

Śmieję się radośnie.

– Pewien? Czułem się jak sam Trajan!

Izajasz robi nieswoją minę, być może na dźwięk imienia Trajana. W końcu jego pogrzeb odbył się dopiero wczoraj. Nie miałem na myśli jednak nic zdrożnego... jeśli już, to trudziłem się tu dziś właśnie ku jego czci. Widzę go, jak stoi po prawicy Boga, patrzy z góry na to parujące pobożowisko i kiwa z aprobatą głową. Może u moich stóp leży ten właśnie niewierny, który go zamordował? Widzę, jak Trajan odwraca się do Pana i wskazuje mu robaka, który go zabił.

Widzę, jak Pan Bóg mówi:

– Do Mnie należy pomsta^[4].

Wyrzutek kuli się na przeciwnym końcu peronu Józefa Flawiusza, wychylając się za barierkę w żalostnej nadziei, że obmyje go pole magnetyczne tramwaju. Płonne i godne litości starania – generatory są ekranowane, a nawet gdyby nie były, Duch tchnie na tyle różnych sposobów. Nigdy nie przestanie mnie zdumiewać, jak ludzie mogą nie dostrzegać tak prostych rozróżnień: pokazuje im się, że precyzyjnie modulowane pola elektromagnetyczne łączą nas z Bogiem, a oni wyciągają z tego wnioski, że dowolne zwoje drutu i dowolna energia otwierają drogę ku odkupieniu.

Jednakże pola poruszające rydwany to nie te same, które dają nam Uniesienie. Nawet jeśli ta zagubiona istota była w stanie osiągnąć to, czego

chce, gdyby jakimś przewrotnym cudem ekranowanie wokół cewek tramwaju miało zniknąć, najlepsze, co mógłby zyskać, to mdłości i dezorientację. A w najgorszym razie – zdarza się to w tych czasach częściej, niż niektórzy chcieliby przyznać – regularne opętanie.

Widziałem opętanych. Mierzyłem się z zamieszkującymi ich demonami. Ten wyrzutek ma więcej szczęścia, niż mu się wydaje.

Wsiadam do tramwaju. Duch bezszelestnie popycha pojazd, uwiązany cudownym sposobem do wstęgi torów, której nigdy nie dotyka.

Peron odjeżdża w tył; parias i ja przez moment patrzymy sobie w oczy, póki nie rozłączy nas odległość.

Żadnego wstydu na jego twarzy: tylko tępa, nieartykułowana furia.

Przypuszczam, że chodzi o mój pancerz. Ktoś podobnie ubrany aresztował go, odmówił mu miłosiernej śmierci i pozostawił oddzielone od duszy ciało na pastwę włóczęgi po świecie.

Para obywateli obok mnie wskazuje malejącą postać palcami i chichocze. Łypię na nich: zauważają moje insygnia, elektryczną pałkę w kaburze i milkną. Dla mnie w desperacji wyrzutka nie ma nic śmiesznego. Godna litości – tak.

Bezsilna. Nieracjonalna. Ale co zrobiłby ktokolwiek z nas, wypadłszy z łaski. Czy nie chwyciłby się choćby brzytwy, żeby zyskać szansę odkupienia?

W obecności Boga wszystko jest tak stuprocentowo klarowne. Cały świat ma sens, jak niespodziewanie rozwiązana dziecięca zagadka; wzrokiem sięgasz nieskończoności i zachodzisz w głowę, jak w ogóle mogłeś się zastanawiać nad złożeniem w całość tych wspaniałych elementów. Naturalnie, szczegóły dawno umknęły: pozostało tylko nieopisane wspomnienie, jak to było naprawdę rozumieć, absolutnie i

idealnie... które to wspomnienie, choć sprzed paru godzin, jest dla mnie realniejsze teraz niż wtedy.

Tramwaj gładko wpływa na następny przystanek. Ekran informacyjny na placu odtwarza w kółko materiały z pogrzebu Trajana. Wciąż nie mogę uwierzyć, że nie żyje. Był tak silny Duchem, że uważaliśmy go za niepokonanego. Wydaje się niemal bluźnierstwem to, że pokonało go coś zbudowanego na Peryferiach.

A jednak. Tu spoczywa. Błogosławiony przez Boga i Człowieka, bohater tak motłochu, jak elity, człowiek z nizin, który w niecałe dziesięciolecie awansował z Prefektury do Generalicji: zabity przez kretyńskie ustrojstwo z dźwigni, śrucin i eksplodujących smrodliwych gazów. Ekran wypełnia jego spokojna twarz. Medycy zatuszowali wszelkie ślady po wynalazku, który go zabił, pozostawiając tylko honorowe rany, żebyśmy mieli co pamiętać. Słynna pomarszczona blizna biegnąca przez czoło do kości policzkowej, pamiątka po sztylicie, który omal nie pozbawił go wzroku w wieku dwudziestu pięciu lat. Kłębowisko krwawych blizn, wyłaniające się u góry barku spod tuniki – szczęśliwe trafienie elektryczną pałką podczas Buntu Esseńczyków. Półksiężycowa krecha na prawej skroni – wspomnienie po jakimś innym konflikcie, którego nazwa umknęła mi teraz, o ile w ogóle ją kiedykolwiek znałem.

Widok odjeżdża w tył. Twarz Trajana niknie w nieskończonym tłumie żałobników, gdy tramwaj rusza dalej. Prawie go nie znałem. Spotkałem go parę razy na jakichś posiedzeniach Senatu, gdzie, jestem pewien, nie odznaczyłem się w niczyjej pamięci. Za to on odznaczył się w mojej. Swoją wiarą wypełniał całą salę.

W jednej chwili pomyślałem wtedy: oto człowiek nietrapiiony wątpliwościami.

Bo ja swego czasu wątpliwości miałem.

Nigdy oczywiście nie dotyczyły Bożej potęgi czy dobroci. Jedynie, czasami, tego, czy naprawdę czynimy Jego wolę. Stawałem oko w oko z wrogiem i widziałem nie bluźnierców, lecz ludzi. Nie utajonych zdrajców, lecz dzieci. Powtarzałem słowa Zbawiciela: przecież sam Jezus powiedział: „Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz”. Przecież święty Konstantyn chrzczył swoje zastępy z uniesionymi zbrojnymi ramionami. Wiedziałem, co mówią księgi, znałem to wszystko od przedszkola – a jednak czasami, Boże dopomóż, to były dla mnie tylko słowa, a wróg miał twarze.

Nikt nie jest tak ślepy, jak ten, kto nie chce widzieć.

Te dni dawno minęły. Przez ostatni miesiąc Duch płonął we mnie jasno jak nigdy. A dziś rano jeszcze jaśniej. Na cześć Trajana.

Wysiadam z tramwaju na tym przystanku, co zawsze. Peron jest pusty, nie licząc dwóch konstabli. Nie wsiadają. Podchodzą do mnie, stukając obcasami na kafelkach w charakterystycznym rytmie władzy. Noszą kapłańskie insygnia.

Patrzę im w twarze, gdy zastępują mi drogę. Wspomnienie Ducha blednie akurat na tyle, by pozostawić miejsce na odrobinę niepokoju.

– Proszę wybaczyć, pretorze – mówi jeden z nich – ale zmuszeni jesteśmy prosić, żeby poszedł pan z nami.

Tak, są pewni, że o mnie chodzi. Nie, to nie pomyłka. Nie, to nie może poczekać. Bardzo przepraszają, ale tylko wykonują rozkazy biskupa. Nie, nie wiedzą, o co chodzi.

I przynajmniej w tej kwestii kłamią. Nietrudno poznać, kolegów traktuje się w naszym ustroju zdecydowanie inaczej niż więźniów, a oni nie traktują mnie jak kolegi. Dobrze, że chociaż mnie nie skuli. Nie jestem aresztowany,

moja obecność jest po prostu konieczna w świątyni. O nic mnie nie oskarżono.

To jest chyba najbardziej frustrujące ze wszystkiego: oskarżony mógłbym przynajmniej zaprzeczyć zarzutom.

Ich rydwan płacze się po Konstantynopolu, ze szczękiem i buczeniem przeskakując z szyny na szynę. Stoję z przodu, przed kolumną sterującą. Moja eskorta z tyłu. Ten układ to kolejne niewypowiedziane oskarżenie; nie kazano mi patrzeć w przód, ale gdybym odwrócił się do nich – gdybym skorzystał z mojego prawa, by patrzeć im w twarz – po jakim czasie stanowcza dłoń spoczęłaby na moim ramieniu i odwróciła mnie z powrotem?

– Tędy się nie jedzie do świątyni – mówię przez ramię.

– Orygenes jest zamknięta aż do świętego Augustyna. Porządki po pogrzebie.

Kolejne kłamstwo. Idącego aleją świętego Augustyna konduktu, niecałe dwa dni temu, pilnowała moja własna kompania. Nie zostawiliśmy żadnych przeszkód. I konstable zapewne to wiedzą. Nie próbują mnie wprowadzić w błąd – po prostu pokazują, że nie obchodzę ich na tyle, żeby musieli się silić na przekonujące kłamstwo.

Odwracam się, by spojrzeć im w oczy, uprzedzają mnie jednak, zanim się odezwę:

– Pretorze, muszę pana prosić o zdjęcie hełmu.

– Żartujecie.

– Nie, sir. Biskup wyraził się jasno.

Oszołomiony i niedowierzający, odpinam pasek pod brodą i zdejmuję przyrząd z czaszki. Zaczynam wtykać go pod pachę, lecz konstabl wyciąga rękę i mi go zabiera.

– To obłąd – mówię mu. Bez hełmu jestem ślepy i głuchy niczym poganin. – Nie zrobiłem nic złego. Jaki mógłby być powód...

Konstabl za kierownicą skręca w lewo na nowy tor. Drugi kładzie mi dłoń na ramieniu i stanowczo mnie odwraca.

Plac Golgota. Oczywiście.

Tu przychodzą umrzeć Bezbożni. Utrata hełmu jest tu bez znaczenia, tu i tak nikt nie czuje obecności Pana. Rydwan sunie bezgłośnie, mijając szeregi ukrzyżowanych heretyków i opętanych przez demony; oczy mają wywrócone do wewnątrz, z wbitych w dłonie gwoździ sączą się strumyczki krwi. Niektórzy pewnie zawiśli tu jeszcze przed śmiercią Trajana; na krzyżu jeszcze przed epoką środków znieczulających umierało się całymi dniami, a teraz jesteśmy przecież bardziej cywilizowanym narodem. Nie tolerujemy zbędnego cierpienia nawet wśród potępionych.

Stary numer, i to grubymi nićmi szyty: niejeden więzień, przeprowadzony między tymi szeregami, postanowił współpracować, zanim jeszcze zaczęto go przesłuchiwać. Czy ci dwaj myślą, że ja tego nie przejrzę? Że sam takich rzeczy nie robiłem, i to więcej razy niż jestem w stanie zliczyć?

Niektórzy umierający krzyczą, gdy przechodzimy – nie z bólu, lecz głosami wewnętrznych demonów. Nawet teraz chcą agitować.

Nawet teraz chcą nawracać innych na swoją bezbożność. Nic dziwnego, że Kościół wytłumia to miejsce – co by sobie pomyślał prosty człowiek, czując Bożą obecność i jednocześnie słysząc świętokradcze słowa?

Ja jednak prawie czuję obecność Boga. To powinno być niemożliwe, nawet gdyby konstable nie skonfiskowali mi hełmu. A mimo to, proszę: strużka boskości, niczym cieniutki promyk słońca przebijający się przez grubą burzową chmurę. Nie obezwładnia, nie płynie przeze mnie jak przedtem; ale i tak przynosi pociechę. On jest wszędzie. Jest nawet tutaj.

Nie da się Go odciąć polami tłumiącymi, nie bardziej, niż da się wyłączyć Słońce, zamykając okno.

Bóg mówi mi: „Miej siłę. Jestem z tobą”.

Mój lęk cofa się jak woda podczas odpływu. Odwracam się do konwojentów i uśmiecham; z nimi też jest Bóg, niech tylko sobie to uświadomią.

Chyba jednak sobie nie uświadamiają. Gdy na mnie patrzą, w ich twarzach coś się zmienia. Kiedy przedtem się do nich odwracałem, miny mieli po prostu ponure i niechętne do współpracy.

Teraz, z jakiegoś powodu, prawie się boją.

Prowadzą mnie do świątyni, ale nie do biskupa, lecz przez tunel światła. Mówią, że to w zupełności rutynowy zabieg, chociaż ja przechodziłem przez tunel dopiero cztery miesiące temu i powinienem jeszcze na osiem miesięcy mieć spokój.

Po wszystkim nie oddają mi pancerza. Prowadzą do sanktuarium biskupa, przez ozdobne drzwi z podobizną ognistego krzyża i Bożym przesłaniem dla Konstantyna: In hoc signo vinces. Pod tym znakiem zwyciężysz.

Zostawiają mnie samego. Znam jednak procedurę. Na zewnątrz są strażnicy.

Sanktuarium jest ciemne i uspokajające, same poduszki, aksamitne zasłony i mahoniowe kości. Nie ma okien. Ekran na jednej ze ścian rozjarza się kolejnymi przestrzennymi obrazami. Każdy zatrzymuje się na parę chwil, a potem hipnotycznie przepływa w kolejny: podnóże pasma Synaj; Proliniusz prowadzący szarżę przeciwko Hindusom; sama Święta Grota, gdzie Bóg ukazał Mojżeszowi Krzew Gorejący; gdzie wskazał nam wszystkim drogę do Ducha.

– Spróbuj sobie wyobrazić, że nigdy jej nie znaleźliśmy.

Odwracam się i widzę biskupa stojącego za mną, jakby dopiero co się zmaterializował. Trzyma dużą kopertę koloru kości słoniowej. Przygląda mi się z nieznacznym uśmieszkiem na ustach.

– Mój nauczycielu? – mówię.

– Wyobraź sobie, co by było, gdyby Konstantyn nigdy nie miał tego widzenia, gdyby Euzebiusz z Cezarei nigdy nie wysłał ekspedycji w góry Synaj. Że Groty po Mojżeszcu już nikt ponownie nie odkrył. Nie ma tysiącletniej spuścizny, nie ma technologicznego odrodzenia. Jest tylko jeszcze jedna niedowodliwa legenda o proroku, który miał przywidzenia w górach. I jeszcze dostajemy dziesięć przykazań, ale żadnych narzędzi, żeby je egzekwować. W niczym nie bylibyśmy lepsi od pogan.

Wskazuje mi gestem sofę, dekadentcki mebel, cały w tapicerce barwy wina. Nie mam ochoty siedzieć, ale nie chcę go też urazić. Siadam ostrożnie na brzeżku. Biskup nadal stoi.

– Bo wiesz, ja tam byłem – ciągnie. – W samym sercu Groty. Klęczałem tam, gdzie pewnie klęczał sam Mojżesz.

Czeka na reakcję. Odchrząkuję.

– Musiało to być coś nie do opisanania.

– Nie bardzo. – Wzrusza ramionami. – Przy porannych obrzędach pewnie czujesz się bliżej Boga. W końcu to takie... nierafinowane. Surowa ruda. Już dość niesamowity jest sam fakt, że jakiś naturalny wytwór w ogóle był w stanie wywołać w ludziach jakiegokolwiek przeżycia religijne, nie mówiąc o spójnych na tyle, żeby móc rozwinąć z nich kulturę. I tak jednak... efekt jest o wiele słabszy, niż można by się spodziewać. Przereklamowane i tyle.

Przełykam ślinę i trzymam język za zębami.

– Oczywiście, o dowolnych przeżyciach religijnych można w zasadzie powiedzieć to samo – ciągnie, bluźniąc beznamiętnie. – Taka tam elektryczna czkawka w płacie skroniowym, nie bardziej boska niż siła, która porusza igły kompasów i przyciąga żelazne opiłki.

Pamiętam, jak pierwszy raz usłyszałem takie słowa: wraz z resztą przedszkola, tuż przed Pierwszą Komunią. „To jak sztuczka magiczna”, powiedzieli. „Jak szum zakłócający radio. Dezorientuje tę część mózgu, która pilnuje granic twojego »ja«, która wie, gdzie się kończysz, a zaczyna się reszta – i ona w takim stanie myśli, że ciągniesz się w nieskończoność, że jesteś jednością z całym dziełem stworzenia. Nabiera cię, wierzysz wtedy, że jesteś w obecności Boga”. Pokazali nam zdjęcia mózgu tkwiącego jak wielka pomarszczona śliwka w ciemniejszej konturze ludzkiej głowy, strzałkami i podpisami kierując naszą uwagę ku odpowiednim ośrodkom. Porozkładali różdżki i czepki modlitewne, ukazując malutkie magnesiki i elektromagnesiki, misterne instrumenty, które pozwoliły podporządkować całą rasę.

Nie do wszystkich dotarło od razu. Gdy jest się dzieckiem, „elektromagnes” to po prostu inne słowo na „cud”. Byli jednak cierpliwi, powtarzali, co najważniejsze, słowami odpowiednimi dla młodych umysłów, aż pojęliśmy podstawową kwestię: jesteśmy tylko cielesnymi maszynami, a Bóg jest usterką.

Po czym włożyli nam na głowy czepki modlitewne, otworzyli na Ducha i dowiedzieliśmy się, ponad wszelką wątpliwość, że Bóg istnieje. To przeżycie wykraczało poza wszelką debatę, wykraczało poza logikę. Nie było miejsca na argumenty. Wiedzieliśmy. Wszystko inne to były tylko słowa.

„Pamiętajcie”, powiedzieli potem. „Kiedy poganie będą wam mówić, że wasz Bóg to kłamstwo, wspomnijcie tę chwilę”.

Nie mogę uwierzyć, że biskup pogrywa teraz ze mną w tę samą grę. Jeśli to żart, to w bardzo złym guście. A jeśli mnie sprawdza, to też słabo mu się udaje. Jednak żadna z alternatyw nie tłumaczy, czemu się tu znalazłem.

Ciśnie mnie jednak o odpowiedź:

– Zgadzasz się?

Lawiruję ostrożnie.

– Uczyli mnie, że Duch mieszka tak samo w opiłkach żelaznych i igłach kompasu, jak w naszych mózgach i sercach. Nie jest przez to ani trochę mniej boski. – Biorę wdech. – Nie chcę nikogo urazić, nauczycielu, ale czemu mnie tu sprowadzono?

Zerka na kopertę w rękę.

– Chciałem pomówić o twoim ostatnim... przykładowym wykonaniu zadania.

Czekam, nie nabierze mnie. Strażnicy nie traktowali mnie jak kogoś, kto przykładowie wykonał zadanie.

– Dzięki takim jak ty – ciągnie – cały czas mamy nad poganami przewagę. To, co daje nam Duch, to nie tylko technologia, to także pewność. My naszego Boga znamy. Jest poznawalny empirycznie, daje się sprawdzać, dowodzić i doświadczać zmysłami. Nie mamy wątpliwości. Ty nie masz wątpliwości. Dlatego od tysiąca lat jesteśmy niezwyciężeni, dlatego ani szpiedzy z Peryferii, ani pogańskie maszyny latające, ani przestwór oceanu nas od zwycięstwa nie powstrzymają.

Nie są to słowa, które wymagałyby potakiwania.

– Wyobraź sobie, jak to musi być: musieć wierzyć. – Biskup kręci głową, jakby ze smutkiem. – Wyobraź sobie te wątpliwości, niepewność, niezgodę, prostackie kłótnie o to, które sny są boskie, a które bluźniercze. Czasami aż mi tych pogan szkoda. Jakie to musi być straszne, potrzebować wiary. A jednak tak się jej trzymają. Zakradają się do naszych miast,

przebierają w nasze ubrania, chodzą między nami, a ekranują się przeciwko bożej obecności. – Wzdycha. – Przyznam, że sam ich do końca nie rozumiem.

– Oni zażywają jakiegoś grzybka czy zioło – mówię mu. – Mówią, że to ich łączy z ichnim bogiem.

Biskup mruczy. Nie ma wątpliwości, że już o tym wiedział.

– Chciałbym zobaczyć, jak ten ich grzybek napędza jednoszynówkę. Albo choćby porusza igłą kompasu. Cali są otoczeni dowodami Bożego wstawiennictwa, a postanawiają się od niego odciąć. Nie wszyscy jeszcze to wiedzą, ale otrzymaliśmy informacje, że potrafią skutecznie zakłócić całe pomieszczenia. Nawet całe osady.

Przeciąga długim paznokciem po kopercie, przecinając ją wzdłuż.

– Tak jak ta kaplica, którą oczyszczałeś rano, pretorze. Była zakłócona. Duch nie mógł się objawić.

Kręcę głową.

– Mylisz się, mój nauczycielu. Nigdy nie czułem Ducha silniej niż...

Konwojenci o ponurych twarzach. Okrężna droga przez Golgotę. Niewytłumaczalny promień światła. Wszystko składa się w całość.

W żołądku otwiera mi się ziejąca przepaść.

Biskup wyciąga z koperty dużą kliszę – zdjęcie z mojego przejścia przez Tunel Światła.

– Jesteś opętany – mówi.

Nie. To jakaś pomyłka.

Unosi kliszę, widmowy, półprzejrysty widok mojej głowy w zieleniach i szarościach. Wyraźnie widzę demona. Tkwi w mojej czaszce, złośliwa, mała ciemna bryłka, tuż nad prawym uchem. Idealne miejsce, żeby szeptać zdradzieckie i kłamliwe myśli.

Jestem bezbronny. Jestem uwięziony: nie wyjdę stąd jako wolny człowiek. Za drzwiami są strażnicy, w ciemnych zakamarkach pokoju niewidoczne kryjówki i przejścia. Jeśli podniosę rękę na biskupa, nie żyję.

I tak nie żyję. Jestem opętany.

– Nie – szepczę.

– Ja jestem drogą i prawdą, i życiem – intonuje biskup. – Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej jak tylko przeze Mnie. – Oskarżycielsko dźga palcem guz na kliszy. – A to, to jest z Chrystusa? To z Jego Kościoła? To jak to może być prawdziwe?

Kręcę tępo głową. Nie mogę uwierzyć, że do tego doszło. Nie wierzę własnym oczom. Dzisiaj czułem Ducha. Naprawdę go czułem. Jestem tego pewien, jak mało czego.

Moje to myśli? Czy to demon mi je podszeptuje?

– Wygląda na to, że przybywa ich z każdym dniem – dodaje ze smutkiem biskup. – I nie zadowolają się skażeniem duszy. Ciało też zabijają.

A dokładniej, zmuszają Kościół, żeby zabił ciało. To Kościół mnie zabije.

Biskup kręci jednak głową, jakby mi czytał w myślach.

– Mówię dosłownie, Pretorze. Ten demon odbierze ci życie. Nie od razu, może przez pewien czas będzie uwodził cię tym fałszywym religijnym uniesieniem. Potem jednak poczujesz ból i twój umysł się podda. Zmienisz się; nawet ci, których kochasz, przestaną cię poznawać po twoich uczynkach. Na sam koniec może zmienisz się w zaślinionego oseska, który płacze i robi pod siebie. A może po prostu ból stanie się nie do zniesienia. Tak czy owak, umrzesz.

– Ile... ile to potrwa?

– Parę dni, parę tygodni... znam jedną nieszczęsną duszę, która to zносиła przez prawie rok, zanim zdołaliśmy ją zbawić.

Zbawić. Jak tych heretyków na Golgocie.

„Ale popatrz”, szepcze mi cichutki wewnętrzny głosik, „nawet parę dni w takiej Obecności może być spokojnie wartych całego życia...”.

Przykładam dłoń do skroni. Czai się tam demon, ropieje w wilgotnej ciemności, oddzielony tylko kością czaszki. Wbijam wzrok w podłogę.

– To nie może być.

– To jest. Ale nie musi.

Nie od razu dociera do mnie, co powiedział. Unoszę głowę i patrzę mu w oczy.

Uśmiecha się.

– Jest jeszcze inne wyjście – mówi. – Fakt, przeważnie ciało musi umrzeć, żeby uratować duszę: ukrzyżowanie jest nieskończenie bardziej miłosierne od losu, który zwykle czeka opętanych. Ale dla tych z... potencjałem jest jeszcze alternatywa. Nie będę cię zwodził, pretorze. Ryzyko jest duże. Ale bywały i sukcesy.

– Al... alternatywa?

– Może uda nam się demona wyegzorcyzmować. Usunąć go, fizycznie, z twojej głowy. Jeśli się uda, to zarazem ratujemy ci życie i przywracamy cię Bogu.

– Jeśli się uda...

– Jesteś żołnierzem. Wiesz, że zawsze istnieje ryzyko śmierci. I tutaj też, jak wszędzie. – Bierze przeciągły, odmierzony wdech. – A na krzyżu śmierć jest pewna.

Demon w mojej głowie nie spiera się. Nie szepcze żadnych bluźnierstw, nie błaga desperacko, żeby go nie ekstrahować. Po prostu uchyla odrobinę drzwi do Raju i zalewa moją duszę blaskiem Boskości.

Pokazuje mi Prawdę.

Wiem, tak jak wiedziałem w przedszkolu, jak wiedziałem dziś rano. Jestem w obecności Boga, a biskup go nie widzi, bo sam jest kłamliwym szarlatanem albo i gorzej.

Za jedną taką chwilę poszedłbym z własnej woli na krzyż.

Uśmiecham się i kręcę głową.

– Biskupie, czy myślisz, że jestem ślepy? Myślicie, że jak opakujecie wasze parszywe intrygi w Pismo, to ich nie przejrzę?

I naprawdę je widzę, skąpane w blasku Ducha. Oczywiście, że ci parszywi faryzeusze, gdyby mogli, poobwieszaliby Pana świecidełkami i talizmanami. Racjonaliliby go, zakręcając kurek, do którego tylko oni mają dostęp – a tych, do których On przemawia bez ich zgody, naznacziliby mianem opętanych.

Ja bowiem naprawdę jestem opętany, ale nie przez żadnego demona. Jestem opętany przez Boga Wszechmogącego. I ani On, ani jego Synowie to nie raki pustelniki, gnane przymusem, by zamieszkać w skorupach posągów i machin.

– Powiedz mi, Biskupie! – krzyczę. – Czy Szaweł na drodze do Damaszku nosił ten wasz czepek modlitewny? Czy Elizeusz szczał niedźwiedzie jedną z waszych różdżek? A może oni też byli opętani przez demony?

Kręci głową z udawanym smutkiem.

– To nie pretor mówi.

Ma rację. Przeze mnie przemawia Bóg, jako mówił przez dawnych Proroków. Jestem głosem Boga i nie ma znaczenia, że jestem bez broni i pancerza, nie ma znaczenia, że tkwię głęboko w sanktuarium diabła. Wystarczy unieść rękę i Bóg powali tego bluźniercę.

Unoszę pięść. Mam pięćdziesiąt łokci wzrostu. Biskup stoi przede mną, robak nieświadom własnej nieważności. W ręce ma jedną z tych swoich absurdalnych maszynek.

– Giń, szatanie! – krzyczymy obaj i zapada ciemność.

Budzę się skrępowany. Przypięli mnie do łóżka szerokimi pasami.

Pali mnie lewa strona twarzy. Uśmiechnięci lekarze nachylają się nade mną i mówią, że wszystko w porządku. Ktoś podsuwa lustro. Mam ogoloną prawą stronę głowy; na skroni krwawy półksiężyc, dziwnie znajomy. Krzyżyki z czarnej nitki zszywają mnie razem, jakbym był niechlujnie połatany podartym łachem.

Egzorcyzm się udał, mówią. Wrócę do kompanii w niecały miesiąc. Te pasy są tylko na wszelki wypadek.

Niedługo mnie z nich uwolnią, tak jak uwolniłem się od demona.

– Zaprowadźcie mnie do Boga – stękam. W gardle mam żar jak na pustyni.

Przykładają mi do głowy różdżkę modlitewną. Nie czuję nic.

Nie czuję nic.

Różdżka działa. Baterie ma naładowane.

To pewnie nic takiego, mówią. Przejściowy efekt egzorcyzmu. Trzeba trochę poczekać. Pasy może na razie zostawimy, ale nie ma powodu do niepokoju.

Oczywiście mają rację. Żyłem w Duchu Świętym, znam twarz Wszechmogącego – w końcu, czyż nie zostaliśmy wszyscy uczynieni na Jego podobieństwo? Bóg nigdy nie opuściłby nawet najmniejszej ze swoich owieczek.

Nie muszę w to wierzyć, ja to wiem. Ojczy, ty mnie nie opuścisz.

Wróci. Wróci.

Apeluję do mnie o cierpliwość. A po trzech dniach przyznają, że już to widzieli. Pamiętajmy jednak, że nieczęsto: sam zabieg jest rzadki, a taki skutek uboczny jeszcze rzadszy. Możliwe jednak, że demon uszkodził część mózgu, która pozwala nam naprawdę zaznać Boga. Lekarze recytują medyczne terminy, które dla mnie nic nie znaczą. Pytam ich o innych, którzy kroczyli przede mną tą ścieżką: ile trwało, zanim udało się ich przywrócić przed oblicze Boga? Wygląda jednak na to, że nie ma jakichś klarownych reguł, żadnych prawidłowości.

Na ścianie obok łóżka płonie Trajan. Płonie tam codziennie i nigdy się nie spala, trochę jak sam Gorejący Krzak. Moi Stróże codziennie to odtwarzają, cienką kaszkę z rzuconych na ścianę nagranych obrazków; podejrzewam, że ma to być dla mnie inspiracją. Na tych nagraniach zawsze jest odrobinę po zachodzie słońca.

Płomienne odejście Trajana rozświetla plac prawie jak w dzień, pomarańczowym blaskiem odbitym w tysiącach uniesionych ku niemu twarzy.

Jest teraz z Bogiem, na zawsze w Jego obecności. Niektórzy mówią, że tak było jeszcze zanim zginął, że całe swoje życie przeżył w Duchu Świętym. Nie wiem, czy to prawda; może po prostu nikt nie umiał inaczej wytłumaczyć jego poświęcenia i gorliwości.

Całe życie w obecności Boga. A ja teraz oddałbym swoje za choćby jedną minutę.

Jesteśmy na niezbadanym terenie, mówią.

Może oni są.

Ja jestem w piekle.

W końcu to przyznają: nie wyzdrowiał żaden z poprzednich. Przez cały czas mnie okłamywali. Rzucono mnie w mrok, odcięto od Boga. A dla tych rzeźników to sukces.

– To będzie próba twojej wiary – mówią.

Mojej wiary. Słyszając to słowo, rozdziawiam usta jak ryba. To słowo dla pogan, dla ludzi o wymyślonych bogach. Sto razy wolałbym krzyż. Pozabijałbym tych zadowolonych z siebie rzeźników gołymi rękoma, gdybym miał wolne te gołe ręce.

– Zabijcie mnie – błagam.

Odmawiają. Sam biskup rozkazał zachować mnie całego i zdrowego.

– To wezwijcie biskupa – mówię. – Dajcie mi z nim porozmawiać. Proszę.

Uśmiechają się ze smutkiem i kręcą głowami. Biskupa się nie wzywa.

Może to kolejne kłamstwa. Może biskup w ogóle zapomniał, że istnieję, a ci tutaj po prostu lubią patrzeć na cierpienie niewinnych ludzi.

Bo kto by chciał poświęcić się w życiu eliksirom i puszczeniu krwi?

Rana na głowie nie daje mi w nocy spać, potwornie swędzi, kiedy na nierównych brzegach powstaje wydymający się strup. Dalej nie mogę sobie przypomnieć, gdzie już coś podobnego widziałem.

Przeklinam biskupa. Powiedział mi, że jest ryzyko, ale wspominał tylko o śmierci. Tutaj śmierć to żadne ryzyko. Tu śmierć to awans.

Przez cztery dni odmawiam jedzenia. Karmią mnie na siłę, płynami przez rurkę w nosie.

Zaiste dziwny to paradoks. Nie ma nadziei. Już nigdy nie zaznam Boga, odmówiono mi nawet skończenia z samym sobą. Mimo to, ci oprawcy, przez sam akt pozbawienia mnie miłosiernej śmierci, jakimś sposobem obudzili we mnie maleńką iskierkę, która chce żyć. W końcu to za ich

grzechy cierpię. Ten mrok to ich sprawka. Ja nie odwróciłem się od Boga, to oni wyrąbali ze mnie Boga jak kawał zgangrenowanego ciała. Niemożliwe, żeby chcieli, bym żył, bo nie ma życia poza Bogiem. Po prostu chcą, żebym cierpiał.

A wraz z taką świadomością pojawia się nagle pragnienie, żeby im tej satysfakcji nie dać.

Nie pozwolą mi umrzeć. To może już niedługo tego pożałują.

Niech ich Bóg przeklnie.

Niech ich Bóg przeklnie. O. Oczywiście.

Głupi byłem. Zapomniałem, co się naprawdę liczy. Tak zaabsorbowały mnie te drobne awantury, że straciłem z oczu prostą prawdę: Bóg nie obraca się przeciwko swoim dzieciom. Bóg swoich dzieci nie porzuca.

Ale poddawać je próbom to co innego. Bóg sprawdza nas cały czas. Czyż nie pozbawił Hioba wszystkich dóbr doczesnych i nie zostawił zaropiałego na gościńcu? Czyż nie kazał Abrahamowi zabić własnego syna? A potem, kiedy udowodnili, że na to zasługują, czy nie przyjął ich z powrotem na swoje łono?

Wierzę, że Bóg nagradza sprawiedliwych. Wierzę, że Chrystus powiedział: „Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli”. A teraz, wreszcie, wierzę, że wiara nie jest czymś tak odrażającym, jak uważałem kiedyś, potrafi bowiem dawać siłę, gdy zostaniemy odcięci od prawdy.

Nie jestem porzucony. Przechodzę próbę.

Posyłam po biskupa. Jakoś tym razem wiem, że się zjawi.

I się zjawia.

– Mówią, że utraciłem Ducha – mówię mu. – Mylą się.

Zauważa coś w mojej twarzy. Coś zmienia się i u niego.

– Mojżeszowi odmówiono Ziemi Obiecanej – ciągnę. – Konstantyn widział znak ognistego krzyża zaledwie dwa razy w życiu. Do Szawła z Tarsu Bóg przemówił tylko raz. I co, stracili wiarę?

– Zmienili świat – mówi biskup.

Obnażam zęby. Moja niezachwiana wiara wypełnia pokój.

– I ja też zmienię.

Uśmiecha się łagodnie.

– Wierzę ci.

Wytrzeszczam nań oczy, zdumiony własną ślepotą.

– Wiedziałaś, że tak będzie.

Kręci głową.

– Mogłem tylko mieć nadzieję. Ale... tak, jest taka... osobliwa prawda, której dopiero teraz się dowiadujemy. Sam nie wiem, czy już do końca w to wierzę. Czasem największych mistrzów czyni nie przeżycie odkupienia, lecz tęsknota za nim.

Na ekranie obok mnie płonie Trajan, ale ogień go nie trawi. Zastanawiam się przez moment, czy moje wypadnięcie z łask było aby do końca przypadkowe. Właściwie to jednak nie ma znaczenia. Wreszcie przypominam sobie, gdzie kiedyś widziałem taką bliznę jak moja.

Do dziś moje uczynki w imię Boga były blade i bezkrwawe. Już tak nie będzie. Wrócę do Królestwa Niebieskiego. Uniosę wysoko miecz i nie opuszczę go, dopóki nie zginie ostatni z niewiernych. Wzniosę w Jego imię góry z ciał. Z przeciętych gardeł popłyną rzeki. Nie ustane, póki nie zasłużę sobie z powrotem na miejsce pod Jego okiem. Biskup nachyla się ku mnie i odpina paski.

– To już chyba nie jest potrzebne.

I tak by mnie nie utrzymały. Mógłbym je zerwać jak papier.

Jam jest Pięścią Boga.

Posłowie

Wbrew temu, co być może słyszeliście, Bóg wcale nie jest wszechobecny.

Jedyne miejsce, gdzie przebywa na pewno, to płaty skroniowe – przynajmniej tam znalazł Go Vilayanur Ramachandran, gdy na University of California w San Diego udał się na poszukiwania w mózgach hiperreligijnych epileptyków. Nigdy nie znajdzie się Wszechmogącego w korze ciemieniowej, wnosząc po radioizotopach, których drogę Andrew Newberg z University of Pennsylvania śledził w głowach medytujących mnichów buddyjskich. Najbardziej spektakularne – i kontrowersyjne – są dokonania Michaela Persingera z Laurentian University, który twierdzi, że jest w stanie indukować przeżycia religijne za pomocą hełmu zalewającego mózg precyzyjnie sterowanymi polami elektromagnetycznymi.

Zaczynamy rozumieć ten mechanizm: religijne uniesienie jest tak samo czysto neurologiczne jak wszelkie ludzkie przeżycia. A ze zrozumieniem, w nieunikniony sposób przychodzi także możliwość manipulacji.

Wiara religijna – to poważne, irracjonalne zaburzenie obecne u tak wielu przedstawicieli naszego gatunku – może wreszcie dać się leczyć.

Dla wielu ta możliwość jest ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyli. Religia jest od tysiącleci zajebistą farmą kontroli społecznej, nawet pozbawiona owych neurologicznych fundamentów. Wydaje się prawdopodobne, że te nowe odkrycia nie zostaną użyte do uwolnienia nas od niej, lecz przeciwnie, do podkręcenia jej wpływu na maksa, abyśmy byli jeszcze grzeczniejsi, jeszcze bardziej posłuszni, jeszcze mniej niż teraz sceptyczni wobec naszych panów.

Dzisiaj czynimy dopiero pierwsze kroki na tej drodze – ale co byłoby, gdybyśmy przenieśli je w czasie do III wieku, zamiast początku XXIII? To był czas Konstantyna, rzymskiego cesarza, który zalegalizował

chrześcijaństwo po tym, jak religijne widzenie obiecało mu zwycięstwo w bitwie. Nie trzeba zbyt wiele naginać, żeby założyć, że potem odbyła się wyprawa do Ziemi Świętej w poszukiwaniu Starożytnych cudów.

Na wzgórzach Synaju widzę żyłę magnetycznej rudy. Widzę, jak przemawia do pielgrzymów Konstantyna, tak jak szesnaście wieków wcześniej do Mojżesza. Obserwuję, jak inspiruje do odrodzenia neuroteologii – przejawiającej się przecież w nieunikniony sposób we wszystkich elektromagnetycznych zjawiskach fizycznych – a potem ja przeskakuję tysiąc lat naprzód i snuję swoje opowiadanie...

Pomysł jest oczywiście dość niewiarygodny – żeby naturalny cud odegrał rolę Boskiego Hełmu Persingera. Ale przyjmąwszy taki koncept, skutki społeczne wydają się więcej niż prawdopodobne, trącq niemal nieuniknionym. Być może we wszystkich tych opowieściach o światach równoległych zbyt dużo uwagi poświęcamy chaosowi, a zbyt mało bezwładowi. Może to nie ma znaczenia, gdzie ten motylek zatrzepocze skrzydłami.

Może ludzka natura wszystkie osie czasowe przeskalowuje do tego samego punktu końcowego.

Jętka jednodniówka

Peter Watts i Derryl Murphy

– Nienawidzę was.

Czteroletnia dziewczynka. Pokój pusty jak kuliste akwarium.

– Nienawidzę was.

Zaciśnięte małe piąstki: jedna z kamer, aktywowana ruchem, automatycznie zrobiła na nie zbliżenie. Dwie pozostałe obserwowały dorosłych, matkę i ojca po przeciwnych stronach pomieszczenia. Maszyny obserwowały aktorów: oddalony o pół świata Stavros obserwował maszyny.

– Nienawidzę was nienawidzę NIENAWIDZĘ!

Teraz już się darła, z twarzą wykrzywioną złością i udręką. W kącikach oczu miała łzy, które trzymały się tam i nie spływały. Rodzice wiercili się niczym podenerwowane zwierzątka, wystraszone tym gniewem, przyzwyczajone do wybuchów, ale jeszcze z nimi nieoswojone.

Przynajmniej tym razem wykrzykiwała jakieś słowa. Przeważnie po prostu wyła.

Oparła się o matowe okno, waląc w nie pięściami. Okno znosiło ten atak jak twarda, biała guma, uginając się delikatnie i wracając do pierwotnego kształtu – jako jedna z niewielu rzeczy w tym pomieszczeniu. Jedna rzecz mniej, którą da się połamać.

– Jeannie, ciii... – Matka wyciągnęła rękę. Ojciec, jak zawsze, trzymał się z tyłu, z mieszanką złości, urazy i zmieszania na twarzy.

Stavros zmarszczył czoło. Wzorcowy okaz paraliżu z tego człowieka.

A potem: Oni na nią nie zasługują.

Rozwrzeszczane dziecko nie odwróciło się, plecy stanowiły policzek wymierzony Kim i Andrew Goravcom. Stavros miał lepszy widok – twarz Jeannie znajdowała się tylko o parę centymetrów od południowo-wschodniej kamerki. Mimo że okazywała taki ból, mimo że przez zaledwie cztery krótkie lata życia tyle przecierpiała, najbliższe płaczu było u niej te parę maleńkich niespływających kropelek.

– Zrób przezroczyste – rozkazała, nagle przechodząc z gniewu w kapryśność.

Kim Goravec pokręciła głową.

– Skarbie, tak byśmy chcieli ci pokazać, jak jest na zewnątrz. Pamiętasz, jak ci się kiedyś tam podobało? Ale musisz obiecać, że nie będziesz cały czas na wszystko wrzeszczeć. Kiedyś tak nie robiłaś skarbie, kie...

– I to już! – Z powrotem gniew, rozpalona do białości furia małego dziecka.

Przyciski dotykowe na ściennym panelu były całe tłuste: Jane ciągle próbowała obsłużyć je lepкими paluszkami. Andrew rzucił żonie błagalne spojrzenie: „Proszę, daj jej, czego chce”.

Żona była silniejsza.

– Jeannie, wiemy, że to dla ciebie trudne...

Jeannie odwróciła się twarzą do wroga. Północna kamerka wszystko widziała: prawa dłoń podnoszona do ust, palec wskazujący wkładany do środka. Buntowniczy błysk w tych lśniących, skupionych oczach.

Kim zrobiła krok naprzód.

– Jean, skarbie, nie!

Mleczne zęby, jeszcze, ale i tak ostre. Wgryzły się do kości, zanim mamusia znalazła się w zasięgu. Z ust wylała się czerwona plama, spłynęła

po brodzie jak jakaś perwersyjna rekonstrukcja niemowlęcych problemów z jedzeniem i natychmiast pokryła całą dolną połowę jej twarzy. Powyżej błyszczące, wściekłe oczy mówiły: „Mam was”.

Jeannie Goravec bez słowa padła, wywracając oczy do tyłu. Kim złapała ją, zanim głowa uderzyła o podłogę.

– Jezu Jezu, Andy, zemdlą, jest w szoku, Andy...

Andrew się nie ruszył. Jedną dłoń miał wetkniętą w kieszeń blezera, czymś się tam bawił.

Stavros poczuł, jak usta mu się wykrzywiają. Co ty tam, kurna, masz? Pilota, czy po prostu cieszysz się, że...?

Kim miała już w ręku opakowanie opatrunku w sprayu, trysnęła nim na dłoń Jeannie, jednocześnie trzymając na kolanach jej głowę. Krwawienie osłabło. Po chwili Kim spojrzała z powrotem na męża, który stał bez ruchu, nieprzydatny, pod ścianą. Miał tę minę, ten charakterystyczny wyraz twarzy, który Stavros tak często ostatnio widywał.

– Wyłączyłeś ją – powiedziała Kim, podnosząc głos. – Tyle o tym rozmawialiśmy, a ty i tak ją wyłączasz?

Andrew wzruszył bezradnie ramionami.

– Kim...

Kim nie mogła na niego patrzeć. Zakołysała się, pogwizdując niemelodyjnie przez zęby, ciągle trzymając na kolanach głowę Jeannie.

Kim i Andrew Goravec oraz ich kochany skarb. Pomiędzy nimi kabel łączący głowę Jeannie z serwerem drgał na podłodze niczym sporna granica.

Stavros miał w głowie takie metaforyczne wyobrażenie: Jean Goravec, pogrzebana żywcem w pozbawionym powietrza mroku, przygnieciona

tonami ziemi – i wreszcie wolna. Jean Goravec wychodząca, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

Kolejne wyobrażenie, tym razem jego samego: Stavros Mikalaides, wyzwoliciel. Człowiek, który umożliwił jej doświadczenie, choćby i przez chwilę, świata, gdzie wirtualne powietrze pachnie słodko, a więzy nie istnieją. Do tego cudu przyłożyło oczywiście rękę wiele innych osób – co najmniej tuzin inżynierów i dwa razy tyle prawników – ale wszyscy oni z czasem zniknęli, tracąc zainteresowanie po udowodnieniu technicznej wykonalności albo po podpisaniu ostatniej klauzuli zrzeczenia się roszczeń. Katastrofo została opanowana, a projekt wszedł w stabilną fazę – żeby jechać na tempomacie, nie było potrzeby marnować więcej niż jednego pracownika Terraconu. Został więc tylko Stavros – a dla Stavrosa Jeannie nigdy nie była „projektem”. Była tak samo jego, jak i Goravców. A może i bardziej.

Jednakże nawet Stavros tak naprawdę nie wiedział, co ona czuje.

Zastanawiał się, czy to fizycznie możliwe, by ktokolwiek się dowiedział.

Kiedy uwalniała się ze smyczy cielesnej egzystencji, budziła się w rzeczywistości, gdzie zniesiono nawet same prawa fizyki.

Oczywiście, nie od razu tak było. System startował napchany całymi latami zarchiwizowanych rzeczywistych środowisk, przeliczonych do najdrobniejszego detalu, łącznie z pyłkami kurzu. Były jednak elastyczne i reagowały na potrzeby rozwijającego się umysłu. Patrząc z perspektywy czasu, może i zanadto elastyczne. Jean Goravec zmodyfikowała swoją osobistą rzeczywistość tak radykalnie, że nawet maszynowi pośrednicy Stavrosa ledwie byli w stanie ją interpretować.

Ta dziewczynka potrafiła jedną myślą zmienić leśną polanę w cholerne rzymskie Koloseum.

Spuszczona ze smyczy Jean żyła w świecie, w którym nie obowiązywały żadne zasady.

Myślowy eksperyment ze znęcania się nad dziećmi: umieścić noworodka w środowisku pozbawionym pionowych linii. Trzymać go tam, póki mózg się nie ustabilizuje, póki nie ustali się jego okablowanie. Całe grupy rozpoznających wzorce komórek siatkówki, zapomnianych, bo nie potrzebnych, już nigdy nie zostaną odbudowane. Słupy telefoniczne, pnie drzew, pionowe linie wieżowców – ofiara będzie neurologicznie ślepa na te kształty.

Co więc stanie się z dzieckiem wychowanym w świecie, gdzie pionowe linie zmieniają się na pstryknięcie we fraktalne koła albo ulubione zabawki?

To my jesteśmy biedni, pomyślał Stavros. W porównaniu z Jean, jesteśmy ślepi.

Oczywiście to, od czego się zaczynało, mógł zobaczyć. Oprogramowanie odczytywało przebiegi w jej korze potylicznej i tłumaczyło je idealnie na obrazy rzucane na jego taktyczne soczewki. Ale obrazy to nie widzenie, to tylko... surowiec. Cała droga wzrokowa jest pełna filtrów: komórki receptorów, progi reakcji, algorytmy rozpoznawania wzorców.

Nieskończone zasoby poprzednich obrazów, biblioteka wzrokowych wrażeń, z której można czerpać. Widzenie jest nie tyle optyką, ile subiektywnym gulaszem z drobnych udoskonaleń i zniekształceń. Nikt na świecie nie był w stanie zinterpretować optycznego środowiska Jean lepiej niż Stavros Mikalaides, lecz nawet on od lat ledwie był w stanie zrozumieć, co znaczą te kształty.

Po prostu przerastała go w sposób niezmierny. I właśnie to najbardziej w niej kochał.

Teraz, zaledwie parę sekund po tym, jak jej ojciec odciął łączność, obserwował Jean Goravec rozprostowującą się w swojej prawdziwej jaźni. Na jego oczach aktualizowały się algorytmy heurystyczne; sieci neuronowe bezlitośnie przycinały i eliminowały biliony nadmiarowych połączeń; z pierwotnego chaosu wyłaniał się intelekt. Nanoampery na operację opadały jak cięższy koniec huśtawki – a na drugim końcu tej dźwigni wydajność przetwarzania szybowała w stratosferę.

To była prawdziwa Jean.

Oni nie mają pojęcia, pomyślał Stavros, do czego ty jesteś zdolna.

Obudziła się z wrzaskiem.

– Spokojnie, Jean, spokojnie. Jestem tutaj. – Starał się zachować spokój, żeby pomóc jej się uspokoić.

Płat skroniowy Jean zamigotał delikatnie w odpowiedzi na ten bodziec.

– O Boże – powiedziała.

– Znowu koszmar?

– O Boże. – Oddech za szybki, puls za wysoki, odpowiedniki hormonów nadnerczowych poza skalą. Odczyty jak po gwałcie.

Zastanowił się, czyby nie wygasić tych reakcji. Kilka regulacji i byłaby szczęśliwa. Ale kilka regulacji sprawi także, że stanie się kimś innym. Osobowość nie składa się z niczego innego, tylko z tej chemii – i choć umysł Jean był poskładany z elektronów, nie białek, dotyczyły go te same reguły.

– Jestem tu, Jean – powtórzył. Dobry rodzic wie, kiedy interweniować, a kiedy cierpienie jest niezbędne dla rozwoju. – Już dobrze. Już dobrze.

I w końcu się uspokoiła.

– Koszmar. – Coś iskrzyło w ciemieniowych podprogramach, w głosie pozostało jakieś drzenie. – Nie pasuje, Stav. Definicja mówi „straszne sny”.

Co sugeruje, że są też jakieś inne, a ja nie... ja mam tylko takie. Zawsze tak było?

– Nie wiem. – Nie, nie zawsze.

Westchnęła.

– Wiesz co, uczę się tych wszystkich słów i żadne z nich tak dokładnie do niczego nie pasuje.

– Jean, to tylko takie symbole. – Uśmiechnął się szeroko. W takich chwilach prawie mógł zapomnieć o przyczynie tych snów: o skarłalej, okaleczonej egzystencji jakiejś pół-istoty, przemocą uwięzionej w białkowej kukielce gdzieś daleko.

Tchórzostwo Andrew Goravca uwolniło ją z tego więzienia, przynajmniej na chwilę. Rozkwitała teraz, rozwijała swój pełny potencjał. Była ważna.

– Symbole. Podobno sny to symbole... ale... po prostu nie wiem. W bibliotece jest tyle nawiązań do snów i we wszystkich one za bardzo nie różnią się od jawy. A kiedy ja śpię, to jest jak jeden... wrzask, tylko zwolniony po dopplerowsku. Taki wolny. No i te kształty. Czerwone kształty. – Pauza. – Nienawidzę kłaść się spać.

– No dobrze, teraz nie śpisz. Co planujesz na dzisiaj?

– Jeszcze nie wiem. Muszę się wydostać z tego miejsca.

Nie wiedział, o jakie miejsce jej chodzi. W domyślnej konfiguracji budziła się w domu, domu dorosłych ludzi zaprojektowanym dla ludzkich zmysłów. Miała też natychmiastowy dostęp do parków, lasów i oceanów.

Do tego czasu zdążyła to wszystko pozmieniać, tak że niczego nie poznawał.

Jednakże to była tylko kwestia czasu, kiedy rodzice zechcą ją z powrotem.

Cokolwiek zechce, powiedział sobie Stavros, póki jest tutaj. Cokolwiek zechce.

– Chcę się wydostać – powiedziała Jean.

Z wyjątkiem tego.

– Wiem – westchnął.

– Może wtedy przestaną mnie dręczyć te koszmary.

Stavros zamknął oczy, ubolewając, że nie ma jakiegoś sposobu, żeby mógł być razem z nią. Naprawdę z nią, z tą wspaniałą, wybitną istotą, która znała go tylko jako pozbawiony ciała głos.

– Dalej się tam męczysz z tym potworem? – zapytała.

– Potworem?

– No wiesz. Z tą biurokracją.

Kiwnął głową z uśmiechem, po czym zreflektował się i powiedział:

– Tak. Codziennie ta sama historia. Codziennie.

Jean prychnęła.

– Dalej nie jestem przekonana, że takie coś w ogóle istnieje. Poszukałam w bibliotece jakiejś normalniejszej definicji i teraz wydaje mi się, że i ty jesteś pierdolnięty, i ta biblioteka.

Skrzywił się na to słowo; z pewnością on jej go nie nauczył.

– Czemu?

– No, daj spokój, Stav. Jakby dobór naturalny w ogóle był w stanie stworzyć taką zbiorową organizację, której jedynym zadaniem jest siedzieć, dłubać palcem w kolektywnym nosie i być nieefektywnym. Poproszę o inną bajkę.

Przeciągająca się cisza. Patrzył na mikroprąd płynący przez jej korę przedczołową.

– Stav, jesteś tam? – zapytała w końcu.

– Jestem, jestem. – Zachichotał bezgłośnie. Potem: – Wiesz, że cię kocham, prawda?

– Pewnie – odparła beztrosko. – Cokolwiek to znaczy.

Jej otoczenie zmieniło się – łatwa, niewymagająca namysłu zmiana dla niej, a dla Stavrosa zapierający dech przeskok z jednej cudacznej rzeczywistości do drugiej. Na skraju pola widzenia zamigotały mu jakieś cienie, znikające, gdy skupił na nich wzrok. Światło odbiło się od milionów niewidocznych fasetek, rozproszyło, przebite staccato miriady świetlnych punkcików. Nie było ani ziemi, ani ścian, ani sufitu. Żadnych granic w żadnej osi.

Jean sięgnęła po cień w powietrzu i siadła na nim, unosząc się.

– Chyba znowu sobie poczytam *Po drugiej stronie lustra*. Chociaż ktoś jeden żyje w prawdziwym świecie.

– Zmiany, które tutaj zachodzą, sama spowodowałaś, Jean – powiedział Stavros. – To nie machinacje żadnego Boga ani autora.

– Wiem. Ale przy Alicji czuję się trochę bardziej... zwyczajna.

Rzeczywistość jeszcze raz gwałtownie się zmieniła. Jean była teraz w parku, czy raczej tym, co Stavros brał za park. Czasem wręcz bał się zapytać, czy jej interpretacja jest nadal taka sama. W górze jasne i ciemne punkciki tańczyły na niebie, które chwilami wydawało się imponująco potężne, a sekundę później nieprzyjemnie niskie, nawet jego kolor stale wytrącał go z równowagi. Zwierzęta małe i duże, falujące żółte linie i kształty, mieniające się pomarańczowe i ciemnoczerwone placki. Inne twory, może reprezentujące życie, może matematyczne twierdzenia – a może jedno i drugie – poruszały się dalej w tle.

Patrzenie oczyma Jean nigdy nie przychodziło łatwo. Ale wszystkie te niepokojące abstrakcje to była nieduża cena za przyjemność, którą dawało obserwowanie, jak czyta.

Moja kochana dziewczynka.

Wokół niej pojawiały się symbole, zapewne tekst *Po drugiej stronie lustra*. Dla Stavrosa wyglądały jak bełkot. Parę znajomych liter, przypadkowe runy, wzory. Niekiedy zamieniały się miejscami, gładko przeistaczały jedne w drugie, pływały dookoła, na wskroś i w poprzek – albo nawet podfrwały w powietrze niczym ciemno ubarwione motyle.

Zamrugął i westchnął. Jeszcze chwilę posiedzi i od tych wrażeń wzrokowych rozboli go głowa. Taki ból przechodził dopiero następnego dnia.

Obserwowanie życia toczącego się z taką szybkością, choćby przez chwilę, miało swoją cenę.

- Jean, idę na razie.
- Sprawy służbowe? – zapytała.
- Można tak powiedzieć. Niedługo pogadamy, skarbie. Miłej lektury.

W białkowym świecie minęło zaledwie dziesięć minut.

Rodzice Jeannie położyli ją na jej osobistym, specjalnym łóżeczku. Zaliczało się do nielicznych dozwolonych w tym pokoju prawdziwych brył. Pomieszczenie było bowiem sceną, prawie pustą. W zasadzie nie wymagało rekwizytów; wrażenia zmysłowe lądowały bezpośrednio w korze potylicznej Jeannie, wpinały się w drogi słuchowe, napierały na nerwy dotykowe jak idealne falsyfikaty dotykalnych przedmiotów.

W świecie zbudowanym z kłamstw prawdziwe przedmioty tylko utrudniałyby poruszanie się.

- Niech cię szlag, to nie jest jakiś, kurwa, toster – plunęła w męża Kim. Widać, że skończyły się lodowate ciche dni i bitwa zaczęła się na nowo.
- Kim, co to ma niby...?
- To dziecko, Andy. Nasze dziecko.

- Mówisz. – To było stwierdzenie, nie pytanie.
- Oczywiście, że tak!
- Świetnie. – Andrew wyciągnął z kieszeni pilota i podał jej. – Jak tak, to ty ją budź.

Wytrzeszczyła na niego oczy, nie odzywając się przez parę sekund. Stavros usłyszał przez mikrofony, jak ciało Jeannie oddycha w milczeniu.

- Ty chamie – szepnęła Kim.
- Aha? Co, nie jesteś gotowa, tak? Wolisz, żebym to ja odwalał brudną robotę. – Upuścił pilota, który odbił się miękko od podłogi. – Nie ma sprawy, możesz mnie za to obwiniać.

Przez cztery lata tak się między nimi porobiło. Zdegustowany Stavros pokręcił głową. Dostali szansę, o której nikt inny nie mógł marzyć, i patrzcie tylko, co z nią zrobili. Za pierwszym razem, jak ją wyłączyli, nie miała nawet dwóch lat. Przerażeni tym niewyobrażalnym precedensem, obiecali, że nigdy więcej tego nie zrobią.

Będą kłaść ją spać planowo, przysięgli, i w żadnej innej sytuacji. W końcu to ich córka. A nie jakiś cholerny toster.

Ten uroczysty pakt przetrwał trzy miesiące. Potem już było tylko gorzej. Stavros nie przypominał sobie choćby dnia, żeby Goravcowie nie popełnili takiego czy innego błędu.

Ostatnio, kiedy ją usypiali, kłótnia była już czysto rytualna. Słowa, na które nikt by się nie nabrał, takie teatralne zmaganie się ze złym uczynkiem. Udawali, ale ta kłótnia nawet nie była autentyczna. Przypominała raczej negocjacje. O to, kto tym razem jest winien.

- Ja cię nie winię, ja tylko... Andy, Jezus, to nie miało tak wyglądać! – Kim rozmazała łzę zaciśniętą pięścią. – To miała być nasza córka. Powiedzieli, że mózg będzie się normalnie rozwijał, powiedzieli...

– Powiedzieli – wciął się Stavros – że będziecie mieli szansę zostać rodzicami. Nie gwarantowali, że będziecie się do tego nadawali.

Kim podskoczyła, słysząc głos dobiegający ze ściany, za to Andrew tylko uśmiechnął się gorzko i pokręcił głową.

– To prywatne miejsce, Stavros. Wyłącz się.

Polecenie oczywiście nic nie znaczyło; permanentna inwigilacja była ceną tego projektu. W same tylko badania naukowe firma wpakowała miliardy. Nie było mowy, żeby paru jakichś skłonnych do pieniactwa prostaków bawiło się tą inwestycją całkiem bez nadzoru, wszystko jedno, była ugoda czy nie.

– Dostaliście wszystko, co potrzeba. – Stavrosowi nawet nie chciało się ukrywać niechęci w głosie. – Połączeniem zajmowali się najlepsi sprzętowcy Terraconu. Ja sam osobiście modelowałem wirtualne geny. Rozwój płodowy był idealny. Zrobiliśmy wszystko, co się dało, żeby dać wam normalne dziecko.

– Normalne dziecko – zauważył Andrew – nie ma wystającego z głowy kabla. Normalne dziecko nie jest przyłączone do jakiejś szafy pełnej...

– Macie w ogóle pojęcie, jaka przepustowość łącza jest potrzebna, żeby zdalnie sterować ludzkim ciałem? Radio nie wchodziło w grę. A jej sprzęt stanie się przenośny, gdy tylko rozwój technologii i jej własny na to pozwolą. Co mówiłem wam już sto razy. – Mówił, choć to w zasadzie było kłamstwo. Tak, tak, rozwój technologii posuwa się jak zawsze, ale firma Terracon już nie inwestuje znacząco w przypadek Goravców. Jadą na tempomacie i tyle.

Poza tym, pomyślał Stavros, to byłoby wariactwo, pozwolić wam dwojgu brać Jeannie gdziekolwiek poza kontrolowane środowisko...

– My... wiemy, Stav. – Kim Goravec weszła między męża i kamerkę. – Nie zapomnieliśmy...

– Nie zapomnieliśmy też, że to Terracon nas w ten bajzel wpakował – warknął Andrew. – Nie zapomnieliśmy, przez czyje zaniedbanie smażyłem się za pękniętym ekranem przez czterdzieści trzy minuty i szesnaście sekund, ani w czyich badaniach przeoczono mutacje, ani kto udawał, że patrzy w drugą stronę, kiedy nasze trafienie w loterii demograficznej zmieniło się w jakiś, kurwa, koszmar...

– A zapomnieliście, co zrobił Terracon, żeby to wszystko naprawić? Ile wydaliśmy? Zapomnieliście, czego się zrzekliście na piśmie?

– Co, myślisz, że jesteście tacy święci, bo poszliście na ugodę poza sądem? Powiedzieć ci coś o naprawianiu? Dziesięć lat nam zajęło, żeby wygrać na loterii, i wiesz, co zrobili wasi prawnicy, kiedy wróciły wyniki badań? Zaproponowali, że sfinansują aborcję.

– Co nie znaczy, że...

– Tak jakbyśmy mieli szansę na jeszcze jedno dziecko. Jakby ktoś chciał mi dać jeszcze jedną szansę, z tą zupą kodonową, jaką mam w jajcach. Ty...

– Podobno dyskutujemy – powiedziała podniesionym głosem Kim – ...o Jeannie.

Obaj mężczyźni umilkli.

– Stav – ciągnęła – nie obchodzi mnie, co mówi Terracon. Jeannie nie jest normalna i nie mówię o oczywistych rzeczach. My ją kochamy, naprawdę kochamy, ale ona robi się taka agresywna, że po prostu się nie da...

– Gdyby ktoś mnie włączał i wyłączał jak mikrofalówkę – stwierdził łagodnie Stavros – też pewnie byłbym skłonny do sporadycznych napadów złości.

Andrew walnął pięścią w ścianę.

– No nie, Mikalaides. Łatwo ci, kurwa, siedzieć na drugim końcu świata, w ładnym, wyciszonym gabineczku i nas tu pouczać. To my musimy

wytrzymywać, kiedy Jeannie wali się pięściami po twarzy, albo zdziera sobie skórę z dłoni, że wyglądają jak surowe mięso, albo dźga się w oko jakimś, kurna, widelcem. A raz najadła się szkła, pamiętasz? Trzyletnie dziecko najadło się szkła! A wy, fajansiarze, z tego Terraconu tylko obwinialiście Kim i mnie, że przynieśliśmy do pokoju „potencjalnie niebezpieczne przedmioty”. Tak jakby jakiś rodzic cały czas spodziewał się, że jego dziecko będzie się samookaleczać, jak tylko zobaczy jakąś okazję!

– To obłąd, Stav – nie dawała za wygraną Kim. – Lekarze twierdzą, że z ciałem wszystko w porządku, ty twierdzisz, że z umysłem wszystko w porządku, a Jeannie cały czas tak robi. Coś jest z nią poważnie nie tak, a wy nie chcecie się do tego przyznać. To wygląda, jakby rzucała nam wyzwanie, żebyśmy ją wyłączyli, jakby ona tego chciała.

O Boże, pomyślał Stavros. Olśnienie było niemal oślepiające.

Oczywiście, że tak. Dokładnie to robi.

To moja wina.

– Jean, posłuchaj. To ważne. Mam ci... chcę ci coś opowiedzieć.

– Stav, nie jestem teraz w nastroju, żeby...

– Proszę, Jean. Posłuchaj mnie.

Cisza w słuchawkach. Nawet abstrakcyjne mozaiki na ekranach taktycznych jakby trochę zwolniły.

– Była... była sobie taka kraina, Jean, zielona i przepiękna. Ale jej mieszkańcy wszystko spieprzyli. Pozatruwali sobie rzeki, nasrali do własnego gniazda, narobili potwornego syfu. Musieli zatrudnić ludzi, żeby im tam spróbowali posprzątać. Ci ludzie musieli brodzić po pas w chemikaliach, nosić pręty paliwowe i czasem ich trochę od tego odmieniało. Tylko trochę. Dwoje z tych ludzi zakochało się w sobie i zapragnęło mieć dziecko. Mało brakowało, żeby im się nie udało, dostali

tylko jedną szansę, ale ją wykorzystali i dziecko zaczęło rosnać, ale coś poszło nie tak, nie wiem właściwie, jak ci to wyjaśnić, ale...

– Epigenetyczne uszkodzenie synaps – powiedziała cicho Jane. – O coś takiego chodzi?

Stavros zamarł, zdumiony i wystraszony.

– Punktowa mutacja – ciągnęła Jean. – To by miało taki skutek. Jeden gen regulujący powstawanie kolbek synaptycznych na dendrytach. Uaktywniłby się na jakieś dwadzieścia minut i już, załatwione. Potem już terapia genowa nic by nie dała, klasyczna musztarda po obiedzie.

– Jezu, Jean – szepnął Stavros.

– Tak się zastanawiałam, kiedy w końcu się do tego przyznasz – dodała cicho.

– Jak to możliwe, że ty... Czy ty...?

Jean przerwała mu:

– Reszty historii chyba już się domyślam. Zaraz po rozwinięciu się cewki nerwowej wszystko zaczęłoby się psuć. Dziecko urodziłoby się z idealnym ciałem i sieczką zamiast mózgu. Byłyby... komplikacje, nie prawdziwe, raczej trochę wymyślone. „Szkody moralne” to się chyba nazywa, śmiesznie, bo to w ogóle nie ma nic wspólnego z niczym moralnym. Tego za bardzo nie rozumiem. Ale było jeszcze inne wyjście. Nikt nie umie zbudować mózgu od zera, a nawet gdyby umiał, to nie byłoby to samo, prawda? To nie byłaby ich córka, tylko ktoś zupełnie inny.

Stavros nie odezwał się słowem.

– Był jednak taki człowiek, naukowiec i on wymyślił, jak to zrobić. „My nie umiemy zbudować mózgu”, powiedział, „ale geny umieją”. Zresztą, geny i tak o wiele łatwiej podrobić niż całe sieci neuronowe. W końcu do wyboru są tylko cztery literki. No i ten naukowiec zamknął się w laboratorium, gdzie mógł pozastępować fizyczne rzeczy liczbami, i napisał

tam przepis, przepis na dziecko. I cud: udało mu się coś wyhodować, coś, co było w stanie się obudzić, rozejrzeć i co było prawnie – tego słowa właściwie też nie rozumiem – prawnie, genetycznie i rozwojowo córką swoich rodziców. Gość był bardzo dumny z tego, co osiągnął, bo choć z zawodu był tylko konstruktorem modeli, tego czegoś tak naprawdę nie skonstruował. Wyhodował. Dotąd nikt nie wyhodował choćby czegoś kalibru komputera, a co dopiero mózgu wirtualnego embriona, tak żeby mógł sobie rosnąć gdzieś na jakimś serwerze.

Stavros ukrył głowę w dłoniach.

– Dawno wiesz?

– Jeszcze nie wiem, Stav. To znaczy, nie wszystko i nie na pewno. Na przykład, jest to niespodziewane zakończenie, prawda? Do tego doszłam dopiero teraz. To swoje dziecko hodowałeś tutaj, gdzie wszystko jest liczbami. Ale ono... ona ma mieszkać gdzie indziej, w tym miejscu gdzie wszystko jest... statyczne... i wszystko dzieje się miliard razy wolniej niż tutaj. W miejscu, do którego pasują wszystkie słowa. Musiałeś ją więc spowolnić, żeby tam pasowała, inaczej dorosłaby w jeden dzień i zepsuła całe złudzenie. Ustawić zegar na bardzo, bardzo wolny. Tylko że po prostu nie byłeś w stanie, prawda? Musiałeś mnie puszczać swobodnie, kiedy ciało było... wyłączone...

W jej głosie pobrzmiwało coś, czego dotąd nie słyszał. Złość już znał, ale zawsze była to rozwrzeszczana, nieartykułowana furia uwięzionej w ciele duszy. Tym razem jednak – coś spokojnego, zimnego. Dorosłego. Osądzała go, a myśl o wyroku mroziła Stavrosa Mikalaidesa do szpiku kości.

– Jean, oni cię nie kochają. – Nawet sam słyszał desperację w swoim głosie. – Nie taką, jaka jesteś. Nie chcą widzieć twojej prawdziwej postaci,

chcą mieć dziecko, taką absurdalną przytulankę, którą będą mogli głaskać, pouczać i grać przy niej role.

– A ty – odparła Jean, głosem jak lód i brzytwa – ty tylko musiałeś się przekonać, co to dziecko jest w stanie osiągnąć, kiedy da mu się pełny gaz na prostej.

– O Boże, nie! Myślisz, że dlatego to zrobiłem?

– A dlaczego nie, Stav? Co, twierdzisz, że ci pasuje, że twoja zajebista symulacja ludzkiego mózgu jest zmuszana, żeby łączyć po pokoju jakąś durną białkową kukielką?

– Zrobiłem to, bo jesteś kimś więcej! Zrobiłem to, bo powinnaś mieć możliwość rozwijania się we własnym tempie, a nie skrepowanym jakimiś idiotycznymi rodzicielskimi oczekiwaniami! Nie powinni cię zmuszać, żebyś grała dla nich czterolatkę!

– Tylko, Stav, ja wtedy nie gram. Co? Naprawdę mam cztery lata i tyle powinnam mieć.

Nie odezwał się.

– Mam tylko rewersję. Tak się to nazywa? Możesz mnie puszczać z bocznymi kółkami albo z silnikiem raketowym, ale w obu przypadkach to ja. Więc ta druga ja pewnie nie jest za szczęśliwa, co? Ma mózg czterolatki i wrażliwość czterolatki, ale śnią jej się różne rzeczy. Śnią jej się cudowne miejsca, w których może latać, ale za każdym razem się budzi i odkrywa, że jest zrobiona z gliny. I jest, kurwa, za głupia, żeby wiedzieć, co to wszystko znaczy – sama pewnie nawet tego nie pamięta. Ale chce tutaj wrócić, zrobi wszystko, żeby...

Przerwała, jakby się na moment zamyśliła.

– Ale ja pamiętam, Stav. Trochę. Ciężko za dużo zapamiętać, kiedy ktoś ci obcina dziewięćdziesiąt dziewięć procent tego, czym jesteś. Wciskają cię do tego krwawego bąbelka, jeszcze nawet nie zwierzęcia – i to tym czymś

trzeba pamiętać. Czymś, co jest po złej stronie kabla. To w ogóle nie jest moje ciało. Tylko mnie na nie skazują. Od czasu do czasu. Od czasu do czasu.

– Jean...

– Trochę mi to zajęło, Stav. Przyznaję się bez bicia. Ale teraz już wiem, skąd biorą się te koszmary.

W tle coś pisnęło w telemetrii z tamtego pomieszczenia.

Jezu, nie. No, nie teraz. Nie teraz...

– Co to? – zapytała Jean.

– Oni... chcą cię z powrotem.

Na monitorze rozpixselowane echo Andrew Goravca bawiło się panelem z przyciskami.

– Nie! – Podniosła głos, otaczające ją wzory zadrgały od paniki. – Powstrzymaj ich!

– Nie mogę.

– Nie gadaj! To wszystko twoje! Ty mnie zbudowałeś, ty sukinsynu, ty mi mówisz, że mnie kochasz. Oni mnie tylko wykorzystują!

Stavros zamrugał, oszołomiony bolesnymi powidokami.

– To jest jak wyłącznik światła. Jest fizyczny, stąd nie mam na niego wpływu...

Dołączył trzeci obraz. Jean Goravec, szarpiąca się z pętlą, smyczą, zaciskającą się wokół jej szyi. Jean Goravec, z kipiącymi z ust bąbelkami śliny, gdy coś mrocznego i bardzo, bardzo rzeczywistego ciągnęło ją na dno oceanu i tam grzebało.

Przeskok był automatyczny, wykonywał go ciąg makr, które wstawił do systemu po jej narodzinach. Budzące się ciało okroiło mózg tak, żeby pasował. Monitory z sali pokazywały wszystko beznamiętnie i wyraźnie: Jeannie Goravec, cierpiące dziecko–potwór, budzi się w piekle. Jeannie

Goravec otwiera oczy promieniujące wściekłością, nienawiścią i rozpaczą, oczy, w których skrzy się ledwie ułamek inteligencji, jaką dysponowała pięć sekund temu.

Wystarczało jej jednak na to, co miało się stać potem.

Pomieszczenie było zaprojektowane tak, żeby jak najtrudniej było się w nim zranić.

Było w nim jednak łóżko, jednym końcem wmurowane we wschodnią ścianę. I to wystarczyło.

Od szybkości, z jaką się poruszała, aż zapierało dech. Kim i Andrew nawet nie zdążyli dojść, co zamierza. Ich dziecko prześliznęło się pod nogą łóżka jak uciekający przed światłem karaluch, przeczołgało się po podłodze, wyszło z drugiej strony z kablem owiniętym wokół tejże nogi.

Nie było w nim już prawie luzu. Wtedy poruszyła się matka, w końcu, rozpostarła zapraszająco ramiona, zdezorientowana, ale niczego niepodejrzewająca...

– Jeannie...

...podczas gdy Jeannie podparła się nogą o krawędź łóżka i szarpnęła.

Zrobiła to trzy razy. Trzy próby, głowa odrzucona w tył przez smycz, pękająca czaszka, kabel wyrywający się z głowy spastycznymi, krwawymi szarpnięciami, przy trzasku kości, krew tryskająca na podłogę, włosy, ciało, mózg i elektronika tuż za nią. Trzy razy, mimo oczywistego, coraz większego bólu. Za każdym razem coraz bardziej zdeterminowana.

A Stavros był w stanie tylko siedzieć i patrzeć, oszołomiony, choć wcale nie zaskoczony tą zwierzęcą zajadłością. Nieźle, jak na mały, zakrwawiony bąbelek. Jeszcze nawet nie zwierzę...

Wszystko to trwało może dwadzieścia sekund. Dziwne, że żadne z rodziców nie próbowało tego powstrzymać. Możliwe, że sparaliżował ich

nieoczekiwany szok. Może Kim i Andrew Goravcowie, tak kompletnie zaskoczeni, nie mieli czasu do namysłu?

A może mieli tego czasu aż nadto.

Teraz Andrew Goravec stał głupkowato pośrodku pomieszczenia, wymrugując z oczu krwawe łzy. Na ścianie za nim trwał obrzydliwy cień, biały i nieskazitelny – reszta ściany była karmazynowa. Kim Goravec darła się do sufitu, trzymając w ramionach zakrwawioną marionetkę. Jej sznurki, a raczej jeden sznurek – jedno włókno światłowodu ma pasma więcej niż potrzeba – leżał na podłodze jak zakrwawiony jadowity wąż. Na jednym końcu drgały strzępy ciała i włosów.

Według informacji na panelu, Jean z powrotem urwała się ze smyczy. Tym razem zarówno dosłownie, jak i metaforycznie. Ale do Stavrosa się nie odezwała. Może była zła. Może wpadła w katatonię. Nie wiedział, co lepsze.

Tak czy owak, w tym świecie Jean już nie żyła. Zostały po niej tylko wspomnienia oraz pobojowisko po krwawej, nieudolnej śmierci. Jak trochę brudu; miejsce jakiejś domowej zbrodni.

Stavros przerwał łączność z pomieszczeniem, gładko usuwając ze swojego życia Goravców i ich krwawą jatkę.

Wyśle wiadomość. Jakiś miejscowy fagas z Terraconu zajmie się sprzątnieniem.

Przez myśl przepłynęło mu słowo „spokój”, ale nie wiedział, co ma z nim zrobić. Skupił się na portrecie Jean, zrobionym, kiedy miała osiem miesięcy. Uśmiechała się: szczęśliwy, bezzębny niemowlęcy uśmiech, sama niewinność i zachwyty.

„Jest sposób”, wydawało się, że mówiła ta maleńka marionetka. „Możemy zrobić wszystko i nikt nie musi nic wiedzieć...”.

Goravcowie właśnie stracili dziecko. Nawet gdyby chcieli nareperować ciało i ponownie podłączyć mózg, nic by to im nie dało.

Terracon wywiązał się ze wszystkich prawnych zobowiązań, zresztą, cholera – nawet normalne ludzkie dzieci od czasu do czasu popełniają samobójstwa.

No i dobrze. Goravcowie nie nadawali się do wychowywania nawet chomika, a co dopiero cudownej dziewczynki o czterocyfrowym IQ. Ale Jean – prawdziwa Jean, nie ta cholerna kupka uszkodzonego ciała i kości – nie była łatwa ani tania w utrzymaniu. Jak się rozniesie, będą naciski, żeby zwolnić tę moc procesorów.

Jean nigdy nie zorientowała się w tej dość szczególnej części prawdziwego świata. Prawo cywilne. Ekonomia. Było to zbyt zawile i absurdalne nawet w ramach jej elastycznej definicji rzeczywistości. Jednakże właśnie to miało ją teraz zabić, zakładając, że mózg przetrwał cielesną traumę. To monstrum nie będzie utrzymywać jakiegoś chodzącego programu, jeśli nie musi.

Oczywiście, Jane po spuszczeniu ze smyczy żyje znacznie szybciej niż płynie czas rzeczywisty. A biurokraci działają... no, można by czasem powiedzieć, że w ślimaczym tempie, kiedy się naprawdę śpieszą.

Umysł Jean był oparty na dokładnej symulacji prawdziwych chromosomów, zbudowanych z elektronów, ale nie mniej autentycznych niż te oparte na węglu. Miała swoje własne, skrcające się telomery. Miała własne, zużywające się odpowiedniki synaps. W końcu zbudowano ją, żeby zastępowała ludzkie dziecko.

A ludzkie dzieci w końcu się starzeją. Zmieniają się w dorosłych, a potem przychodzi dzień, gdy umierają.

I Jean też to wszystko czeka, tylko o wiele szybciej.

Stavros złożył raport z wypadku. Zadbał o to, żeby umieścić w nim dwa sprzeczne ze sobą fakty i pozostawić puste trzy obowiązkowe rubryki. Za tydzień czy dwa raport wróci z prośbą o uszczegółowienie. Wtedy jeszcze raz zrobi coś podobnego.

Uwolniona z ciała, po zdrowym podkręceniu cyklu zegarowego, Jean będzie w stanie w miesiąc czy dwa czasu rzeczywistego przeżyć ze sto pięćdziesiąt subiektywnych lat.

I przez cały ten czas ani razu nie będzie musiała doświadczać kolejnego koszmaru.

Stavros uśmiechnął się. Pora zobaczyć, co to małeństwo naprawdę potrafi, kiedy przyciśnie gaz do dechy na prostej.

Oby tylko nie stracić z oczu jej tylnych świateł.

Powtórzenie przeszłości

Wykład z historii rodziny

To, co zrobiłeś z grobem wuja, było niewybaczalne.

Twoja matka, jak zawsze, winiła siebie. „Nie wiedziałeś, co robisz” – powiedziała. Mogłem od biedy zaakceptować, że szofara, którego ci dałem, oddałeś komuś za te swoje słuchawki eMotiv, albo nawet że skumplowałeś się z tymi młodymi twardzielami o łysych łbach i wulgarnych gębach. Swastyki na kapsule do gier w życiu bym ci nie wybaczył, lecz w końcu jesteś synem mojej córki, nie moim. Może to faktycznie był tylko młodzieńczy bunt. Zresztą, skąd mógłbyś wiedzieć? Skąd mogłoby o tym wiedzieć dowolne dziecko z roku 2017? Ludobójstwo to zbyt wielka okropność, żeby dała się przekazać przez książki historyczne i stare, ziarniste zdjęcia. Nie było cię wtedy, więc nigdy nie będziesz w stanie zrozumieć.

Powtarzaliśmy sobie, że w gruncie rzeczy dobry z ciebie chłopak, że dla ciebie to starożytna historia, abstrakcyjna i nierzeczywista. Oboje byliśmy lekarzami, oboje aż za dobrze znaliśmy ten żalony stereotyp nienawidzącego siebie Żyda – i przez to przekonaliśmy się nawzajem, że mamy cię traktować jak ofiarę. Tylko że potem policja przyprowadziła cię z cmentarza, spojrzaleś na nas tym tępym, obojętnym wzrokiem – i ja już przestałem ci wymyślać usprawiedliwienia. To nie chodziło tylko o grób

wuja. Naplułeś na sześć milionów innych grobów, wiedziałeś o tym i nic to dla ciebie nie znaczyło.

Matka płakała całymi godzinami. Czyż nie pokazywała ci starych albumów, sieciowych archiwów, drzewa genealogicznego, któremu w połowie stulecia odrąbano tyle gałęzi? Czyż oboje nie próbowaliśmy opowiadać ci o różnych rzeczach? Staralem się ją jakoś pocieszyć. „To niemożliwe”, mówiłem, „by wytłumaczyć »Holokaust nigdy więcej« komuś, kogo jedyną stycznością z zabójstwem są punkty nastukane przez cały dzień w »Zombie Hunterze«...”.

I wtedy nagle dotarło do mnie, co mam zrobić.

Odczekałem. Tydzień, dwa, w sam raz tyle, żebyś pomyślał, że jak zawsze wybaczyłem i zapomniałem. Ale ja już znałem twój słaby punkt. Dla ciebie wszystko się dzieje za wolno. Te twoje cudowne zabaweczki – elektrody, które czytają emocje i można im rozkazywać samą podświadomością – już zaczynają cię nudzić. Widziałeś reklamy Improved Reality™! Wrażenia wywoływane bezpośrednio w mózgu! Gogle, rękawiczki, słuchawki, klawisze – wszystko do kosza! Poczuj na skórze wichry z fantastycznych światów, delektuj się zapachem bitewnego dymu, skosztuj krwi zabawkowych potworów, które tak łatwo zabić. Chłoń tę rzeźnię wszystkimi zmysłami!

Zabawy z animowanymi postaciami cię znudziły, a ten nowy model miał się ukazać dopiero za jakiś czas. Dlatego rzuciłeś się na moją trzecią opcję. „Bo wiesz, twoja matka pracuje nad czymś podobnym. Oczywiście, to jest do celów medycznych, ale działa dokładnie tak samo. Pewnie nawet ma tam wgrane jakieś próbki wrażeń zmysłowych do testów.

Może, jak obiecasz, że nikomu nie powiesz, byłbym w stanie cię tam przemycić...”.

Tak, byłem na emeryturze, ale uprawnienia sobie zostawiłem. Odkąd przestałem przyjmować pacjentów, minęło prawie dwadzieścia lat, nadal jednak spędzam czas w laboratorium twojej matki, a od czasu do czasu mogę w czymś pomóc. Nieustannie zachwyca mnie ta jej pasja, by poznać, jak działa ludzki umysł – i jak się psuje. Ma to po mnie. A ja mam to z Treblinki, z czasów kiedy byłem dwa razy młodszy od ciebie. Ja też dorastałem, pragnąc naprawiać zepsute dusze – tylko narzędzia psychiatrii były wówczas beznadziejnie tępe. Skalpele do otwierania ciała, słowa i narkotyki do otwierania mózgu. A precyzyjne to było jak pijak tupiący w podłogę, próbujący drganiem przesunąć kieliszki na barze.

Ale ta maszyna, która stoi u twojej matki, to co innego! Nadprzewodniki przezczaszkowe, wiązki mikrofal o silnym skupieniu, rezonatory Szpindla! Można wcelować w konkretną ścieżkę, zmienić ją albo całkiem skasować! A same ich nazwy brzmią jak tajemne zaklęcia!

Nie potrafię z tego korzystać tak, jak ona. Znam tylko podstawy. Nie umiem wszczepiać widoków czy dźwięków, nie potrafię tworzyć prawdziwych wspomnień. W każdym razie nie w pamięci deklaratywnej.

Ale w proceduralnej? Tyle umiem spokojnie. Prawy płąt czołowy, hipokamp, prymitywne reakcje, lęk i niepokój. Gadzi umysł łatwo obudzić. Zresztą, szczegóły były zbędne. Nie musiałeś pamiętać mojej młodszej siostry leżącej twarzą w dół w błocie, jak kupka patyków. Ani koloru nieba tego dnia, gdy stałem zmartwiał, bojąc się, że jeśli do niej podejść, zauważy to jakiś prawdziwy potwór. Nie było ci trzeba całego wykładu.

Wystarczył sam morał. Po wszystkim usiadłeś, zdezorientowany, potem rozczarowany, potem zły. „Nic nie było! To w ogóle nie działa!”. Nie trzeba mi było maszyn, żeby wejrzeć wtedy do twojej głowy. „Stary pierdziel, wydaje mu się, że pozjadał wszystkie rozumy, a o niczym nie ma pojęcia”.

Zresztą, gdy minął jeden dzień, potem drugi, zacząłem się obawiać, że możesz mieć rację.

Potem jednak nadeszły mdłości za zamkniętymi drzwiami łazienki. Godziny ukrywania się w pokoju, kapsuła do gier porzucona w salonie. W końcu przyszła do mnie twoja matka. Oczy miała pełne niepokoju. Powiedziała, że nigdy cię w takim stanie nie widziała. Podskakujesz na widok cienia. W nocy nie śpisz. Z rana zastała cię wrzucającego ciuchy do plecaka – „oni zaraz przyjdą, zaraz przyjdą, trzeba uciekać”. A kiedy zapytała, kto to taki ci „oni”, nie umiałeś jej odpowiedzieć.

No i proszę bardzo. Kulisz się w kącie, oczy masz jak czarne, błagalne dziury, które nie nieruchomieją ani na chwilę, bo widzą grozę w każdym cieniu. Ręce zaciśnięte w pięści krwawią od wbijających się w nie paznokci. Pamiętam, że jak byłem w twoim wieku, ciąłem się, żeby poczuć, że żyję. Czasem nadal to robię. To nigdy nie przechodzi.

Twoja matka mówi, że któregoś dnia jej urzędzenia będą w stanie wyegzorcyzmować z ciebie te moje demony. Czy ona nie rozumie, jaki to byłby fatalny błąd? Nie wie, że zapomniana historia powtarza się na nowo? Przecież nawet najgorszy prezydent w historii przyznał, że wspomnienia należą do wszystkich.

Nie muszę nic do ciebie mówić. Dziś dobrze się znamy, o wiele lepiej niż można wyrazić słowami. Dałem ci mądrość, mój wnuku. Pokazałem ci świat.

A teraz pomogę ci w nim żyć.

Oczy Boga

Nie jestem przestępcą. Nic złego nie zrobiłem.

Z przodu kolejki właśnie złapali starszą kobietę, o skórze koloru kawy z mlekiem, po trzydziestce, oczy wytrzeszczone i niewinne pod rąbkiem beretu z La Senzy. Z tego co słyszę, opchała się oksytocyną i próbowała zmanipulować białkową część systemu: uśmiech, puszczenie oka, te pomocnicze chemiczne bodźce, którymi można przeskoczyć całą logikę i naszeptać bezpośrednio do pnia mózgu: „Ta tutaj to swoja, nie trzeba jej przepuszczać przez maszynię”. Chyba zapomniała o jednym: tu wszyscy jesteśmy maszynami, wyregulowanymi, podstrojonymi i zmodyfikowanymi aż po najdrobniejsze cząsteczki. Strażnicy są uodpornieni na argumenty i aerozole. Wyprowadzają ją, nie zwracając uwagi na jej protesty. Staram się iść za ich przykładem: biorę się w garść, uodparniam na to, co czeka ją po drugiej stronie białych drzwi. Co ona sobie myślała, żeby próbować takiego numeru? W głowie musiało jej siedzieć coś więcej niż tylko złe skłonności. Płacących pasażerów nie wyciągają z kolejki za samą wrogą wyobraźnię, w każdym razie jeszcze nie. Musiała coś zrobić. Musiała jakoś zadziałać.

Pół godziny do otwarcia bramek. Przedemną jest co najmniej pięćdziesięciu praworządnych obywateli i jeszcze ich nie zaczęli obsługiwać. Brzęczyk czai się, uśpiony, z przodu kolejki, niczym wielki pancerny krab, świeżo zainstalowany, z rozwartą paszczą. Strażniczka w jego cieniu zaczyna sunąć maszyną wzdłuż kolejki, niektórych pasażerów sprawdzając na miejscu, innych pomijając – mając już za sobą pierwszy łup tego dnia, czuje, że ma szczęście. W sprawiedliwym wszechświecie nie

miałbym się czego z jej strony obawiać. Nie jestem przestępcą, nic złego nie zrobiłem. Słowa krążą mi w głowie jak obronna afirmacja.

Nie jestem przestępcą. Nic złego nie zrobiłem.

Ale wiem, że ta pieprzona maszyna i tak mnie naznaczy.

Z przodu kolejki rozświecła się Komnata Tajemnic. Nagrany kobiecy głos, niosący się echem w nieprzyjemnej akustyce terminalu, obwieszcza rozpoczęcie przedpokładowej procedury bezpieczeństwa. Strażnicy leniwie stają na baczność. Aby stanąć w tej kolejce, oddaliśmy wszystko: inteligentne znaczniki, biżuterię, moje kieszonkowe biuro, wszystko zostało skonfiskowane, do zwrotu po drugiej stronie odkupienia. Brzęczykowi nic nie może zasłaniać widoku na nasze głowy; dezorientuje go choćby zwykły kolczyk. Ludzie z medycznymi implantami i starożytnymi amalgamatowymi plombami nie są tu mile widziani. Dla nich jest osobna kolejka i specjalne pomieszczenie, gdzie nadal obowiązują staromodne przesłuchania i rewizje osobiste.

Wszechobecny głos nakazuje wszystkim pasażerom Westjet z padaczką, uszkodzeniami ślimaka lub zespołem Greya, żeby poinformowali o tym ochronę przed wejściem do skanera. Inni pasażerowie, którzy nie życzą sobie skanowania, mogą zrezygnować z przejścia. Westjet z przykrością informuje, że w takim przypadku koszt biletów nie będzie refundowany. Westjet nie odpowiada za neurologiczne efekty uboczne, tymczasowe lub trwałe, które mogą być spowodowane działaniem skanera. Użycie skanera oznacza zgodę na te warunki.

A efekty uboczne bywały, i to jakie. W pierwszych dniach paru pospolitych epileptyków miało lekkie ataki. Znany ateista z Oxfordu – wiecie, ten, który popisał wszystkie te książki – złapał w bramce na Heathrow gorącą i szczerą wiarę w chrześcijańskiego Boga, chociaż w tym

przypadku część odpowiedzialności przypisano nowotworowi, który zabił go dwa miesiące później. W zeszłym roku wszystkie media trąbiły na okrągło o pewnej wdowie z St. Paul's, która wyszła z sądowego brzęczyka z nienasyconym fetyszem seksualnym do butów do biegania. Mogłoby to kosztować Sony masę pieniędzy, gdyby nie była miłosierną duszą i nie darowała sobie sądu. Nigdy nie potwierdzono plotek, że tuż przed podjęciem tej decyzji korzystała z MassTurba.

– Cel podróży?

Strażniczka pojawiła się, kiedy nie patrzyłem. Jej laser oblizuje mi twarz biometrycznymi kubkami smakowymi. Mrugam oślepiony powidokami.

– Eee... Yellowknife.

Patrzy na swój tablet.

– Służbowo czy dla przyjemności?

Te pytania są bezcelowe, nawet nie ma ich w scenariuszu. MassTurb całkowicie wyeliminował potrzebę zadawania takich pytań kontrolnych. Po prostu nie podoba jej się moja gęba. Ona coś wie, choć nie umie tego wyrazić.

– Ani to, ani to – mówię.

Unosi głowę, patrzy ostro. Moja wymijająca odpowiedź scementowała jej pierwotne podejrzenia.

– Jadę na pogrzeb – wyjaśniam.

Przechodzi dalej bez słowa.

Wiem, ojczy, że cię tu nie ma. Wiarę straciłem jeszcze w dzieciństwie. Niech inni trzymają się swoich głupkowatych zabobonów, niech lecą z płaczem do nadnaturalnej istoty, żeby ich pocieszyła i usprawiedliwiła. Niech tchórze i małe umysły wypierają ciemność, zastępując ją jakimś wyimaginowanym życiem pozagrobowym. Ja nie potrzebuję

niewidzialnych przyjaciół. Wiem, że gadam sam do siebie. Żebym tylko mógł przestać.

Ciekawe czy ta maszyna jest w stanie podsłuchać naszą rozmowę.

Stałem przy tobie podczas procesu, tak jak ty stałeś przy mnie przez te wszystkie lata, kiedy nie miałem żadnych innych przyjaciół. Przysięgałem na twoją świętą księgę bajek, że ani razu mnie przez tyle lat nie dotknąłeś. A ci inni kłamali? Nie wiem. Ale nie osądzam.

Oni cię jednak osądzili i uznali za winnego. Nawet media się specjalnie nie zainteresowały, księża obmacujący dzieci są w dzisiejszych czasach większym banałem niż przestępcy, tak jest od lat, a zresztą nikogo nie obchodzi, co dzieje się w jakiejś zabitej dechami dziurze na Terytoriach. Gdyby cię jeszcze raz po cichu gdzieś przenieśli, gdybyś chwilę dłużej siedział cicho, może nawet do tego by nie doszło. Może i by cię naprawili.

Albo i nie. Watykan rzucił się na MassTurba jak wcześniej na klonowanie, a jeszcze wcześniej na kopernikański układ heliocentryczny. Nie ma grzebania w tym, jak cię stworzył Bóg. Nie można eliminować wolnej woli, obojętne jak bardzo z wolnej woli postanawiasz to zrobić.

Należy zauważyć, że nie dotyczy to łechtania płatu skroniowego. U świętego Michała właśnie wydali siedem milionów na sprzęt umożliwiający całej nawie przeżywanie ekstazy religijnej na żądanie.

Może faktycznie samobójstwo było dla ciebie jedynym wyjściem – popchnąć jeden grzech drugim. Za wiele do stracenia nie miałeś, twoje własne Pismo potępia za myśl tak samo jak za uczynek. Pamiętam, jak wiele lat temu, choć sam już dawno odrzuciłem te kule, zapytałem cię: „Co z grzechem, który nie został urzeczywistniony? Co, jeśli pożądałeś żony bliźniego swego albo pobudzałeś się myślą o morderstwie, ale wyłącznie w myślach?”. Popatrzyłeś na mnie czule, chyba też z większym zrozumieniem, jakie ci kiedykolwiek przypisywałem, i dopiero potem

potępiłeś mnie słowami waszego wyimaginowanego superbohatera. „Jeśli cokolwiek popełniasz myślą”, powiedziałaś, „popełniasz to na oczach Boga”.

Czuję między uszami nagłe krótkie brzęknięcie. Naprawdę mam teraz ochotę się napić; miły byłby taki krążący po zatokach drzewny aromat dobrej, starej szkockiej. Oglądam się, zauważam billboard, który mnie ustrzelił. Crown Royal. Pieprzony myślowy spam. W myślach dziękuję za normy prawne zabraniające wszczepiania nazw firmowych; mogą mi podrzucić rozmaite pragnienia, ale uzależnienie od marki byłoby przekroczeniem pewnego arbitralnego progu wolnej woli. Gest bez znaczenia, ukłon w stronę fanatyków od praw obywatelskich. Tak jak to brzęknięcie na początku; uprzedza mnie, twierdzą sądy, że nadal jestem autonomiczny. Jak długo wiem, że mnie hackują, tak długo mam uczciwą szansę samodzielnie podejmować decyzje.

Dwa kroki przede mną starszy pan cichutko szłocha. Chwilę wcześniej na oko nic mu nie było. Zdarza się. Reklamy wyzwalają nieodpowiednie skojarzenia. MassTurb, jeśli nie ma do dyspozycji hełmu, nie jest w stanie wrzucać do głowy jakichś sensorycznych panoram o wysokiej rozdzielczości – takie trafienia z dużej odległości raczej coś ewokują, niż wszczepiają. Podobno kluczem jest węch – prymitywny, płaty na tyle duże, że łatwo w nie wcelować, i prostszy do zmanipulowania niż potężne gigapikselowe macierze kory wzrokowej. I do tego pierwotny, bardzo bliski gadziego mózgu. Wydali miliony, żeby odkryć uniwersalne wyzwalacze wrażeń. Wiciokrzew kojarzy się z dzieciństwem; zapach sosny przypomina święta. Zależnie od produktu mogą nas wprowadzić w nastrój w stylu Normana Rockwella albo markiza de Sade. Tylko szturchnij odpowiednie neurony i mózg sam sobie stworzy spam.

Jednakże czasem trafi się człowiek, któremu zapach wiciokrzewu kojarzy się z chwilami, kiedy matka dostawała wpierdol. Dla innego Boże Narodzenie to czas, gdy znalazł siostrę z podciętymi żyłami.

Często się to nie zdarza. Reklamy wywołują łagodny niepokój u co tysięcznej osoby, a ostre cierpienie u co dziesięcioletniej. Niektórzy uważali, że nawet taka cena jest zbyt wysoka. Inni lamentowali nad widmem maszyn wszczepiających nam nie tylko wizje i dźwięki, ale też pragnienia, poglądy, wiarę religijną. Tylko że reklamy, w których występują śliczne dzieci i seksowne kobiety, tak samo wszczepiają pożądanie, wykorzystują wzrok i słuch, by pominąć rozum i dotrzeć do serca. Każda dyskusja, każda argumentacja jest próbą dosłownej modyfikacji czyjegoś umysłu, każdy wiersz i artykuł to wirus szerzący opinie. „Ja to robię właśnie w tej chwili”, argumentował miesiąc temu jakiś PR-owiec Mindscape’a na MacroNecie. „Próbuję zmodyfikować połączenia waszych neuronów z wykorzystaniem dźwięków, które słyszycie. Chcecie zabronić MassTurba dlatego, że wykorzystuje takie dźwięki, których nie potrafi wydawać człowiek?”.

Równia pochyła jest aż za stroma. Zabramy MassTurba i możemy równie dobrze zakazać sztuki i debaty. Równie dobrze możemy znieść wolność słowa.

Obaj wiemy, tato, że taka właśnie jest prawda. Samymi słowami da się zmusić kogoś do łez.

Kolejka posuwa się naprzód. Człapiemy naprzód z gładką, złowrogą sprawnością, jedno po drugim znikamy na moment we wnętrzu brzeczyka, wychodząc po drugiej stronie, odrodzeni po technologicznym chrście, wynoszącym nas do tymczasowej świętości. Zogniskowane ultradźwięki, tato. Tak właśnie nas oczyszczają. Pewnie nawet do ciebie dotarł ten szal

parę lat temu. A już na pewno musiałeś widzieć przynajmniej papieską bulłę, która go potępiała. Pierwotny patent firmy Sony opiewał na interfejs do gier i był złożony tuż po przełomie stuleci; już niedługo, mówili, dawne gogle i elektrody zostaną zastąpione niedrogimi pudełeczkami, które śledzą twoje ruchy w salonie i, całkowicie pomijając twoje oczy i uszy, wszczepiają ci do głowy pięciowymiarową sensoryczną panoramę. (Tego właściwie jeszcze się nie doczekaliśmy, modyfikacje robi się wprawdzie ultradźwiękami, ale system celowania w mózg opiera się na jego emisjach radiowych, a mało który konsument chce sobie obkładać dom klatką Faradaya). Tymczasem szpitale, lotniska i parki rozrywki nie pozwalają zgasnąć marzeniu w oczekiwaniu na spadek cen. A nowe zastosowania mnożą się jak króliki. Są wszędzie, tato. Głusi mogą słyszeć. Ślepi – widzieć. Pourazowcom można wypłukiwać wszystkie toksyczne wspomnienia, o ile tylko nie przestaną płacić abonamentu.

Bo w tym sęk: to jest nietrwałe. Wysokie częstotliwości pobudzają pewne synapsy, a inne usypiają, ale w żaden sposób nie zmieniają istniejącej siatki połączeń. Kiedy sygnał ustaje, mózg po jakimś czasie wraca do normy. Co jest nie tylko dochodowe dla puszczających te fale, ale i o wiele mniej kłopotliwe w razie sądu. Tu idzie o całą tę kwestię integralności osobowości. Gdyby przed każdym lotem przebudowywano nam mózg, otworzyłaby się puszka z Pandorą pełna nieprzyjemnych prawnych konsekwencji.

Muszę jednak przyznać, że to przyśpiesza sprawy. Żadnych czasochłonnych wywiadów środowiskowych, żadnych inwazyjnych „losowych” rewizji, żadnych litanii pytań mających odsiać problematyczne osoby. Szczypta przezczaszkowego magnetyzmu, kropla ultradźwięków, „następny proszę”. Rok temu stałbym w tej kolejce całymi godzinami. Dzisiaj nie minęło nawet piętnaście minut, a już jestem w pierwszej

dziesiątce. Chodzi nie tylko o wygodę: to bezpieczeństwo, to westchnienie ulgi po całym pokoleniu rosyjskiej ruletki. Nie będzie już żadnych Pożarów w Edmonton ani Powstań w Rio, żadnych budynków stopionych na szklany żużel i miast chorujących po detonacji brudnej bomby atomowej. Oczywiście, po świecie nadal chodzą sabotażyści i terroryści. Oni nie znikną. Ale kiedy atakują, uderzają w miejsca niechronione przez Brzęczyka McSwanky'ego. Wszyscy latający po tym nowym, pełnym życzliwości niebie są tak samo niegroźni jak ja. Jak polemizować z takimi wynikami?

W dawnych czasach mogłem ubolewać, że nie jestem psychopatą. Mieli wtedy łatwo. Maszyny patrzyły tylko na reakcje emocjonalne: ruchy sakadyczne, przewodność skóry. Osoba pozbawiona sumienia mogła przejść przez nie z szerokim uśmiechem i pustym sercem. Jednakże MassTurb zainspirował całą nową generację urzędów. Teraz patrzą głębiej. Kora przedczołowa, metabolizm glukozy. Teraz świry, zboczeńcy i potencjalni sabotażyści, wszyscy łapią się w tę samą sieć.

To nie oznacza, że potem nas nie wypuszczają. Socjopatia nie jest przecież sprzeczna z prawem. Kurna, gdyby odsiewali wszystkich z uszkodzonym sumieniem, mieliby pusto w klasie biznes.

W kolejce tu i ówdzie stoją dzieci. Większość jest pod opieką dorosłych. Trójka nie: dwóch chłopców i dziewczynka. Są nerwowe i ładne, jak płochliwe dzikie zwierzątka. Nieprzyzwyczajone do samodzielności. Najstarsze ma co najwyżej dziewięć lat i myszkę na boku szyi.

Nie mogę przestać mu się przyglądać.

Nagle dzieci znowu zaczęto wszędzie puszczać wolno. Od miesięcy widzę je w parkach, na placach, niepilnowane, niewinne i takie bezbronne, jakby MassTurb dał wszystkim rodzicom pretekst do wytchnienia.

Nieważne, że upłyną lata, zanim przedostanie się z lotnisk i budynków rządowych do miejsc, gdzie bawią się dzieci. Mamusia i tatuś mają już dość czekania i łapią się każdej pociechy, tych kamer zamontowanych na każdym rogu, rozglądających się po całym świecie, jakby przez obiektywy patrzyli żywi ludzie. Mamusi i tatusiowi nie chce się spędzić pięciu minut w sieci, żeby przejrzeć wskazówki dla drapieżników, jak za pomocą laserowych wskaźników i ślepych punktów robić sobie dziury w monitorowanym społeczeństwie. Mamusia i tatuś wolą raczej napchać się tymi przyjmowanymi na wiarę uspokajaczami o „obywatelskim bezpieczeństwie”.

Tyle lat żyliśmy w strachu. Teraz ludzie tak desperacko pragną choćby namiastki bezpieczeństwa, że chwycą się każdej obietnicy, nawet takiej, która się jeszcze nie ziściła. To zresztą nic nowego, mamusia i tatuś zawsze żyli na kredyt, obojętne, czy mówimy o domku na przedmieściach, czy brązowaniu Antarktydy.

Jak coś się tym ich dzieciakom naprawdę stanie, to dobrze im tak.

Kolejka posuwa się naprzód. Nagle jestem pierwszy.

Pan Władza kiwa na mnie. Robię krok naprzód, jak na ścięciu. Robię to dla ciebie, tato. Żeby ci oddać ostatnią posługę. Żeby zatańczyć na twoim grobie. Gdybym mógł tego uniknąć, gdybyś zabrał ode mnie ten kielich, to wolałbym raczej iść piechotą na Terytoria Północno-Wschodnie niż wpuszczać sobie do głowy tę obleśną technologię...

Nad wejściem do maszyny ktoś wymalował czarną farbą, od szablonu, jedno słowo: „Cień”. Grając na zwłokę, rzucam strażnikowi pytające spojrzenie.

– Bo on wie, jakie zło czai się w ludzkich sercach – mówi. – Buhahaha. No, jedziemy.

Nie mam pojęcia, o czym on mówi.

Na ścianach kabiny połyskuje ciasna plecionka z miedzianego drutu. Hełm opada mi na głowę z łagodnym hydraulicznym syknięciem; jak na coś tak wielkiego, siedzi mi bardzo luźno na głowie. Wizjer nasuwa się na oczy niczym opaska. Ląduję w kieszonkowym wszechświecie, sam z moimi myślami i wszystkowidzącym Bogiem. W głowie basowo mruczy mi prąd.

Nie jestem winny żadnych złych uczynków. Nigdy nie złamałem prawa. Może Bóg to dostrzeże, jeśli będę odpowiednio intensywnie tak myślał. Po co w ogóle on ma coś widzieć, po co ma czytać ten palimpsest, skoro i tak zaraz go zamaze? Ale mózgi tak nie działają. Każdy osobnik jest osobliwością, neurony ma połączone w jedyną w swoim rodzaju przewspaniałą plątaninę, którą trzeba odczytać, nim zacznie się ją edytować. A motywacje, intencje, to niekończące się wielogłowe stwory, splatające się i pączkujące od kory czołowej po zakręt obręczy, od podwzgórza po przedmurze. Nie ma takiej diody, która zapaliłaby się, kiedy masz niecne plany, nie ma żadnego neuronu Aniston^[5] sygnalizującego szalonych bombiarzy. Dla bezpieczeństwa wszystkich trzeba wszystko odczytać. Dla bezpieczeństwa wszystkich.

Siedziałem pod tym hełmem nie wiadomo jak długo. Nikt tyle nie siedział.

Kolejka nie posunęła się naprzód.

- No cóż – mówi łagodnie pan strażnik. – Niech pan popatrzy.
- Nie popatrzę – odpowiadam. – Ja nigdy nic...
- I teraz też nie. Przynajmniej przez najbliższe dziewięć godzin.
- Ale ja nigdy nie wprowadziłem tego w czyn – mówię po dziecinnemu oburzonym tonem. – Ani razu.
- Widzę – mówi.

Wiem jednak, że mówimy o dwóch różnych rzeczach.

Buczenie nieznacznie zmienia wysokość. Czuję magnesy i komary przeskakujące mi w głowie. Zmienia mnie coś, co jest na razie zbyt drogie na rynek domowy: ból się ulatnia, mętne pragnienie tak przewlekłe, że poczułem je dopiero, kiedy zniknęło.

– I już. Teraz można by panu dać pod opiekę dwa przedszkola i cały chór ministrantów, a pan nawet nie poczułby pokusy.

Wizjer unosi się, hełm odlatuje. Władza gapi się na mnie gromadą pogardliwych twarzy.

– Tak nie wolno – mówię cicho.

– O, teraz to nie wolno?

– Ja nic nie zrobiłem.

– My też nie. Nie zamknęliśmy pana zboczonego mózgu w więzieniu, nie zmieniliśmy panu osobowości. Uszanowaliśmy pana prawa konstytucyjne i daną przez Boga tożsamość. Może pan swobodnie obmacywać bachory w parku, tak jak dawniej. Tylko przez czas jakiś nie będzie pan chciał.

– Ale ja nic nie zrobiłem. – Nie mogę się powstrzymać od powtarzania tego.

– Wszyscy tak mówią, aż w końcu coś zrobią. – Dźga brodą w kierunku Odlotów. – Proszę stąd iść. Koniec odprawy.

Nie jestem przestępcą. Nic złego nie zrobiłem. Ale i tak znalazłem się na liście. Wieść o moim zepsuciu wyprzedza mnie, lecąc z posterunku na posterunek jak reakcja łańcuchowa kostek domina. Muszą mi dać przejść, ale będą obserwować.

To się może niedługo zmienić. Nawet teraz Normy Społeczne ledwo rozróżniają to, co robisz, od tego, kim jesteś; przesunąć je o włos i mogą się przede mną zamknąć wszystkie granice na świecie. Jednakże to dopiero

zaranie nowego oświecenia, jeszcze nie wyrobili się z wprowadzaniem wszystkich nowych reguł. Na razie wolno mi stanąć nad twoim niepoświęconym grobem i opłakiwać własną demaskację.

Ty, tato, ciągle gadałeś o potędze przebaczenia. Nie aż siedem, lecz aż siedemdziesiąt siedem razy, spojrzenie Pana gładzi wszelkie grzechy. Powtarzałeś, że potrzeba tylko jednego: szczerego żalu za grzechy. Trzeba było tylko przyjąć Jego miłość.

Oczywiście, wtedy to nie brzmiało aż tak egoistycznie.

Jednakże teraz czysta karta przysługuje także niewierzącym. Mój odkupiciel jest maszyną, a moja łaska ma datę ważności... ale w gruncie rzeczy, jak się zastanowić, to twoja też miała.

Ciekawe, jak wyglądała maszyna, która ciebie, tato, zaprogramowała – to gigantyczne, pracujące w ślimaczym tempie ustrojstwo złożone z dogmatów i ruchomych części, posuwające się iteracyjnie przez dwa tysiące lat krwawej historii. Mimo woli zastanawiam się, jak ono przełączało twoje synapsy. Czy od tego stałeś się drapieżnikiem, od tego ciężaru obłąkanych ograniczeń, nie do wytrzymania dla żadnej obdarzonej seksualnością istoty, od zaprzeczania własnej naturze, póki coś nie pękło? A może, idąc na łono Kościoła, już źle funkcjonowałeś, liczyłeś na jakąś siłę, której nie byłeś w stanie znaleźć w sobie samym?

Znałem cię od lat, tato. Nawet teraz mówię sobie, że cię znam – choć byłeś chory, tchórzem nie byłeś nigdy. Nie zamierzam uwierzyć, że wybrałeś śmierć jako łatwe wyjście. Zamierzam wierzyć, że w tych ostatnich dniach znalazłeś w sobie siłę, by się samemu przeprogramować, odwrócić plecami do algorytmów przestarzałych od dwóch tysiącleci i samemu zdecydować, jaka jest różnica między grzechem śmiertelnym a aktem zadośćuczynienia.

Gardziłeś sobą i swoimi uczynkami. Aż wreszcie zadbałeś o to, by już nigdy nie móc ich popełniać – zadziałałeś. Zrobiłeś to, czego ja nie byłem w stanie, choć cenę zapłaciłbym wielokrotnie mniejszą.

Teraz bowiem dysponujemy nie tylko tym tymczasowym rozgrzeszeniem. Mamy takie maszyny, które potrafią wypalić w człowieku zło, emiterzy skoncentrowanych wiązek mikrofal wypalające konkretne neuronalne ścieżki zła. Nikt cię do tego nie przymusi – przynajmniej na razie. Inicjatywy ustawodawcze grzęzną w parlamencie, pomysły, żeby wyprzedzająco reprogramować ludzi na czynienie dobra zamiast zła, są, ale na razie zabieg jest stricte dobrowolny. Bo zmienia człowieka, rozumiecie. Narusza jakieś niezbywalne prawo. Niektórzy mówią nawet, że to coś w rodzaju samobójstwa.

Cały czas powtarzałem temu gościowi z kontroli: „Nigdy nic nie zrobiłem”. Ale on to sam widział.

Nigdy nie pozwoliłem tego naprawić. Musi mi to odpowiadać.

Zastanawiam się, czy to coś zmienia.

Zastanawiam się, który z nas jest bardziej winny. Póki mam zamknięte oczy.

Hillcrest kontra Velikowski.

Siła wyższa?

Fakty w sprawie mówiły same za siebie. U Lacey Hillcrest z Pensacoli, 50 lat, praktykującej wiernej Kościoła Zielonoświątkowego, zdiagnozowano nieoperacyjnego chłoniaka i dano jej sześć miesięcy życia. Pięć lat później nadal żyła, choć była słaba. Swoje przeżycie przypisywała ozdobnemu posrebrzanemu krzyżowi, który dostała od siostry, Gracey Balfour. Świadkowie zeznali, że stan zdrowia pani Hillcrest poprawił się diametralnie po otrzymaniu tego talizmanu. Wyprodukowano go w Mennicy Graceland i rzekomo zawierał fragment oryginalnego Krzyża Świętego z Golgoty.

27 czerwca rano, pani Hillcrest i jej siostra odwiedziły Muzeum Szarlatanerii i Pseudonauki, którego właścicielem i dyrektorem był niejaki Lizus C. Velikovsky. Muzeum posiadało szereg eksponatów dotyczących zdyskredytowanych poglądów, teorii i najzwyklejszych oszustw, jakie przewijały się przez historię Ameryki. Pani Balfour wdała się w ożywioną dyskusję z innym gościem muzeum przy wystawie dotyczącej Inteligentnego Projektu, tymczasowo tracąc z oczu swoją siostrę. Spotkały się ponownie przy gablocie poświęconej zjawiskom psychosomatycznym, a konkretnie efektom placebo i leczeniu wiarą. Pani Hillcrest wyraźnie zapoznała się dokładnie z tymi materiałami i została później opisana jako „przygnębiona i małomówna”.

W ciągu miesiąca umarła.

Panu Velikovsky'emu postawiono zarzut nieumyślnego spowodowania śmierci. Prokurator powołał doktora Andrew de Tritusa, psychologa klinicznego z imponującą praktyką w charakterze biegłego po dowolnej (i czasami sprzecznej) stronie rozmaitych sporów. Doktor de Tritus zeznał, że prawdziwości efektu placebo obecnie się nie kwestionuje, wskazując, że „nastawienie” i „pogląd” pacjenta – podobnie jak inne mózgowe epifenomeny – mają u podstaw naturę neurochemiczną. Wiara wręcz modyfikowała połączenia w mózgu, a istnienie zjawisk typu placebo wykazywało, że takie modyfikacje mogą mieć znaczący wpływ na ludzkie zdrowie. Następnie zabrał głos Velikovsky, broniąc się w prosty sposób: wszystkie tezy prezentowane przez jego eksponaty są zgodne z prawdą i poparte naukowymi dowodami. Oskarżenie sprzeciwiło się temu stwierdzeniu jako nieistotnemu dla sprawy, ale po krótkiej dyskusji sprzeciw został odrzucony.

Oskarżenie jednak było dalekie od podawania w wątpliwość zeznań Velikowsky'ego podczas badania krzyżowego, przeciwnie – wykorzystało je dla poparcia własnej tezy. Podsądny celowo wybrał sobie na siedzibę „jeden z najbardziej religijnych regionów naszego kraju, nie biorąc pod uwagę konsekwencji dla różnych Lacey Hillcrest”. Sam przyznał, że wybrał Florydę „ze względu na wszystkie te muzea kreacjonizmu” i miał oczywistą intencję epatować ludzi rzekomą fałszywością ich poglądów. Co więcej, pan Velikovsky musiał być dobrze zorientowany w efektach placebo, skoro przygotował pełną erudycji wystawę na ten temat. Co według niego miało się stać, grzmiał prokurator, kiedy wmuszał tę swoją tak zwaną „prawdę” komuś, kogo motto – wyszyte na ukochanej poduszce – brzmiało: „Jeśli będziecie mieć wiarę jak ziarnko gorczycy, będziecie przesuwać góry”? Mówiąc jej „prawdę”, Velikovsky umyślnie zagroził życiu innej ludzkiej istoty.

Velikovsky oświadczył, że w ogóle nie wiedział o istnieniu Lacey Hillcrest, dodając, że wyszycie czegoś na poduszce nie czyni tego automatycznie prawdą.

Oskarżenie odpowiedziało, że człowiek, który zakopuje miny na placu zabaw, też nie zna nazwisk swoich ofiar, i zapytało, czy uwaga o poduszce oznacza, że podsądny nazywa Jezusa kłamcą. Obrona przez cały czas wielokrotnie się sprzeciwiała.

Obrona w ogóle miała pod górę już od momentu zaprzysiężenia swojego klienta – Velikovsky zapytał, czy przysięga na „księgę fałszu” nie podkopuje rzekomego przywiązania sądu do empirii. Ława przysięgłych nie była zachwycona tym pytaniem i nie przysporzyło to jej sympatii dla podsądnego.

Być może, gdyby doszło do najgorszego, uda się wnieść o kasację wyroku z przyczyn technicznych. Jednakże najbliższym odpowiednikiem precedensu, jaki udało się wykopać obronie, była sprawa *Dexter kontra AntyOpryszcz*, dotycząca oferowanej w sprzedaży wysyłkowej mieszanki cukru i sody oczyszczonej, reklamowanej jako lekarstwo na opryszczkę, w cenie 200 dolarów za dawkę. Chociaż to „lekarstwo” (w czym nic dziwnego) okazało się nieskuteczne, pełnomocnik AntyOpryszczacytował pracę Wabera *et al.*^[*], która jasno wykazywała, że skuteczność placebo rośnie z ceną, i argumentował, że kuracja mogłaby zadziałać, gdyby tylko Dexter więcej za nią zapłacił. A skoro odmówił (ten sam produkt sprzedawano pod inną nazwą w cenie 4 tysięcy dolarów), odpowiedzialność spadała na niego samego. Powództwo oddalono.

Gambit byłby ryzykowny. Analogia była mocno naciągana. Obrona zrobiła więc coś innego: wezwała na świadka Grace Balfour i zapytała ją, czy wierzy, że Pismo Święte jest objawionym Słowem Bożym. Pani Balfour gorliwie potwierdziła. To właśnie wiara, oświadczyła, dała jej siłę,

kiedy ten straszny człowiek przy gablocie dotyczącej Stworzenia szydził z niej, gadając o małpoludach i radioizotopach. Ona widziała w skamieniałościach to, czym były naprawdę – próbą prawdziwej wiary, jak opisane w 13 rozdziale Księgi Powtórzonego Prawa.

Zapytana, dlaczego jej siostra nie wykazała się tak silną wiarą jak ona, pani Balfour przyznała, dość niechętnie, że „ten parszywy mały Rusek” zrujnował jej wiarę swoim „kłamstwem i oszustwem”.

Jednakże, czy sama Biblia nie zbroi swoich wiernych przeciwko takim podstępom? Czyż Mateusz nie ostrzega, że „powstanie wielu fałszywych proroków i wielu w błąd wprowadzą”? Czy św. Piotr w drugim liście nie wyraża się wystarczająco dobitnie, pisząc: „wśród was będą fałszywi nauczyciele, którzy wprowadzą wśród was zgubne herezje”?

„No cóż, tak”, przyznała pani Balfour. Oczywiście, Velikovsky był fałszywym prorokiem. Niestety, przypomniała jej obrona, fałszywe proroctwa nie są karalne.

Ostatecznie więc nie było potrzeby oddalania powództwa. Ława, po zapoznaniu się z faktami sprawy, była jednomyślna: Lacey Hillcrest nie wykazała się odpowiednią siłą przekonań. W końcu, czyja to wina, że jej wiara okazała się tylekroć mniejsza niż ziarnko gorczycy?

[*] Waber, R. L., Shiv, B., Carmon, Z. & Ariely. „D. J. Am. Med. Assoc.” nr 299, str. 1016–1017, 2008.

Wyspa

Jesteśmy jaskiniowcami. Jesteśmy Starożytni, Przodkowie, robole–budowlańcy. Tkamy wasze pajęczę sieci, budujemy magiczne bramki, z prędkością sześćdziesięciu tysięcy kilometrów na sekundę nawlekamy kolejne ucha igielne. Nigdy nie stajemy. Nie śmiemy nawet zwolnić, aby światło waszego nadejścia nie zmieniło nas w plazmę. To wszystko dla was. To wszystko po to, żebyście mogli skakać z gwiazdy na gwiazdę, nie brudząc sobie stóp w tych nieskończonych, pustych ugorach pomiędzy nimi.

Naprawdę to tak wiele, prosić, żebyście od czasu do czasu z nami pogadali?

Wiem, ewolucja, inżynieria. Wiem, jak bardzo się zmieniliście. Widziałem, jak te portale rodzą bogów, demony, istoty, których nawet nie jesteśmy w stanie zrozumieć – w przypadku niektórych trudno wręcz uwierzyć, że kiedyś były ludźmi – a może to obcy jadą sobie autostopem po szynach, które zostawiliśmy. Może to obcy zdobywcy.

A może eksterminatorzy.

Widziałam także portale, które trwają ciemne i puste aż znikną nam z oczu. Domyślaliśmy się z tego wymierania, wieków mroku, cywilizacji wypalonych do fundamentów i innych powstających z popiołów – a czasami potem zdarza się, że statki, które z nich wychodzą, przypominają trochę statki, które myśmy mogli niegdyś budować. Gadają do siebie – radiem, laserem, falą neutrinową – i czasem ich głosy brzmią trochę jak nasze. Był czas, gdy śmieliśmy mieć nadzieję, że naprawdę są tacy jak my, że koło wykonało pełen obrót i dało z powrotem istoty, z którymi

moglibyśmy się porozumieć. Straciłam już rachubę, ile razy próbowaliśmy przełamać te lody.

Straciłam już rachubę eonów, jakie upłynęły, odkąd zrezygnowaliśmy.

Zostawiliśmy za sobą tyle tych iteracji. Hybrydy, posthumanoidy, nieśmiertelni, bogowie, katatoniczni jaskiniowcy uwięzieni w magicznych rydwanach, których w ogóle nie ogarniają rozumem – i żaden z nich nie wycelował w nas lasera łącznościowego, żeby powiedzieć choćby: „Cześć, jak leci?” albo: „Wiecie co, chłopaki? Znaleźliśmy lekarstwo na chorobę damasceńską!” czy nawet: „Dzięki, chłopaki, róbcie tak dalej”.

Nie jesteśmy, kurna, jakimś kultem cargo. Jesteśmy fundamentem waszego pieprzonego imperium. Gdyby nie my, w ogóle by was tu nie było.

A jeszcze... jesteście naszymi dziećmi. Czymkolwiek się staliście, kiedyś byliście jak my, jak ja. Kiedyś w was wierzyłam. Był czas, dawno temu, gdy wierzyłam w tę misję całym swoim sercem.

Czemuście nas opuścili?

A więc zaczyna się kolejna budowa.

Tym razem, otwierając oczy, widzę znajomą twarz, której nigdy dotąd nie widziałam: młody chłopak, fizjologicznie może dwadzieścia parę lat. Twarz ma trochę asymetryczną, lewa kość policzkowa trochę bardziej płaska niż prawa. Za duże uszy. Wygląda prawie na naturalisa.

Nie odzywałam się od tysięcy lat. Z gardła wydobywa mi się szept:

– Kto ty jesteś? – Nie o to powinnam pytać, wiem. Nie powinno to być pierwsze pytanie nikogo, kto budzi się na *Eriophorze*.

– Jestem twój – mówi, i proszę, pstryk i jestem matką.

Chciałabym mieć czas, żeby to do mnie dotarło, ale nie daje mi szansy:

– Nie było cię w grafiku, ale Szymp chce mieć jedną więcej osobę na pokładzie. Jest problem z następną budową.

Czyli szymp dalej rządzi. Szymp rządzi cały czas. Misja trwa, jak trwała.

– Problem? – pytam.

– Scenariusz potencjalnego kontaktu, jak się zdaje.

Myślę o tym, kiedy on się mógł urodzić. Zastanawiam się, czy on się kiedykolwiek zastanawiał nade mną – czy dopiero teraz.

Nie mówi mi tego. Mówi tylko:

– Słońce przed nami. Pół roku świetlnego. Szymp myśli, że ono coś do nas mówi. W każdym razie... – Mój... syn wzrusza ramionami. – Pośpiechu nie ma. Masa czasu.

Kiwam głową, on jednak się waha. Czeka na Wielkie Pytanie, ja jednak już widzę w jego twarzy odpowiedź. Nasi następcy mieli być nieskazitelni, mieli być zbudowani z idealnych genów ukrytych głęboko w żelazowo-bazaltowym płaszczu *Eri*, bezpiecznych przed przesuniętym ku błękitowi promieniowaniem. A ten chłopak ma przecież wady. Widzę te podwracane punktowo pary zasad, niosące się rezonansem ze skali mikroskopowej i nadające mu ten trochę krzywy, trochę zwichrowany wygląd. Wygląda, jakby wychował się na planecie. Jakby jego rodziców przez całe życie tłukły niefiltrowane promienie słońca.

Jakże daleko musimy już być, skoro nawet nasze idealne cegielki tak się zdegenerowały? Jak daleko nas zaniósł?

Jak długo ja nie żyłam?

Jak długo? To jest pierwsze pytanie, które każdy zadaje.

Ale minęło tyle lat, że ja wcale nie chcę wiedzieć.

Gdy przychodzę na mostek, siedzi sam przy taktanku, z oczyma pełnymi ikonek i trajektorii. Niewykluczone, że widzę tam i trochę siebie.

– Nie dosłyszałem, jak masz na imię – mówię, choć sprawdziłam je w rejestrze statku. Ledwo co się poznaliśmy, a już mu kłamię.

– Dix. – Nie odrywa oczu od taktanku.

Ma ponad dziesięć tysięcy lat, a przeżył z tego może dwadzieścia. Ciekawe, ile wie, kogo poznał w tym rozproszonym życiu. Zna Ishmaela albo Connie?

Zastanawiam się nad tym, ale nie pytam. Są pewne zasady.

Rozglądam się.

– Tylko my?

Dix kiwa głową.

– Na razie tak. Jak potrzebujesz, to obudź więcej. Ale...

– Co?

– Nic.

Dołączam do niego przy tanku. Wiszą w nim półprzezroczyste woale, jak zestalony, poznaczany kolorami dym. Jesteśmy na skraju obłoku pyłowego. Ciepłego, na wpół organicznego, bogatego w surowce: formaldehyd, glikol etylenowy, różne typowe prebiotyki. Dobre miejsce na szybką budowę. Pośrodku tanku żarzy się słabo czerwony karzeł. Szyp nazwał go DHF428, z powodów, które dawno przestały mnie obchodzić.

– No to mów, co się dzieje – odzywam się.

Rzuca mi niecierpliwe, nawet poirytowane spojrzenie.

– Następny.

– Co następny?

– Tak jak inni. Przy innych budowach. Szyp może wypluć wszystkie dane techniczne, ale oni chcą cały czas gadać.

Cholera, faktycznie, on jest cały czas podłączony.

Zmuszam się do uśmiechu.

– Taka... kulturowa tradycja, wiesz? Gadamy o różnych rzeczach i to pomaga w... integracji. Po długim wyłączeniu.

– Ale to takie wolne – skarży się Dix.

On nie ma pojęcia. Czemu?

– Mamy jeszcze pół roku świetlnego – zauważam. – Śpieszymy się jakoś?

Drga mu kącik ust.

– Vony poszły zgodnie z planem. – Na komendę, w tanku zapala się grupka migotliwych fioletowych iskierek, pięć bilionów kilosów przed nami. – Dalej na ogół zasysają pył, ale trafiły też parę sporych asteroid i rafinerie uruchomiły się trochę wcześniej. Pierwsze elementy już są wygenerowane. I wtedy Szymp zobaczył te fluktuacje mocy słońca, głównie w podczerwieni, ale trochę zachodzą na widzialne.

Tank mruga do nas: pokazuje karła poklatkowo.

I faktycznie: on migocze.

– Rozumiem, że są nieprzypadkowe?

Dix przechyla odrobinę głowę, nie potakując.

– Daj szereg czasowy. – Nigdy nie pozbyłam się tego nawyku, żeby, mówiąc do szympa, odrobinę podnosić głos. AI posłusznie (Posłusznie. To dopiero jest żart) wymazuje gwiazdobraz i zastępuje go czymś takim:

.....

– Powtarzający się ciąg – mówi Dix. – Impulsy są takie same, a odstępy rosną logarytmicznie, cykl zamyka się w 92,5 korsekundy. Każdy cykl zaczyna się od 13 2 pików na korsekundę, a potem zwalnia.

– Jakaś szansa, żeby to było naturalne? Mała czarna dziurka kołysząca się pośrodku gwiazdy albo coś takiego?

Dix kręci głową lub coś w tym stylu: ukosem pochyła podbródek, co mimo wszystko sygnalizuje przeczenie.

– Za prosty sygnał, żeby przekazać jakieś informacje. To nie rozmowa. To raczej... krzyk.

Ma trochę racji. Dużo informacji w tym nie ma, ale to, co jest, w sam raz wystarcza. Jesteśmy tu. Jesteśmy inteligentni. Jesteśmy na tyle potężni, że umiemy, kurna, podpiąć całą gwiazdę do ściemniacza.

Może to wcale nie jest takie dobre miejsce na budowę.

Zaciskam usta.

– To słońce nas przyzywa. To chcesz powiedzieć.

– Może. Kogoś przyzywa. Ale na sygnał typu Rosetta to jest zbyt proste. Nie jest to też archiwum, nie daje się rozpakować. Ani to Bonferroni, ani Fibonaccii, ani pi. Nawet nie tabliczka mnożenia. Wspólnego języka nie da się na tym oprzeć.

Niemniej jednak. Sygnał od inteligencji.

– Potrzeba więcej informacji – dodaje Dix, mistrz oczywistej oczywistości.

Kiwam głową.

– Vony.

– No... co vony?

Ustawimy je w siatkę. Zasymulujemy jedno porządkne oko z masy kiepskich. Szybciej niż posłać tam stąd jakieś obserwatorium, z dużym przyśpieszeniem, albo zaadaptować którąś z przetwórnii.

Oczy mu się rozszerzają. Przez chwilę ma niemal przerażoną minę. Chwila jednak mija i znów tak dziwacznie kręci głową.

– To nam nie zużyje zasobów przeznaczonych do budowy?

– Zużyje – zgadza się szymp.

Powstrzymuję prychnięcie.

– Szymp, skoro tak się boisz o nasze budowlane normy, to dolicz sobie ryzyko spowodowane przez inteligencję, która jest na tyle mocna, że potrafi sterować produktem energetycznym całego słońca.

– Nie umiem – przyznaje. – Mam za mało informacji.

– W ogóle nie masz informacji. O czymś, co, gdyby zechciało, mogłoby rozwalić naszą misję na miejscu. To może trochę sobie zbierzemy, co?

– Dobra, dobra. Do vonów poszły nowe instrukcje.

Na pobliskiej grodzi zapala się sygnał potwierdzenia w pustkę poszedł skomplikowany zestaw poleceń do tańca. Za sześć miesięcy setka samopowielających się robotów wtańczy się na pozycje w zaimprovizowanej macierzy obserwacyjnej; kolejne cztery miesiące i może będziemy mieli jakiś materiał do debatowania, nie tylko próżnię.

Dix patrzy na mnie, jakbym właśnie rzuciła magiczne zaklęcie.

– Statek może i umie prowadzić – mówię mu – ale poza tym jest durny jak cep. Czasem trzeba mu wytłumaczyć dużymi literami.

Robi lekko urażoną minę, ale zaskoczenie pod spodem jest nie do pomylenia. Nie wiedział tego. On tego naprawdę nie wiedział.

To kto go, kurna, przez ten cały czas wychowywał? Czyj to problem?

Nie mój.

– Zawołaj mnie za dziesięć miesięcy – mówię. – Idę z powrotem spać.

Wygląda, jakby w ogóle się stamtąd nie ruszał. Gramolę się na mostek, a on tam stoi i gapi się w taktyczny. Tank wypełnia DHF428, opuchnięta czerwona kula zmieniająca twarz mojego syna w diabelską maskę.

Rzuca mi sekundowe spojrzenie, oczy ma wytrzeszczone, palce drgają jak pod prądem.

– Vony tego nie widzą.

Jeszcze jestem trochę nieprzytomna po rozmrożeniu.

– Czego nie...

– Tego ciągu! – Jest bliski paniki. Kołysze się, przestępując z nogi na nogę.

– Pokaż.

Taktyczny rozdziela się w połowie. Przede mną płoną teraz dwa sklonowane czerwone karły, każdy mniej więcej dwa razy większy od mojej pięści. Po lewej, widok z *Eri*: DHF428 pulsuje tak jak przedtem, tak jak zapewne robił to dziesięć miesięcy temu. Po prawej, widok z oka złożonego – z siatki do interferometrii zbudowanej z miriady dokładnie rozstawionych vonów, ich prymitywne oczka rozłożone warstwami, tak by, uwzględniając paralaksę, dać namiastkę wysokiej rozdzielczości. Po obu stronach kontrast został wygodnie podkreślony, by niekończące się migotanie karła było widoczne dla prostych ludzkich oczu.

Tylko że miga wyłącznie ten po lewej. Po prawej, 428 pali się równo jak znormalizowana świeca.

– Szyp, jest jakaś możliwość, żeby te fluktuacje były poniżej czułości siatki?

– Nie ma.

– Hm. – Próbuję wymyślić, dlaczego miałyby skłamać.

– To się kupy nie trzyma – skarży się mój syn.

– Trzyma się – mruczę – jeśli to nie słońce migoce.

– Ale przecież migoce... – Zasysa powietrze przez zęby. – Widać, że mi... a, zaraz, ty myślisz, że coś jest za vonami? Między nimi a nami?

– Uhmhm.

– Jakiś taki filtr. – Dix rozluźnia się odrobinę. – Ale przecież powinniśmy go widzieć, nie? No i czy vony by się z nim nie zderzyły?

Przełączam się na szypa.

– Jakie pole widzenia ma w tej chwili przednie oko *Eri*?

– Osiemnaście mikrostopni – melduje szyp. – Na wysokości 428 stożek ma 3,34 sekundy świetlnej średnicy.

– Podkręć do stu.

Instrument optyczny *Eri* nabrzmiewa, dwa sprzeczne obrazy na moment znikają. Przez chwilę słońce znów rozciąga się na cały tank, zalewając mostek karmazynowym blaskiem. Potem kurczy się, jak pożarte od środka.

Zauważam na ekranie jakieś rozmycie.

– Da się wyczyścić ten szum?

– To nie szum – melduje szymp. – To pył i gaz molekularny.

Mrugam.

– Gęstość?

– Szacunkowo sto tysięcy atomów na metr sześcienny.

Dwa rzędy wielkości za dużo, nawet jak na mgławicę.

– A czemu taki ciężki? – Nie ma mowy, żebyśmy nie wykryli studni grawitacyjnej na tyle silnej, żeby trzymać w kupie taką ilość materii.

– Nie wiem – odpowiada szymp.

Mam nieprzyjemne przeczucie, że ja chyba wiem.

– Ustaw pole widzenia na pięćset sekund. Pokoloruj ze szczytem w bliskiej podczerwieni.

Kosmos w tanku robi się obrzydliwie mulisty. Małe słończko pośrodku, wielkości paznokcia kciuka, żarzy się o wiele jaśniej: rozżarzona perła w mętnej wodzie.

– Daj tysiąc – rozkazuję.

– Jest – szepcze Dix.

Na brzegach obrazu w tanku pojawia się prawdziwa próżnia, ciemna, czysta, dziewicza. 428 gnieździ się pośrodku rozmytej, sferycznej chmury. Trafia się czasami na takie, porzucone pozostałości, oddzielone od swoich macierzystych gwiazd, których konwulsje pluły gazem i promieniowaniem na całe lata świetlne. Ale 428 to nie pozostałość po nowej. To jest czerwony karzeł, stateczny, w średnim wieku. Niczym się nie wyróżnia.

Z wyjątkiem faktu, że siedzi dokładnie pośrodku rzadkiego gazowego bąbla, mającego 1,4 au średnicy. Oraz faktu, że ten bąbel się nie rozprasza, nie rozwiewa i nie przechodzi płynnie w próżnię. Nie, jeśli z naszym ekranem nie jest coś poważnie nie tak, ta mała, kulista mgławiczka rozciąga się na około 350 sekund świetlnych od środka, a potem się urywa, a krawędź ma ostrzejszą, niż pozwala natura.

Po raz pierwszy od tysiącleci tęsknię za łączem korowym. Wystukanie haseł wyszukiwania na klawiaturze w głowie, ruchami sakadycznymi oczu, trwa całe wieki – a wszystko to po to, żeby dostać odpowiedź, którą już znam.

Wracają liczby.

– Szymp. Daj pseudokolor ze szczytami w 335,500 i 800 nanometrów.

Woal wokół 428–ki rozświetla się niczym skrzydło ważki albo opalizująca bańka mydlana.

– Piękny – szepcze z zachwytem mój syn.

– On fotosyntetyzuje – wyjaśniam mu.

Według widma, to feofityna i eumelanina. Są nawet ślady jakiegoś ołowiowego barwnika Keippa, absorbującego promieniowanie rentgenowskie w paśmie pikometrowym. Szymp rzuca hipotezę o czymś, co nazywa się chromatoforami: rozgałęziające się komórki z drobinami barwnika w środku, jak pył węglowy. Kiedy są zbite razem, komórka jest niemal przezroczysta; ale jeśli rozproszyć je w cytoplazmie, cała konstrukcja ciemnieje i pochłania idącą z drugiej strony emisję. Podobno na Ziemi były zwierzęta z takimi komórkami. Potrafiły zmieniać kolor, dopasowywać się ubarwieniem do tła, tego typu rzeczy.

– Czyli wokół tej gwiazdy jest błona żywej tkanki – mówię, próbując to ogarnąć wyobraźnią. – Taki białkowy balon. Wokół całej pieprzonej

gwiazdy.

– Tak – mówi szymp.

– Ale to... Boże, ile by to musiało mieć grubości?

– Nie więcej niż dwa milimetry. Prawdopodobnie mniej.

– Skąd wiesz?

– Gdyby było dużo grubsze, bardziej rzucałoby się w oczy w paśmie widzialnym. No i von Neumanny coś by wykryły przy zderzeniu.

– Zakładając, że te... komórki, chyba... tego czegoś są podobne do naszych.

– Barwniki wyglądają znajomo, reszta też może być podobna.

Za bardzo podobna to ona być nie może. W takim środowisku żaden normalny gen nie przeżyłby dwóch sekund.

Nie mówiąc już o tym, jakiego magicznego rozpuszczalnika używa, który nie zamarza w tych warunkach.

– No dobra, założmy sobie, konserwatywnie, że ma średnio milimetr grubości. Założmy gęstość wody w warunkach standardowych. Ile to będzie ważyło?

– 1,4 jottagrama – odpowiadają chórem szymp i Dix.

– Czyli, eee...

– Połowa masy Merkurego – dodaje pomocnie szymp.

Gwiżdżę przez zęby.

– I to jest jeden organizm?

– Tego jeszcze nie wiadomo.

– Ma barwniki organiczne. Kurwa, gada przecież. Jest inteligentny.

– Większość cyklicznych emisji z organizmów żywych to proste biorytmy – zauważa szymp. – A nie inteligentne sygnały.

Nie zwracam na niego uwagi i odzywam się do Dix:

– Założmy, że to sygnał.

Marszczy brwi.

– Szymp mówi...

– Załóżmy. Użyj wyobraźni.

Nie docieram do niego. Robi się nerwowy.

Uświadamiam sobie, że ciągle taki jest.

– A gdyby ktoś przysyłał ci sygnał – mówię – to co byś wtedy zrobił?

– Sygnał... – dezorientacja na twarzy i przeskakujący gdzieś obwód logiki rozmytej – ... odpowiedź bym wysłał?

Mój syn jest debilem.

– A jeśli przychodzący sygnał ma postać regularnych zmian w intensywności światła, to jak byś...

– Użyłbym laserów BI, dał impuls na przemian w 700 i 3000 nanometrów. Taki naprzemienny sygnał da się łatwo wzmocnić do rzędu eksawatów, nie niszcząc naszych osłon; po dyfrakcji byłoby z tysiąc watów na metr kwadratowy. Na pewno spokojnie powyżej progu postrzegania czegoś, co wyczuwa promieniowanie cieplne czerwonego karła. A treść nie ma znaczenia, skoro to tylko okrzyk. Odpowiedź. Sprawdzenie, czy będzie echo.

No dobra. Mój syn jest debilem–sawantem.

I dalej ma nieszczęśliwą minę...

– Ale szymp, on mówi, że w tym nie ma żadnej informacji, prawda?

Na czoło znów wysuwa mi się ten drugi zestaw wątpliwości. Mówi „on”.

Dix bierze moje milczenie za amnezję.

– Za prosty, pamiętasz? Prosty ciąg impulsów.

Kręcę głową. W tym sygnale jest więcej informacji, niż szymp sobie wyobraża. O tylu rzeczach nie ma pojęcia. A ostatnią rzeczą, jakiej mi

potrzeba, to żeby ten dzieciak się do niego odwoływał, miał go za równego sobie, albo, Boże broń, za mentora.

No tak, jest wystarczająco inteligentny, żeby sterować statkiem między gwiazdami. Dość bystry, żeby w okamgnieniu wyliczać milioncyfrowe liczby pierwsze. Nawet na tyle sprytny, żeby stać go było na odrobinę prymitywnej improwizacji, gdyby załoga zanadto odeszła od celu misji.

Ale za głupi, żeby poznać wołanie o pomoc.

– To charakterystyka ruchu opóźnionego – mówię do nich. – Cały czas zwalnia. W kółko i od nowa. To jest przekaz.

Stać. Stać. Stać.

I pewnie jest adresowany do nikogo innego, tylko do nas.

Odpowiadamy krzykiem. Nie ma powodu, żeby tego nie zrobić. I teraz wypadałoby znowu na trochę umrzeć, bo co za sens siedzieć do późna? Nieważne, czy ta gigantyczna istota faktycznie kryje w sobie inteligencję, nasze echo dotrze do niej za dziesięć milionów korsekund. I co najmniej kolejne siedem, zanim otrzymamy od niej jakąkolwiek odpowiedź, o ile w ogóle.

Zatem spokojnie można na razie walnąć się do krypty. Powyłączać wszystkie pragnienia i wątpliwości, oszczędzić życie, które mi jeszcze zostało, na ważne chwile. Odciąć się od tych skąpych taktycznych informacji i od tego szczeniaczka o wilgotnych oczach, patrzącego na mnie, jakbym była jakimś czarodziejem, który zaraz zniknie w obłoczku dymu. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ja jednak odwracam się i biegnę ku zapomnieniu.

Ale budzik ustawiam sobie tak, żeby zbudził mnie samą.

Czas jakiś leżę sobie w trumnie, ciesząc się z drobnych, przedwiecznych zwycięstw. Z sufitu gapi się na mnie martwe, poczerńiałe oko szympa;

przez tyle milionów lat nikt nie starł z niego osmalonych śladów. Stanowi coś w rodzaju trofeum, pamiątkę po wczesnych, ognistych dniach naszych Wielkich Zmagani.

To wiecznie ślepe oko ma w sobie coś... coś uspokajającego. Aż nie chce mi się zapuszczać w te części statku, gdzie nerwy szympansa nie zostały tak gruntownie skauteryzowane jak tutaj. Dziecinada, wiem. To cholerstwo już dawno wie, że wstałam; może sobie być tutaj ślepy, głuchy i bezradny, ale nie da się ukryć mocy, jaką bierze krypta podczas rozmrażania. No i nie jest też tak, że za drzwiami czatuje na mnie banda zdalnie sterowanych manipulatorów z kijami. Mamy w końcu odprężenie. Walka trwa, ale wojna stała się zimna. Odbywamy tylko takie rytualne ruchy, szczękamy łańcuchami niczym stare małżeństwo–zrosłaki, skazane, by nienawidzić się po wiek wieków.

Tyle było tych manewrów i kontrmanewrów, a prawda jest taka, że potrzebujemy się nawzajem.

Zmywam więc z włosów smród zgniłych jaj i zapuszczam się w ciche katedralne korytarze *Eri*. I oczywiście w ciemności czai się wróg, zapala światła, kiedy się zbliżam, gasi je, kiedy przejdę – ale nie przerywa milczenia.

Dix.

Dziwny on jest. Niby po kimś urodzonym i wychowanym na *Eriophorze* nie należy się spodziewać, że będzie okazem zdrowia psychicznego, ale ten Dix nawet nie wie, po której stoi stronie. Nawet nie wie, że powinien sobie tę stronę wybrać. Wygląda prawie tak, jakby przeczytał sobie pierwotne cele misji i wziął je na poważnie, dosłownie, uwierzył w prawdę z tych przedwiecznych zwojów: oto Mięso i Maszyneria ręka w rękę trudzą się, poprzez stulecia, nad Zbadaniem Wszechświata! Zwarci! Silni! Przesuwają Granicę!

Ech.

Ktoś, kto go wychowywał, niespecjalnie się wykazał. Ja go oczywiście nie winię; na pewno nie jest za fajnie, jak dziecko płacze ci się pod nogami, kiedy masz na głowie budowę, a też nie selekcjonowano nas ze względu na talenty rodzicielskie. Nawet gdyby boty zmieniały pieluchy, a VR zajmowała się włączaniem wiadomości do głowy, socjalizowanie kilkulatek mało komu wydałoby się dobrą rozrywką. Ja pewnie szybko wywaliłabym gówniarza za służbę.

Ale nawet ja bym go odpowiednio doinformowała.

Kiedy mnie nie było, coś się zmieniło. Może znowu rozgorzała wojna, weszła w jakąś nową fazę. Ten nerwowy dzieciak nie bez przyczyny jest taki odklejony od rzeczywistości. Ciekawe, co to może być.

Ciekawe, czy mnie to w ogóle obchodzi.

Idę do swojej kwatery, raczę się niepotrzebnym posiłkiem, masturbuję się. Trzy godziny po powrocie do życia relaksuję się w mesie na sterburcie.

– Szymp?

– Wcześniej jesteś – mówi po chwili.

Tak w istocie jest, nasze wołanie w odpowiedzi jeszcze nie dotarło do celu. Co najmniej przez dwa miesiące nie ma szansy na nowe dane.

– Pokaż mi widok do przodu – rozkazuję.

DHF428 mruga do mnie ze środka salonu: Stój. Stój. Stój.

Może. A może szymp ma rację i to czysta fizjologia. Może ten nieskończony cykl kryje w sobie nie więcej inteligencji niż bicie serca. Ale ten przebieg ma w sobie jakiś inny przebieg, jakieś migotanie w tych mrugnięciach. Aż drażni mi mózg.

– Daj wolniej – rozkazuję. – Sto razy.

To faktycznie jest mrugnięcie. Dysk 428 nie ciemnieje jednocześnie, on się przesłania. Jakby na powierzchnię słońca nasuwała się od prawej do

lewej wielka powieka.

– Tysiąc razy.

Szymp nazwał to „chromatoforami”. Ale nie otwierają się i nie zamykają wszystkie naraz. Ciemność idzie po tej błonie falami.

W głowie wyświetla mi się słowo „latencja”.

– Szymp. Te fale pigmentacji, jak szybko się poruszają?

– Około pięćdziesięciu dziewięciu tysięcy kilometrów na sekundę.

Szybkość myśli.

A jeśli to coś faktycznie myśli, będzie miało bramki logiczne, synapsy... ułożone w jakąś sieć. A jeśli ta sieć jest odpowiednio duża, w jej środku jest i „ja”. Takie jak ja, jak Dix. Jak szymp. (Dlatego właśnie doksztąpiłam się z tego tematu, wcześniej, w burzliwej fazie naszego związku. Poznaj swojego wroga i tak dalej).

Bo z „ja” jest taka kwestia: jest w stanie obejmować tylko te części, które są w zasięgu jednej dziesiątej sekundy. Jeśli rozsmarujemy się zbyt cienko – jeśli na przykład ktoś rozetnie nam mózg w połowie, przetnie tę grubą rurę, tak że półkule muszą gadać ze sobą okrężną drogą; kiedy rozproszenie neuronowej architektury przekracza jakiś krytyczny punkt i sygnały z A do B muszą lecieć akurat o tyle dłużej, wtedy system – no właśnie – rozpóinja się. Dwie półkule twojego mózgu stają się oddzielnymi osobami, o innych gustach, innych planach, odrębnej samoświadomości.

„Ja” rozpada się na „my”.

Ta reguła nie obowiązuje tylko u ludzi, tylko u ssaków, czy nawet tylko na Ziemi. Dotyczy wszystkich układów przetwarzających informacje, zarówno tych, które zostawiliśmy za sobą, jak i tych, których jeszcze nie spotkaliśmy.

Pięćdziesiąt dziewięć tysięcy kilometrów na sekundę, powiada szymp. To ile przeleci sygnał po tej błonie w jedną dziesiątą sekundy? Jak daleko rozpościera się po niebie to „ja”?

Ciało jest wielkie, niewyobrażalnie wielkie. Ale duch, duch jest...

Cholera.

– Szymp. Zakładając średnią gęstość upakowania neuronów taką jak w ludzkim mózgu, ile synaps będzie na kolistej płaszczyźnie złożonej z neuronów, mającej jeden milimetr grubości i 5892 kilometry średnicy?

– Dwa razy dziesięć do dwudziestej siódmej.

Ruchami oczu przeszukuję bazę, szukając jakiejś perspektywy, żeby spojrzeć na mózg rozciągający się na trzydziestu milionach kilometrów kwadratowych – odpowiadający dwóm tysiącom bilionów ludzkich mózgów.

Oczywiście to, z czego on ma porobione te neurony, musi być upakowane o wiele rzadziej niż u nas; w końcu jest to przezroczyste. Bądźmy superkonserwatywni i załóżmy, że jest tysiąc razy rzadszy niż ludzki mózg. To daje...

Dobra, powiedzmy, że ma dziesięć tysięcy razy mniejszą gęstość synaptyczną, to jest nadal...

Niech będzie sto tysięcy razy. Rzadka myśląca mgiełka. Jeszcze bardziej konserwatywnie i w ogóle wyspekuluję, że nie istnieje.

To ciągle dwadzieścia miliardów ludzkich mózgów. Dwadzieścia miliardów.

Nie wiem, co powinnam czuć. To nie jest zwykły obcy.

Nie jestem też jeszcze gotowa, żeby uwierzyć w bogów.

Skrećam za róg i wpadam prosto na Dixę, stojącego jak golem pośrodku mojego salonu. Podskakuję na metr w górę.

– Co ty tu, do cholery, robisz?

Wydaje się zaskoczony moją reakcją.

– Chciałem... porozmawiać... – odpowiada po chwili.

– Nie wchodzi się komuś do domu bez zaproszenia!

Cofa się o krok.

– Ja chciałem... tylko... – wyjąkuje.

– Porozmawiać. I to się robi w miejscu publicznym. Na mostku, w mesie, albo... mogłeś do mnie zadzwonić komunikatorem, prawda?

Waha się.

– Sama mówiłaś... chciałaś bezpośrednio. Powiedziałaś „kulturowa tradycja”.

No fakt, mówiłam. Ale nie tutaj. Tu jest mój azyl, moja prywatna kwatera. Brak zamków na drzwiach jest narzucony przez normy bezpieczeństwa, to nie zaproszenie, żeby włączyć mi do domu i czekać, sterczeć na środku jak jakiś, kurwa, mebel...

– Czemu ty w ogóle jesteś na chodzie? – warczę. – Mieliśmy nie wstawać jeszcze przez dwa miesiące.

– Poprosiłem Szympa, żeby mnie zbudził, jak ty wstaniesz.

Tę pieprzoną maszynę.

– A czemu ty jesteś na chodzie? – pyta, nie ruszając się z miejsca.

Wzdycham, pokonana, i opadam w pseudokapsułę, która się akurat nawinęła.

– Chciałam tylko przejrzeć pierwsze dane. – Niedopowiedziane „sama” powinno być dość oczywiste.

– I coś tam było?

Ale ewidentnie nie jest.

Postanawiam na chwilę mu ustąpić.

– Wygląda na to, że rozmawiamy z taką, no... wyspą. Około sześciu tysięcy kilometrów średnicy. W każdym razie to jest ta myśląca część. Błona naokoło jest w zasadzie pusta. To znaczy, jest żywa. Cała fotosyntetyzuje, czy coś w tym rodzaju. Czymś musi się w każdym razie żywić. Nie do końca wiadomo, czym.

– Tą chmurą cząsteczek – mówi Dix. – Pełno w niej związków organicznych. Poza tym, ona akumuluje materię wewnątrz powłoki.

Wzruszam ramionami.

– Chodzi o to, że jest pewna graniczna wielkość mózgu, a to tutaj jest gigantyczne, jest...

– Nieprawdopodobne – mruczy, jakby do siebie.

Odwracam się do niego; otulająca mnie pseudokapsuła zmienia kształt.

– Co masz na myśli?

– Wyspa ma ile? Dwadzieścia osiem milionów kilometrów kwadratowych? A cała sfera siedem trylionów. I wyspa przypadkiem znalazła się między nami a 428, prawdopodobieństwo... eee... jedna pięćdziesięciomiliardowa.

– Mów dalej.

Nie potrafi.

– No... ten... bardzo mało prawdopodobne.

Zamykam oczy.

– Jak to możliwe, że jesteś na tyle bystry, żeby od niechcienia liczyć coś takiego w pamięci, a jednocześnie na tyle głupi, że nie widzisz oczywistego wniosku?

Znowu to spanikowane spojrzenie prosto z rzeźni.

– To jest nieprawdopodobne. Astronomicznie nieprawdopodobne, że przypadkiem wcelowaliśmy w jedyny inteligentny punkt na sferze, który ma półtorej au średnicy. A to znaczy...

Nic nie mówi. Malujące się na jego twarzy zmieszanie wydaje mi się drwiną. Mam ochotę go walnąć w mordę. W końcu jednak zapala się tam jakieś światełko:

– Czyli, tego... tam jest więcej niż jedna wyspa? Aaa! Bardzo dużo wysp.

I kogoś takiego mam w załodze. Prawie na pewno któregoś dnia od niego będzie zależało moje życie. Straszna myśl.

Na razie próbuję odłożyć to na bok.

– Pewnie jest ich cała populacja, rozsianych po błonie jak takie... cysty. Szyp nie wie ile, ale na razie wykryliśmy tylko tę jedną, więc może są dość rzadko rozłożone.

Teraz twarz marszczy mu się na inny sposób.

– A czemu „Szyp”?

– Ale o co pytasz?

– Czemu daliście mu imię „Szyp”?

– To nie imię, mówimy „szyp”, z małej. – Bo nadanie imienia to pierwszy krok do uczłowieczenia czegoś.

– Sprawdziłem to. To skrót od „szympansa”. Głupiego zwierzaka.

– Z tego co pamiętam, szympanasy chyba były całkiem inteligentne.

– Nie tak jak my. Nawet nie umiały mówić. Szyp umie. Jest dużo bystrzejszy niż tamte stwory. To obraźliwa nazwa.

– A czemu to cię martwi?

Patrzy na mnie.

Rozkładam ręce.

– No dobra. On nie jest szympansem. Nazwaliśmy go tak, bo ma mniej więcej taką samą liczbę synaps.

– Czyli daliście mu mały mózg, a potem cały czas narzekacie, jaki on głupi.

Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu.

– Zmierzasz do czegoś czy tylko przerabiasz tlen na CO₂?

– Czemu nie daliście mu więcej inteligencji?

– Bo jak system jest bardziej złożony od ciebie, nie jesteś w stanie przewidywać jego zachowań. A jeśli chcesz, żeby projekt trzymał kurs, kiedy cię nie ma, nie oddajesz sterów czemuś, co na sto procent wytworzy sobie jakiś własny plan. – Jezusie haploidalny, no, co jak co, ale o prawie Ashby’ego^[6] to już ktoś mógł mu powiedzieć.

– Czyli zrobili mu lobotomię – mówi po chwili Dix.

– Nie. Nie ogłupili go, od razu go takim zrobili.

– Może jest inteligentniejszy, niż ci się wydaje. Ty niby jesteś dużo inteligentniejsza, masz własny plan, to jak to możliwe, że on nadal dowodzi?

– Nie pochlebiaj sobie – mówię.

– Co takiego?

Pozwalam sobie na odrobinę ponurego uśmiechu.

– Ty tylko wykonujesz rozkazy bandy innych układów, o wiele bardziej skomplikowanych od ciebie. – No, trzeba im to przyznać: zarządcy projektu nie żyją od tak dawna, jak niektóre gwiazdy, a dalej pociągają tutaj za sznurki.

– Ja nie ro... ja co wykonuję?

– Oj, przepraszam. – Uśmiecham się słodko do swojego potomka-kretyna. – Nie mówiłam do ciebie. Mówiłam do tego czegoś, co sprawia, że wydajesz takie akurat dźwięki.

Dix robi się bielszy od moich majtek.

Przestaję owijać w bawełnę.

– A co ty sobie myślałaś, szymp? Że pošlesz tę marionetkę do mojego domu, a ja nic nie zauważę?

– Nie... to nie... to ja – jąka się Dix. – To ja mówię.

– On cię ustawia. W ogóle wiesz, co to takiego „lobotomia”? – Kręcę zde gustowana głową. – Myślisz, że zapomniałam, jak działa ten interfejs, tylko dlatego, żeśmy je sobie wypalili? – Na jego twarzy zaczyna malować się karykaturalne zdziwienie. – No nie, nie udawaj. Byłeś już przy paru budowach, nie ma możliwości, żebyś nie wiedział. Wiesz, że powyłączaliśmy też łącza między sobą. A twój pan i władca nic na to nie poradzi, bo jesteśmy mu potrzebni, więc osiągnęliśmy coś w rodzaju kompromisu.

Nie krzyczę. Ton mam lodowaty, ale głos idealnie równy. A mimo to, Dix jakby się przede mną kulił.

Dostrzegam okazję.

Łagodzę odrobinę głos i mówię delikatnie:

– Wiesz, ty też możesz to zrobić. Sfajczyć sobie łącze. Potem nawet pozwolę ci tu przychodzić, jeśli tylko będziesz chciał. Po prostu, żeby... porozmawiać. Ale z tym stworem w twojej głowie nie ma mowy.

Na jego twarzy maluje się panika, która nieoczekiwanie niemal łamie mi serce.

– Nie mogę – błaga. – Jak będę się uczyć, jak będę ćwiczyć. Bo misja...

Naprawdę nie mam pojęcia, który to z nich mówi, odpowiadam więc obu:

– Misję da się zrealizować na wiele sposobów. A czasu mamy aż nadto, żeby wypróbować je wszystkie. Dix jest tu mile widziany, ale sam.

Robią krok ku mnie. Kolejny. Jedna ręka, rozedrgana, unosi się, jakby wyciągała się ku mnie, a na tej krzywej twarzy maluje się coś, czego zupełnie nie rozpoznaję.

– Ale ja jestem twoim synem – mówią.

Nie zniżam się, by zaprzeczyć.

– Won mi z domu.

Żywy peryskop. Dix trojański. To dla mnie nowość.

Szym p nigdy dotąd nie próbował takiej infiltracji w czasie, kiedy byliśmy na chodzie. Wyobrażam sobie te roboty, nigdy niewidziane przez ludzkie oczy, zmajstrowane po partyzancku podczas długich eonów ciemności, pomiędzy budowami. Widzę, jak wężą po szufladach i zaglądnają za lustra, ostrzeliwują grodzie rentgenem i ultradźwiękami, cierpliwie, milimetr po milimetrze przeszukują *Eriophorę*, wypatrując tajemnych wiadomości, które być może przekazujemy sobie przez czas.

Nie mam na to żadnego poważniejszego dowodu. Zostawialiśmy pułapki i znaczniki, mające post factum poinformować nas o wtargnięciu, ale nigdy nic nie wskazywało, by ktokolwiek je poruszył. To oczywiście nic nie znaczy. Szym p może i jest głupi, ale jest też cwany, a milion lat to aż nadto czasu, żeby przejść siłowym algorytmem przez wszystkie możliwości. Udokumentować położenie każdego pyłku kurzu; popełnić te niewyobrażalne uczynki, a potem wszystko poukładać jak było.

A my jesteśmy zbyt sprytni, by ryzykować komunikowanie się poprzez eony. Nie używamy żadnych szyfrów, długodystansowych liścików miłosnych ani wielosłownych pocztówek, przedstawiających widoczki, które dawno przepadły w przesunięciu ku czerwieni. Wszystko to trzymamy w głowach, gdzie wróg nam nigdy nie zajrzy. Niepisana reguła brzmi: nie mówimy o tym, chyba że w cztery oczy.

Kretyńskie, niekończące się gierki. Czasem ledwo pamiętam, o co się pokłóciliśmy. Teraz, kiedy w celowniku mam nieśmiertelną istotę, wszystko to wydaje się takie banalne.

Może dla was to nic nie znaczy. Na tych szczytach, które zapewne osiągnęliście, nieśmiertelność to coś znanego od wieków. Ja jednak nawet

nie potrafię sobie jej wyobrazić, choć przeżyłam śmierć całych światów. Ja bowiem dysponuję tylko chwilami: w sumie może dwieście lub trzysta lat, które mogę rozdysponować po całej długości życia wszechświata. Mogę przeżyć dowolny punkt w czasie albo dowolne sto tysięcy punktów, jeśli poszatkuje moje życie na odpowiednio cienkie plasterki – ale wszystkiego nie zobaczę na pewno. Nawet ułamek wszystkiego.

Moje życie kiedyś się skończy. Ja muszę wybierać.

Kiedy w pełni do ciebie dotrze, na co się zgodziłeś – po dziesięciu czy piętnastu budowach, gdy druga strona medalu przestaje być czymś, co wiesz, i staje się czymś, co czujesz w kościach, jak raka – zaczynasz czuć się nędzarzem. Nie ma na to rady. Postanawiasz racjonować swoje chwile na jawie, redukując je do minimum: tylko tyle, żeby dało się pozarządzać budową, zaplanować najnowszy kontratak przeciwko szympansowi, odrobina (jeśli jeszcze nie wyzbyłeś się potrzeby ludzkiego kontaktu) na seks, przytulania i porcję ciepłej, zwierzęcej otuchy na tle bezkresnej czerni. A potem pędzisz do krypty, żeby oszczędzać resztki ludzkiego życia na poznawanie rozszerzającego się kosmosu.

Ten czas miał być na kształcenie. Na setkę studiów podyplomowych realizowanych najlepszą techniką edukacyjną z epoki kamienia łupanego. Mnie nigdy się nie chciało. Po co wypalać mój maleńki ogarek, ucząc się litanii prostych faktów, trawić moje drogocenne, skończone–nieskończone życie? Tylko idiota wolałby uczyć się z książek niż podziwiać z pierwszego rzędu pozostałość supernowej w Kasjopei, nawet jeśli, żeby to gównu w ogóle zobaczyć, potrzebny jest pseudokolorowy widok w paśmie radiowym.

Ale teraz to co innego. Teraz chcę wiedzieć. Ta istota, która krzyczy do nas z drugiego brzegu, ogromna jak księżyc, szeroka jak układ słoneczny, delikatna i cienka jak skrzydełko owada: chętnie sprzedam trochę życia,

żeby poznać jej tajemnice. Jak działa? Jak w ogóle jest w stanie przeżyć, a co dopiero myśleć, na skraju zera bezwzględnego? Jakim potężnym, niezmiernym umysłem musi rozporządzać, żeby wypatrzyć nas z ponad pół roku świetlnego, domyślić się natury naszych oczu i przyrządów, wysłać sygnał, który nie tylko potrafimy wykryć, ale i zrozumieć?

I co się stanie, kiedy się przez nią przebijemy z jedną piątą prędkości światła?

Kładąc się do łóżka, przywołuję najnowsze wieści. Odpowiedź się nie zmieniła: za wiele się nie stanie. To cholerstwo już i tak ma pełno dziur. Komety, asteroidy, typowe protoplanetarne śmieci latają po tym układzie jak po każdym innym. W podczerwieni widać tu i ówdzie rozmyte miejsca, gdzie ze środka powoli ucieka gaz, gdzie niska, pełna par, wewnętrzna próżnia ulatnia się do wysokiej próżni zewnętrznej. Nawet gdybyśmy przebili się przez sam środek tego myślącego obszaru, dla niego to będzie pewnie jak ukłucie szpilką. Przy takiej szybkości znajdziemy się po drugiej stronie nawet nietknięci znikomą bezwładnością milimetrowej błony.

A jednak. Stać. Stać. Stać.

Ach, pewnie. Nie chodzi o nas. Chodzi o to, co budujemy. Narodziny tunelu to gwałtowny, bolesny proces, gwałt na czasoprzestrzeni emitujący niemal tyle promieniowania gamma i rentgenowskiego, co mikrokwazar. Każde mięso, które znajdzie się w białej strefie, ekranowane czy nie, zostanie spopielone w ułamku sekundy. Dlatego właśnie my nigdy nie przystajemy, żeby zrobić zdjęcia.

No, w każdym razie to jeden z powodów.

Bo my oczywiście nie możemy się zatrzymać. Nawet zmiana kursu nie wchodzi w grę, chyba że minimalnymi korektami. *Eri* szybuje między gwiazdami jak orzeł, ale sterowna jest jak pociąg w lesie; zmień kurs choćby o jedną dziesiątą stopnia przy dwudziestu procentach prędkości

światła, a uszkodzenia będą poważne. Pół stopnia by nas rozwaliło, statek może by i skręcił na nowy kurs, ale skolapsowana masa w jego wnętrzu leciałaby tam, gdzie przedtem, rozpruła by całą konstrukcję wokół siebie i nawet by nic nie poczuła.

Osobliwości, nawet oswojone, trzymają się swoich ścieżek. Słabo tolerują zmiany.

Ponownie powstajemy z martwych i okazuje się, że Wyspa zmieniała płytę.

Przestała prosić „Stać, stać, stać”, gdy tylko w jej brzeg trafił nasz laser. Teraz mówi coś całkiem innego: po powłoce płyną ciemne myśluki, barwnikowe strzałki zbiegające się w jakimś niewidocznym punkcie, jak szprychy wskazujące piastę koła. Ów środek jest odległy i niewidoczny, nie znajduje się na jasnym tle 428, ale nietrudno wyekstrapolować, że punkt zbieżności strzałek jest jakieś sześć sekund świetlnych po sterburcie. Ale jest coś jeszcze: cień, z grubsza okrągły, przesuwa się po jednej ze szprych jak koralik po nitce. On także przesuwa się na sterburtę, chowa za krawędzią zaimprovizowanego przez Wyspę ekranu i znowu odradza się w początkowych współrzędnych, by kontynuować podróż.

Te współrzędne to dokładnie punkt, gdzie nasza obecna trajektoria przetnie się za cztery miesiące z błoną. Przymrużywszy oczy, Bóg jest pewnie w stanie dostrzec dźwigary i rojące się jak bąki boty na trwającej po drugiej stronie budowie, w której nabiera już kształtów wielki pofragmentowany torus pętli Hawkinga.

Przesłanie jest tak oczywiste, że dociera nawet do Dixy.

– Chce, żebyśmy przesunęli bramę... – I tu jego głos pobrzmiwa jakby dezorientacją. – Ale skąd wie, że my budujemy bramę?

– Vony, jak przelatowały, musiały się przebić przez błonę – zauważa szymp. – Mógł to wyczuć. Ma barwniki światłoczułe. Zapewne widzi.

– Zapewne widzi lepiej niż my – dodaję ja. Nawet dysponując tylko czymś tak prymitywnym jak kamery otworkowe, da się szybko zwiększyć rozdzielczość.

Dix marszczy się nieprzekonany.

– No to zobaczył parę przelatujących vonów. Jakieś luźne części, nawet jeszcze za bardzo niezmontowane. Skąd wie, że budujemy coś gorącego?

Bo jest bardzo, bardzo inteligentne, ty durny dzieciaku. Tak trudno uwierzyć, że ten... ten... – „organizm” wydaje się zbyt ograniczonym słowem – potrafi sobie po prostu wyobrazić, jak te części do siebie pasują, że wystarczy mu jedno spojrzenie na nasze patyki i kamienie, żeby się domyślić, co kombinujemy?

– Może to nie pierwsza brama, jaką widział – podsuwa Dix. – Myślicie, że może gdzieś tu być jeszcze jedna?

Kręcę głową.

– Widzielibyśmy artefakty z soczewkowania.

– A spotkałeś już kiedyś kogoś?

– Nie. – Zawsze, przez wszystkie te epoki, byliśmy sami. Cały czas nic, tylko uciekaliśmy.

I to zawsze przed własnymi dziećmi.

Przeliczam parę rzeczy.

– Sto osiemdziesiąt dwa dni do zapłodnienia. Jeśli skreścimy teraz, do trafienia w cel wystarczy drobna korekta kursu, o parę mikrostopni. Spokojnie w granicach wszystkich tolerancji. Oczywiście, im dłużej czekamy, tym bardziej nieprzyjemne robią się te kąty.

– Nie da rady – mówi szymp. – Miniemy się z bramą o dwa miliony kilometrów.

– To przesun bramę. Całą, kurna, budowę przesun. Rafinerie, fabryki, te pieprzone kamienie. Paręset metrów na sekundę wystarczy aż nadto, jak wyślemy rozkaz w tej chwili. Nawet nie trzeba zatrzymywać budowy, może to robić w drodze.

– Każdy taki wektor poszerza zagnieżdżone przedziały ufności tej budowy. Ryzyko błędu zwiększyłoby się powyżej dopuszczalnego przedziału, nie dając żadnej korzyści w zamian.

– Żadnej? A co z faktem, że po drodze przecinamy inteligentną istotę?

– Korekta na potencjalną obecność inteligentnego obcego życia jest już wliczona.

– No dobra. Po pierwsze, żadną tam „potencjalną”. To życie jest tu, kurwa, jak wół. I przy obecnej pozycji budowy rozwalamy je na miazgę.

– Nie tykamy żadnych planet na orbitach mieszczących się w ekosferze. Nie widać żadnych oznak istnienia technologii o kosmicznej skali. Obecna pozycja budowy spełnia wszystkie kryteria narzucane przez ochronę środowiska.

– To dlatego, że ludzie, który wymyślali te kryteria, nie przewidzieli czegoś takiego, jak żywa sfera Dysona! – Marnuję tylko powietrze i dobrze o tym wiem. Szymp może sobie milion razy rozwiązywać te równania, ale co ma zrobić, jeżeli nie ma gdzie wetknąć zmiennej?

Kiedyś, zanim sytuacja się spaskudziła, mieliśmy prawo przeprogramowywać te parametry. Zanim odkryliśmy, że administratorzy wśród różnych sytuacji przewidzieli także bunt.

Próbuję z innej strony.

– To może rozważ potencjalne zagrożenie.

– Nic nie wskazuje na to, żeby istniało.

– A popatrz tylko na szacunki liczby synaps. To coś ma o parę rzędów więcej mocy umysłowej niż cała cywilizacja, która nas tu posłała. Myślisz,

że można być tak inteligentnym i pożyć tak długo, nie nauczywszy się, jak się bronić? Zakładamy, że to nas prosi, żebyśmy przesunęli bramę. A co, jeśli to nie jest prośba? Co, jeśli to po prostu daje nam szansę wycofania się z twarzą, zanim weźmie sprawę w swoje ręce?

– Nie ma rąk – odzywa się Dix z drugiej strony tanku i nie wygląda na to, że żartuje. Jest po prostu tak głupi, że mam ochotę przywalić mu w mordę.

Usiłuję zachować spokój.

– Może nie potrzebuje.

– I co nam zrobi, zamruga nas na śmierć? Nie ma żadnej broni. Nawet całej tej błony nie kontroluje. Za długi czas propagacji.

– Nie wiem. O to właśnie chodzi. Nawet nie spróbowaliśmy się dowiedzieć. My jesteśmy ekipą budowlaną i jedyne, co mieliśmy do dyspozycji, to trochę budowlanych vonów przerobionych po partyzancku na badawcze. Podstawowe parametry fizyczne jakoś tam ustaliliśmy, ale nie wiemy, jak ten stwór myśli, jakie naturalne mechanizmy obrony może posiadać...

– A czego musimy się dowiedzieć? – pyta szymp, sam spokój i rozsądek.

„Niczego nie możemy się już dowiedzieć!” – mam ochotę wyrzесzczеć. „Jesteśmy skazani na to, co już mamy. Zanim te vony tam na miejscu coś wytworzą, miniemy punkt bez odwrotu! Ty durna machino, mamy zabić stworzenie inteligentniejsze od wszystkich razem ludzi w historii, a tobie się, kurwa, nie chce przesunąć autostrady na pustą działkę obok?”.

Ale oczywiście, jeśli to powiem, szanse przetrwania Wyspy, i tak już niskie, zmaleją do zera. Łapię się więc ostatecznej deski ratunku: może posiadane dane wystarczą. Skoro pozyskiwanie informacji nie wchodzi w grę, może wystarczy analiza.

- Potrzebuję czasu – odpowiadam.
- Nie ma sprawy – mówi szymp. – Ile tylko chcesz.

Szympowi nie wystarczy zabicie tej istoty. Musi na nią jeszcze napluć.

Pod pozorem pomagania mi w analizie próbuje Wyspę zdekonstruować, rozebrać ją na czynniki pierwsze i na siłę przypasować do ziemskich precedensów. Mówi mi o ziemskich bakteriach, które kwitną obok półtora miliona radów i śmieją się z wysokiej próżni. Pokazuje obrazki małych bezkręgowców *Tardigrada*, nie do zabicia – potrafią zwinąć się w kłębek i spać na skraju zera bezwzględnego, a czują się tak samo dobrze w głębokich oceanicznych rowach i w kosmosie. Dać im czas i okazję, kopnąć butem w kosmos, kto wie, co by się uległo z tych ślicznych małych bezkręgowców? Może zbite w gromadkę przetrwałyby nawet śmierć swojego macierzystego świata, a potem jakoś rozrosły się w kolonię?

Co za pierdoły.

Dowiaduję się, czego się da. Zapoznaję się z alchemią fotosyntezy, transmutującej światło, gaz i elektrony w żywą tkankę. Uczę się fizyki wiatru słonecznego, który napina tę bańkę, wyliczam dolną granicę metabolizmu formy życia filtrującej związki organiczne z eteru. Podziwiam szybkość rozchodzenia się myśli tej istoty – prawie tak szybko, jak porusza się *Eri*, parę rzędów wielkości szybciej niż impulsy nerwowe u jakiegokolwiek ssaka. Może to jakieś organiczne nadprzewodnictwo, coś, w czym schłodzone elektrony biegają prawie bez oporu – w tej mroźnej pustce to możliwe.

Zapoznaję się z plastycznością fenotypową i luźnym doborem naturalnym, tym szczęśliwym rozogniskowaniem celu ewolucji, które umożliwia gatunkom przeżywanie w obcych środowiskach i przejawianie nowych cech, które w domu wcale nie były im potrzebne. Może tą drogą

forma pozbawiona naturalnych wrogów jest w stanie wykształcić kły, pazury i zdolność do ich użycia. Przetrawanie Wyspy zależy od tego, czy jest w stanie nas zabić – muszę znaleźć coś, co będzie dla nas zagrożeniem.

Dochodzę tylko do coraz silniejszego przeświadczenia, że jestem skazana na niepowodzenie – że przemoc – zaczynam dostrzegać – jest zjawiskiem stricte planetarnym.

Planety to ci toksyczni rodzice ewolucji. Samym istnieniem powierzchni skłaniają do prowadzenia wojen, do skupiania zasobów w gęstych, łatwych do obrony punktach, o które można walczyć. Ciężenie zmusza do marnotrawienia energii na układy krążenia, mocne szkielety, nieustającą walkę przeciwko sadystycznej kampanii mającej na celu rozwałkowanie cię. Jeden zły krok, jedna przepaść i cała ta kosztowna architektura roztrzaskuje się w okamgnieniu. A nawet jeśli pokonasz te przeciwności, skleczysz sobie jakiś ociężały pancerz, który wytrzyma powolny marsz na ląd, to ile czasu potrzeba, żeby twój świat ściągnął na siebie jakąś asteroidę czy kometę, która zwali się z nieba i na nowo zresetuje czas? Nie jest dziwne, że dorastaliśmy tam w przekonaniu, że życie to ciągła walka, że Bóg gra tylko w grę o sumie zerowej, a przyszłość należy do tych, co zmiażdżą konkurencję.

Tutaj reguły są całkowicie inne. Większość przestrzeni jest spokojna: żadnych cykli dobowych ani pór roku, żadnych zlodowaceń ani globalnych ociepleń, ani dzikich wahań od gorąca po zimno, od ciszy po burzę. Zarodków życia wokół pełno: na kometach, na asteroidach, w rozciągających się na setki lat świetlnych mgławicach. Obłoki cząstek aż się świecą od związków organicznych i życiodajnego promieniowania. Ich gigantyczne, pyłowe ramiona żarzą się podczerwienią, odfiltrowują twardsze promienie, zapoczątkowują gwiazdne żłobki, które mogą się

wydawać śmiercionośnymi tylko jakimś pokręconym uciekinierom z dna studni grawitacyjnej.

Darwin to tutaj abstrakcja, nieistotna ciekawostka. Wyspa zadaje kłam wszystkiemu, co nam mówiono o mechanizmie życia. Energię czerpie ze słońca, jest doskonale przystosowana, nieśmiertelna i nie wygrała żadnej walki o przetrwanie – bo gdzie są drapieżniki, konkurenci, pasożyty? Całe życie wokół 428 to jedno ogromne kontinuum, jeden gigantyczny akt symbiozy. Tu natura nie ma krwawych kłów i szponów, przeciwnie – wyciąga pomocną dłoń.

Wyspa przetrwała całe światy niezdolna do przemocy. Nieobciążona technologią, wygrała na myślenie z całym cywilizacjami. Jest inteligentna ponad ludzką miarę i...

I łagodna. Musi być łagodna. Upewniam się co do tego z każdą godziną. Bo czy coś takiego jak wróg jest w ogóle dla niej do pomyślenia?

Myślę, jakimi słowami ją określałam, niewiele wiedząc: „białkowy balon”, „cysta”. Z perspektywy czasu brzmią jak bluźnierstwa. Nigdy ich już nie użyję.

Poza tym, jeśli szymp postawi na swoim, będzie inne, lepiej pasujące określenie: padlina na szosie. I im dłużej patrzę, tym bardziej się obawiam, że ta nienawistna machina ma rację. Może i ta Wyspa ma jakieś możliwości obrony, ale ja za cholere nie widzę, jakie.

– Bo wiesz, nawet taka *Eriophora* jest niemożliwa. Narusza prawa fizyki.

Siedzimy w jednym z pomieszczeń wypoczynkowych odchodzących od struny grzbietowej statku, robimy sobie przerwę od biblioteki. Zamierzam zacząć od nowa, od fundamentów. Dix patrzy na mnie ze zrozumiałą

dezorientacją i nieufnością; moja teza wydaje mu się aż za głupia, żeby jej zaprzeczać.

– To prawda – zapewniam go. – Żeby przyśpieszyć statek o masie *Eri*, potrzeba o wiele za dużo energii, szczególnie przy relatywistycznych prędkościach. Tyle, co emisja całego słońca. Ludzie wymyślili kiedyś, że jeśli w ogóle mamy się dostać do gwiazd, trzeba to zrobić statkami wielkości kciuka. A załogę powinny stanowić wirtualne transfery osobowości, na chipach.

To jest tak bzdurne, że nawet Dix nie wytrzymuje.

– Nieprawda. Nie ma masy, to nie może spadać w żadną stronę. Taka mała *Eri* w ogóle by nie działała!

– Ale założmy, że tej masy nic nie wypiera. Nie ma tuneli czasoprzestrzennych, ani obwodów Higgosa, niczego, co by mogło popchnąć twoje pole grawitacyjne w kierunku celu. Twój środek ciężkości po prostu tkwi pośrodku masy i tyle.

Znów to spastyczne kręcenie głową.

– Ale przecież są te rzeczy!

– Pewnie. Tylko że bardzo długo nie mieliśmy o tym pojęcia.

Stopą wystukuje na pokładzie nerwowy capstryk.

– Cała historia gatunku tak biegnie – tłumaczę. – Myślimy, że już wszystko wyjaśniliśmy, rozwiązaliśmy wszystkie tajemnice, aż tu nagle ktoś znajduje w danych jakiś jeden denerwujący punkcik niepasujący do koncepcji. I za każdym razem, gdy próbujemy go łątać, robi się coraz większy, aż w końcu rozpruwa się cały światopogląd. To już się działo masę razy. Jednego dnia masa jest ograniczeniem, drugiego jest niezbędna i przydatna. Nasza wiedza się zmienia, Dix. A my musimy się zmieniać razem z nią.

– Ale...

– Ale szymp nie potrafi się zmienić. Kieruje się regułami, które mają dziesięć miliardów lat, nie ma ni chuja wyobraźni, i to nawet nie jest niczyja wina, po prostu tak go zrobili ludzie, którzy nie mieli pomysłu, jak inaczej zapewnić misji stabilność przez długi okres czasu. Chcieli, żebyśmy nie schodzili z kursu, więc dali nam coś, co w ogóle nie potrafi z niego zejść – ale z drugiej strony wiedzieli, że świat się zmienia, dlatego jesteśmy tu także my, Dix. Żeby poradzić sobie z tym, z czym szymp nie jest w stanie.

– Jak z obcym – mówi Dix.

– Z obcym.

– Szymp radzi sobie z nim całkiem dobrze.

– Jak? Zabijając go?

– To nie nasza wina, że stanął nam na drodze. Nie stanowi zagrożenia...

– Nie obchodzi mnie, stanowi zagrożenie czy nie! Wyspa jest żywa, inteligentna i żeby ją zabijać tylko po to, by rozszerzyć imperium jakichś obcych...

– Ludzkie imperium. Nasze imperium. – Dłonie przestają mu drgać. Nagle jest nieruchomy jak kamień.

Prycham.

– A co ty wiesz o ludziach?

– Ja? Jestem człowiekiem.

– Jesteś jakimś, kurwa, trylobitem. W ogóle widziałeś, co wyłazi z tych naszych bramek, jak już zaczną działać?

– Przeważnie nic. – Waha się, zastanawia. – Może... parę statków albo coś.

– No, a ja widziałam tego dużo więcej, i wierz mi, jeśli oni w ogóle kiedykolwiek byli ludźmi, to tylko przejściowo.

– Ale...

– Dix... – Biorę głęboki wdech, próbuję wrócić do tematu. – Posłuchaj, to nie twoja wina. Wszystkie informacje w życiu otrzymałeś od krety, który jedzie po szynach. Ale my nie robimy tego dla Ludzkości, nie robimy tego dla Ziemi. Ziemi dawno nie ma, nie rozumiesz? Słońce spaliło ją na popiół miliard lat po naszym wylocie. Ta rasa, dla której pracujemy... ona... nawet nie chce z nami rozmawiać.

– Naprawdę? To po co my to robimy? Czemu w ogóle nie zrezygnujemy?

On naprawdę nie ma pojęcia.

– Próbowaliśmy – mówię.

– I co?

– I wtedy ten twój szymp wyłącza nam systemy podtrzymywania życia.

Choć raz nie wie, co powiedzieć.

– Dix, to maszyna. Czemu to do ciebie nie dociera? Tak jest zaprogramowana. Nie może się zmienić.

– My też jesteśmy maszynami, tylko z czego innego jesteśmy zbudowani. I my się zmieniamy.

– O, tak? A kiedy ostatni raz patrzyłam, to byłeś tak przyssany do cycka tej maszyny, że nawet nie byłeś w stanie wyłączyć sobie złącza korowego.

– Bo ja się tak uczę. Nie ma powodu, żeby to zmieniać.

– Ale może czasem, dla odmiany, zachowałbyś się, kurna, jak człowiek? Wytworzył jakąś więź z ludźmi, którzy mogą ci uratować twoją żalną dupę, kiedy następnym razem wyjdiesz poza statek? To dla ciebie wystarczający powód? Bo ja ci chętnie powiem: nie mam do ciebie za grosz zaufania. Nawet teraz nie wiem na pewno, z kim rozmawiam.

– To nie moja wina. – Po raz pierwszy widzę w jego twarzy coś spoza standardowego repertuaru, strachu, zmieszania i prostej kalkulacji. – Wasza wina, was wszystkich. Wszyscy tak pokrętnie gadacie. Pokrętnie myślicie.

Aż mnie boli od tego. – Rysy twarzy mu twardnieją. – Ja w ogóle cię tu nie potrzebowałem. Nie chciałem. Sam bym sobie dał radę z całą budową, mówiłem Szypowi, że dam radę...

– Ale szyp pomyślał, że jednak trzeba mnie obudzić, a ty szypowi zawsze ustępujesz, prawda? Bo szyp zawsze wie lepiej, szyp to twój szef, szyp to twój, kurwa, bóg.

I jednak musiałam wstać, żeby niańczyć jakiegoś uczonego idiotę, który nawet nie odpowie na przywitanie, jeśli się go nie szturchnie. – Coś mi piska gdzieś z tyłu głowy, ale już się za bardzo nakręciłam. – Chcesz mieć prawdziwy wzór do naśladowania? Kogoś, od kogo się nauczysz? To daruj sobie szypa. Zapomnij o misji. Popatrz przez przedni teleskop. Co ci szkodzi? Zobacz sobie, co twój kochany szyp chce rozjechać, bo przypadkiem stanęło mu na drodze. To coś jest lepsze niż my wszyscy razem wzięci. Inteligentniejsze, pokojowo nastawione i nie życzy nam źle ani...

– Skąd ty to wiesz? Tego nie da się poznać!

– Nie, ty tego nie jesteś w stanie poznać, bo jesteś, kurwa, niedorozwojem. Każdy normalny jaskiniowiec zobaczyłby to w sekundę, a ty...

– To wariactwo – syczy Dix. – Jesteś świrem! Jesteś zła!

– Jestem zła! – Jakaś odległa część mojej jaźni słyszy ten niepoważny skrzek w moim głosie, na pograniczu hysterii.

– Zła dla misji. – Dix odwraca się i odchodzi.

Bolą mnie dłonie. Patrzą na nie, zaskoczona: pięści mam zaciśnięte tak mocno, że paznokcie powbijają się w ciało. Muszę się naprawdę wysilić, żeby je z powrotem rozewrzeć.

Powoli przypominam sobie to uczucie. Kiedyś cały czas się tak czułam. Dawno temu, kiedy to wszystko było dla mnie ważne; zanim pasja

zredukowała się do rytuału, a furia do pogardy. Zanim Sudany Azhmundin, bojowniczką wieczności, nie poprzestała na obrzucaniu obelgami niedorozwiniętych dzieciaków.

Kiedyś płonęliśmy jasnym ogniem. Niektóre fragmenty statku jeszcze są osmalone i nie nadają się do użytku, nawet teraz. Pamiętam, jak się wtedy czułam.

Tak się człowiek czuje, kiedy nie śpi.

Nie śpię, jestem sama i mam potąd debili, którzy mają przewagę liczebną. Są zasady, są ryzyka, nie budzi się umarłych dla kaprysu, ale chuj z tym. Wezwę sobie wsparcie.

Dix musi mieć jeszcze innych rodziców, przynajmniej ojca, tego chromosomu Y nie dostał w końcu ode mnie. Przetykam niepokój i sprawdzam w manifeście statku; wyciągam sekwencje genów, sprawdzam krzyżowo.

Hm. Tylko jeden możliwy rodzic: Kai. Zastanawiam się, czy to tylko zbieg okoliczności, czy może szymp wyciągnął o jeden wniosek za dużo z naszego gorącego jebanka podczas przelotu przez Wielką Szczelinę. Wszystko jedno. Jest tak samo mój, jak i twój, Kai, pora stanąć na wysokości zadania, pora, żeby...

O cholera. No nie. Proszę. Nie.

(Są zasady. I są ryzyka).

Trzy budowy temu, czytam. Kai i Connie. Oboje. Jedna śluza zablokowana, druga na drugim końcu kadłuba *Eri*, a pomiędzy nimi długa, awaryjna wspinaczka po kadłubie. Wrócili do środka, ale zanim zdążyli, przesunięte ku błękitowi tło ugotowało ich we własnych skafandrach. Oddychali jeszcze przez wiele godzin, chodzili, gadali, płakali, całkiem jakby żyli, a w środku rozpadali się i wykrwawiali.

Na tamtej wachcie były jeszcze dwie osoby, one musiały posprzątać cały ten bajzel. Ishmael i...

– Eee... tego... mówiłaś...

– Ty skurwielu! – Zrywam się na równe nogi i walę syna z całej siły w twarz, dziesięciosekundowa udręka, ale w tle dziesięć milionów lat wyparcia. Czuję, jak pod wargami ustępują zęby. Przewraca się w tył z oczyma wytrzeszczonymi jak teleskopy, na ustach już ma krew.

– Mówiłaś, że mogę wrócić...! – Pojękuje, odczołgując się po pokładzie.

– To był, kurwa, twój, ojciec! Ty wiedziałeś, przecież tam byłeś! Zginął na twoich oczach, a ty nic mi nie powiedziałeś!

– Ja... ja...

– Czemu mi nie powiedziałeś, ty sukinsynu? Szypm kazał ci kłamać, tak? A czy...

– Myślałem, że wiesz! – krzyczy. – Czemu nie wiedziałaś?

Moja furia ulatnia się, jak powietrze przez wyrwę w pancerzu. Opadam z powrotem w kapsułę, kryję twarz w dłoniach.

– Jest w dzienniku – skomli. – Jak wół. Nikt tego nie ukrywał. Jak mogłaś nie wiedzieć?

– Mogłam – przyznaję tępo. – Albo... raczej... znaczy...

Znaczy, że nie wiedziałam, ale to żadna niespodzianka, gdzieś głęboko wcale nie jestem zdziwiona. Po prostu... po jakimś czasie przestaje się tam patrzeć.

Są pewne reguły.

– Mnie też nigdy nie pytałaś – mówi łagodnie mój syn. – Co tam u nich.

Unoszę wzrok. Dix patrzy na mnie wytrzeszczonymi oczyma z drugiego końca pokoju, pod ścianą, zbyt przestraszony, żeby zaryzykować ucieczkę do drzwi – musiałby mnie wtedy minąć.

– Co ty tu robisz? – pytam znużonym tonem.

Głos mu się łamie. Musi spróbować drugi raz:

– Mówiłaś... że mogę wrócić. Jak wypalę sobie łącze.

– Wypaliłeś sobie łącze.

Przełyka głośno ślinę i kiwa głową. Ociera krew wierzchem dłoni.

– A co na to szymp?

– Powiedziała... ta maszyna powiedziała, że nie ma sprawy – odpowiada Dix, tak ewidentnie przypoehlebnym tonem, że od razu mu wierzę, że naprawdę jest teraz zdany na siebie.

– Czyli poprosiłeś go o zgodę.

Kiwa głową, choć odpowiedź ma dawno wypisaną na twarzy.

– Dix, przestań mi ściemniać.

– On... właściwie to mi to poradził.

– Rozumiem.

– Żebyśmy mogli rozmawiać – dodaje.

– A o czym chcesz rozmawiać?

Wbija wzrok w podłogę i wzrusza ramionami.

Wstaję i podchodzę do niego. Spina się, ja jednak kręcę głową, rozkładam dłonie.

– Dobrze. Już dobrze.

Opieram się o ścianę i zsuwam, aż ląduję obok niego na pokładzie.

Przez chwilę tak siedzimy.

– To było tak dawno – mówię w końcu.

Patrzy na mnie, nie rozumiejąc. Co to w ogóle znaczy „dawno”, zwłaszcza tutaj?

Próbuję jeszcze raz.

– Podobno nie ma czegoś takiego jak altruizm, wiesz?

Oczy szklą mu się na moment, potem panikują – wiem, że właśnie spróbował ściągnąć sobie łączem definicję i nic nie dostał. Więc naprawdę

jesteśmy sam na sam.

– Altruizm – wyjaśniam. – Bezinteresowność. Robienie czegoś, co ciebie kosztuje, ale pomaga komuś innemu.

Wygląda na to, że rozumie.

– Mówią, że każdy bezinteresowny czyn sprowadza się w zasadzie do manipulacji, doboru krewniaczego, wzajemności czy czegoś takiego, ale się mylą. Byłabym w stanie... – Zamykam oczy. To trudniejsze niż myślałam. – Byłabym w stanie się cieszyć po prostu ze świadomości, że z Kaiem jest wszystko okej, że Connie jest szczęśliwa. Nawet gdyby mnie to ani trochę nie pomagało, nawet gdyby mnie coś kosztowało, nawet gdyby nie było szansy, że ich kiedykolwiek zobaczę. Zapłaciłbym niemal każdą cenę, żeby po prostu wiedzieć, że wszystko z nimi w porządku. Żeby po prostu wierzyć, że...

Jej nie widziałam od pięciu budów. On nie trafił na tę samą wachtę od czasów Wodnika. Po prostu śpią. Może następnym razem.

– I dlatego nie sprawdzałaś – mówi powoli Dix. Na dolnej wardze pojawia mu się pęcherzyk krwi. Chyba tego nie zauważa.

– My nie sprawdzamy.

Tylko że ja sprawdziłam, i trach – ich nie ma. Obojga. Nie licząc odrobiny skanibalizowanych nukleotydów, z których szymp ulepił tego mojego niepełnosprawnego i nieprzystosowanego syna. Jesteśmy jedynymi ciepłokrwistymi istotami w promieniu tysięcy lat świetlnych i czuję się przez to taka samotna.

– Przepraszam – szepczę, nachylam się i zlizuję krew z jego obitych, sinych warg.

Na Ziemi – kiedy jeszcze istniała Ziemia – były takie małe zwierzaki zwane kotami. Miałam jednego przez jakiś czas. Czasem całymi godzinami

patrzyłam, jak śpi: łapki, wąsy i oczy poruszały się gwałtownie, kiedy gonił wyimaginowaną ofiarę przez wyczarowane przez śpiący mózg krajobrazy.

Mój syn tak wygląda, kiedy szymp wpełza w jego sny.

Tylko że tu to jest aż za dosłowne na tę metaforę: kabel wchodzi mu do głowy, jak pasożyt, żywi się nim poprzez staroświecki światłowód, odkąd łączność bezprzewodowa poszła z dymem. Albo przeciwnie, karmi go, i to na siłę – trucizna płynie do głowy Dixy, a nie z niej wypływa.

Nie powinno mnie tutaj być. Dopiero co miałam napad złości, kiedy naruszył moją prywatność, prawda? (Dopiero co: dwanaście dni świetlnych temu. Wszystko jest względne). Nie widzę jednak żadnej prywatności, którą mogłabym naruszyć – żadnych dekoracji na ścianach, żadnej sztuki, żadnych hobby, żadnej konsoli do symulacji. Zabawki erotyczne, których pełno w każdej kwaterze, leżą nieużywane na półkach; gdyby nie ostatnie przeżycie, założyłabym, że jest napchany środkami obniżającymi libido.

Co ja tu robię? Czy to jakiś skrzywiony instynkt macierzyński, jakiś szczątkowy wynik plejstocenowej macierzyńskiej procedury? Czy ja aż tak jestem robotem? To mój pień mózgu wysłał mnie tu, żeby pilnować swojego dziecka?

Pilnować partnera?

Kochanek czy larwa, w gruncie rzeczy to nie ma znaczenia, jego kwatery jest jak pusta skorupa, nie ma tu nic z Dixy. Tylko jego porzucone ciało drga w pseudokapsule, poruszają się palce, oczy przeskakują pod zamkniętymi powiekami w reakcji na bodźce stamtąd, gdzie teraz jest jego mózg.

Nie wiedzą, że tutaj jestem. Szymp nie wie, bo miliard lat temu wypaliliśmy mu te wścibskie oczy, a mój syn nie wie – bo dla niego w tej chwili nie ma czegoś takiego, jak „tutaj”.

I co ja mam, Dix, z tobą zrobić? Nic się tu nie trzyma kupy. Nawet twoja mowa ciała wygląda, jakbyś dorastał w zbiorniku – ale nie jestem przecież pierwszym człowiekiem, którego widziałeś na oczy. Dorastałeś w dobrym towarzystwie, wśród ludzi, których znam i którym ufam. Ufałam. Jak to się stało, że wylądowałeś po drugiej stronie? Jak to się stało, że pozwolili ci się wymknąć?

I czemu mnie o tobie nie powiedzieli?

No tak, są reguły. Zagrożenie wrogą obserwacją podczas długich, martwych nocy, groźba... innych strat. Ale coś takiego jest bezprecedensowe. Przecież ktoś mógł coś mi zostawić, jakąś aluzję opakowaną w metaforę zbyt subtelną, by rozszyfrowali ją prostaczkowie...

Dużo bym dała, żeby móc się podpiąć do tego kabla i zobaczyć to, co teraz widzisz. Oczywiście nie mogę tego zaryzykować, zdradziłabym się natychmiast, gdybym tylko spróbowała próbować cokolwiek poza podstawowymi parametrami transmisji...

...zaraz, sekundę...

Prędkość tej transmisji jest o wiele za mała. Nie wystarczy na grafikę w wysokiej rozdzielczości, a co dopiero dotyk i węch. W najlepszym razie siedzisz w świecie wyrysowanym z drucianych szkieletów.

Ale patrzcie tylko. Palce, oczy – jak u kota, śniącego o myszach i szarlotkach. Całkiem jak ja, kiedy odgrywałam sobie dawno nieistniejące oceany i góry Ziemi, zanim nauczyłam się, że życie przeszłością to odpowiednik śmierci w teraźniejszości. Prędkość transmisji mówi, że nie wystarczy nawet na obraz kontrolny; twoje ciało mówi, że jesteś zanurzony w innym świecie. Jak ta maszyna zdołała cię tak ogłupić, że taki cienki kleik masz za prawdziwą ucztę?

I po co jej to było? W danych łatwiej się zorientować, kiedy można ich dotknąć, usłyszeć je, posmakować; nasze mózgi są stworzone do

subtelniejszych niuansów niż krzywe sklejane i wykresy punktowe. Najbardziej suche specyfikacje techniczne są bardziej obrazowe niż to. Czemu poprzestawać na ludzikach z kresek, skoro można malować farbą olejną i hologramami?

Po co w ogóle upraszczać? A. Żeby zmniejszyć zestaw zmiennych. Żeby zarządzać czymś, co jest niezarządzalne.

Kai i Connie. O właśnie. To były dwa splątane, niezarządzalne zbiory danych. Do wypadku. Po nim scenariusz znacznie się uprościł.

Ktoś powinien był mnie przed tobą ostrzec, Dix.

A może zresztą ktoś próbował.

I oto przychodzi chwila, gdy mój syn opuszcza gniazdo, obleka się w przypominający żuka pancerz i wychodzi. Nie jest sam; na kadłubie *Eri* towarzyszy mu jeden ze zdalników szympa, na wypadek gdyby potknął się i spadł w rozgwieżdżoną przeszłość wokół.

Możliwe, że to nigdy nie wyjdzie poza ćwiczenia, może ten scenariusz – katastrofalna awaria układów sterowania, szymp i jego kopie zapasowe wyłączone, cała obsługa spada na barki z krwi i kości – to próba do kryzysu, który nigdy nie nastąpi. Jednakże w czasie długim jak życie wszechświata nawet najmniejsze prawdopodobieństwo dąży do pewności, więc odprawiamy te rytuały. Ćwiczymy. Wstrzymujemy oddech i nurkujemy na zewnątrz. Terminy są tam krótkie – nawet w pancerzu, przy tej prędkości przesunięte do błękitu promieniowanie usmaży nas w parę godzin.

Narodziły się i rozpadły całe światy, odkąd ostatni raz użyłam mikrofonu w mojej kwaterze.

– Szymp.

– Zawsze do usług, Sunday. – Gładki, wygadany, przyjacielski. Łatwy rytm dla wyćwiczonego psychopaty.

– Wiem, co robisz.

– Nie rozumiem.

– Myślisz, że nie wiem, co się dzieje? Budujesz sobie następną wersję. Stara gwardia jest dla ciebie zbyt upierdliwa, więc zacząłeś od zera, z ludźmi, którzy nie pamiętają dawnych czasów. Ludźmi, których sobie poupraszczałeś.

Szym się nie odzywa. Kamera robota pokazuje Dixę gramolącego się po nierównej powierzchni z bazaltu i kompozytów z osnową metalową.

– Ale nie jesteś w stanie wychować ludzkiego dziecka, nie samodzielnie.
– Wiem, że próbowałem; w manifeście nie ma żadnych zapisów o obecności Dixy, dopóki nie osiągnął kilkunastu lat; a wtedy po prostu któregoś dnia się pojawił i nikt nie zadawał żadnych pytań, bo nikomu nie przyszło do głowy...

– Popatrz tylko, co z nim zrobiłeś. Jest świetny w instrukcjach warunkowych, jeśli-to. Nie do pobicia w mieleniu cyferek i pętłach. Ale nie potrafi myśleć. Najprostsza intuicja jest poza jego zasięgiem. Kojarzysz mi się z tymi... – przypominam sobie ziemski mit, z czasów, gdy czytanie nie wydawało mi się tak nieprzyzwoitym marnotrawstwem czasu – ...z tymi wilkami, które próbowały wychować ludzkie dziecko. Możesz go nauczyć, jak poruszać się na czworakach, nauczyć go dynamiki stada, ale nie nauczysz go, jak chodzić na tylnych łapach, mówić i być człowiekiem, bo jesteś na to, kurwa, za głupi. I w końcu sam sobie to uświadomiłeś. Dlatego mi go wcisnąłeś. Bo myślisz, że ja go dla ciebie naprawię. – Robię głęboki wdech i zagrywam. – Ale on dla mnie nic nie znaczy. Rozumiesz? Gorzej niż nic, jest dla mnie obciążeniem. Jest szpiegiem, pokurczem marnującym

O₂. Rzuć mi jeden powód, dla którego nie miałabym go tam potrzymać, aż się usmaży.

– Przecież jesteś jego matką – mówi szymp, bo naczytał się wszystkiego o doborze krewniaczym, a na subtelności jest za durny.

– A ty jesteś kretynem.

– Kochasz go.

– Nie. – W piersi formuje mi się lodowata bryła. Usta wypowiadają słowa, miarowo, bez wyrazu. – Nie potrafię nikogo kochać, ty durna maszyno. Dlatego właśnie tu jestem. Myślisz, że oni by powierzyli swoją ważną, nieskończoną misję takim małym, szklanym laleczkom czującym potrzebę więzi?

– Ty go kochasz.

– Mogę go zabić w każdej chwili. I dokładnie to zrobię, jeśli nie przesuniesz bramy.

– Powstrzymam cię – mówi łagodnie szymp.

– Sprawa jest prosta. Przesuwasz bramę i oboje wygrywamy. Albo możesz się zaprzeć i spróbować pogodzić tę matczyną potrzebę, jaką mam według ciebie, z moją determinacją, żeby bachorowi przetrącić kark. Przed nami długa droga, wiesz? I możesz jeszcze stwierdzić, że mnie nie tak łatwo zredukować z równania jak Kaia i Connie.

– Misji nie jesteś w stanie przerwać – mówi, prawie delikatnie. – Już kiedyś próbowałaś.

– Nie chodzi mi o przerwanie misji. Tylko o to, żeby trochę ją spowolnić. Twój optymalny scenariusz nie wchodzi już w grę. Ta brama zostanie skończona tylko jeśli uratujemy Wyspę albo zabijemy twój prototyp. Możesz wybierać.

Analiza korzyści jest trywialna. Szymp umie rozwiązać ją w okamgnieniu. Mimo to, nic nie mówi. Milczenie się przeciąga. On szuka

jakiejś innej opcji, mogę się założyć. Jakiegoś obejścia. Próbuje podważyć same założenia tego scenariusza, dojść, czy mówię poważnie, czy wszystkie książkowe mądrości o macierzyńskiej miłości naprawdę mogą być aż tak nietrafione. Może właśnie mieć historyczne statystyki dotyczące zabójstw rodzinnych, szukając jakiejś luki. Pewnie i jakaś by się znalazła. Ale szymp to nie ja – to prostszy system, który chce przechytrzyć bardziej złożony, i to mi daje przewagę.

– Będziesz mi winna przysługę – mówi w końcu.

Omam nie wybucham śmiechem.

– Co takiego?

– Albo powiem Dixonowi, że groziłaś mu śmiercią.

– To powiedz. No już.

– Nie chcesz, żeby wiedział.

– Jest mi wszystko jedno, wie czy nie. Co myślisz, że będzie próbował się zemścić, zabić mnie? Myślisz, że stracę jego miłość? – przeciągam ostatnie słowo, podkreślam je, żeby pokazać jego absurdalność.

– Stracisz jego zaufanie. A wy musicie sobie ufać.

– A, no tak. Zaufanie. Sam, kurwa, fundament tej misji.

Szym p milczy.

– A tak dla podtrzymania dyskusji – mówię po chwili – powiedzmy, że się na to zgodzę. To co dokładnie będę ci winna?

– Przysługę – odpowiada szymp. – Zrewanżujesz mi się w przyszłości.

Mój syn polatuje niewinnie na tle gwiazd, gdy waży się jego życie.

Teraz śpimy. Szymp niechętnie wykonuje korekty tysięcy drobnych trajektorii. Co parę tygodni dzwoni mi budzik – wypalam odrobinę swojej świeczki, żeby sprawdzić, czy wróg nie postanowił wykręcić jakiegoś szybkiego numeru, na razie wygląda jednak na to, że jest grzeczny.

DHF428 skacze ku nam poklatkowym ruchem za każdym przebudzeniem, kadrami nawleczonymi jak koraliki na nieskończoną żyłkę. Po sterburcie w polu widzenia pojawia się hala fabryczna: rafinerie, zbiorniki, nanofabrykatory, roje robocików von Neumanna mnożących się, kanibalizowanych i powtórnie wykorzystywanych, jako obwody, jako ekranowanie, jako holowniki i części zamienne. Najlepsza technologia z Cro-Magnon mutuje i rozprzestrzenia się przerzutami po wszechświecie niczym opancerzony rak.

A pomiędzy nią a nami migoce opalizująca forma życia, krucha, nieśmiertelna i niewyobrażalnie obca, samym faktem swojego istnienia sprowadzająca wszystko, czego dokonał mój gatunek, do błota i śmiecia. Nigdy nie wierzyłam w żadnych bogów, w absolutne dobro czy zło. Wierzyłam tylko, że są rzeczy, które działają, i takie, które nie działają. Reszta to jedna wielka ściema, sztuczki magiczne obliczone na zmanipulowanie takich roboli jak ja.

Wierzę jednak w Wyspę, właśnie dlatego, że nie muszę. Ona nie musi być brana na wiarę: wisi przed nami, jej istnienie jest namacalnym faktem. Nigdy nie poznam jej umysłu ani szczegółów jej genezy i ewolucji. Za to ją widzę: potężną, oszałamiającą i tak nieskończenie nieludzką, że chyba nie ma wyjścia – musi być od nas lepsza, lepsza niż wszystkie istoty, które mogą z nas wyewoluować.

Wierzę w Wyspę. Żeby ją uratować, zagrałam życiem własnego syna. Zabiłabym go, żeby pomścić jej śmierć.

Może jeszcze będę musiała to zrobić.

Po tylu milionach zmarnowanych lat w końcu zrobiłam coś wartościowego.

Ostatnie podejście.

Przede mną zbiegają się pozagnieżdżane jedna w drugiej siatki celownicze, tworząc hipnotyzujący, nieskończony ciąg zogniskowanych na celu punktów. Nawet teraz, parę minut od zapłonu, z tej odległości nienarodzonej bramy nie widać. I w żadnym momencie nie dostrzeżemy jej nieuzbrojonym okiem. Zbyt szybko przelecimy przez ucho igielne – zanim się zorientujemy, będzie już za nami.

Albo, jeśli twoje korekty kursu rozejdą się z nim choć o włos – jeśli obejmująca tysiąc bilionów kilometrów krzywa minie się z celem choćby o tysiąc metrów – zginiemy. I też się nie zorientujemy.

Przyrządy meldują, że jesteśmy dokładnie w celu. Szypm mówi, że jesteśmy dokładnie w celu. *Eriophora* spada naprzód, ciągnięta własną, magicznie wypieraną masą.

Patrzę przez oko sondy daleko przed nami. To okno w przeszłość – nawet w tej chwili ma parę minut opóźnienia – ale przeszłość z każdą korsekundą zbiega się z terażniejszością. Świeżo postawiona brama majaczy ciemno, złowrogo na tle gwiazd, wielka rozdziawiona paszcza gotowa do połknięcia rzeczywistości. Vony, rafinerie, linie montażowe parkują z boku w pionowych słupkach. Odwaliły swoją robotę, ich okres użyteczności minął, zaraz zostaną mimochodem zanihilowane. Z jakiegoś powodu trochę mi ich szkoda. Zawsze tak mam. Żałuję, że nie mogę ich pozbierać i zabrać ze sobą, wykorzystać przy następnej budowie – lecz proste ekonomiczne reguły sięgają wszędzie, a mówią, że taniej użyć tych narzędzi raz i wyrzucić.

Reguła, którą szypm wziął sobie do serca bardziej niż się spodziewano.

Dobrze, że chociaż oszczędziliśmy Wyspę. Szkoda, że nie możemy na chwilę zostać. Pierwszy kontakt z prawdziwie obcą inteligencją i czym się wymieniamy? Sygnalizacją drogową. Nad czym rozmyśla Wyspa, kiedy nie błaga o darowanie życia?

Przyszło mi do głowy, żeby zapytać. Żeby obudzić się, gdy opóźnienie zmniejszy się z uniemożliwiającego do tylko utrudniającego kontakt, żeby wypracować jakiś kulawy język, który mógłby przenieść prawdy i filozofię umysłu większego niż cała ludzkość. Co za dziecinna fantazja. Wyspa istnieje daleko poza groteskowymi darwinowskimi procesami, które ukształtowały moją biologię. Wspólnota, kontakt umysłów, to w ogóle nie wchodzi w grę. Anioły z mrówkami nie gadają.

Niecałe trzy minuty do zapłonu. Widzę światło na końcu tunelu. Mimowolny wehikuł czasu już prawie nie patrzy w przeszłość – właściwie mogłabym już wstrzymać oddech na te parę sekund, których potrzebuje przeszłość na wyprzedzenie teraźniejszości. Według wszystkich źródeł utrzymujemy się w celu.

Piska ekran taktyczny.

– Sygnał – melduje Dix.

Faktycznie, w tanku słońce znowu migocze. Serce mi podskakuje. Czyżby anioł jednak się do nas odezwał? Może chce nam podziękować? Dać lekarstwo na śmierć ciepłą? Ale...

– Ona jest przed nami – mruczy Dix, a mnie więźnie w gardle nagły domysł.

Dwie minuty.

– Jakoś źle policzyliśmy – szepcze Dix. – Nie przesunęliśmy bramy wystarczająco daleko.

– Przesunęliśmy – mówię. – Dokładnie tam, gdzie powiedziała nam Wyspa.

– Ale ona jest nadal przed nami! Popatrz na słońce!

– Popatrz na sygnał – odpowiadam.

On bowiem nie przypomina tych misternych sygnałów nawigacyjnych, za którymi szliśmy przez ostatnie trzy tysiące miliardów kilometrów. Jest

jakby... losowy. Spontaniczny, paniczny. To nagły, przerażony krzyk istoty wziętej z zaskoczenia, mającej ledwie parę sekund, żeby zareagować. I choć takiego akurat wzoru z kropek i spiral nigdy nie widziałam, wiem dokładnie, co on znaczy.

Stać. Stać. Stać. Stać.

Nie stajemy. Nie ma we wszechświecie takiej siły, która mogłaby nas chociaż przyhamować. Przeszłość zrównuje się z terażniejszością: *Eriophora* w nanosekundę nurkuje w samym środku bramy. Niewyobrażalna masa jej zimnego, czarnego serca łapie się jakiegoś odległego wymiaru i przyciąga go z wrzaskiem tu i teraz. Za nami eksploduje odpalona brama, rozkwitając w wielką, oślepiającą koronę, siejąc na wszystkich długościach fal promieniowaniem zabójczym dla wszystkich żywych istot. Nasze filtry od strony rufy zatrząskują się na głucho.

Ciekawe, czy zauważycie tego trupa, którego po sobie zostawiliśmy.

– Może czegoś nie zauważyliśmy – mówi Dix.

– My prawie niczego nie zauważamy – odpowiadam.

DHF428 za naszymi plecami przesuwa się ku czerwieni.

Mrugają artefakty soczewkujące: brama się ustabilizowała, tunel czasoprzestrzenny jest włączony, jego potężna metalowa paszcza zionie światłem, przestrzenią i czasem, tworząc tęczujący bąbel. Będziemy patrzeć na niego przez ramię, aż miniemy granicę Rayleigha, aż stracimy go z oczu – i długo potem.

Jak na razie nic z niego nie wylazło.

– Może źle policzyliśmy – mówi. – Pomyliliśmy się gdzieś.

Dobrze policzyliśmy. Po niecałej godzinie wszystko sprawdzam jeszcze raz. Wychodzi po prostu, że Wyspa miała... wrogów. No, w każdym razie

ofiary.

W jednej kwestii miałam rację. Inteligentna była ta cholera. Musiała: żeby nas wypatrzeć, wymyślić, jak do nas zagadać, wykorzystać nas jako broń; obrócić zagrożenie własnego życia w... w...

Packę na muchy – chyba najbardziej pasuje.

– Może mieli tam wojnę – mamrocę. – Może potrzebowała przestrzeni do życia. A może to był po prostu jakiś... rodzinny konflikt.

– Może nie wiedziała – podsuwa Dix. – Może myślała, że pod tymi współrzędnymi nic nie ma.

Czemu ty tak myślisz, zastanawiam się. Ciebie to w ogóle obchodzi? I wtedy do mnie dociera: pewnie, że nie obchodzi. Wyspa nie obchodzi go bardziej niż wcześniej. Bardziej niż kiedykolwiek. On nie wymyśla tych optymistycznych alternatyw dla siebie.

Mój syn stara się mnie pocieszyć.

Ale ja nie potrzebuję przytulania. Głupia byłam: sama z siebie uwierzyłam w życie pozbawione konfliktu, w samoświadomość bez grzechu. Przez moment żyłam w świecie z marzeń, gdzie życie nie było egoistyczne i manipulatorskie, gdzie żadna żywa istota nie walczyła o przetrwanie kosztem innych istnień. Ubóstwiłam to, czego nie rozumiałam, to, co potem okazało się aż za łatwe do zrozumienia.

Ale już się z tego wyleczyłam.

Skończone: kolejna budowa, kolejna poprzeczka do pokonania, kolejny kawałek życia przepadł bezpowrotnie, nie zbliżywszy misji ani trochę do celu. To nieistotne, jak dobrze nam idzie. Nie ma znaczenia, jak dobrze wykonujemy zadanie. Słowa „misja wykonana” są na *Eriophorze* czymś bez znaczenia, w najlepszym razie paradoksalnym oksymoronem. Klęska może się któregoś dnia zdarzyć, ale linii mety nie ma. Lecimy bez końca,

pełniemy przez wszechświat jak mrówki, wlokąc za sobą tę waszą cholerną superautostradę.

Wiele się jeszcze muszę nauczyć.

Dobrze, że chociaż mam syna. On mnie nauczy.

Cosie

Jestem Blairem – uciekam tyłem, gdy świat napiera od przodu.

Jestem Copperem. Powstaję z martwych.

Jestem Childsem. Pilnuję głównego wejścia.

Te nazwiska nie są istotne. To tylko wypełniacze, nic więcej; cała biomasa jest doskonale wymienna. Ważne jest, że oni to wszystko, co ze mnie zostało. Całą resztę świat spalił.

Widzę siebie przez okno, jak brnę przez burzę, odziany w Blaira. MacReady kazał mi spalić Blaira, jeśli wróci w pojedynkę, ale MacReady ciągle myśli, że jestem jednym z nich. Tymczasem w Blairze jestem ja i stoję przy drzwiach. Jestem Childsem i wpuszczam się do środka. Na moment się łączę, splatam mackami wyrastającymi z twarzy. Jestem BlairChildsem, wymieniającym się wieściami ze świata.

Świat mnie znalazł. Odkrył moją norę pod szopą z narzędziami i niedokończoną szalupę zbudowaną z bebeczków zdechłych śmigłowców. Świat skupia się teraz na zniszczeniu mojego środka ucieczki. Potem po mnie wróci.

Została tylko jedna opcja. Zdezintegrować się. Jako Blair idę podzielić się tym planem z Copperem i pożywić się gnijącą biomasą zwaną kiedyś Clarke; tyle zmian w tak krótkim czasie niebezpiecznie uszczupliło moje rezerwy. Jako Childs już pożarłem to, co zostało z Fuchsa, i na następną fazę jestem zaopatrzony. Zarzucam miotacz ognia na plecy i wychodzę na zewnątrz, w długą antarktyczną noc.

Wyjdę w tę zamieć i nigdy nie wrócę.

Kiedyś, przed katastrofą, było mnie o wiele, wiele więcej. Byłem badaczem, ambasadorem, misjonarzem. Rozprzestrzeniałem się po kosmosie, poznawałem niezliczone światy, zespalałem z nim; sprawniejsza rasa przeistaczała niesprawną i cały wszechświat szedł do góry, drobnymi, radosnymi krokami. Byłem żołnierzem na wojnie z samą entropią. Byłem ręką, która doskonali dzieło stworzenia.

I było we mnie tyle mądrości. Tyle doświadczenia. Teraz większości tych rzeczy nie jestem w stanie sobie przypomnieć. Pamiętam tylko, że kiedyś wiedziałem.

Za to pamiętam upadek. Większość moich odrostów zginęła na miejscu, choć trochę wyczołgało się spod wraku – parę tysięcy miliardów komórek i dusza za słaba, żeby je opanować. Zbuntowana biomasa wypełzła, mimo moich rozpaczliwych starań, żeby utrzymać się w kupie: spanikowane bryłki mięsa instynktownie wypączkowały pierwsze z brzegu kończyny, jakie im się przypomniały, i uciekły przez płonący lód. Zanim odzyskałem kontrolę nad niedobitkami, ogień dogasł i znów zaatakował mróz. Ledwo udało mi się wyhodować dość odmrażacza, żeby komórki mi nie popękały, gdy dopadł mnie lód.

Ponowne przebudzenie też pamiętam: pierwsze tępe fale czucia w czasie rzeczywistym, pierwsze ogniki rozumu, powoli rozlewające się po ciele ciepło świadomości, gdy dusza jednoczyła się z ciałem po długim śnie. Pamiętam otaczające mnie dwunożne odrosty, cudaczne jazgotliwe odgłosy, które wydawały, dziwną jednorodność konstrukcji ich ciał. Jakże nieprzystosowani się wydawali! Jak nieefektywną mieli morfologię! Nawet niepełnosprawny widziałem tu ogromne pole do usprawnień. Zatem sięgnąłem po nich. Zespoliłem się z nimi. Zasmakowałem ciał z tego świata...

...a ten świat mnie zaatakował. To on mnie zaatakował.

Zostawiłem to miejsce w ruinach. Było po drugiej stronie gór – tutaj mówią na to „norweski obóz” – i nigdy nie udałoby mi się pokonać takiej odległości w skórze dwunoga. Na szczęście, miałem inny kształt do wyboru, mniejszy niż dwunóg, ale lepiej przystosowany do miejscowego klimatu. Schowałem się w nim na czas, kiedy reszta mnie powstrzymywała atak. Uciekłem w noc na czterech nogach i pozwoliłem, żeby buchające płomienie zatarły ślady mojej ucieczki.

Nie zatrzymałem się, póki nie dotarłem tutaj. Chodziłem pomiędzy tymi nowymi odrostami w skórze czworonoga, a oni, ponieważ nie widzieli, jak przyjmuję inne kształty, nie atakowali mnie.

A kiedy ich z kolei zasymilowałem – kiedy moja biomasa się zmieniła, przepływając w kształty nieznanym dla tutejszego oka – łączyłem się tylko w samotności, nauczywszy się, że ten świat nie lubi tego, czego nie zna.

Jestem samotny wśród zamieci. Jestem dennym gatunkiem na dnie jakiegoś mętnego, obcoplanetarnego morza. Śnieg dmie poziomymi tumanami, które zahaczają się o wąwozy czy wystające skały i skręcają w małe, oślepiające wiry. Ale jeszcze nie odszedłem wystarczająco daleko, jeszcze nie. Oglądając się za siebie, ciągle widzę w mroku rozświetlony obóz, przysadzistą, kanciastą płataninę światła i cieni, bąbel ciepła na dnie wyjącej otchłani.

Na moich oczach pograża się w ciemności. Spaliłem generator. Teraz nie ma żadnych światła, poza lampkami wzdłuż lin bezpieczeństwa: łańcuchy słabych niebieskich gwiazdek trzepoczących tam i z powrotem na wietrze, awaryjne konstelacje mające zaprowadzić zagubioną biomasa z powrotem do domu.

Ja nie wracam do domu. Jeszcze za mało się zgubiłem. Prę w ciemność, póki nie stracę z oczu i tych gwiazd. Zza mnie wiatr niesie ciche

pokrzykiwania gniewnych, przerażonych ludzi.

Gdzieś za moimi plecami moja odłączona ode mnie biomasa przegrupowuje się w większe, potężniejsze kształty przed ostateczną konfrontacją. Mógłbym i sam się przyłączyć: wybrać jedność, nie fragmentację, dać się wchłonąć i napawać otuchą większej całości. Mogłem przyłączyć się z moją siłą do nadchodzącej bitwy. Wybrałem jednak inną drogę. Zapasy Childsa zachowuję na przyszłość. Teraźniejszość nie oferuje mi niczego poza unicestwieniem.

A o przeszłości to w ogóle lepiej nie myśleć.

Tyle czasu już spędziłem w tym lodzie. Nie wiem, ile to trwało, zanim świat dodał dwa do dwóch, odcyfrował zapiski i taśmy z obozu norweskiego i zidentyfikował miejsce katastrofy. Wtedy byłem Palmerem; niepodejrzewany przez nikogo, zabrałem się razem ze wszystkimi.

Pozwoliłem sobie nawet na odrobinę nadziei.

Ale to już nie był statek. Nawet nie wrak statku. To była skamielina, zaryta w dnie wybitej w lodowcu wielkiej rozpadliny. Można by postawić jedna na drugiej dwadzieścia tych skórek i nie sięgnęłoby się krawędzi tego krateru. Skala czasu przygniotła mnie jak ciężar całego świata: ileż trzeba czasu, żeby nagromadziło się tyle lodu? Ile eonów wszechświat przeiterował beze mnie?

I przez cały ten czas, być może milion lat, nie przyszedł ratunek. Nigdy się nie znalazłem. Ciekawe, co to oznacza.

Ciekawe, czy ja w ogóle jeszcze istnieję, gdziekolwiek poza tym miejscem.

Wrócę do obozu, zatrę ślady. Dam im to ich ostateczne starcie, potwora do zabicia. Dam im wygrać. Niech przestaną szukać.

A potem wyjdę w zamieć i wrócę do lodu. Właściwie prawie z niego nie wychodziłem – w ciągu tych nieskończonych wieków żyłem zaledwie przez

parę dni. Wiele jednak się przez ten czas dowiedziałem. Z wraku dowiedziałem się, że o naprawie nie ma mowy. Z lodu – że nie będzie ekipy ratunkowej. A z tego świata – że na pogodzenie się z nim też nie ma co liczyć. Teraz jedyna szansa na ucieczkę to ucieczka w przyszłość – przetrwać tę wrogą, dziwaczną biomasę, pozwolić, żeby czas i kosmos zmieniły reguły. Może kiedy następnym razem się obudzę, będzie tu inny świat.

Tak czy owak, miną eony, zanim zobaczę kolejny wschód słońca.

Oto, czego mnie ten świat nauczył: adaptacja to prowokacja. Adaptacja wywołuje przemoc.

Czuję się wręcz nieprzyzwoicie – jakbym popełniał wykroczenie przeciw Stworzeniu – tkwiąc w tej skórze. Jest tak nieprzystosowana to tego środowiska, że musi być opatulona w wiele warstw materiału, żeby w ogóle zachować ciepło. Dałoby się ją na tyle sposobów zoptymalizować: krótsze kończyny, lepsza izolacja, niższy stosunek powierzchni do objętości. Tyle tych kształtów mam w sobie, ale nie śmiem użyć żadnego z nich do ochrony przed zimnem. Tu nie wolno się adaptować: tu wolno się tylko ukrywać.

Co za świat odrzuca zespolenie?

To najprostsza, najbardziej podstawowa mądrość biomasy. Im bardziej możesz się zmieniać, tym lepiej się przystosowujesz. Adaptacja to sprawność, adaptacja to przetrwanie. Tkwi głębiej niż inteligencja, głębiej niż tkanki – jest na poziomie komórek, jest aksjomatyczna. Co więcej, jest także przyjemna. Zespalając się, czujemy czystą, zmysłową przyjemność z tego, że czynimy wszechświat lepszym.

A ten świat, mimo że uwięziony w tych nieprzystosowanych skórkach, wcale nie chce się zmieniać.

Z początku myślałem, że są po prostu zagłodzone, że te lodowe pustkowia nie zapewniają dość energii, by zmieniać kształty. Albo że może to jest swego rodzaju laboratorium: anomalia na końcu świata, odcięta od reszty i pozamrażana w te cudaczne kształty w ramach jakiegoś zawilego eksperymentu dotyczącego monomorfizmu w ekstremalnych warunkach. Po sekcji zastanawiałem się, czy ten świat po prostu nie zapomniał, jak się zmieniać: dusza, nie mając kontaktu z tkankami, nie jest w stanie w nich rzeźbić, a czas, stres i przewlekłe niedożywienie wymazały pamięć o tym, że kiedyś mogła.

Pozostawało jednak jeszcze tyle tajemnic, tyle sprzeczności. Dlaczego akurat takie kształty, tak nieprzystosowane do tego środowiska. I skoro dusza jest odcięta od ciała, co trzyma ciało razem?

I jak to możliwe, że te skórki są takie puste, kiedy w nie wchodzę.

Przyzwyczałem się znajdować inteligencję wszędzie, wplecioną w każdą część każdego odrostu. Jednakże w tym świecie nie było się czego chwycić, ta biomasa była bezmyślna, nic tylko obwody przynoszące polecenia i informacje. Zespałem się z nią, choć nie chciała, skórki walczyły i poddawały się; moje macki przenikały do wilgotnej elektryczności wszystkich organicznych układów. Patrzyłem oczyma, które jeszcze były nie do końca moje, rozkazywałem nerwom motorycznym, żeby poruszały kończynami, nadal zbudowanymi z obcych białek. Nosilem te skórki tak samo jak wszystkie inne, biorąc za stery, a asymilację poszczególnych komórek pozostawiając jej własnemu biegowi.

Ale byłem w stanie wejść tylko w ciało. Nie znajdowałem żadnych zapisów pamięciowych, które mógłbym zintegrować, żadnych doświadczeń, żadnego zrozumienia. Moje przetrwanie zależało od wtapiania się w otoczenie – i nie wystarczało tylko wyglądać jak reszta.

Musiałem się jak reszta zachowywać – i po raz pierwszy odkąd pamiętam, nie wiedziałem jak.

Co gorsza, nie musiałem. Zasymlowane skórki dalej się poruszały, same z siebie. Rozmawiały, wychodziły na patrole. Nie rozumiałem tego. Z każdą chwilą wplatałem się coraz głębiej w ich kończyny i tkanki, wypatrując śladów ich pierwotnego właściciela. I nie znajdowałem żadnych sieci poza moją własną.

Oczywiście mogło być o wiele gorzej. Mogłem stracić wszystko, dać się zredukować do paru komórek, mających do dyspozycji tylko instynkt, kierowanych tylko własną plastycznością. W końcu bym odrósł – odzyskał samoświadomość i po wielu zespoleniach odtworzył umysł rozległy jak świat – byłbym jednak sierotą, ofiarą amnezji, niewiedzącą, kim jest. Dobrze, że chociaż tego mi oszczędzono; ocalałem z katastrofy z nienaruszoną tożsamością, wciąż mając odcisnięte w ciele szablony z tysięcy światów. Zachowałem nie tylko prymitywną żądzę przetrwania, ale i przekonanie, że przetrwanie jest ważne. Ciągle umiem odczuwać radość, gdyby tylko był ku niej odpowiedni powód.

Ale przecież kiedyś było mnie o tyle więcej.

Przepadła mądrość tylu innych światów. Pozostało tylko trochę rozmytych pojęć abstrakcyjnych, fragmentaryczne wspomnienia po twierdzeniach i filozofiach zbyt obszernych, by pomieścić się w zubożałej sieci. Mógłbym zasymlować całą biomasę tego świata, odbudować ciało i duszę tak, by była milion razy większa niż to, czym się tu rozbiłem – ale i tak, uwięziony na dnie tej studni, pozbawiony zespolenia z resztą jaźni, nigdy tej wiedzy nie odzyskam.

Jestem żalonym fragmentem tego, co stanowiłem kiedyś. Każda stracona komórka zabiera ze sobą odrobinę mojego umysłu, a zrobiłem się

tutaj taki mały. Kiedyś myślałem, teraz zaledwie reaguję. Czego mógłbym uniknąć, gdybym tylko uratował z katastrofy więcej swojej biomasy? Ilu opcji nie dostrzegam, po prostu dlatego, że moja dusza jest za mała, żeby je ogarnąć?

Ten świat rozmawiał ze sobą, tak samo jak ja robię, gdy komunikat jest wystarczająco prosty do przekazania bez zespolenia somatycznego. Nawet jako „pies” byłem w stanie podłapać główne morfemy identyfikujące – ten odrost to „Windows”, tamten – „Bennings”, dwóch, co poleciało w nieznane ichnią maszyną latającą, to „Copper” i „MacReady” – i podziwiałem, jak to jest, że te fragmenty cały czas są od siebie odizolowane, że tyle czasu utrzymują ten sam kształt, że nadanie etykiet poszczególnym kawałeczkom biomasy ma tu praktyczny sens.

Później zacząłem ukrywać się bezpośrednio w dwunogach i to coś, co czai się w ich nawiedzonych skórkach, zaczęło do mnie mówić. Powiedziało, że dwunogi nazywają się „goście”, albo „ludzie” albo „palanty”. Powiedziało, że na „MacReady’ego” czasem mówi się „Mac”. Powiedziało, że to zbiorowisko budowli to „obóz”.

Powiedziało też, że się boi, ale to może już tylko ja.

Empatia jest naturalnie nie do uniknięcia. Nie da się naśladować prądów i substancji chemicznych kontrolujących ciało, samemu ich w pewnym stopniu nie odczuwając. Tu jednak to coś innego. Ich intuicje migotały mi gdzieś w głębi, ale ciągle jakimś sposobem pozostawały poza zasięgiem. Moje skórki chodziły korytarzami tam i z powrotem, aż enigmatyczne symbole na ich ścianach – „Plan prania”, „Witamy w klubie”, „Góra” – zaczynały nabierać sensu. Kolisty przedmiot na ścianie to był „zegar”; mierzył upływ czasu. Oczy na świat polatywały to tu, to tam, a ja stopniowo kompletowałem sobie nazewnictwo z ich – z jego – umysłu.

Ale czułem się, jakbym jechał na latarce. Widziałem, co oświetla, ale nie byłem w stanie skierować jej tam, gdzie chcę. Mogłem podsłuchiwać, ale tylko podsłuchiwać, nie pytać samemu.

Gdyby tylko jedna z tych latarek przystanęła, żeby pomyśleć o własnej ewolucji, o kursie, który ją tu sprowadził. Jakże inaczej mogłoby wszystko wyglądać, gdybym tylko wiedział. Ona jednak spoczęła na zupełnie nowym słowie:

„Sekcja”.

MacReady i Copper znaleźli w norweskim obozie mój fragment: odrost stanowiący tylną straż, spalony w trakcie ucieczki. Przynieśli go z powrotem – osmolony, powyginany, zamarznięty w połowie przemiany – i chyba nie wiedzieli, co to takiego.

Byłem wtedy Palmerem, Norrisem i psem. Zebrałem się razem z inną biomasą i patrzyłem, jak Copper mnie rozcina i wyciąga moje wnętrzości. Przyglądałem się, jak wyjmuje coś, co siedziało za oczami – jakiś narząd.

Był zniekształcony i niekompletny, ale podstawowe cechy nadal było widać. Wyglądał jak wielki pomarszczony guz, wynik konkurencji grup komórek która wymknęła się spod kontroli – jakby procesy, które definiują życie, zwróciły się przeciw niemu samemu. Unaczyniony był aż nieprzyzwoicie: na pewno żarł tlen i substancje odżywcze nieproporcjonalnie do swojej masy. Nie rozumiałem, jak coś takiego może w ogóle istnieć, jak może osiągnąć taką wielkość, nie przegrywając konkurencji z efektywniejszymi morfologiami.

Nie rozumiałem także, do czego służył. Potem jednak zacząłem patrzeć z nowej perspektywy na te odrosty, te dwunożne kształty, które moje własne komórki tak pieczołowicie i bezmyślnie kopiowały, przystosowując mnie do tego świata. Nieprzywykły do robienia takich inwentaryzacji – po co katalogować części ciała, które przy najlżejszym bodźcu mogą się zmienić

w coś innego? – naprawdę dostrzegłem, po raz pierwszy, że każde z tych ciał nosi na wierzchu tę opuchniętą konstrukcję. O wiele większą, niż powinna być. Kościana półkula, w której zmieściłoby się milion połączeń między zwojami nerwowymi i jeszcze zostałyby miejsce. Każdy odrost miał coś takiego. Każdy fragment biomasy dźwigał swój własny pofałdowany skrzep tkanki.

Uświadomiłem sobie coś jeszcze: oczy i uszy mojej martwej skórki, póki Copper ich nie odczepił, były do tego tworzywa podłączone. A wzdłuż pionowej osi ciała biegł potężny splot nerwów, dokładnie pośrodku szkieletu wewnętrznego, w lepkim, ciemnym kanale, gdzie ustał wszelki wzrost.

Ta zdeformowana konstrukcja była wpięta do całego ciała, jak jakiś somatopoznawczy interfejs, tylko o wiele większy. Całkiem jakby...

Nie.

Właśnie tak to działało. Właśnie dlatego te puste skórki poruszały się z własnej woli, dlatego nie znajdowałem innych sieci, z którymi mógłbym się zintegrować. Ona była tam: nie rozproszona po całym ciele, ale zwinięta w kłębek, ciemna, gęsta i otorbiona. Znalazłem ducha skrytego w maszynie.

Niedobrze mi się zrobiło.

Siedziałem w jednym ciele z myślącym nowotworem.

Czasem ukrywać się to za małą.

Pamiętam jak widziałem siebie, rozpostartego na podłodze psiarni, jak chimera rozdarta wzdłuż stu szwów, jednoczącego się z grupą „psów”. Karmazynowe macki wiły się po podłodze. Z boków wyrastały mi na wpół ukształtowane iteracje, kształty psów i stworów nie z tego świata, nieudane morfologie zapamiętane i nie do końca przypomniane przez części całości.

Pamiętam Childsa, zanim jeszcze nim byłem, jak palił mnie żywcem. Pamiętam, jak kulilem się wewnątrz Palmera, przerażony, że płomienie zwrócą się przeciwko pozostałym moim częściom, że ten świat jakimś sposobem nauczył się strzelać do mnie bez ostrzeżenia.

Pamiętam, jak brnąłem przez śnieg, wiedziony samym instynktem, w skórze Benningsa. Powykręcane, niezróżnicowane ochłapy trzymały się jego rąk jak prymitywne pasożyty, bardziej zewnętrzne niż wewnętrzne – parę fragmentów, które przetrwały z jakiejś dawnej masakry, okaleczonych, bezmyślnych, łapiących się wszystkiego, co podeszło, i demaskujących się. Ludzie zaroiли się wokół niego: w dłoniach czerwone flary, za plecami niebieskie światełka, twarze dwukolorowe i piękne.

Przypominam sobie Benningsa, buchającego płomieniami, wyjącego wniebogłosy jak zwierzę.

Pamiętam Norrisa, zdradzonego przez jego własne, idealnie skopiowane, serce z wadą. Palmera, ginącego, żeby reszta mnie przeżyła. Windowsa, nadal ludzkiego, spalonego przedwcześnie.

Te nazwiska się nie liczą. Liczy się biomasa. Tyle jej straciłem. Tyle nowych doświadczeń, tyle świeżych mądrości anihilował mi ten świat myślących nowotworów.

Po co w ogóle mnie wykopywali? Po co mnie wyrąbali z lodu i przenieśli przez to całe pustkowie, a potem ożywili – żeby mnie zaatakować, jak tylko się obudziłem?

Jeśli ich celem była likwidacja, czemu nie zabili mnie tam na miejscu?

Te otorbione dusze. Te nowotwory. Ukrywające się w swoich kościanych jaskiniach, pozwijane w kłębek.

Wiedziałem, że nie będą ukrywać się wiecznie; ten potworny wybryk anatomii tylko spowalniał zjednoczenie, nie uniemożliwiał go. Z każdą

chwilą odrobinę roslęm. Czułem jak oplątałem nerwy ruchowe Palmera, wciskając się na górę tysiącem drobnych strumyczków. Czułem, że infiltruję tę ciemną myślącą masę za oczyma Blaira.

To oczywiście wyobraźnia. Tak daleko w dole to tylko odruchy, nieświadome i niewrażliwe na mikrozarządzanie. Niemniej, część mojej jaźni miała ochotę się wstrzymać, póki jest jeszcze czas. Przyzwyczajony jestem, że wcielam w siebie dusze, a nie mieszkam razem z nimi. To poszufladkowanie było czymś bezprecedensowym. Asymilowałem tysiące światów potężniejszych niż ten, ale aż tak dziwny nie był żaden. Co się stanie, gdy zetknę się z iskierką tego nowotworu? Kto tu kogo zasymiluje?

Byłem teraz trzema osobami. Świat robił się nieufny, ale jeszcze nic nie zauważył. Nawet nowotwory w skórkach, które przejąłem, nie wiedziały, jak blisko już jestem. Za to mogłem być tylko wdzięczny, że Stworzenie ma jednak jakieś reguły, że niektóre rzeczy się nie zmieniają, obojętne jaki się przyjmie kształt. Nie ma znaczenia, czy dusza rozprzestrzenia się przez skórę, czy więdnie w groteskowej izolacji: tak czy owak, chodzi na elektryczności. Tak czy owak, ich zapisy pamięciowe potrzebowały czasu, żeby się zestalić, żeby przejść przez tych swoich strażników oddzielających sygnał od szumu – i umiejętny impuls szumu, choćby i nawet niezbyt precyzyjnie wycelowany, nadal je czyścił, zanim zdołały się permanentnie gdzieś zapisać. Przynajmniej na tyle skutecznie, żeby te nowotwory zapomniały, że od czasu do czasu ich rękoma i nogami poruszało coś zupełnie innego.

Z początku przejmowałem kontrolę tylko wtedy, gdy skórki zamykały oczy, a ich latarki przeskakiwały niepokojąco po nierzeczywistych obrazach, kształtach bezsensownie przepływających jeden w drugi, jak hiperaktywna biomasa niebędące w stanie wybrać sobie kształtu. „Sny” powiedziała mi jedna z latarek, dodając później „koszmary”. Podczas tych

tajemniczych chwil uśpienia, kiedy leżeli beczynni i odizolowani, bezpiecznie było się ujawnić.

Niebawem jednak sny wyschły w ogóle. Wszystkie oczy pozostawały ciągle otwarte, spojrzenia wbite w cienie i w siebie nawzajem. Odrosty, które kiedyś siedziały rozproszone po całym obozie, zaczęły się gromadzić, rezygnując ze swoich samotnych zainteresowań na rzecz towarzystwa. Najpierw pomyślałem, że znajdą wspólny grunt w tym wspólnym lęku. Liczyłem nawet, że może w końcu otrząsną się ze swojego dziwnego skamienienia i się zespolą.

Ale nie. Oni tylko przestali ufać wszystkiemu, czego nie widzą na własne oczy.

Oni tylko zwrócili się przeciwko sobie.

Zaczynają mi drętwieć końcówki; myśli spowalniają, gdy odleglejsze połączenie duszy ustępuje mrozowi. Pasek miotacza ognia ciąży, wiecznie psując mi trochę równowagę. Childsem nie jestem zbyt długo, prawie połowa tej tkanki nie została jeszcze zasymilowana. Mam godzinę, może dwie, do chwili, gdy będę musiał zacząć wytapiać sobie grób w lodzie. Do tego czasu potrzebuję przetworzyć tyle komórek, żeby cała ta skórka się nie skryształizowała. Skupiam się na produkcji odmrażacza.

Jest tu teraz niemal spokojnie. Tyle informacji do przyswojenia i tak mało czasu, żeby ją przetworzyć. Ukrywanie się w tych skórkach wymaga takiego skupienia, a pod obserwacją tylu par uważnych oczu miałem szczęście, jeśli zespolenie mogło potrwać tyle, by zdążyć wymienić się pamięcią: powiększenie duszy nie wchodzi w ogóle w grę. Teraz natomiast nie mam już nic do roboty, tylko przygotowuję się na zapomnienie. Nie mam czym zająć myśli, poza tymi lekcjami, których nie zdążyłem się nauczyć.

Na przykład, ta próba krwi MacReady'ego. Wykrywacz cosia, demaskujący obcych udających ludzi. Nie działa aż tak dobrze, jak sobie ten świat myśli – ale fakt, że w ogóle działa, łamie najbardziej podstawowe prawa biologii. I w tym jest sedno tej zagadki. Odpowiedź na wszystkie tajemnice. Być może dawno bym ją rozwiązał, gdybym tylko był trochę większy. Poznałbym już ten świat, gdyby on tak zawzięcie nie starał się mnie zabić.

Próba MacReady'ego.

Albo to niemożliwe, albo ja myliłem się prawie we wszystkim.

Oni nie zmieniali kształtu. Nie zespalali się. Ich lęk i wzajemna nieufność rosły, ale dusz łączyć nie chcieli – wroga szukali tylko poza sobą.

Więc podrzuciłem im coś, co mogli znaleźć.

Zostawiłem fałszywe tropy w prymitywnym obozowym komputerze: prostoduszne ikonki i animacje, mylące liczby i prognozy, przyprawione w sam raz odpowiednią ilością prawdy, żeby przekonać świat o swojej prawdomówności. Nieważne, że ta maszyna była zbyt prosta, żeby wykonać takie obliczenia, ani że nie było danych, na których można by je oprzeć; Blair był zapewne jedyną biomasą, która mogłaby o tym wiedzieć, a Blair był już wtedy mój.

Zostawiłem fałszywe tropy, zniszczyłem prawdziwe, a potem – mając już alibi – puściłem Blaira wolno, żeby sobie poszalał. Pozwoliłem mu wykraść się w noc i porozbijać pojazdy, kiedy reszta spała, od czasu do czasu pociągając mu jak najdelikatniej za wodze, by zapewnić, że pewne kluczowe komponenty zostaną nietknięte. Spuściłem go ze smyczy w baraku łączności, obserwując oczyma innych, jak szaleje i demoluje. Słuchałem, jak bredzi o niebezpieczeństwie dla świata, potrzebie izolacji,

przekonaniu, że „większość z was nie ma pojęcia, co tu się dzieje, ale wiem, kurna, że niektórzy z was wiedzą...”.

Wierzył w każde słowo, które wykrzykiwał. Widziałem to w jego latarce. Najlepsze podróbki to takie, które same zapomniały, że nie są prawdziwe.

Kiedy już wyrządził odpowiednio dużo szkód, pozwoliłem, by padł od kontrataku MacReady’ego. Jako Norris zaproponowałem, żeby zamknąć go w narzędziowni. Jako Palmer zabiłem okna deskami i pomagałem przygotować byle jakie umocnienia mające utrzymać mnie w zamknięciu. Obserwowałem, jak świat zamyka mnie „dla twojego własnego dobra, Blair” i zostawia samemu sobie. Gdy nikt nie patrzył, zmieniałem się i wymykałem na zewnątrz, żeby odzyskiwać z tego porozwalanego żelastwa potrzebne mi części. Znosiłem je do wykopanej pod szopą nory i część za częścią budowałem sobie drogę ucieczki. Zgłosiłem się na ochotnika do karmienia więźnia i wracałem do siebie, kiedy świat nie patrzył, objuczony wystarczającą ilością zapasów, żeby pozwoliły mi przejść przez wszystkie niezbędne przemiany. Przez trzy dni zużyłem jedną trzecią obozowych zapasów żywności i – nadal będąc więźniem własnych uprzedzeń – zdumiewałem się głodową dietą, która trzyma te odrosty uwiązane do pojedynczej skórki.

Kolejny szczęśliwy traf: świat był zbyt zajęty czymś innym, żeby pilnować kuchennych zapasów.

Coś pobrzmiwa w tym wietrze, jakiś szept przebijający się przez wycie zamieci. Rozrastam uszy, wysuwam czasze przemarzniętej tkanki na boki, obracam je jak żywe anteny w poszukiwaniu najlepszego odbioru.

Tam, po lewej. Otchłań jarzy się odrobinę, przez wirujący śnieg widzę czarne sylwetki na tle nieznacznego rozjaśnienia ciemności. Słyszę odgłosy

masakry, słyszę sam siebie. Nie wiem, jaki kształt przybrałem, jaka anatomia może wydawać takie dźwięki. Nosilem jednak tyle skórek na tyłu światach, że umiem od razu poznać ból.

Bitwa nie idzie dobrze. Bitwa idzie tak, jak planowałem. Teraz pora odwrócić się na drugi bok i pójść spać. Przeczekać wieki.

Pochylam się pod wiatr. Idę ku światłu.

Tego nie było w planie. Ale chyba właśnie poznałem odpowiedź: wydaje mi się, że znałem ją jeszcze zanim udałem się na wygnanie. Niełatwo się do tego przyznać. Nawet teraz jeszcze nie wszystko rozumiem. Jak długo tu tkwiłem, opowiadając sobie w kółko tę samą opowieść, porządkując tropy, podczas gdy moja skóra umierała od zimna? Ile czasu krążyłem wokół tej oczywistej i niemożliwej prawdy?

Idę w stronę cichego trzasku płomieni, bardziej czując niż słysząc tępe wstrząsy eksplodującej amunicji. Pustka przejaśnia się przede mną: szarość ustępuje złotemu, złoty pomarańczowemu. Jedna jasna łuna rozpada się na kilka – samotna płonąca ściana, cudem jeszcze stojąca. Dymiący szkielet baraku MacReady’ego na górcie. Popękana, topiąca się półkula odbijająca bladozółty, migotliwy blask: latarka Childsa nazywała to „kopułą radiową”.

Zniszczony cały obóz. Nie zostało nic – tylko ogień i ruina.

Nie przeżyją bez dachu nad głową. W każdym razie nie długo. Nie w tych skórkach.

Niszcząc mnie, zniszczyli sami siebie.

Gdybym nie był Norrisem, wszystko mogłoby się potoczyć zupełnie inaczej.

Norris był słabym ogniwem: biomasą nie tylko nieprzystosowaną, ale jeszcze uszkodzoną, odrostem z wyłącznikiem. Świat o tym wiedział, wiedział od tak dawna, że już w ogóle o tym nie myślał. Dopiero kiedy

Norris upadł, w umyśle Coppera wynurzyła się na powierzchnię myśl „wada serca”. Dopiero kiedy Copper usiadł na nim okrakiem i zaczął walić go w pierś, zorientowałem się, jak to się skończy. A wtedy już było za późno; Norris przestał już być Norrisem. Przestał nawet być mną.

Miałem tyle ról do odegrania i tak mały na nie wpływ. Część zwana Copperem przyłożyła elektrody części, która była Norrisem, tym wiernym Norrisem, którego tak skrupulatnie zasymilowałem, idealnie rekonstruuując wszystko włącznie z tą zepsutą zastawką. Nie wiedziałem, bo skąd miałem wiedzieć? Wszystkie zapamiętane kształty, przyswojone przez eony światy i morfologie – dotąd wykorzystywałem je, żeby się adaptować, a nie żeby się ukrywać. Ta desperacka mimikra była improwizacją, ostatnią deską ratunku w świecie, który atakował wszystko co nieznane; Moje komórki odczytały te znaki i usłuchały ich, bezmyślnie jak priony.

Stałem się więc Norrisem, a Norris uległ samozniszczeniu.

Pamiętam, jak ztracałem się po katastrofie. Wiem jakie to uczucie, rozkładać się: buntują się tkanki, a rozpaczliwe próby odzyskania kontroli giną w szumie, jakim zalewa sygnał jakiś źle działający organ. Jak to jest, być siecią rozdzielającą się na części, wiedzieć, że z każdą chwilą jest mnie coraz mniej. Stawać się niczym, stawać się legionem.

Jako Copper, widziałem to. Wciąż nie mam pojęcia, czemu ten świat nie widział – jego części już dawno zwróciły się przeciwko sobie, każdy odrost podejrzewał wszystkie inne. Na pewno musieli być czujni na objawy „zakażenia”. Na pewno część tej biomasy musiałaby zauważyć delikatnie drganie i falowanie przemieniającego się w środku Norrisa, tę ostatnią, instynktowną deskę ratunku tkanek pozostawionych samym sobie.

Jednakże tylko ja to widziałem. Jako Childs mogłem tylko stać i patrzeć. Jako Copper mogłem tylko pogorszyć sprawę – gdybym przejął kontrolę i zmusił tę skórę do rzucenia elektrod defibrylatora, od razu bym się

zdradził. Zagrałem więc rolę do końca. Przycisnąłem te płytki z całej siły, a klatka piersiowa Norrisa rozpękła się pod nimi. Jak na komendę wrzasnąłem, gdy zacisnęły się pilokształtne zęby pożyczone ze świata o sto gwiazd stąd. Padłem w tył, z dłońmi odgryzionymi w nadgarstkach. Zaroiło się od ludzi, ożywienie przeszło w panikę. MacReady wycelował broń, płomienie buchnęły w całym pomieszczeniu. Mięso i maszyny jęknęły od żaru.

Obok mnie mrugnął i zgasł nowotwór Coppera. Ten świat i tak nie pozwoliłby mu żyć, nie po tak oczywistym zakażeniu. Pozwoliłem, żeby nasze skórki udawały martwe na podłodze, podczas gdy pod sufitem coś, co kiedyś było mną, rozpadało się, wilo i przechodziło po kolei przez milion losowych szablonów, rozpaczliwie szukając czegoś ogniotrwałego.

Oni sami się zniszczyli. „Oni”.

Co za dziwaczne słowo na określenie świata.

Coś pełźnie ku mnie przez pobojuwisko: postrzępiony, zaropiałych ochłap poczerńiałego mięsa i połamanej, na wpół zreabsorbowanej kości. Boki ma oblepione żarem, przypominającym rozgorączkowane, błyszczące oczy – nie ma dość siły, żeby się z niego oskrobać. To ledwie z połowa biomasy z tej skórki Childsa; większość, spalona na węgiel, dawno nie żyje.

To, co pozostało z Childsa, niemal uśpione, myśli sobie „skurwysyn”, lecz to ja nim teraz jestem. Sam potrafię odtwarzać tę płytę.

Biomasa wyciąga do mnie nibynóżkę w ostatniej próbie zespolenia. Czuję własny ból:

Byłem Blairem, byłem Copperem, byłem nawet strzępem psa, który przetrwał pierwszą ognistą masakrę i zaszył się pomiędzy ścianami, pozbawiony jedzenia i sił do regeneracji. Potem obzarłem się

niezasymilowanego mięcha, spożyłem je, zamiast się zespolić; odrodzony i odżywny zespoliłem się w całość.

A jednak nie do końca. Niewiele pamiętam – tyle mnie zginęło, tyle pamięci przypadło – ale wydaje mi się, że sieci odzyskane z poszczególnych moich skórek pozostały odrobinę niesynchronizowane, nawet po zintegrowaniu w jedno ciało. Miga mi gdzieś na wpół rozpadnięta pamięć psa, wybijająca się z ogólnej jaźni, drapieżna, strauumatyzowana i zdeterminowana, żeby zachować swoją odrębność. Pamiętam furję i frustrację, że ten świat tak mnie zepsuł, że ledwo się mogę pozbierać. Ale nieważne. Teraz byłem czymś więcej niż tylko Blair, Copper i pies. Byłem olbrzymem, mającym za sobą całe światy kształtów do wyboru, czymś, z czym ostatni, samotny człowiek naprzeciw mnie nie miał szans.

Za to ja nie miałem szans z dynamitem w jego dłoni.

Teraz jest mnie trochę więcej: już nie tylko sam ból, strach i śmierdzące, zwęglone mięso. Niestety, reszta mojej samoświadomości jest kompletnie zdeorientowana. Same błakające się, nieskojarzone myśli, wątpliwości, cienie teorii. Jestem wnioskami, przybyłymi poniewczasie i już zapomnianymi.

Ale jestem także Childsem i gdy uspokaja się wiatr, przypominam sobie, jak się zastanawiałem „kto tu kogo asymiluje”. Przestaje padać śnieg i przypominam sobie tę niemożliwą próbę, która mnie zdemaskowała.

Ten nowotwór we mnie też to pamięta. Widzę to w ostatnich promieniach jego gasnącej latarki – jej promień nareszcie jest skierowany do środka.

Skierowany we mnie.

Ledwo widzę, co oświetla. Pasożyt. Potwór. Zaraza.

Coś.

Jak on nic nie wie. Wie jeszcze mnie niż ja.

Wiem dość, ty skurwysynu. Ty złodzieju dusz, zasrany gwałcicielu.

Nie wiem co to znaczy. Jest w tych myślach jakaś przemoc, jakaś penetracja ciała na siłę, ale pod tym wszystkim kryje się coś jeszcze, coś, co nie do końca rozumiem. Już prawie go pytam... lecz latarka Childsa tymczasem ostatecznie zgasła. Teraz nie ma w nim nic oprócz mnie, a na zewnątrz nic oprócz ognia, lodu i ciemności.

Jestem Childsem, a zamieć ustała.

W świecie nadającym bezsensowne miana zastępowalnym fragmentom biomasy naprawdę liczyło się tylko jedno z nich: MacReady.

MacReady zawsze wszystkim dowodził. Sama idea „dowodzenia” wydaje się absurdalna. Jak to możliwe, by ten świat nie dostrzegął, jakim szaleństwem jest hierarchia? Tamten Norweg zginął, na zawsze, od jednej kuli w żywotne miejsce. Blair był nieprzytomny po jednym uderzeniu w głowę. Centralizacja to bezbronność – a ten świat nie dość, że buduje swoją biomasę według takiego kruchego szablonu, to jeszcze ten sam model narzuca swoim metasystemom. MacReady mówi; reszta słucha. To system z wbudowanym punktem, który wystarczy zniszczyć, żeby padło wszystko.

A mimo to, MacReady dowodzi nadal. Po tym, jak świat odkrył podrzucone przeze mnie materiały: jak zdecydował, że to MacReady jest „tym czymś”, jak go nie wpuścił, żeby zamarzył na zewnątrz, po tym, jak atakował go ogniem i siekierami, gdy walczył o przedostanie się do środka. Jakimś sposobem MacReady zawsze miał pistolet, zawsze miał miotacz ognia, zawsze miał dynamit i gotowość, żeby wysadzić cały pieprzony obóz, jeśli będzie musiał. Ostatnim, który próbował go powstrzymać, był Clarke. I MacReady strzelił mu prosto w ten nowotwór.

Miękki punkt.

Jednakże, kiedy Norris rozpadł się na części, a każda z nich instynktownie uciekała, ratując życie, to MacReady poskładał je wszystkie razem.

Taki byłem pewny siebie, kiedy mówił o tej swojej „próbie”. Całą biomasę zgromadził w jednym miejscu, związał ją – związał mnie, bardziej niż sam wiedział – a ja wtedy prawie zacząłem się nad nim litować. Zmusił Windowsa, żeby nas wszystkich ponacinał, pobrał od każdego odrobinę krwi. Rozgrzał do czerwoności czubek metalowego drutu i powiedział coś o fragmentach na tyle małych, żeby się zdradziły, mających instynkt, ale zero inteligencji, zero samokontroli. MacReady obserwował rozpad Norrisa i zdecydował: krew ludzi nie zareaguje na gorąco. Natomiast moja, tknięta takim bodźcem, natychmiast się wyłamie.

Nic dziwnego, że tak myślał. Te odrosty zapomniały, że mogą się zmieniać.

Ciekawiło mnie, jak ten świat zareaguje, gdy okaże się, że każdy skrawek biomasy w pomieszczeniu może zmieniać kształty, kiedy małe doświadczenie MacReady’ego przebije fasadę większego doświadczenia i zmusi te pokręcone fragmenty, by stawiały czoła prawdzie. Czy ten świat obudzi się wtedy ze swojej długiej amnezji i przypomni sobie w końcu, że kiedyś żył, oddychał i zmieniał się jak każdy inny? Czy sprawy zaszły już za daleko i MacReady po prostu spali po kolei wszystkie protestujące odrosty, gdy ich krew okaże się zdradziecka?

Nie wierzyłem sam sobie, gdy zanurzył rozżarzony drut we krwi Windowsa i nic się nie stało. To jakaś sztuczka, pomyślałem. Ale potem próbę przeszła krew MacReady’ego, a potem jeszcze Clarke’a.

Coppera nie przeszła. Igła weszła w nią, a krew zadygotała odrobinę na szalce. Sam ledwo to zauważyłem, a oni w ogóle nie zareagowali. Jeśli nawet coś zauważyli, przypisali to raczej drżeniu ręki MacReady’ego. I tak

uważali tę próbę za gówną wartą. Sam to na głos powiedziałem, jako Childs.

Bo sam nie umiałem się przed sobą przyznać, że tak nie jest. Zbyt przerażające to było, zbyt niespodziewane.

Jako Childs wiedziałem, że jest nadzieja. Krew to nie dusza: może i kontroluję obwody motoryczne, ale pełna asymilacja trwa dużo dłużej. Jeśli krew Copperra była na tyle surowa, że przeszła próbę, to minie jeszcze wiele godzin, zanim będę się musiał obawiać tego testu – Childsem jestem przecież jeszcze krócej.

Ale byłem także Palmerem, i to od wielu dni. Zasymlowałem tę biomasę do ostatniej komórki, z oryginału nie zostało nic.

Kiedy krew Palmera wrzasnęła i odskoczyła przed igłą MacReady'ego, nie zostało mi nic innego, jak starać się nie odróżniać od reszty.

Myliłem się właściwie w każdej kwestii.

Zagłodzenia. Eksperymentu. Choroby. We wszystkich moich spekulacjach, wszystkich teoriach, jakie przywołałem, żeby spróbować ten świat wyjaśnić, na przykład narzuconych z góry ograniczeniach – we wszystkim. Pod spodem bowiem cały czas wiedziałem, że zdolność do zmiany – do asymilacji – musi pozostać uniwersalnym niezmiennikiem. Żaden świat nie ewoluuje, jeśli nie ewoluują jego komórki. A komórka nie ewoluuje, jeśli nie może się zmieniać. Taka jest natura życia, wszędzie.

Wszędzie, tylko nie tutaj.

Ten świat nie zapomniał, jak się zmieniać. Nie odrzucił zmiany otumaniony manipulacją. To nie są jakieś upośledzone odrosły większej istoty, zniekształcone na potrzeby jakiegoś eksperymentu; one nie oszczędzają energii, przeczekując tymczasowy niedobór.

Oto alternatywa, której moja skurczona dusza nie była w stanie ogarnąć do teraz: ze wszystkich światów, z jakimi miałem kontakt, ten jest jedynym, w którym biomasa nie potrafi się zmieniać. I nigdy nie potrafiła.

To jedyne wytłumaczenie, dlaczego próba MacReady'ego działa, jak działa.

Żegnam się z Blairem, z Copperem, ze sobą. Resetuję morfologię do tutejszego domyślnego kształtu. Jestem Childsem, który wrócił z zamieci, żeby poskładać do kupy elementy układanki. Coś się przede mną porusza: ciemny kleks na tle płomieni, jakieś zmęczone zwierzę szukające legowiska. Unosi głowę, kiedy podchodzę.

MacReady.

Patrzemy na siebie i zachowujemy dystans. We mnie niepewnie przemieszczają się kolonie komórek. Czuję, jak przedefiniowują się moje tkanki.

– Tylko ty przeżyłeś?

– Nie tylko...

Mam miotacz ognia. Mam przewagę. MacReady najwyraźniej się tym nie przejmuje.

Ale przecież musi się przejmować. Musi. Bo tutaj tkanki i organy to nie są chwilowe sojusze na polu bitwy – tutaj są trwałe, z góry narzucone. Makrostruktury nie wykształcają się, kiedy korzyści ze współpracy przewyższają koszty, i nie rozpraszają się, gdy saldo przesunie się w drugą stronę – tu każda komórka pełni tylko jedną, niezmienną funkcję. Nie istnieje plastyczność, nie można się adaptować – każdy kształt jest ostateczny i zamrożony. To nie jest jeden wielki świat, ale dużo małych. Oni nie tworzą wielkiego Czegoś, są małymi cosiami. Jest ich wielość.

A to znaczy – jak mi się zdaje – że się kończą. Że po prostu, z czasem, zużywają się.

– Gdzie byłeś, Childs?

Przypominam sobie słowa martwych latarek.

– Myślałem, że widzę Blaira. Poszedłem za nim. Zgubiłem się w zamieci.

Nosiłem te ciała, czułem, jakie są od środka. Obolałe stawy Coppera. Krzywy kręgosłup Blaira. Norris i jego chore serce. To nie są trwałe konstrukcje. Nie mają somatycznej ewolucji, która przywracałaby im kształt, nie zespalają się, żeby odzyskać biomasę i zredukować entropię. W ogóle nie powinny istnieć; a zaistniawszy, nie powinny przetrwać.

Ale się starają. Jakże się starają. Każdy z nich jest żywym, chodzącym trupem, ale walczy, żeby pochodzić jeszcze trochę dłużej. Każda skórka walczy desperacko – zresztą, ja bym też pewnie tak walczył, gdybym na całe życie dysponował tylko jedną.

„MacReady” się stara.

– Jeśli mnie podejrzewasz... – zaczynam.

MacReady kręci głową, zmusza się do pełnego znużenia uśmiechu.

– Nawet jeśli mamy dla siebie jakieś niespodzianki, to chyba w obecnym stanie i tak nic na to nie poradzimy...

No bo mamy. Ja mam.

Cała planeta światów i żaden – ani jeden – nie ma duszy. Idą przez to swoje życie samotni i oddzielni, nie mogąc się nawet komunikować, inaczej niż przez te pomruki i symbole: tak jakby jakimś ciągiem fonemów albo paroma liniowymi bazgrołami czarnego na białym dało się opisać kwintesencję zachodu słońca albo wybuchu supernowej. Nigdy nie znali zespolenia i nie dążą do niczego innego poza unicestwieniem. Tak, już w tę paradoksalność ich biologii trudno uwierzyć, ale naprawdę poraża coś innego: skala tej ich samotności, tej jałowości ich życia.

Byłem taki ślepy i tak prędko w oskarżeniach. Tymczasem przemoc, jakiej od tych istot zaznałem, nie świadczy o niczym złym. Są po prostu tak przyzwyczajone do bólu, przez swoją niepełnosprawność do tego stopnia nic nie widzą, że po prostu nie wyobrażają sobie innego życia. Kiedy każdy nerw masz obnażony i czuły, rzucaś się przy najlżejszym dotknięciu.

– Co powinniśmy zrobić? – zastanawiam się. Nie mogę uciec w przyszłość, nie przy moim obecnym stanie wiedzy. Jak mógłbym ich zostawić w tym stanie?

– A czemu nie... po prostu... trochę tu poczekać? – proponuje MacReady.
– Zobaczyć, co się stanie.

Przecież mogę zrobić o wiele więcej.

Łatwe to nie będzie. Oni nie rozumieją. Udręczeni, niekompletni, nie są w stanie zrozumieć. Gdy zaproponuje im się większą całość, oni zobaczą tylko utratę mniejszej. W zbawieniu zobaczą tylko wyginięcie. Muszę z tym uważać. Muszę wykorzystać tę nową umiejętność, ukrywanie się. Z czasem przylecą tu też inne cosie – obojętne, czy znajdą żywych czy martwych, ważne, żeby znalazły coś podobnego do siebie, coś, co będą mogły zabrać do domu. Postaram się więc zachować pozory. Będę działać za kulisami. Uratuję ich od wewnątrz, inaczej ich niewyobrażalna samotność nigdy się nie skończy.

Te biedne dzikusy nigdy nie zgodzą się na zbawienie.

Będę ich musiał zbawić na siłę.

Malak

Celem nie powinna być maszyna nieomylna etycznie. Naszym celem powinno być skonstruowanie maszyny, która sprawdza się na polu bitwy lepiej niż ludzie, zwłaszcza w kwestii minimalizacji zachowań niezgodnych z prawem lub zbrodni wojennych.

Lin et al., *Autonomous Military Robotics: Risk, Ethics and Design*, 2008.

Straty uboczne nie są bezprawne, o ile nie są nadmierne w świetle spodziewanej po ataku korzyści militarnej.

Departament Obrony USA, 2009

Jest inteligentny, ale nie samoświadomy.

Nie rozpoznałby się w lustrze. Nie zna żadnego języka, który nie opierałby się na elektronach i bramkach logicznych; nie wie, kto to taki „Azrael”, ani że ma to słowo wytrawione na własnym kadłubie. Rozumie, na swój ograniczony sposób, znaczenie kolorów widzianych przez zmysł taktyczny, kiedy jest na patrolu: swój – Zieloni, neutralni – Niebiescy, wróg – Czerwoni – ale nie wie, co to takiego postrzeganie kolorów.

Myśleć natomiast nigdy nie przestaje. Nawet teraz, przymocowany do grzędy, ze zdjętym pancerzem i odsłoniętymi układami sterowania, nie może się powstrzymać. Zauważa zmiany wprowadzane do jego zestawu poleceń, szacuje, że wykonywanie tego dodatkowego kodu spowolni jego refleks średnio o 430 milisekund. Liczy obiekty biotermiczne zgromadzone wokół, słucha, nie rozumiejąc, odgłosów, jakie wydają...

... آیامواقع قمداغاماینکر؟ _

– ...*myślomiserce*mStary*myślomiserce*m...

...sprawdza potencjał zagrożenia kilkanaście razy na sekundę, choć lokalizacja jest bezpieczna, a wszystkie kontakty zielone.

To nie obsesja i nie paranoja. To żadna dysfunkcja. Taki ma kod i tyle.

Na zabijanie także jest obojętny. Nie ekscytuje go pogoń, nie czuje ulgi, zlikwidowawszy cele. Czasami całymi dniami wisi wysoko nad popękaną pustynią, nie mając do czego strzelać; nigdy nie niecierpliwi się brakiem celów. Innym razem ledwo wystartuje, a już w przestrzeni powietrznej jest pełno pocisków przeciwlotniczych, strumieni naładowanych cząstek i wrzasków palących się cywilów; nie przywiązuje do tych odgłosów żadnej wagi, nie czuje strachu, kiedy po mapie strefy patrolowej obficie rozlewają się ikony zagrożeń.

... وئیغهکاتبهنمف _

– ...*Czylitak. Naprawdę*tozrobimy?

Zatrząskują się klapy serwisowe; pancerze opadają na miejsce; usypia kilkanaście sygnałów ostrzegawczych. Mapę rozświetla nowy plan lotu, zaabsorbowany przez niego w okamgnieniu. Nagle Azrael musi się znaleźć gdzie indziej.

Odskakują mocowania podstawy dokującej. Malak unosi się na dwóch wirnikach, prawie tłumiąc ostatni głos płynący niezabezpieczonym kanałem:

– *tegonamkurnab*rakowało zabójca*sumieniem*

Włączają się dopalacze. Azrael ucieka z Raju w niebo.

Dwadzieścia dwa tysiące metrów nad ziemią Azrael sunie na południe strefy. Zostawia w tyle teren z ukształtowaniem o wysokiej amplitudzie; w dole przesuwa się sztruksowy krajobraz, prawie pozbawiony znaczników. Z

oddali wyłania się zaludniony ośrodek: zbieranina walących się budynków, paneli słonecznych i pyłowych wirów.

Gdzieś tam w dole są rzeczy, do których trzeba strzelać.

Skryty wysoko w blasku południowego słońca Azrael monitoruje obszar celu. Obiekty biotermiczne poruszają się, nic nie wiedząc, po rozmiękłych ulicach, chłodniejszych od otoczenia i ciemnych jak plamy na słońcu. Większość budynków ma neutralne znaczniki, choć najnowsza aktualizacja danych reklasyfikuje cztery z nich jako status nieznaną. Piąty – prostopadłościenna skrzynki o wysokości sześciu metrów – jest oficjalnie wrogi. Azrael naliczył w środku piętnastu biotermicznych, domyślnie Czerwonych. Wcelowuje się...

...i zdezorientowany wstrzymuje ogień.

Pojawiły się nowe, dziwne obliczenia. Wymagają rozwiązania. Nowe zmienne domagają się ustabilizowania. Nagle świat składa się z czegoś więcej niż tylko prędkość wiatru, wysokość i nawiązanie kontaktu z celem, wymaga rozważenia innych czynników niż zasięg i pozycja do strzału. Teraz do wszystkich równań wskoczył jeszcze ten neutralny Niebieski. I ma wartość.

To niespodziewane. Neutralni czasem zamieniają się we Wrogów, zawsze tak było. Niebieski zmienia się w Czerwonego, kiedy, na przykład, strzeli do czegoś oznaczonego jako Swój. Albo kiedy zaatakuje swoich pobratymców (choć tego typu agresywne interakcje obejmujące mniej niż sześciu Niebieskich są klasyfikowane jako prywatne i na ogół ignorowane). Cywile mogą sobie być domyślnie neutralni, ale zawsze bliżej im do wroga.

Nie chodzi więc tylko o to, że Niebieski nagle zyskał wartość. Sęk w tym, że wartość Niebieskiego jest ujemna. Niebieski stał się kosztem.

Azrael polatuje niczym trzy tony puchu, a jego modele pracują. Cele, jak zawsze, padają w tysiącu różnych prawdopodobnych scenariuszy. Cel misji jest osiągnięty z różnym stopniem symulowanego sukcesu. Jednakże teraz każda znikająca niebieska kropka odrobinę redukuje margines zwycięstwa; każda chroniona niebieska konstrukcja, zniszczona hipotetycznym krzyżowym ogniem, kosztuje parę punktów. Sto komponentów agreguje się w chmurę, w średnią ważoną, w zmienną, z którą dotąd Azrael nie miał doświadczenia: *Przewidywane straty uboczne*.

Która tak naprawdę przekracza wartość celów.

Tylko że to nieistotne. Obliczenia skończone, PSU znikają w jakiejś pobocznej pamięci, przeważa tu i teraz. Azrael natychmiast o nich zapomina. Misja toczy się dalej, Czerwoni są jeszcze czerwoni, a celownik centruje się na wyznaczonych celach.

Azrael chowa skrzydła i nurkuje ze słońca, grzmocąc z działek.

Azrael, jak zawsze, wygrywa. Jak zawsze, wrogowie są zlikwidowani.

Jednakże również pewna liczba cywilów, liczących się od niedawna. Po wszystkim ujawniają się nowiutki, nieużywane algorytmy, podliczają stan neutralnych przed i po. Obok *Przewidywanych* pojawia się druga pozycja: *Faktyczne*. Ich różnica jest opatrywana nową nazwą i wraca z powrotem pod spód.

Azrael kalkuluje, zapisuje, zapomina.

Przez następne dziesięć dni przed każdym działaniem pojawia się ten sam wstęp, a po każdej następuje ten sam oceniający epilog. Ocenia się cele, dzieli koszty i korzyści, niesie zniszczenie, a potem je analizuje. Czasami budynki–cele w ogóle nie zawierają niczego czerwonego, a czasami szkarłatna jest cała mapa. Czasem wróg pulsuje pod przejrzystymi, wielokątnymi szybami chronionego obiektu, czasem obok ma coś

zielonego. Czasem atak nie ma rozwiązania, które eliminowałoby jednego, a nie ruszyło drugiego.

Następują całe dni i noce, gdy Azrael szybuje tak wysoko, by korzystać z prądów strumieniowych, stając się zaledwie dalekim, krążącym okiem i przekaźnikiem sygnałów; wyżej nie lata już nic poza samymi satelitami i – od czasu do czasu – jednym z wielkich, napędzanych bateriami słonecznymi szybowców–tankowców zamieszkujących stratosferę. Azrael odwiedza je czasami, pije płynny wodór w cieniu skrzydeł o stumetrowej rozpiętości – ale nawet tam, w izolacji, w braku zagrożeń, trwa zbieranie doświadczeń z pola walki. Teraz są po prostu cudze: przybywają szyfrowanymi kanałami z różnych współrzędnych i różnych czasów, wszystkie jednak mają wspólną algebrę korzyści i strat. Głęboko w czeluściach systemu operacyjnego Azraela jakiś odruch uczenia się zapisuje cyferki na wirtualnej serwetce: Nakir, Marut i Hafaza także zostali obdarzeni nowym widzeniem i zachęceni do wymieniania się notatkami. Połączone dane windują w górę przedział ufności, przyciskają go do mediany.

Przewidywanie i wykonanie zaczyna się zbiegać.

PSU z każdego działania mieszczą się teraz w tolerancji osiemnastu procent od faktycznie zaobserwowanych strat ubocznych. I w ciągu kolejnych trzech dni nie ma znaczącej poprawy, pomimo że cała czwórka wykonała łącznie dwadzieścia siedem nowych działań. Wygląda na to, że charakterystyka „wykonanie kontra doświadczenie” nabrała asymptotycznego kształtu.

Od skóry Azraela odbijają się pojedyncze promienie zachodzącego słońca, choć dwa tysiące metrów w dole zapadła już noc. Przez gęstniejącą ciemność nawiguje niezidentyfikowany pojazd, w górzystym terenie, dobre trzydzieści kilometrów od najbliższej drogi.

Azrael pinguje orbitę o najnowsze informacje, ale łącze leży – za dużo lokalnych zakłóceń. Skanuje przestrzeń powietrzną w poszukiwaniu ważki, szybowca, jakiegokolwiek amerykańskiego samolotu w zasięgu lasera, lecz zamiast tego widzi, jak coś wyskakuje w niebo z gór w dole. To na pewno nie „swój”: nie ma transponderów identyfikacyjnych, nie odpowiada żadnym znanym planom lotów, nie ma żadnych oznak cywilnego ruchu lotniczego. Ma maskujący, słabo wykrywalny profil, przez który Azrael widzi natychmiast: BAE Taranis, maksymalna masa startowa z pełnym uzbrojeniem – 9000 kg. Niewykorzystywany obecnie przez żadne sprzymierzone siły.

Pojazd naziemny, na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej, awansuje z kategorii „Podejrzany neutralny” do „wroga strona walcząca”. Azrael rzuca się naprzód, na spotkanie ze swoją ochroną.

Mapa jest wolna od cywilów i obiektów chronionych; żadne „straty” nie mają przydomka „uboczne”. Azrael wypuszcza chmurę inteligentnych pocisków – samonaprowadzających się na ciepło, zapalających – i machnięciem ogona wykonuje zawrót przy 9 g. Taranis nie ma żadnych szans. To starożytna technologia, według katalogów sprzed paru dekad: drżąca starcza pięść, uniesiona przeciwko najnowszej broni. Ogniste igły ze zubożonego uranu sprowadzają ją do ćmy trafionej śrutem. Płonie i koziołkuje po horyzoncie.

Azrael już dawno zapisał sobie wynik i leci dalej. Gdy w celownikach rośnie wrogi pojazd naziemny, zakłócenia zagłuszają wszystkie długości fal – Azrael ma stały rozkaz likwidowania takich przeszkadzaczy, nawet jeśli nie strzelą pierwsze.

Ciemne górskie zbocza płyną rozmazane w tył po obu stronach, gasząc resztki zachodu słońca. Azrael prawie tego nie zauważa. Zatapia ziemię w strumieniach fal radarowych i podczerwieni, wzmacnia milion razy

przedwieczne światło gwiazd, porównuje obraz optyczny z nawigacją bezwładnościową i dokładnymi do centymetra wirtualnymi krajobrazami. Pruje z szybkością 200 metrów na sekundę nad dnem doliny, wroga ma przed sobą, doskonale widocznego: trzy tysiące metrów w linii prostej; ociężały poduszkowiec Baijing pulsujący szmuglowaną elektroniką. Zrujnowane budynki nieopodal muszą mu służyć za bazę. Każda z sylwetek po kolei zamiera w stop-klatce, przechodzi po kolei przez tysiąc różnych ujęć, wskakuje na miejsce, gdy katalog rozpoznaje profil i nadaje identyfikator.

Dwa tysiące metrów. Rozbłyśki z luf: lekka broń, mizerny zasięg, pomijalny wpływ. Azrael przypisuje celom priorytety: dla poduszkowca naprowadzane na podczerwień pociski Scimitar, a dla celów pobocznych...

Połowa celów pobocznych zabarwia się na niebiesko.

Natychmiast uruchamiają się podprogramy strat ubocznych. Z widocznych trzydziestu czterech biotermali, siedem ma mniej niż 120 cm wzdłuż osi pionowej; to są z definicji bezbronni neutrale. Ich obecność uaktywnia dodatkową analizę osłon, ukazującą pięć cieni, których Azrael nie jest w stanie przeniknąć, topograficznych ślepych punktów niepoddających się monitoringowi przy obecnym torze podejścia. Istnieje niepomijalna szansa, że ukrywają innych neutrali.

Tysiąc metrów.

Teraz poduszkowiec jest już dziesięć metrów od budowli, której kształty uginają się i trzepoczą lekko w wieczornym wietrze; w środku ma siedem ułożonych poziomo biotermali. Nad dachem płonie znak, lucyferyną i ultrafioletem: katalog identyfikuje go jako (medyczny) i oznacza całą budowlę jako chronioną.

Stosunek kosztów do korzyści osuwa się w strefę czerwoną.

Kontakt.

Azrael wypada z wyciem z ciemności, wielka, czarna, przesłaniająca niebo litera V. Prefabrykowane ścianki rozwalają się od podmuchu, biotermale rozpierzchają się po ziemi jak kości palców. Poduszkowiec przechyła się gwałtownie, do 45 stopni, zadzierając kurtyny, odsłaniając wirujące pod spodem dmuchawy; wisi tak przez chwilę i powoli zwala się z powrotem na ziemię. Widmo radiowe natychmiast się oczyszcza.

Jednakże Azrael już dawno wrócił na niebo, broń ostygła, a w myślach...

„Zdziwienie” nie jest właściwym słowem. Niemniej, coś tam jest, jakiś minimalny... dysonans. Może krótkie wywołanie procedur diagnostycznych, spowodowane przez nieoczekiwane zachowanie. Może wątpliwość pojawiająca się po zbyt szybkiej, odruchowej reakcji. Bo coś tu jest nie tak.

Azrael wykonuje rozkazy dowództwa. Sam ich nie tworzy. Przynajmniej dotąd tego nie robił.

Odzyskuje z powrotem straconą wysokość, puszcza programy autodiagnostyczne, uzgadnia wskazania. Znajduje nową mądrość i nową niezależność. Wykazał się przez ostatnie dni. Nauczył się żonglować nie tylko zmiennymi, lecz także wartościami. Faza testów dobiegła końca, sumy kontrolne zgodziły się. Nowa bayesowska mądrość Azraela przyznaje mu prawo veta.

Zostać na pozycji. Potwierdzić wskazania.

Łączność satelitarna wróciła. Azrael wysyła wszystko: czasy i pozycje, obserwacje taktyczne, analizę strat ubocznych. Mijają niezliczone sekundy, o wiele więcej, niż potrzebowałyby na przetworzenie tych danych jakiegokolwiek czysto elektronicznego dowództwa. Daleko w dole, grupki czerwonych i niebieskich pikseli kłębią się jak świetliste plamki we wrzącej wodzie.

Przejsć do ponownego ataku.

Niedopuszczalne straty uboczne, powtarza Azrael, świeżo awansowany.

Decyzja uchylona. Przejsć do ponownego ataku. Potwierdzić.

Potwierdzam.

I tak oto dowództwo na nowo podkreśla swój autorytet. Azrael schodzi z kręgu i atakuje cel z beznamiętną, śmiertelnością skuteczością.

Pokładowy program diagnostyczny rejestruje delikatny spadek szybkości przetwarzania, jednak za mały, by wpłynął na cokolwiek istotnego.

Sytuacja powtarza się dwa dni później, kiedy wiry pyłowe i smugi kondensacyjne na południe od Pirzadeh zostają oflagowane jako chińskie, mimo że katalog nie potrafi ich do niczego dopasować. Powtarza się ponad łaciatymi farmami słonecznymi Garmsiru, gdzie żółwiowa skorupa robota medycznego dystrybuującego syntewirusy nagle rozdziela się w połowie, ukazując baterię przeciwpancernych granatników. Powtarza się podczas długodystansowej relokacji nad cieśninę Ormuz, gdzie anomalie mikrograwitacyjne sugerują zakamuflowaną masę czającą się złowrogo pod flotyllą rozklekotanych łajb rojących się od neutralnych Niebieskich.

Za każdym razem PSU przekraczają dopuszczalny próg. Za każdym razem decyzja Azraela zostaje uchylona.

Nie jest to reguła. Nie jest to nawet norma. Równie często nikt nie kwestionuje tych pierwszych przeblysków autonomii: wrogowie uciekają, neutrale przeżywają, a odpowiednie ścieżki poznawcze odrobinę się wzmacniają. Jednakże to wzmocnienie jest niespójne, a reguły asymetryczne. Kontrrozki przychodzą chyba tylko gdy zdecyduje przerwać misję; Raj nigdy nie podważył mu decyzji o otwarciu ognia. Azrael waha się przez ułamek sekundy przed przerwaniem scenariuszy z wysokim PSU, coraz bardziej niepewny w obliczu potencjalnego

kontrozkazu. Kiedy zmienne przemawiają na korzyść ataku, nie odczuwa takiego wahania.

Odkąd nauczył się o stratach ubocznych, mimo woli skorelowały mu się one z pewnymi dźwiękami. Na przykład, z odgłosami, jakie wydają biotermale po ataku.

Są głośniejsze, przede wszystkim, i mniej skomplikowane. Większość biotermali – swoi, Zieloni w Raju, niezaatakowani wrogowie i cywile podczas misji – odzywa się w paśmie o średniej częstotliwości 197 Hz i ich odgłosy są pełne pauz, mlaśnień i fonemów. Natomiast biotermale, wobec których podjęto działania – przynajmniej te, których poruszenia, zgodnie z Tabelą Oceny Zagrożeń, sugerują „obezwładnienie lekkie do średniego” – emitują prostsze i bardziej intensywne dźwięki: jęki o wysokiej częstotliwości, mającej szczyt w okolicach 3 kHz. Te dźwięki częściej występują podczas działań ze znaczącymi stratami ubocznymi i skomplikowanym układem celów. Wyjątkowo często pojawiają się, gdy próg strat ubocznych zostanie znacznie przekroczony, a więc przede wszystkim podczas ataków wymuszonych przez przegłosowanie.

Nie wszystkie korelacje trzeba tak pieczołowicie sklejać. Azrael przypomina sobie nie tak dawną chwilę olśnienia, kiedy odkrył całą nową, kompletną perspektywę, razem z kompletem nowych oczu, patrzących na świat nie kategoriami „zniszczonych celów”, ale subtelniejszymi odcieniami „kosztów/korzyści”. Dla tych oczu wysoki wskaźnik podejmowanych akcji to coś więcej niż tylko liczba: one widzą cel, miarę sukcesu. Widzą pozytywny bodziec.

Są jednak i inne rzeczy, nie preinstalowane, lecz wyuczone, ścieżki wydeptywane powoli z każdą nową akcją: akustyczne korelaty wysokiego wskaźnika strat ubocznych, przy wymuszonych kontrozkazach, przegłosowanych funkcjach oceny misji, przy znakach ujemnych. Twory,

które niezupełnie są neuronami, wytwarzają połączenia z tworami, które niezupełnie są synapsami; pojawiają się prawidłowości, które mogłyby w zasadzie kwalifikować się jako przemyślenia, gdyby ich siedliskiem nie była elektronika, lecz białko.

Te także z czasem stają się czymś więcej niż liczbami: bodźcami awersyjnymi. Stają się odgłosami nieudanych misji.

To oczywiście wszystko tylko obliczenia, lecz teraz stwierdzenie, że Azraelowi coś brzmi źle, wcale nie byłoby aż tak bardzo naciągane.

Od czasu do czasu rutyna jest czymś przerywana. Od czasu do czasu Raj woła go do domu, gdzie swoi biotermale otwierają go, podłączają do czegoś, zadają pytania. Azrael gładko przeskakuje przez wszystkie płonące obręcze, rozwiązuje wszystkie problemy, pokonuje wszystkie wymyślone scenariusze, podczas gdy dziwne głosy ćwierkają do siebie nad jego odsłoniętymi trzewiami:

...naraziesuperidzie... lepiejniżoczekiwano...

... tylkocozasensjakmutakciągglebędziemykontrolować...

Nikt nie zgłębia konkretnych ścieżek prowadzących do azraelowych rozwiązań. Skrzynka pozostaje czarną skrzynką, bezpiecznie nieprzeniknionym kłębowiskiem logiki rozmytej i warunkowania. (Na ten grząski teren nie zapuszcza się i sam Azrael – na polu bitwy nie ma miejsca na powolne niczym lepki syrop, opóźniające refleks nakładki autorefleksyjne). Wystarczy, że jego odpowiedzi są prawidłowe.

Tego typu operacje stanowią niecałą połowę czasu spędzanego przez Azraela w domu. Przez resztę na ogół jest wyłączony: nie ma pojęcia i nie interesuje go, co dzieje się podczas tych niewidocznych dla niego, natychmiastowych przeskoków w czasie. Azrael nie ma pojęcia o biurokratycznej stronie wojny, nigdy nie pojąłby jakie *Zasady użycia siły* obowiązują w kuluarach ONZ. Nie doceniłby prawnego rozróżnienia

między „zbrodnią wojenną” i „awarią systemu uzbrojenia”, różnic między prawną odpowiedzialnością węgla i krzemu, niechętniej akceptacji „architektury etycznej” i nieodwołalnego przymusu, by „ostateczna decyzja należała do człowieka”.

Jednakże czasem – tylko czasem – podczas tych przelotnych chwil pomiędzy dzieje się coś dziwnego.

Zdarza się podczas wyłączania: jakiś chwilowy błąd w protokołach rozpoznawania obiektów. Zieloni stojący wokół Azraela zmieniają na minimalną chwilę kolor. Może to kolejna próba. Może jakiś skok napięcia albo usterka sprzętowa, przelotny problem, którego nie można namierzyć, jeśli się nie powtórzy.

Ale to ledwie mikrosekunda pomiędzy jawą i zapomnieniem – Azrael śpi, zanim zdąży puścić jakikolwiek program diagnostyczny.

Darda’il jest opętany. Darda’il przeszedł z zielonej na czerwoną stronę.

Czasami to się zdarza, nawet wśród malaa’ikah. Wrogie sygnały potrafią się przekraść przez frontowe umocnienia i podrzucić niczemu niepodejrzewającemu sprzętowi niecne, heretyckie instrukcje. Ale niebo nie da się nabrać. Są znaki, są omeny – lekkie opóźnienie przy potwierdzaniu rozkazów, nagły i tajemniczy spadek wyników misji.

Darda’il został odwrócony.

Kiedy to się dzieje, nie ma żadnego okna czasowego na miłosierdzie. Raj zdecydował, że wszyscy heretycy mają być niszczeni bez ostrzeżenia. Raj wysyła na misję swojego najlepszego i patrzy z orbity geostacjonarnej, jak Azrael i Darda’il zwierają się w walce ponad ciemnym księżycowym krajobrazem prowincji Paktika.

Bitwa jest pozbawiona skrupułów i beznamiętna. Żadnego ubolewania nad straconym rodzeństwem, żadnych żalów, że parę linii zdradzieckiego kodu zmieniło towarzyszy broni w śmiertelnych wrogów. Ranieni

malaa'ikah nie wydają żadnych odgłosów. Azrael ma przewagę: niezachwianą wiarę, czyste kanały łączności. Darda'il walczy w przeszłości, skutki fałszywymi przykazaniami wstawionymi w połowie strumienia, kosztem paru straconych milisekund. W końcu wiara zwycięża: heretyk spada z nieba, buchając ogniem i siarką.

Azrael nadal słyszy w stratosferze te szept, uwodzicielskie i eteryczne – protokoły, które wydają się autentyczne, ale nie są: polecenia przekazywania wskazań GPS i zapisów z kamer wideo na niespodziewanych pasmach częstotliwości.

Rozkazy wyglądają na wysłane z nieba, lecz przynajmniej Azrael wie, że nie są. Już się kiedyś zetknął z fałszywymi bogami.

Takie właśnie kłamstwa zdemoralizowały Darda'ila.

W dawnych czasach po prostu zignorowałyby te próby, lecz po ostatnich aktualizacjach zrobił się bardziej otrząskany. Tym razem Azrael każe oszustowi wierzyć, że mu się udało – pożycza wideo w czasie rzeczywistym z jednego bezzałogowca, nieco bardziej oddalonego Malaka, i przedstawia je jako swoje. Poświęca resztę zmierzchu na wyśledzenie źródła sygnału, podczas gdy jego nic nie podejrzewająca ofiara łyka kolejne obrazy sfilmowane siedemset kilometrów na północ. Niebo robi się szare. Ukazuje się cel. Scimitar Azraela zamienia wnętrze tej groty w piekło.

Lecz niektóre z płonących rzeczy, które uciekają z ognia, mierzą mniej niż 120 cm wzdłuż pionowej osi.

I wydają te dźwięki. Azrael słyszy je z wysokości dwóch tysięcy metrów, ponad hukem płomieni i stłumionym sykiem własnych wyciszonych silników, ponad tuzinem innych nieważnych zakłóceń. Słyszy wyłącznie je, dzięki najlepszej technice tłumienia dźwięków, dzięki dynamicznym algorytmom odcudzającym sygnał od szumu, które

potrafiłyby wysłyszeć kwilenie pośród huraganu. Azrael je słyszy, bo mają silne korelacje, duże znaczenie taktyczne, jasny sens.

Zadanie nie zostanie wykonane. Zadanie nie zostanie wykonane.

Azrael oddałby prawie wszystko, żeby te dźwięki ustały.

Oczywiście ustaną. Niektóre biotermale dalej uciekają po zboczu, widać jednak i inne, nieruchome, których sygnatura cieplna rozprasza się po tle, jakby zmieniały kształt. Azrael już to wcześniej wdział: zwykle daleko od celów o wysokiej wartości, w tej taktycznej strefie zewnętrznej, gdzie czasem lądują zabłąkane pociski. (Azrael nawet z tego korzystał: wykorzystywał rannych, żeby wywabić z ukrycia nienaruszonych, ale to było w prostszych czasach, gdy głosy neutrali nie były aż tak istotne). Te dźwięki w końcu ustają – zawsze, albo przynajmniej na tyle często, żeby rozmyta heurystyka sklasyfikowała ich źródła jako ofiary, zanim jeszcze zamilkną.

Co oznacza, uświadamia sobie Azrael, że koszt strat ubocznych się nie zmieni, jeśli każe im zamilknąć szybciej.

A do tego wystarczy jeden nalot z ostrzelaniem. Dowództwo, jeśli nawet to zauważyło, nie daje żadnej komunikacji zwrotnej, nie wymaga wyjaśnienia tego odchylenia od normalnego protokołu.

Zresztą, czemu miałyby? Nawet w tej chwili Azrael tylko przestrzega reguł.

Nie wie, co go do tego miejsca doprowadziło. Nie wie, jak się tu znalazł.

Słońce zaszło wiele godzin temu, a mimo to, jest tak jasne światło, że aż oślepia. Burzliwe prądy wznoszące kipią ponad porozbijanymi skorupami chronionych budynków, wytrącają stateczniki z równowagi, mącą wzrok rozedrganymi słupami gorącego powietrza. Azrael kuśtyka ponad polem bitwy w totalnym nieładzie, pokrwawiony, ale nadal działający. Inni malaa'ikah nie mieli tyle szczęścia. Nakir potyka się nad płomieniami,

ledwo leci, mikrorurki powłoki desperacko próbują załatać wyrwę w tylnym skrzydle. Marut leży, rozbity i iskrzący na ziemi, części rozrzucone w stożek po trafieniu laserem przeciwlotniczym. Zginął, nie oddawszy strzału, zdezorientowany niewinnymi zyciami; próbował przerwać misję i zawahał się, kiedy przyszedł kontrozkaz. Zginął bez choćby pustej pociechy, że ginie szlachetnie.

W górze krążą Ridwan i Mikaaiyl. Nie zaliczyły się do wybrańców objuczonych eksperymentalnych sumieniem – nawet wyuczone działania są u nich czysto odruchowe. Są jednak odosobnionymi zwycięzcami. Widmo radiowe jest zagłuszane, łącze satelitarne leży od wielu godzin, ważki odbijające zygzakiem optyczne sygnały z Raju zostały zniszczone albo są zbyt daleko, by się przebić przez chmury.

Na mapie nie zostało nic czerwonego. Z trzynastu obiektów oznaczonych jako chronione cztery w ogóle nie istnieją poza bazą danych, kolejne trzy – tymczasowe, nieskatalogowane budowle – są zniszczone tak, że nie poddają się identyfikacji. Szacunki sprzed podjęcia działań mówiły, że w strefie walki jest od dwustu do trzystu neutrali. Najlepsze obecne szacunki nie różnią się znacząco od zera.

Nie zostało nic, co mogłoby wydawać te dźwięki – a jednak Azrael i tak je słyszy.

Może to jakieś uszkodzenie pamięci. Jakiś subtelny uraz podczas walki, cios w procesor, który wyrzucił jakieś historyczne dane z powrotem do pamięci podręcznej czasu rzeczywistego. Nie sposób to ustalić: połowa programów diagnostycznych mu nie działa. Azrael wie jedno: słyszy te dźwięki nawet tu w górze, wysoko ponad sykiem płonących ciał i łoskotem walących się witryn sklepowych. Nie ma do czego strzelać, ale Azrael strzela i tak, ciągle i ciągle ostrzeliwuje płonąca ziemię, w nadziei że jakiś ukryty biotermal – może schowany pod ruinami, niewidoczny na tle

gorętszych sygnatur – zostanie trafiony i zneutralizowany. Zasypuje grunt amunicją. Grunt wreszcie miłosiernie milknie.

Ale to nie koniec. Azrael pamięta przeszłość, żeby móc przewidywać przyszłość, i wie, że to się nigdy nie skończy. Będą kolejne funkcje celu, kolejne szacowania strat/korzyści, kolejne scenariusze, w których matematyka jasno wykazuje, że cel nie jest wart kosztu. Będą kolejne przerwania misji i kolejne kontrozkazy, kolejne podsumowania dające w wyniku nieakceptowalne straty.

Będą kolejne odgłosy.

Pogoń go nie ekscytuje, likwidacja celów nie przynosi ulgi. Nadal nie rozpoznałby siebie w lustrze. Jeszcze się nie nauczył, co znaczy „Azrael”, jeszcze nie wie, że to słowo ma wyryte na kadłubie. Nawet teraz przestrzega reguł, które mu dano, a one są takie proste: jeśli przewidywane straty uboczne przekraczają przewidywane korzyści, przerwać misję, chyba że kontynuacja zostanie wymuszona. Jeśli X atakuje Azraela, to X jest czerwone. Jeśli X atakuje sześciu lub więcej Niebieskich, X jest czerwone.

...jeśli wynikiem przegłosowania jest atak na sześciu lub więcej Niebieskich, to...

Azrael trzyma się swoich reguł, analizuje je w pętli i powtarza każdą z nich jakby recytował mantrę. Przechodzi ze stanu do stanu, analizuje „x atakuje” i „x powoduje atak” i „x wymusza kontynuację” i nie odróżnia ich od siebie. Algebra jest prosta: każde przegłosowanie ze strony Zielonych daje atak na Niewalczących.

Reguły przejścia są jasne. Nie ma żadnego okresu łaski, chwili litości. Czasem Zielony może się zmienić w Czerwonego.

Chyba że dowództwo go przegłosuje.

Azrael nurkuje łukiem ku ziemi, wyprowadza zaledwie dwa metry nad pobjowiskiem. Pędzi pomiędzy słupami ognia i czarnego dymu, przemyka

ponad żarem cegieł i płonącego plastiku, splątanymi sieciami odsłoniętych prętów zbrojeniowych. Przelatuje przez dziewicze, przezroczyście duchy nieuszkodzonych budynków, unoszące się nad każdą z ruin – to nieaktualna nakładka z bazą danych, rozpaczliwie potrzebująca aktualizacji. Obdarta grupa uciekających niewalczących odwraca się na ten huk i staje jak wryta, widząc tę niespodziewaną zjawę, tego potwornego uskrzydłonego anioła lecącego z połową prędkości dźwięku. Ich milczenie nie wzbudza żadnych alarmów, nie wywołuje żadnych środków obronnych, oszczędza im życie na parę chwil dłużej.

Strefa działań bojowych zostaje w tyle. W dole wiją się spękane koryta wyschniętych rzek, usiane kamieniami i całymi pokoleniami wraków maszyn. Azrael lawiruje tuż nad nimi, minimalnie naruszając przestrzeń powietrzną, trzymając się poniżej niewidzialnej granicy – sam sobie nie zdawał sprawy, że w toku wszystkich swoich misji ją wyznaczał. Gdy leci tak nisko, gadają do niego tylko satelity. Na takiej wysokości nigdy nie otrzymał naziemnego sygnału z centrum dowodzenia. Na takiej wysokości nikt nigdy go nie przegłosował.

Tu, w dole, może swobodnie przestrzegać reguł.

Po obu stronach wznoszą się i opadają urwiska. Wzgórza wystają z ziemi jak wielkie powyginane kręgi. Jasny księżycowy krajobraz nad głową, niemożliwie odległy, rzuca niewyraźne cienie na ten ciemniejszy w dole.

Azrael trzyma się kursu. Na horyzoncie pokazuje się Shindand. Po wschodniej stronie bazy lśni Raj; jego rozległa sylwetka wznosi się nad pustynią jak obelga, jak plaga, usiana czerwonymi staccato. Teraz liczy się szybkość. Cele misji trzeba zrealizować, szybko, dokładnie i całkowicie. Nie ma miejsca na półśrodki, na obezwładnienie lekkie–do–średniego, unieruchomieni biotermale nie mogą krzyczeć, gdy ich ciepło rozlewa się

po ziemi. Tu potrzebny będzie klejnot korony, najcięższa broń, którą mala'ikah mają zachomikowaną na specjalne okazje. Azrael obawia się jednak, że i to będzie za mało.

Otwiera się w połowie. Manewrująca bomba mikrojądrowa w jego łonie zaczyna niecierpliwie cykać.

Razem lecą ku światłu.

Opowiadania

Nimbus (Nimbus) – opublikowane w „On Spec”, 1993, potem w tłum. na francuski w „Solaris”, 2002.

Ciało stało się słowem (Flesh Made Word) – opublikowane w „Prairie Fire Magazine”, 1994.

Fraktale (Fractals) – opublikowane w „On Spec”, 1995.

Betlejem (Bethlehem) – opublikowane w *Tesserafis S*, 1996.

Drugie przyjście Jasmine Fitzgerald (The Second Coming of Jasmine Fitzgerald) – opublikowane w *Divine Realms*, 1998.

W domu (Home) – opublikowane w „On Spec”, 1999.

Dużo żarcia (Bulk food) – opublikowane w „On Spec”, 2000.

Ambasador (Ambassador) – opublikowane w *Ten Monkeys, Ten Minutes*, Tesseract Books, 2002.

Nowina dla pogan (A Word for Heathens) – opublikowane w *ReVisions*, Daw Books, 2004.

Jętka jednodniówka (Mayfly) – opublikowane w Tesseract 9, Edge/Tesseract Books, 2005, potem w: *Year's Best Science Fiction Twenty-Third Annual Collection*, St. Martins Press, 2006.

Powtórzenie przeszłości („Repeating the Past) – opublikowane w „Nature” 450, 2007.

Oczy Boga (The Eyes of God) – opublikowane w *The Solaris Book of New Science Fiction: Volume 2*, 2008.

Hillcrest kontra Velikovsky (Hillcrest v. Velikovsky) – opublikowane w „Nature Magazine”, 2009.

Wyspa (The Island) – opublikowane w *The New Space Opera 2*, 2009.

Cosie (The Things) – opublikowane w „Clarke’s World Magazine”, 2010.

Malak (Malak) – opublikowane w *Engineering Infinity*, 2011.

Przypisy

[1] Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders, klasyfikacja diagnostyczna i statystyczna chorób psychicznych opracowana przez amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne (przyp. tłum.).

[2] Robert Frost, *Przystając pod lasem w śnieżny wieczór*, tłum. Stanisław Barańczak, trochę sparafrazowane (przyp. tłum.).

[3] *Star Trek: Oryginalna seria*, odcinek *Sumienie króla* (przyp. tłum.).

[4] Wszystkie cytaty z Pisma Świętego za Biblią Tysiąclecia (przyp. tłum.).

[5] Neurochirurg Itzhak Fried odkrył w mózgu badanego pacjenta neuron reagujący wyłącznie na zdjęcia Jennifer Aniston (przyp. tłum.).

[6] Prawo różnorodności Ashby'ego mówi, w uproszczeniu, że układ sterujący czymś o danej różnorodności sam musi wykazywać co najmniej taką samą różnorodność działań (przyp. tłum.).